This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

VSlav
7117

Harvard College
Library

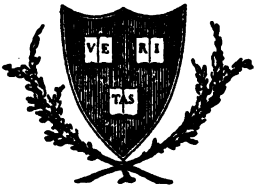

FROM THE LIBRARY OF

Archibald Cary Coolidge

Class of 1887

THE GIFT OF

Harold Jefferson Coolidge

Class of 1892

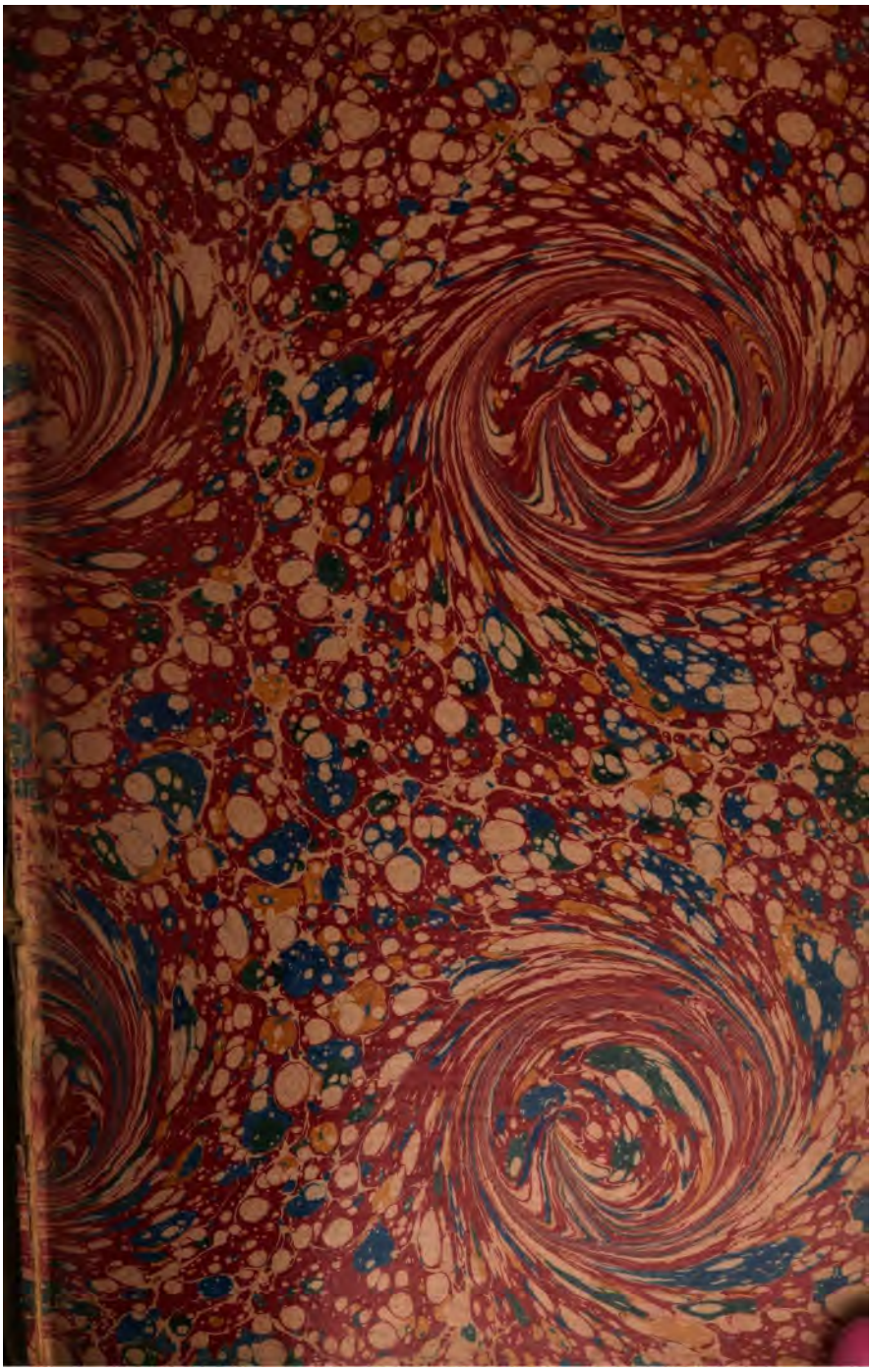

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM X.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM TRZECI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1885.

N Slav 7117.1

HARVARD COLLEGE LIBRARY
FROM THE LIBRARY OF
ARCHIBALD CARY COOLIDGE
THE GIFT OF
HAROLD JEFFERSON COOLIDGE
APR 2 1928

TREŚĆ TOMU TRZECIEGO.

DZIADY.

	Strona
Część I (Fragmenta)	1
Część II	21
Upiór	23
Dziady	27
Część IV [1]	49
Część III	97
Ustęp (Petersburg)	209

[1] Część Czwarta poprzedza Część Trzecią, według układu zachowanego przez Autora w ostatniem wydaniu.

P. W.

DZIADY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(FRAGMENTA.)

Fragmenta te, ułożone jeszcze w Kownie, w roku 1810, po raz pierwszy tu są ogłoszone z pierwotnego rękopisu.

P. W

Po prawej stronie teatru Dziewczyna w samotnym pokoju. Książki, fortepiano. Okno z lewej strony w pole; na prawej wielkie zwierciadło. Świeca gorejąca na stole i książka rozłożona pod tytułem: Walerja romans pani Krudener.

DZIEWCZYNA, wstaje od stołu.

Świeco niedobra, właśnie pora była zgasnąć!
I nie mogłam doczytać. — Czyż podobna zasnąć? —
Waleryo! Gustawie! anielski Gustawie!
Ach, tak mi często o was śniło się na jawie,
A przez sen — będę z wami Pan Bóg wie dopóki —
Smutne dzieje, jak smutnej są źródłem nauki! —

(Po pauzie, z niesmakiem.)

Po co czytam? Już koniec przezieram z daleka
Takich kochanków tutaj cóż innego czeka?
Waleryo! ty przecie z pomiędzy ziemianek
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy —
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada!
Ale twarze tchną głazem jak Meduzy głowa! —
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa! —

Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
Wracam do samotności, do książek i marzeń:
Jak podróżny, śród dzikiej wyspy porzucony,
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,

Ażali gdzie istoty bliźniej nie zobaczy,
I co noc w swą jaskinię powraca w rozpaczy —
Szalony! niech ukocha swe samotne ściany,
I nie targa łańcucha, by nie drażnić rany!

Witajże ma jaskinio! Na wieki zamknięci,
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci.
Czyż nie znajdziem zatrudnień? — Mędrce dawnych wieków
Zamykali się szukać skarbów albo leków,
Trucizn — a my, niewinni, młodzi czarodzieje,
Szukajmy, jakby otruć własne swe nadzieje;
A jeżeli do grobu wstęp jeszcze zawarty,
Pochowajmy swą duszę za życia w te karty! —
Można pięknie zmartwychwstać i po takim zgonie;
I przez ten grób jest droga na Elizjum błonie;
Zamieszkałym śród cieniów zmyślonego świata
Nudnej rzeczywistości nagrodzi się strata —

Cieniów? — Nigdyż nie było między ziemską bracią
Takich cieniów, śmiertelną więzionych postacią?
Dusze ich wzięłyż bytność z poetów wyroku?
Kształty odlaneż tylko z pięknych słów obłoku? —
Nie mogę przyrodzenia tą myślą obrażać,
Nie mogę bluźnić Twórcy — i siebie znieważać! —

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyznie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie:
Każdy promień, głos każdy z podobnym spojony,
Harmonię ogłasza przez farby i tony;
Pyłek, błądzący długo śród istot ogromu,
Padnie w końcu na serce bliźniego atomu:
A tylko serce czułe, z dozgonną tęsknotą,
W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą? —
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie:
Jest i musi być kędyś, choć na hrańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata!

O, gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry,
Lub słowem tylko, wzrokiem! — Dosyć jednej chwili,
Dosyć — by się dowiedzieć tylko — żeśmy żyli!
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,
W której roskosze truje samotna męczarnia,
Z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem!
Jakby miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem;
I cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,
Co szlachetnego mają tajne serca dzieje,
Rozświecić przed oczyma kochanej istoty,
Jak wyłamane z piersi kryształów klejnoty! —
Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić
Wspomnieniem; możnaby się z przyszłości weselić
W przeczuciu — a obecnem chwil lubych użyciem
Łącząc wszystko, żyć całem i zupełnem życiem! —
Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome — lecz kiedy się zlecą:
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą! —

(Lewa strona teatru. Wchodzi Starzec i Dziecię.)

DZIECIĘ.

Wróćmy lepiej do chaty Coś tam od kościoła
Błysnęło: ja się boję; coś po lesie woła.
Jutro pójdziem na smętarz: ty swoim zwyczajem
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami i majem.
Mówią, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy.
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy;
Ty oczy w dzień masz słabe; pragnąłbyś daremnie
Dawno widzianych ludzi rozeznać po ciemnie:
I słuch masz słaby. Pomnisz, dwie temu niedziele,
Zebrało się i krewnych i sąsiadów wiele

Urodziny twe święcić: tyś w milczeniu siedział,
Nic nie słyszał, nikomu nic nie odpowiedział;
Zapytałeś nakoniec: po co ta gromada
Zeszła się w dzień powszedni i czy mrok już pada?
A my przyszli winszować i od kilku godzin
Słońce zaszło i był to dzień twoich urodzin —

STARZEC.

Od tego dnia, ach jakżem daleko odpłynął!
Wszystkiem znajome lądy i wyspy ominął,
Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasu toniach:
Cóż mi po waszych twarzach i głosach, i dłoniach? —
Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał:
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał:
Gdzież są? — Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły! —
Nie wiem, czym pośród trupów, czylim sam umarły:
Ale inny świat rzucam, aniżelim zastał —
Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał! —
I twój jeszcze głos wnuku, ostatnia pociecho,
Jak po umarłej pieśni niemowlęce echo,
Tuła się i głos matki powtarzany kwili —
Lecz i ty mnie porzucasz, jak inni rzucili.

Pójdę sam. Kto w dzień błądzi i żywych nie słyszy,
Widzi w nocy, zna język grobowych zaciszy.
Nie zabłądzę. Wszak co rok chodziłem tą drogą:
Zrazu, jak ty mój synu, z niemowlęcą trwogą;
Potem, jak chłopiec pełen ciekawej ochoty;
Potem z tęsknotą; teraz nawet bez tęsknoty,
Bez żalu — Cóż mię wiedzie? — Jakiś zapęd nowy,
Ciemne przeczucie — może to instynkt grobowy!
Znajdę smętarz i coś mi w głębi duszy wróży,
Że nazad już nie będę potrzebował stróży —
Ale nim się rozłączym, twe służby dziecięce
Nagrodzę. Pójdź mój synu, uklęknij, złóż ręce:

Boże! coś mi rozkazał spełnić kielich życia,
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!

Jeśli względów twojego miłosierdzia godna
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,
Jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody;
Pobłogosław wnukowi, niechaj umrze młody!

Bądź zdrów! — Stój i raz jeszcze ściśnij dziada rękę;
Daj mi twój głos usłyszeć; zaśpiewaj piosenkę
Ulubioną i tyle powtarzaną razy
O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głazy.

DZIECIĘ, śpiewa.

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błądził śród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
Co tam czarów, co tam strachów!

W jednem sklepisku zapadłem
Jak dziwny rodzaj pokuty:
Na łańcuchu, przed zwierciadłem
Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś cząstkę traci
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem;
A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem,
Czułością świeci źrenica.

«Kto jesteś, zaklęty rzecze,
Coś te gmachy zdobył śmiało
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało?»

«Kto jestem? O, drży świat cały
Przed mą szablą, na me słowa
Wielkiej mocy, większej chwały:
Jestem rycerzem z Twardowa.»

«Twardowa? — Za moich czasów
Nie słyszałem o nazwisku,
Ni śród wojennych zapasów,
Ni na rycerskiem igrzysku.

Nie zgadnę, jak długie lata
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata:
Musisz mi o nim powiedzieć.

Czy dotąd Olgierda ramię,
Naszą Litwę wiodąc w pole,
Po dawnemu Niemcy łamie,
Tratuje stepy mogole?»

«Olgierd? Ach, już przeminęło
Dwieście lat po stracie męża;
Lecz z jego wnuków Jagiełło
Teraz walczy i zwycięża.»

«Co słyszę? — Jeszcze dwa słowa:
Mów! w twoich błędnych obiegach
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili
O Poraju silnej ręki,
I o nadobnej Maryli,
Której on ubóstwiał wdzięki?»

«Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju
Ani o jego kochance.

Po co pytać? Czasu strata!
Gdy cię wyrwę z tej opoki,
Wszystkie ciekawości świata
Własnemi odwiedzisz kroki.

Znam czarodziejską naukę,
Wiem dzielność tego zwierciadła:
Wraz go na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa spadła.»

To mówiąc, nagłym zamachem
Dobył miecza i przymierza;
Ale młodzieniec z przestrachem
«Stój!» zawołał na rycerza:

«Weźmij zwierciadło ze ściany
I podaj je w moje ręce;
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce.»

Wziął i westchnął; lice zbladło
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło —
I cały stał się kamieniem.

GUŚLARZ.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Z czujnym słuchem, z bacznem okiem
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichem pieniem, wolnym krokiem.
Wszak nie nucim po kolędzie?
Nucimy piosnkę żałoby:
Nie do dworu z nowym rokiem,
Ze łzami idziem na groby.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

GUŚLARZ.

Śpieszmy cicho i powoli
Po za cerkwią, po za dworem:

Bo ksiądz gusłów nie dozwoli,
Pan się zbudzi nocnym chórem.
Zmarli tylko wedle woli
Śpieszą, gdzie ich Guślarz woła:
Żywi są na pańskiej roli,
Smętarz pod władzą kościoła.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW, do Dziewczyny.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz: i oczek i dłoni szkoda.
Te oczy innym źrenicom błysną,
Te rączki inną prawicę scisną.

Od lasu para gołąbków leci,
Para gołąbków, a orlik trzeci:
Uszłaś gołąbko, spojrzyj do góry,
Czy jest za tobą mąż srebrno-pióry?
Nie płacz, nie wzdychaj w próżnej żałobie,
Nowy małżonek grucha ku tobie:
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy
Wstążka błękitna w kolorach tęczy.

Róża z fijałkiem, na letniej łące,
Podają sobie dłonie pachnące:
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,
Zranił małżonka, zostawił wdowę.
Płaczesz i wzdychasz w próżnej żałobie;
Wysmukły narcyz kłania się tobie
Jasną źrenicą, śród polnych dzieci.
Już księżyc między gwiazdami świeci.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz — i rączek i oczu szkoda.
Ten, po kim płaczesz, ręki nie ściśnie,
Okiem ku tobie wzajem nie błyśnie.

Ciemny on krzyżyk w prawicy trzyma,
A miejsca w niebie szuka oczyma.
Dla niego na mszę daj młoda wdowo,
A dla nas żywych piękne daj słowo.

(Do Starca.)

Nie tęknij starcze, prosimy młodzi:
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;
W tem sercu dla nas żyją przykłady,
W tych myślach dla nas jest skarbiec rady.

Stary dąb zrzuca powiewne szaty,
O cień go proszą trawy i kwiaty:
Nie znam was, dzieci nowego rodu,
Czyliście warte cienia i chłodu,
Nie takie rosły, dawnemi laty,
Pod mą zasłoną trawy i kwiaty.

Przestań narzekać w niesłusznym gniewie!
Jak było dawniej, nikt o tem nie wie.
Uwiędną jedni; powschodzą inni;
Chociaż mniej piękni, cóż temu winni?
Strzeż naszej barwy, ciesz się z okrasy,
A z nas dawniejsze wspominaj czasy.

Nie wzdychaj starcze w próżnej tęsknocie!
Wielu straciłeś, zostały krocie.
Nie całe twoje szczęście jest w grobie,
Nie tam są wszyscy znajomi tobie:
Weź trochę szczęścia od nas szczęśliwych,
Szukaj umarłych pośród nas żywych.

GUŚLARZ.

Kto błądząc po życia kraju
Chciał pilnować prostej drogi,
Choć mu los wedle zwyczaju
Wszędzie siał ciernie i głogi,

Nareszcie, po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach,
Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleść wczas po trudach;
  Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Myślą z orły szedł w przeloty,
I nie znał ziemi, aż w końcu
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty —
  Kto żalem pragnął wydźwignąć
Co znikło w przeszłości łonie;
  Kto żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnem łonie;
  Kto poznał błąd swój niewcześnie,
O gorszej myśląc poprawie —
Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tem, czego szukał na jawie;
  Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnej sprawcą katuszy,
Darmo chciał znaleść przed sobą,
Co miał tylko w swojej duszy:
  Kto wspominasz dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy:

Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy.
Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy!
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy!

CHÓR MŁODZIEŻY.

Tu guślarz kazał młodzieży
Stanąć na drogi połowie:
Tam na wzgórku wioska leży
A tam mogilnik w dąbrowie.

Między kolebką i groby
Młody nasz wiek w środku stoi:
Śród wesela i żałoby
Stójmyż w środku, bracia moi.

Nie godzi się do wsi wracać,
Nie godzi się biedz w ich ślady;
Tu będziemy święcić Dziady,
I piosnkami noc ukracać.

Będziemy idących witać,
I powracających pytać,
Szczęśliwym rozpędzać trwogę,
Błędnym pokazywać drogę.

Zaszło słońce, biegną dzieci,
Idą starce, płaczą, nucą;
Lecz znowu słońce zaświeci,
Wrócą dzieci, starce wrócą.

Nim dojdzie siwizny dziecię,
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Nie jedna chwilka wesoła.

Ale kto z nas w młode lata
Nie działa rzeźwem ramieniem,
Ale sercem i myśleniem:
Taki zgubiony dla świata.

Kto jak zwierz pustyni szuka,
Jak puhacz po nocy lata,
Jak upior do trumny puka:
Taki zgubiony dla świata.

Kto w młodości pieśń żałoby
Raz zanucił, wiecznie nuci;
Kto raz zabłądził na groby,
Już z nich na świat nie powróci.

Niech więc dzieci i ojcowie
Idą w kościół z prośbą, z chlebem:
Młodzi, na drogi połowie,
Zostaniem pod czystem niebem.

GUSTAW, śpiewa.

Śród wzgórzów i jarów
I dolin i lasów;
Śród pienia ogarów
I trąby hałasów;

Na koniu, co lotem
Sokoły zadumi,
I z bronią, co grzmotem
Pioruny zatłumi;

Wesoły jak dziecko,
Jak rycerz krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy,

Witajcież rycerza
Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
Niech żyje myśliwy!

Czy w niebo grot zmierza,
Czy w knieje i smugi:
Stąd leci grad pierza,
Stąd płyną krwi strugi.

Kto w puszczy dojedzie
Odyńca bez trwogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Czyj dowcip gnał rojem
  Lataczów do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
  Sztandary ich skrzydeł!

Witajcież rycerza,
  Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
  Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, dalejże, dalejże!
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, hop! hop!

Spolowałem piosenkę! Nie będą się gniewać
Myśliwi, że do domu wracam bez zwierzyny!
Jak tylko wrócę, zaraz muszę im zaśpiewać.

Lecz gdzież zaszedłem? — Nigdzie śladu ni dróżyny —
Hola! — Jak w kniei głucho: ni trąby, ni strzału —
Zbłądziłem. Otóż skutek wieszczego zapału!
Goniąc Muzę, wyszedłem z obławy. Mróz ciśnie.
Trzeba ogień nałożyć; gdy światło zabłyśnie —
Może jaki towarzysz z myśliwej czeladzi
Błądzi jak ja: ten ogień razem nas sprowadzi,
Łacniej drogę znajdziemy.

O mój przyjacielu!
Takich, jak ty, myśliwych nie znalazłbyś wielu.
Oni z lasu nie zwykli spoglądać w obłoki,
Oczami na jesienne polować widoki:
Z jednym zawsze zamiarem i jedyną żądzą,
Na ziemi tropią zdobycz! tem lepiej — nie błądzą.
Pewnie już z rzeźwem sercem i z spoconem czołem
Dzienną zabawę kończą za biesiadnym stołem:
Każdy chlubi się z przeszłych lub przysłych zdobyczy,
Każdy swe trafne strzały, cudze pudła liczy;

Żartują z siebie głośno, lub szepcą do ucha,
Wszyscy mówią, a jeden stary ojciec słucha
A jeśli się nakoniec uprzykrzyły łowy,
Natenczas do sąsiadek uśmiechy, rozmowy:
Czasem strzelecka miłość, wędrowna ptaszyna,
Serce przelotem zwiedzi. — Tak mija godzina
I tydzień i rok cały. Tak bywało wczora,
Tak jest dzisiaj i będzie każdego wieczora.
Szczęśliwi! —

A ja — czemu nie jestem jak oni?
Wyjechaliśmy razem, cóż mię w pole goni?
Ach! nie zabawy ścigam: uciekam od nudy;
Nie roskosze myśliwskie lubię, ale trudy.
Że się myśli, przynajmniej, że się miejsca zmienia,
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które nie wiem skąd w oczach zaświecą,
Westchnień bez celu, które nie wiem kędy lecą —
Nie do sąsiadek pewnie — na wiatry, na gaje —
Ku marzeniom —

Myśl dziwna! Zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia —

Ileż razy, w dzień cichy szeleszczą na łące,
Jakoby nimfy jakiejś stopki latające:
Spojrzę — chwieją się kwiaty i podnoszą głowy
Jakby zlekka trącone. — Nieraz śród alkowy
Samotny, książkę czytam; książka z rąk wypadła:
Spojrzałem — i mignęła naprzeciw zwierciadła
Lekka postać; szepnęła jej powietrzna szata.
Nieraz dumałem w nocy; gdy się myśl rozlata
Wzdycham: i coś westchnieniom dawało znak życia,
Serce było i czułem drugie serca bicie —
Okrzyczano mię wszędzie, żem dziwak nieczuły;
I któż, jeśli nie one z czucia mię wyzuły? —

Pomnę, gdy każda piękność młodzieńczemu oku
Jak duch senny jaśniała w marzenia obłoku;
Gdym pod zewnętrznym blaskiem zgadywać był gotów
Miliony tajemnych wdzięków i przymiotów:
Z trwogą do cudownego śpieszyłem obrazu;
Przyszedłem, przemówiłem: dość było wyrazu,
Ażeby postać, godna równać się z niebiany,
Zamieniła się w posąg z lodu uciosany! —
Ileż razy, gdy dusza ku ustom wylata,
Chcę odkryć tajnie mego wewnętrznego świata,
Kiedy źrenicą w oczach dno myśli się śledzi,
Mowa serca serdecznej czeka odpowiedzi:
Natenczas, nieme bóstwo oczu mych się boi,
Słow mych nie słyszy, bo jej słyszeć nie przystoi —
Lub ich końce powtarza tylko nasztalt echa,
I albo się rumieni albo się uśmiecha;
I chce mnie znowu ściągnąć w rozmowy potoczne,
Wczorajsze, zawczorajsze i zaprzeszło-roczne! —
A niechajże ją krewni, poradą i władzą
Zalotnemu kupcowi ślubem zaprzedadzą:
Niewinna, nieznająca, niewidząca, głucha,
Jaką będzie? — Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha!

O dusze miałkie, raczej bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety;
Których żale, radości, zapały i chłody
Stosują się do nowych kalendarzów mody;
Grzeczności i rozmowy najlepszego tonu,
Jak cukierki obwite w wierszyki salonu;
Słowo nawet częstokroć, niewyraźnie, głucho,
Jak przelot nocnej muszki, pogłaska mi ucho! —

Zasnąłem we mgle jasnej. Z góry i z daleka
Coś błyszczy, choć widocznych kształtów nie obleka;
I czuję promień oczu i uśmiech oblicza! —
Gdzież jesteś, samotności córo tajemnicza? —

Niechaj się twój duch uwieńczy
Choćby marnem, nikłem ciałem;
Okryj się choć rąbkiem tęczy,
Lub jasnym źródła kryształem.

Niechaj twojej blask obsłony
Długo, długo w oczach stoi;
Niech twych ust rajskiemi tony
Długo, długo słuch się poi.

Świeć mi słońce! Niech źrenica
Olśnie blaskiem twego lica;
Piej Syreno! W lubych głosach
Usnę, marząc o niebiosach —

Ach, gdzie cię szukuć? — Od ludzi ucieknę;
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

MYŚLIWY CZARNY, na stronie śpiewa.

Latasz mój ptaszku, za wysoko latasz!
A czy znasz dzielność swoich skrzydełek? —
Spojrzyj na ziemię którą pomiatasz;
Co tam wabików, co tam sidełek! —

GUSTAW.

Hola! słychać śpiewania — Hej! wszelki duch żywy!
Ozwij się, bracie, kto jesteś? —

MYŚLIWY.

Myśliwy,
Równej jak ty ochoty, większej trochę mocy.
Obadwa polujemy: chociaż ty w poranki
Jedziesz na świat, ja łowy rozpoczynam w nocy;
Ty czyhasz na zwierzęta, a ja na kochanki.

GUSTAW.

Nie wiem, czy dobre miejsce wybrałeś na łowy;
Ale nie chcę przeszkadzać: więc szczęśliwej drogi.

MYŚLIWY.

Hola, kolego! Nie bądź taki raptusowy.
Jest że to grubijaństwo, albo skutek trwogi?
Pierwej mię sam zawołał, a teaz ucieka —

GUSTAW.

Ja miałbym ciebie wołać? —

MYŚLIWY.

Słyszałem zdaleka
Żeś wołał — kogo, na co? nie wiem doskonale:
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.
Jestem, jak ty, myśliwcem; byłem kiedyś młody:
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody;
Musisz coś mieć na sercu, rozmówmy się szczerze!
Pewnie się zabłąkało w kniei jakie zwierzę?
Bracie, ja sam błądziłem: znam zwierzęta różne,
Skrzydlate i piechotne, czworo i dwu-nożne.
A jeśli nic nie gonisz, pewnie radbyś gonił?
Ej! czy cię widok pustej torby nie zapłonił?
Wstyd młodemu niczego dotąd nie zastrzelić?
Przyznaj się — ja ci mogę w potrzebie udzielić.

GUSTAW.

Dzięki. — Od nieznajomych nie żądam pomocy,
Nie zabieram przyjaźni tak rychło, i w nocy;
I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć?

MYŚLIWY.

Jeżeliś niepojętny, będę się tłómaczyć;
Jeżeliś mi nie ufał, będę szczerszy z tobą —
Wiedz naprzód: iż gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą
Pewna istota, która z oczu cię nie traci,
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie —

GUSTAW.

Przebóg! co to ma znaczyć? — Nie zbliżaj się do mnie!
— — — — — — — — —
— — — — — — —

DZIADY.

CZĘŚĆ DRUGA.

There are more things in heaven and earth,
Than are dreamt of in your philosophy.
SHAKESPEARE.

UPIOR.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata:
Cóż to za człowiek? Umarły! —

Patrz! duch nadziei życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków użycza;
Umarły wraca na młodości kraje,
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem;
Na świecie znowu, ale nie dla świata:
Czemże ten człowiek? — Upiorem.

Ci, którzy bliżej smętarza mieszkali,
Wiedzą, iż upior ten co rok się budzi;
Na dzień zaduszny mogiłę odwali,
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą, opadły na sile;
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku:
Żyją, co byli na jego pogrzebie,
Słychać, że zginął w młodocianym wieku:
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał —
Niedawno jeden zakrystyan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upior, skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił:
Załamał ręce, i usty chłodnemi
Takową skargę wyrzucił:

«Duchu przeklęty! po co śród parowu
Nieczułej ziemi ogień życia wzniecasz?
Blasku przeklęty! zagasłeś, i znowu —
Po co mi znowu przyświecasz?

«O, sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć,
I com ucierpiał, to cierpieć co roku,
I jakem skończył, zakończyć! —

«Żebym cię znalazł, muszę między zgrają
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia —
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają:
Wszystkiegom doznał za życia.

«Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa —
Słyszałem co dzień, i musiałem co dzień
Milczeć jak deska grobowa.

«Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi,
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;
Starszy ramieniem ściska i odchodzi,
Lub mądrą nudzi mię radą.

«Śmieszków i radców zarówno słuchałem,
Choć i sam może nie lepszy od drugich:
Sambym się gorszył zbytecznym zapałem,
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

«Ktoś inny myślał, że — obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitej dumie —
Przecież ulegał grzeczności potrzebie,
Udawał, że nie rozumie.

«Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem:
Mówiłem gwałtem — a gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiem.

«Ale kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętne lica gwałci do uśmiechu,
I litość kłamie oczyma:

«Takiemu tylko nigdym nie przebaczył! —
Wszakże, skargami nigdym ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał —

«Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę z pod cieni:
Jedni mię będą egzorcyzmem chłostać,
Drudzy uciekną zdziwieni.

«Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,
Inny szyderskie oczy zechce krzywić —
Do jednej idąc, za cóż tyle ludzi
Muszę obrażać, lub dziwić?

«Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiech litościwemu! —
Tylko, o luba, tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu —

«Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić:
Mara przeszłości, na jednę godzinę
Obecne szczęście zakłócić.

«Wzrok twój nawykły do świata i słońca,
Może się trupiej nie ulęknie głowy;
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowej dosłuchać mowy —

«I ścigać myśli, po przeszłych obrazach
Błądzące, jako pasożytne ziele,
Które śród gmachu starego po głazach
Rozpierzchłe gałąski ściele.»

DZIADY.

Jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd między pospólstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandji, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś uczta kozła, na której przewodniczył Koźlarz, Huślar, Guślarz, razem kapłan i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach [ponieważ światłe duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj, połączony z zabobonnemi praktykami i zbytkiem częstokroć nagannym[1]] pospólstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach, niedaleko smętarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim: w dawej Grecji za czasów homerycznych, w Skandynawji, na Wschodzie i dotąd po wyspach nowego świata. Dziady nasze mają to szczególnie, iż obrzędy pogańskie pomięszane są z wyobrażeniami religji chrześciańskiej; zwłaszcza, iż dzień zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospólstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyszcowym. Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji; słuchałem bajek, powieści

[1] Ustęp ten [ ]; z pierwszego wydania, we wszystkich późniejszych opuszczony.

i pieśni o nieboszczykach powracających z prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie moralne i pewne nauki, gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu; śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje, są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte.

Kaplica — wieczór — GUŚLARZ — STARZEC PIERWSZY Z CHÓRU — CHÓR WIEŚNIAKÓW I WIEŚNIACZEK.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co do będzie?

GUŚLARZ.

Zamknijcie drzwi od kaplicy,
I stańcie do koła truny —
Żadnej lampy, żadnej świecy,
W oknach zawieście całuny:
Niech księżyca jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Czyszcowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli, dla dotkliwszej kary,
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierz

Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Podajcie mi garść kądzieli.
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli.
Pędźcie go lekkim oddechem.
O tak, o tak, dalej, dalej,
Niech się na powietrzu spali.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Naprzód wy z lekkiemi duchy,
Coście śród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu,
Zabłysnęli i spłonęli,
Jako ta garstka kądzieli;
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem,
Przyzywamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ.

Patrzcie, ach patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto, złocistemi pióry
Trzepiocze się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;

Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

GUŚLARZ I STARZEC.

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem,
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK, do jednej z wieśniaczek.

Do mamy lecim, do mamy.
Cóż to mamo, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej, niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzenki świątełka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień, to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotkniem, rozkwita kwiatek.
Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR.

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga:
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz duszczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodzi?
Są tu pączki, ciasto, mlecczko,
I owoce i jagodki.

Czego potrzebujecz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK.

Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię wszystko caca,
Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki:
Oto była moja praca;
A jej praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady,
Nie dla modłów i biesiady;
Nie potrzebna msza ofiarna;
Nie o pączki, mleczka, chrósty,
Prosim gorczycy dwa ziarna: [1]
A ta usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

GUŚLARZ.

Aniołku! duszeczko!
To ziarneczko, to ziarneczko —
Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!

[1] W pierwszem wydaniu wiersz brzmi:
Prosim o pieprzu dwa ziarna.

Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcież nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcież nas w pokoju:
A kysz, a kysz!

(Widmo znika.)

GUŚLARZ.

Już straszna północ przybywa.
Zamykajcie drzwi na kłódki:
Weźcie smolny pęk łuczywa,
Stawcie w środku kocioł wódki:
A gdy laską skinę z dala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jużem gotów.

GUŚLARZ.

Daję hasło.

STARZEC.

Buchnęło, zwarzało,
I zgasło.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Dalej wy z najcięższym duchem,
Coście do tego padołu
Przykuci zbrodni łańcuchem
Z ciałem i duszą pospołu:
Choć zgon lepiankę roskruszy,
Choć was anioł śmierci woła:
Żywot z cielesnej katuszy,

Dotąd wydrzeć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą,
I zbawić z piekielnej jamy,
Której jesteście tak blisko:
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GŁOS za oknem.

Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki

GUŚLARZ.

Wszelki duch! jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu, wybladły;
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice!
Oczy na głowę wysiadły:
Świecą jak węgle w popiele;
Włos rozczochrany na czele;
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

GUŚLARZ I STARZEC.

A jak suchy snop cierniowy
Płonąć, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO z za okna.

Dzieci! nie znacież mnie, dzieci?
Przypatrzcie się tylko zbliska,
Przypomnijcie tylko sobie:
Ja nieboszczyk, pan wasz, dzieci!

Wszak to moja była wioska!
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach, zbyt ciężka ręka boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie:
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę szukając nocy;
A uciekając od słońca —
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędom końca.
Wiecznych głodów jestem pastwą;
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;
A któż będzie mój obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca!

CHÓR.

Szarpie go żarłoczne ptastwo:
A któż mu będzie obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca!

GUŚLARZ.

Czegoż potrzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czy o poświęcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody.
Mów, czego trzeba dla duszy,
Aby się dostać do nieba?

WIDMO.

Do nieba? — Bluźnisz daremnie!
O nie, ja nie chcę do nieba:
Ja tylko chcę żeby ze mnie
Prędzej się dusza wywlekła,
Stokroć wolę pójść do piekła,
Wszystkie męki zniosę snadnie:
Wolę jęczeć w piekle na dnie,

Niż z duchami nieczystemi
Błąkać się wiecznie po ziemi,
Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiątki dawnej szkarady;
Od wschodu aż do zachodu,
Od zachodu aż do wschodu,
Umierać z pragnienia, z głodu,
I karmić drapieżne ptaki.
Lecz niestety! wyrok taki:
Że dopóty w ciele muszę
Potępioną włóczyć duszę,
Nim kto z was, poddani moi,
Pożywi mię i napoi.
Ach, jak mnie pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyście mnie podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR.

Ach, jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyśmy mu podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH.

Darmo żebrze, darmo płacze!
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej, sowy, puhacze, kruki!
Szporami, krzywemi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię,
Dostanę aż do wątroby.
Nie znałeś litości panie! —
Hej, sowy, puhacze; kruki!

I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.

KRUK.

Nie lubisz umierać z głodu? —
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu? —
Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni:
Trzy dnie nic nie miałem w ustach,
Ostrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik, skryty w chrustach,
Zaraz narobił hałasu,
I poszczuł psami jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa —
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał, jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
«Potrzeba dać przykład grozy.»
Zbiegł się lud z całego sioła.
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy;
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry mojej odbito —
Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki;
A kiedy jadła nie stanie,
Szaparjmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

SOWA.

Nie lubisz umierać z głodu? —
Pomnisz, jak w kucyą samą,
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecięciem pod bramą?
Panie wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami! —
Mąż mój już na tamtym świecie.
Córkę zabrałeś do dwora,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecię:
Panie! daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę!
Ale ty panie bez duszy!
Hulając w pjanej ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś zcicha:
«Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha.»
Posłuchał hajduk niecnota:
Za włosy wywlekł za wrota,
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleść noclegu;
Zmarzłam z dziecięciem na drodze —
Nie znałeś litości panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

WIDMO.

Nie ma, nie ma dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze:

Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

CHÓR.

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUŚLARZ.

Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

(Widmo znika.)

GUŚLARZ.

Podajcie mi, przyjaciele,
Ten wianek na koniec laski.
Zapalam święcone ziele:
W górę dymy, w górę blaski!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie;
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Teraz wy, pośrednie duchy,
Co to u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy —
Żyłyście z ludźmi pospołu;
Lecz od ludzkiej wolne skazy,
Żyłyście nie nam, nie światu
Jako te cząbry i ślazy:
Ni z nich owocu, kwiatu;
Ani się ukarmi zwierzę;
Ani się człowiek ubierze;
Lecz w wonne skręcone wianki
Na ścianie wiszą wysoko:
Tak wysoko, o ziemianki,
Była wasza pierś i oko!
Która dotąd czystem skrzydłem
Niebieskiej nie przeszła bramy:
Was tem światłem i kadzidłem
Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ.

A tóż, czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać:
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I STARZEC.

Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

DUO.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA.

GUŚLARZ.

Na głowie ma kraśny wianek.
W ręku zielony badylek;
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranku bez ustanku,
Woła: — baś, baś, mój baranku:
Baranek zawsze z daleka;
Motylka rózeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni:
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Na głowie mam kraśny wianek,
W ręku zielony badylek;
Przedemną bieży baranek,
Nademną leci motylek.
Na baranka bez ustanku,
Wołam: baś baś, mój baranku —
Baranek zawsze zdaleka;
Motylka rózeczką gonię,
I już, już chwytam go w dłonie:
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

ARJA.

Tu niegdyś, w wiosny poranki,
Najpiękniejsza z tego sioła,
Zosia, pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.

Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta:
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce:
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la. [1]

RECITATIVO.

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski;
Imię moje u was głośne:
Że chociaż piękna nie chciałam zamężcia,
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam nie znając troski,
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie, lecz ach, nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni,
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem:
Ale nigdy za kochankiem.
Pieśni i fletów słuchałam rada;
Często, kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnegno nie kochałam —
Za to, po śmierci, nie wiem co się ze mną dzieje:
Nieznajomym ogniem pałam! —
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli.
Jakie chcę wyrabiam cuda,
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przeźroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki:
Przecież nie wiem, skąd ta nuda!
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach, i zawsze sama jestem!

[1] Z Goethego.

Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem pomiata;
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata.
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali!
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę;
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani ziemi dotknąć mogę. —

CHÓR.

Tak, pośród pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi może.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga,
Czy o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagodki.
Częgo potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA.

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z nimi! —
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

GUŚLARZ, do kilku wieśniaków.

Darmo bieżycie: to są marne cienie;
Darmo rączki ściąga biedna:
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.
Lecz nie płacz, piękna dziewico!
Oto przed moją źrenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,
A potem staniesz za niebieskim progiem.
Dziś modlitwa nic nie zjedna:
Leć że sobie z Panem Bogiem.
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła napoju:
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

(Dziewczyna znika.)

GUŚLARZ.

Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą z osobna,
Ostatnim wołam roskazem!
Dla was ta biesiada drobna:
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR.

Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie.

GUŚLARZ.

Czas odemknąć drzwi kaplicy;
Zapalcie lampy i świece.

Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnieć ojców dzieje —
Stójcie —

CHÓR.

Cóż to?

GUŚLARZ.

Jeszcze mara!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ, do jednej z wieśniaczek.

Pasterko, ot tam w żałobie —
Wstań: bo czy mi się wydaje
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! patrzajcie, dla Boga!
Wszak to zapada podłoga,
I blade widmo powstaje —
Zwraca stopy ku pasterce,
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku;
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga,
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga?
Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR.

Co to jest, nie zgadniem wcale.
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?

Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody:
Czego potrzebujesz, duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?

(Widmo milczy.)

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Odpowiadaj, maro blada!
Cóż to — nic nie odpowiada?

CHÓR.

Cóż to, nic nie odpowiada?

GUŚLARZ.

Gdy gardzisz mszą i pierogiem:
Idź że sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

(Widmo stoi.)

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz:

GUŚLARZ.

Przebóg! cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR.

Nie odchodzi i nie gada!

GUŚLARZ.

Duszo przeklęta, czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!

Oto roztwarta podłoga:
Kędy wszedłeś, wychodź tędy,
Bo cię przeklnę w imię Boga.
(Po pauzie.)
Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki!
(Widmo stoi.)
Przebóg! cóż to za szkarada?
I milczy i nie przepada!

CHÓR.

I milczy i nie przepada!

GUŚLARZ.

Darmo proszę, darmo gromię:
On się przekleństwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza —
Nie pomaga i kropidło!!
Bo utrapione, straszydło
Jak stanęło, tak i stoi:
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród smętarza.

CHÓR.

Bo utrapione straszydło
Jak stanęło tak i stoi:
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród smętarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
W tem są jakieś straszne rzeczy —
Po kim ty nosisz żałobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Cóż to, nie mówisz i słowa?
Spojrzyj, odezwij się przecię!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegóż uśmiechasz się, czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓŁ

Czegóż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

GUŚLARZ.

Daj mi stułę i gromnicę:
Zapalę, jeszcze poświęcę —
Próżno palę, próżno święcę:
Nie znika przeklęta dusza!!
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę.
Czegóż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR.

Czegóż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

GUŚLARZ.

Przebóg, widmo kroku rusza! —
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

CHÓR.

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

DZIADY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Ich hob alle mürben Leichenschleier auf, die in Särgen lagen; ich entfernte den erhabenen Trost der Ergebung, bloss um mir immerfort zu sagen: «ach, so war es ja nicht! tausend Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Grüfte und du stehst allein hier und überrechnest sie!» Dürftiger! Dürftiger! Schlage nicht das ganze zerrissene Buch der Vergangenheit auf! — Bist du noch nicht traurig genug?

JEAN PAUL.

Mieszkanie księdza. — Stół nakryty, tylko co po wieczerzy. — Dwie świece na stole. — Lampa przed obrazem Najświętszej Panni Marji. — Na ścianie zegar bijący. — KSIĄDZ. — PUSTELNIK. — DZIECI.

KSIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz, po powszednim chlebie,
Klęknijcie przy mnie do koła:
Podziękujmy ojcu w niebie.
Dzień dzisiejszy Kościół święci
Za tych spółchrześcian dusze,
Którzy, z pomiędzy nas wzięci,
Czyszcowe cierpią katusze.
Za nich ofiarujmy Bogu.

(Rozkłada książkę.)

Oto stosowna nauka.

DZIECI, czytają.

«Onego czasu» —

KSIĄDZ.

Kto tam? kto tam stuka?

PUSTELNIK.

(Wchodzi ubrany dziwacznie.)

DZIECI.

Jezus, Marja!

KSIĄDZ.

Któż to jest na progu?

(Zmięszany.)

Ktoś ty taki? — po co? — na co?

DZIECI.

Ach, trup! trup! upior, ladaco
W imię Ojca! — zgiń, przepadaj! —

KSIĄDZ.

Ktoś ty, bracie? odpowiadaj.

PUSTELNIK.

(Powolnie i smutnie.)

Trup — trup — tak jest moje dziecię.

DZIECI.

Trup — trup — ach! ach! nie bierz tata!

PUSTELNIK.

Umarły? — O, nie! tylko umarły dla świata!
Jestem pustelnik, czy mię rozumiecie?

KSIĄDZ.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję zbliska,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie —
Powiedz, mój bracie, jakiegoś ty rodu?

PUSTELNIK.

O tak! tak, byłem tutaj — o dawno! za młodu!
Przed śmiercią! — będzie trzy lata!
Lecz — co tobie do mego rodu i nazwiska?
Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie,

(Udając dziada.)

«A na co ta ciekawość? zmów tylko pacierze!»
Otóż, ja także umarły dla świata:
Na co tobie ciekawość? zmów tylko pacierze!
Nazwiska — jeszcze rano: powiedzieć nie mogę;
Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,
I dążę do tegoż kraju. —
Mój księże pokaż, jeśli wiesz, drogę!

KSIĄDZ, łagodnie z uśmiechem.

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(Poufale.)

My księża tylko błędne prostujemy ścieżki.

PUSTELNIK, z żalem.

Inni błądzą: ksiądz w małym, ale własnym domu,
Czy to na wielkim świecie pokój lub zamieszki,
Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie,
O nic nie dbasz, usiadłszy z dziećmi przy kominie.

A ja się męczę, w słotnej, ciemnej porze!
Słyszysz, jaki szturm na dworze?
Czy widzisz łyskanie gromu?

(Ogląda się.)

Błogosławione życie, w małym własnym domu!

(Śpiewa.)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy[1];
Noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy
W cichym własnym domu!

Z pałaców, sterczących dumnie[2],
Znijdź piękna do mojej chatki;
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie.

Widzisz ptasząt zalecanki?
Słyszysz srebrny szmer strumyka?
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika!

KSIĄDZ.

Kiedy tak chwalisz mój dom i kominek:
Patrz, oto ogień służąca nakłada,
Siądź i pogrzej się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK.

Pogrzej się! — dobry księże, arcy przednia rada!

(Śpiewa, pokazując na piersi.)

Nie wiesz, jaki tu żar płonie:
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nieraz chwytam śniegu, lodu,
Na gorącem cisnę łonie:
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha:
Ogień płonie!
Stopiłby kruszcze i głazy,

(Pokazując kominek.)

[1] Pieśń gminna.
[2] Z Szyllera.

Gorszy niż ten tysiąc razy,
Miljon razy! —
I śnieg tonie i lód tonie,
Z piersi moich para bucha:
Ogień płonie!

KSIĄDZ, na stronie.

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.
(Do Pustelnika.)
Jednak do nitki przemoczony wszystek,
Zbladłeś, przesiąbłeś strasznie, drżysz jak listek.
Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK.

Kt ojestem? — jeszcze rano: powiedzieć nie mogę;
Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju.
A dążę do tegoż kraju —
Tymczasem małą dam tobie przestrogę.

KSIĄDZ, na stronie.

Trzeba z nim widzę innego sposobu.

PUSTELNIK.

Pokaż — wszak dobrze wiesz do śmierci drogę?

KSIĄDZ.

Dobrze, gotowym na wszelkie usługi:
Lecz od twojego wieku aż do grobu
Gościniec jest arcy-długi.

PUSTELNIK, z pomięszaniem i smutnie sam d siebie.

Ach, tak prędko przebiegłem gościniec tak d' gi!

KSIĄDZ.

Dla tego jesteś znużony i chory.
Posil się; wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK, z obłąkaniem.

A potem pójdziem?

KSIĄDZ, z uśmiechem.

Zróbmy na drogę przybory.
Czy dobrze?

PUSTELNIK, z roztargnieniem i nieuwagą.

Dobrze.

KSIĄDZ.

Chodźcie, dzieci moje!
Oto mamy w domu gościa;
Nim ja powrócę, bawcie jegomościa.

(Odchodzi.)

DZIECIĘ, oglądając.

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?
Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce:
Z różnych kawałków sukmany,
Na skroniach trawa i liście,
Wytarte płótno, przy pięknej kitajce?

(Postrzega sztylet, Pustelnik chowa.)

Jaka to na sznurku blacha?
Różne paciorki, wstążek okrajce?
Cha cha cha cha!
Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!
Cha cha cha cha!

PUSTELNIK, zrywa się, i jakby przypomina się.

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!
Słuchajcie: znałem pewną kobietę za młodu —
Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu —
Miała takąż sukienkę i na głowie liście —
Gdy weszła do wsi, cała wieś nawałem,
Urągając się z jej biedy,
Pędzi, śmieje się, wykrzyka,
Podrzeźnia, palcem wytyka;
Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem! —
Kto wie, jeśli nie za to? — Słuszne sądy Boże!
Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,
Że ja podobną sukienkę włożę?
Ja byłem taki szczęśliwy! —

(Śpiewa.)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy;
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.

(Ksiądz przychodzi z winem i talerzem.)

PUSTELNIK, z wymuszoną wesołością.

Księże, a lubisz ty smutne piosenki?

KSIĄDZ.

Nasłuchałem się ich w życiu dosyć, Bogu dzięki!
Lecz nie traćmy nadziei: po smutkach wesele.

PUSTELNIK, śpiewa.

A odjechać od niej nudno,
A przyjechać do niej trudno! [1]

Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

KSIĄDZ.

Na potem o tem; a teraz zajrzyjmy do misy.

PUSTELNIK.

Prosta piesń — o, w romansach znajdziesz lepszych wiele!
(Z uśmiechem, biorąc książki z szafy.)
Księże, a znasz ty żywot Heloizy?
Znasz ogień i łzy Wertera?
(Śpiewa.)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem [2],
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.
(Dobywa sztylet.)

KSIĄDZ, wstrzymuje.

Co to ma znaczyć? — Szalony! czy można?
Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.
Jesteś ty chrześcijanin, taka myśl bezbożna!
Znasz ty Ewangelię?

PUSTELNIK.

A znasz ty nieszczęście?
(Chowa sztylet.)
Ale dobrze! nie trzeba chwytać się przed porą:
(Patrzy na zegar.)
Skazówka na dziewiątej i trzy świece gorą —
(Śpiewa.)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.

[1] Z pieśni i gminnej.
[2] Z Goethego.

Za coś, dla mnie tyle ulubiona,
Za com z twojem spotkał się wejrzeniem?
Jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona:
I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale —
Gdyby przytem tej głosek i dźwięk fortepianu! —
Ale cóż? ty o boskiej tylko myślisz chwale,
Oddany twego tylko powinnościom stanu.
(Przerzucając książkę.)
Wszakże lubisz książki świeckie?
Ach, te to są książki zbojeckie!
(Ciska książkę.)
Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem na dół skręcić lotu.
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki —
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie. —
Lecz, gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki:
Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,
Goniąc i błądząc, w błędach nieznużony goniec —
Wreszcie, napróżno zbiegłszy kraj daleki,
Spalam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie —
I znalazłem ją nakoniec!
Znalazłem ją blisko siebie,
Znalazłem ją — ażebym utracił na wieki!

KSIĄDZ.

Podzielam twoją boleść, nieszczęśliwy bracie!
Lecz może jest nadzieja? są różne sposoby — —
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK.

Choroby?

KSIĄDZ.

Czy już dawno płaczesz po twej stracie?

PUSTELNIK.

Jak dawno? — dałem słowo, powiedzieć nie mogę.
Kto inny powie tobie. Mam ja towarzysza,
Zawżdy z nim razem odbywamy drogę. —
(Ogląda się.)
Ach, tu tak ciepło, wygodna zacisza,
A na podwórzu wicher, gromy, burza sroga:
Mój towarzysz zapewne biedny drży u proga!
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,
Dobry księże, i jego przyjmij na gospodę.

KSIĄDZ.

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK.

Ale stój, stój mój bracie, ja sam go przywiodę.
(Odchodzi.)

DZIECIĘ.

Cha cha cha, tato, co się jemu dzieje?
Biega i gada ani to, ani owo.
Jakie dziwaczne ubiory!

KSIĄDZ.

Dzieci, będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje!
Nie śmiejcie się! to człowiek bardzo biedny, chory.

DZIECIĘ.

Chory? a on tak biega, wygląda tak zdrowo!

KSIĄDZ.

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK, ciągnąc gałąź jedliny.

Chodź, bracie, chodź tu! —

KSIĄDZ, do dzieci.

On ma rozum pomięszany.

PUSTELNIK, do jodły.

Chodź, bracie, nie lękaj się dobrego księżyny.

DZIECIĘ.

Tato! ach patrzaj, co on w ręku niesie:
Jak zbójca z wielką gałęzią jedliny.

PUSTELNIK, do księdza ukazując gałąź.

Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie;
Może cię zdziwia jego postać?

KSIĄDZ.

Czyja?

PUSTELNIK.

Mojego przyjaciela.

KSIĄDZ.

Jakto? tego kija?

PUSTELNIK.

Niezgrabny, jak mówiłem, wychowany w lesie.
Przywitaj się!

(Podnosi gałąź.)

DZIECIĘ.

Co robisz? co robisz? ach zbójca?
Pójdź-że precz, rozbójniku, nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK.

O prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca!
Ale on tylko sam siebie rozbija —

KSIĄDZ.

Upamiętaj się, bracie; do czego ta jodła?

PUSTELNIK.

Jodła? — A, ksiądz uczony! O, głowo ty, głowo!
Przypatrz się lepiej: poznaj gałąź cyprysową;
To pamiątki rozstania, mego losu godła.

(Bierze książki.)

Weź księgę, i odczytaj dzieje zeszłych wieków:
Dwie były poświęcone krzewiny u Greków;
Kto kochał, od swej lubej ukochany wzajem,
Błogie włosy mirtowym przyozdabiał majem.

(Po pauzie.)

Jej ręką ułamana gałąź cyprysowa
Zawsze mi przypomina ostatnie «bądź zdrowa!»
Przyjąłem ją, schowałem, dotąd wiernie służy!
Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.
Jej płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;
Jedna mi pozostała z przyjaciół tak wielu!
Wszystkie tajniki serca mojego posiada!

Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj, przyjacielu:
Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada.
(Do gałęzi.)
Powiedz, jak dawno płaczę lubej straty —
Dawno to być musiało! przed dawnemi laty!
Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jej ręki,
Był to listeczek taki, ot taki maleńki;
Zaniosłem, posadziłem na piasku, daleko,
I gorącą łez moich polewałem rzeką:
Patrz, jaka z liścia gałąska urosła,
Jaka gęsta i wyniosła!
Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,
Nie chcąc na zagniewane poglądać niebiosa,
Okryłem mój grobowiec cieniem tych warkoczy.
(Z łagodnym uśmiechem.)
Ach, taki właśnie był kolor jej włosa,
Jak te cyprysu gałąski! —
Chcesz? pokażę.
(Szuka i ciągnie od piersi.)
Nie mogę odpiąć tej zawiąski.
(Coraz z większem sileniem się.)
Zawiąska miękka — z warkocza dziewicy —
Lecz skorom tylko położył na łonie,
Opasała mię wkoło nakształt włosiennicy:
Pierś przejada, w ciało tonie,
Tonie, tonie, i wkrótce przetnie mi oddechy! —
Wiele cierpię! — ach, bo też wielkie moje grzechy!

KSIĄDZ.

Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy;
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,
Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK.

Grzechy? — i proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki!
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!

Wprzód nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał z sobą!
Teraz — kiedy złych ludzi odłącza nas ręka:
Rozciąga się ten łańcuch — ale się nie pęka.
Czucia nasze, dzielącej uległe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się zbliska:
Przeciez zawżdy po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

KSIĄDZ.

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.

PUSTELNIK.

Chyba tam! gdy nad podłem wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje:
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje;
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po pauzie.)

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam: śród jesieni, przy wieczornym chłodzie,
— Jutro miałem wyjechać — błądzę po ogrodzie.
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia,
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia! —
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spojrzę: jak raz nademną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół, na szpaler — patrz, tam przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie!
Suknią między ciemnemi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.

Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
Oczy zwrócone w ziemię — nie spojrzała ku mnie!
A lica jej bardzo blade —
Nachylam się, zajrzę z boku:
I dojrzałem łeskę w oku! —
Jutro, rzekłem, jutro jadę!
Bądź zdrów! odpowie z cicha — ledwie posłyszałem, —
Zapomnij — Ja zapomnę? — O, roskazać snadno!
Roskaż luba twym cieniom, niechaj wraz przepadną,
I niech zapomną biegać za twem ciałem! —
Roskazać snadno! —
Zapomnij!!

(Śpiewa.)

Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoją drogę:
Ja cię wiecznie będę —

(Urywa śpiewanie.)

Wspominać, —

(Kiwa głową. Śpiewa.)

Ale twoją być nie mogę!

Wspominać tylko? — jutro, jutro! jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę.

(Śpiewa.)

Najpiękniejsza, jak aniołek raju [1],
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica;
Wzrok niebieski, jako słońce w maju
Odstrzelone od modrych wód lica!

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,
Lica, usta łączą się — drżą, palą,
Dusza wionie w duszę — niebo, ziemia pryska
Rostopioną do koła nas falą!

[1] Z Szyllera.

Księże! — O, nie! ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu!
Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy:
Serce twe skamieniałe na natury głosy. —
O, luba! zginąłem w niebie,
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

(Śpiewa.)

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem.

(Chwyta dziecię i chce pocałować; dziecię ucieka.)

KSIĄDZ.

Czegóż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK.

Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka:
Jakby przed straszydłem z piekła —
Ach, tak! i ona przedemną uciekła!
— Bądź zdrów! — i w długiej ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy.

(Do dzieci.)

I czegóż ona przedemną uciekła?
Czylim ją śmiałem przeraził wejrzeniem?
Czyli słówkiem, lub skinieniem?
Muszę przypomnieć —

(Przypomina.)

Tak się w głowie kręci! —
Nie! nie! ja wszystko widzę, jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej.

(Z żalem.)

Księże, dwa tylko słowa:
Jutro! bądź zdrowa!
— Bądź zdrów! — Gałąskę odrywa, podaje:
Oto jest, rzekła, co nam tu (na ziemię pokazuje) zostaje!
Bądź zdrów! — i w długiej ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy!

KSIĄDZ.

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz słuchaj, są tysiące biedniejszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce już mówię pacierze,
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie,
Ach, i moja wspólniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze! —
Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według jego świętej woli.

PUSTELNIK, mocno.

Żona?

KSIĄDZ.

Ach, to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK.

Jak to? gdzie się obrócę, wszyscy płaczą żony!
Lecz ja nie winien, twojej nie widziałem żony —
(Spostrzega się.)
Słuchaj! przyjmij pociechę, małżonku strapiony:
Żona twoja przed śmiercią już była umarła.

KSIĄDZ.

Jakto?

PUSTELNIK, mocniej.

Gdy na dziewczynę zawołają: żono,
Już ją żywcem pogrzebiono!
Wyrzeka się przyjaciół! ojca, matki, brata,
Nawet — słowem: całego wyrzeka się świata,
Skoro stanęła na cudzym progu!

KSIĄDZ.

Chociaż wyznania twoje mgła żalu pokrywa,
Wszakże ta, której płaczesz, jest podobno żywa?

PUSTELNIK, z ironją.

Żywa? — Właśnie jest za co podziękować Bogu!
Żywa! Jako? nie wierzysz? Cóż się tobie zdaje?
Poprzysięgnę, uklęknę, palce na krzyż złożę:
Ona umarła i ożyć nie może! —
(Po pauzie zwolna.)
Ależ, bo różne są śmierci rodzaje —
Jedna śmierć jest pospolita:

Śmiercią tą starzec, kobieta,
Dziecię, masz słowem tysiące
Ludzi umiera co chwila —
I taką śmiercią Maryla,
Którą widziałem na łące.

(Śpiewa.)

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Jaki to sterczy kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi —

(Przestaje śpiewać.)

Ach, i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem! —
Patrz, patrz! blada na pościeli:
Jak na obłoczkach mglisty poranek.
Z płaczem do koła stanęli,
I smutny ksiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,
I smutniejsza od niej drużka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek
Patrz: uchodzi z lica krasa;
Wzrok zapada i zagasa,
Ale jeszcze, jeszcze świeci;
Usta, gdzie się róża kwieci,
Więdną, gubią blask szkarłatu,
I jak z piwonii kwiatu
Wycięty wąski listeczek,
Taka siność jej usteczek,
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma —
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka;
Ręce stygną: a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka,

Już stanęło, już jej nie ma;
Oko to: niegdyś podobne słonku —
Czy widzisz Księże pierścienie?
— Smutna pamiątka została! —
Jak w pierścionku
Brylant pała,
Takie jaśniały w oczach płomienie:
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszczą one, jak rdzeni spróchniałej światełka,
Jak na gałąskach wody perełka,
Kiedy ją wicher skrysztali —
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma;
Głowa upada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną; a serduszko
Bije zcicha, bije zrzadka,
Już stanęło — już jej nie ma!

DZIECIĘ.

Umarła! ach jaka szkoda!
Słuchając, płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?
Ale nie płacz, niechaj jej wieczny pokój świeci,
Będziemy za nią co dzień mówili pacierze.

PUSTELNIK.

To jedna śmierć, moje dzieci.
Ale jest straszniejsza druga:
Bo nie umarza od razu.
Powolna, bolesna, długa,
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi —
Lecz moje tylko zabija nadzieje,
Drugiej — bynajmniej nie szkodzi.
Ona żyje, ona chodzi;
Kilka drobnych łez wyleje;
Potem w niej czucie rdzewieje,
I została nakształt głazu.
Ach, dwie osoby uderza od razu!
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,

A jej bynajmniej nie szkodzi:
Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem!
Taką śmiercią umarła — kto? O, nie — nie powiem!
Nie prawdaż dzieci? straszniejsza daleko,
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką.

(Dzieci uciekają.)

Jednak umarła! — Kiedy płaczę, ręce łamię,
Zbiegli się ludzie do koła,
Wyciągają długie szyje;
Jeden mówi, że ja kłamię;
Drugi potrząsa i woła:
Patrz, szaleńcze, ona żyje!

(Do Księdza.)

Nie wierz, choćby ci szyderce
Po tysiąc razy mówili;
Słuchaj, co mówi to serce:
Nie masz, nie masz Maryli!

(Po pauzie.)

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:
Śmierć wieczna, jak pismo mówi.
Biada, biada człowiekowi,
Którego ta śmierć zabierze!
Tą śmiercią może ja umrę, dzieci —
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

(KSIĄDZ.)

Przeciwko światu i przeciwko sobie,
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy,
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie:
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata;
Ta myśl wielka pomniejsze zapały przystudzi.
Sługa Boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

(PUSTELNIK zdziwiony.)

Księże? — A to są czary? sztuka niepojęta!

(Na stronie.)

Musi posiadać czarodziejskie sztuki;
Albo też nas posłuchał i wszystko pamięta.
(Do księdza.)
Wszak ja od niej słyszałem też same nauki! —
Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jej wyjęta,
Przy owem pożegnaniu, owego wieczora —
(Z ironją.)
Właśnie, właśnie to była do kazania pora!!
Słyszałem od niej słówek piękno-brzmiących wiele:
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada;
Ja sobie spokojnie drzemię.
Kiedyś — duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,
Kiedyś, budził mię ze snu tryumf Milcyada.
(Śpiewa.)

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Już tchnienie jej rozwialo te kształty olbrzymie!» —
Został się lekki cienik, mara blada,
Drobniuchne źdźbła odłamki,
Które lada motyl spasa,
Któreby ona mogła wciągnąć z odetchnieniem:
A ona chce budować na tym proszku zamki!!
Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa,
Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem!!
Napróżno! — Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku —
Czasem ją oddech Minerwy roznieci:
Wtenczas nad ciemne plemiona
Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
W długie wieki wieków świeci.
Iskrę tę jeśli duma rozżary w pochodnie:
Wtenczas zagrzmi bohater, pnie się do szkarłatu
Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie, [1]

[1] W pierwszem wydaniu:
Przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie.

I z pasztuszego kija robi berło światu,
Albo skinieniem oka stare trony wali.
(Po pauzie, zwolna.)
Czasem tę iskrę, oko niebianki zapali —
Wtenczas — trawi się w sobie, świeci sama sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie — —

KSIĄDZ.

O, nieszczęśliwy zapaleńcze młody!
W żalach, które tak mocno zraniona pierś jąka,
Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody,
I że piękność, za którą twój się rozum błąka,
Nie z samej tylko powabna urody.
Jak z zapałem kochałeś, tak naśladuj godnie
Myślenia i uczucia niebieskiej istoty.
Zrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty:
A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!
Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gwiazdy; choć je mgły zaciemią,
Mgła znikie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi.
Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,
A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK.

Jako? ty wiesz o wszystkiem? Co to wszystko znaczy?
(Udaje głos księdza.)
Jej serce, równie święte, jak powabne lice!
Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie! —

Ty wiesz o wszystkiem, ty nas podsłuchałeś zdradnie!
Wyłudziłeś tajemnicę,
Ukrywaną w sercu na dnie,
O której przyjaciele nie wiedzą najszczersi:
Bo jedną rękę na cypresu drzewie,
A drugą kładąc na piersi,
Zaprzysięgliśmy milczeć, i nikt o tem nie wie.

Ale tak, przypominam — tak, jednego razu
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek

Odkradzione jej wdzięki przeniosłem w obrazek,
Przyjaciołom okazać chciałem cud obrazu.
Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy;
Czułość dla nich zabawą, która nam potrzebą:
Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!
Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety:
Jak wilk, lub jak astronom patrzają na niebo:
Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety. —

Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrasku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię! —
A moi przyjaciele! — Żałuję pośpiechu —
Jeden, gdy ubóstwienie w oku mojem czyta,
Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiechu,
I rzekł ziewając: at sobie kobieta!
Drugi przydał: jesteś dziecko! —
Ach, ten to starzec, z swoim przeklętym rozumem,
Pewnie wydał nas zdradziecko!

(Coraz z większem pomięszaniem.)

Opowiedział na rynku, przed dziećmi, przed thumem:
A ktoś z tych dziatek, albo z gawiedzi,
Przyszedł i księdzu wyznał na spowiedzi. —

(Z największem obłąkaniem.)

Możeś ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

KSIĄDZ.

I na cóż nam te zdrady, spowiedź i podstępy?
Chociaż się dziwnym kłębkiem twoja żałość gmatwa:
Lecz czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,
Temu do wywikłania łatwa.

PUSTENIK.

Prawda! Lecz to są ludzkiej własności narowy,
Że, co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,
Na noc przychodzi do głowy:
Wtenczas człowiek sam nie wie, co rozplecie w śnie.

Dawno, dawno — raz miałem przypadek ten samy.
Po pierwszem z nią widzieniu, wróciwszy do domu
Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.
Nazajutrz, gdy dzień dobry przyniosłem dla mamy:
Co to jest, mówi do mnie, żeś taki pobożny?
Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie,
I litanię mówisz o najświętszej Pannie? —
Zrozumiałem, i na noc zamknąłem podwoje.
Ale teraz nie mogę być równie ostrożny:
Nie mam domu; gdzie przyjdę tam posłanie moje;
A często przez sen gadam — w myślach jak na fali,
Ustawna burza, zawieja,
Błyśnie i zmierzchnie;
Mnóstwo się zarysów skleja,
W jakieś tworzydło ocali,
I znowu pierzchnie. —
Jeden tylko obrazek na zawsze wyryty:
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,
Błyszczy jak księżyc w wodzie odbity —
Nie mogę dostać, lecz błyszczy przedemną;
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,
Za moim wzrokiem do koła
Płynie i postać anioła,
Aż na górne nieba szczyty;
Potem, jak orlik na żaglach pierza:

(Patrząc w górę.)

Stanie w chmurze, i z wysoka,
Nim sam upadnie na zwierza,
Już go zabił strzałą oka;
Nie wzrusza się; i zlekka w jednem miejscu chwieje,
Jakby uplątany w sidło,
Albo do nieba przybity za skrzydło:
Tak właśnie ona nademną jaśnieje!

(Śpiewa.)

Czyli słońce światu płonie,
Czy noc wciąga szatę ciemną:
Jej wyglądam, za nią gonię,
Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną!

Otóż — gdy ona stanie przed memi oczyma,
A sam jestem na polu, albo w gajów cieniu,
Napróżno każę milczeć: język nie dotrzyma,
Przemówię do niej słówko, nazwę po imieniu:
A zły człowiek podsłucha! — Tak właśnie dziś rano
Zdradliwie mię podsłuchano.
Ranek był — wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
W dolinach tuman, nakształt pruszącego śniegu,
A na łąkach zaranna połyska się rosa;
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:
Jedna tylko nademną świeci gwiazda wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia
Tam, przy altanie. —

(Spostrzega się.)

Cha! cha pobiegłem z ukosa! —
To nie o tym poranku! — Ha! szał romansowy!
Przeklęty zawrocie głowy! —

(Po pauzie, przypomina.)

Był ranek: kiedy dumam, narzekam i jęczę,
Deszcz lał jak z wiadra, tęgi wicher dmuchał,
Utuliłem głowę w krzaczek:

(Z łagodnym uśmiechem.)

Ten ladaco mnie podsłuchał. —
Lecz nie wiem, czy tylko jęki,
Czy nawet imię podsłuchał:
Bo bardzo blisko był krzaczek.

KSIĄDZ.

O biedny, biedny młodzieńcze!
Co mówisz? kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK, poważnie.

Kto? — Oto pewny robaczek maleńki,
Który pełzał tuż przy głowie.
Świętojański to robaczek,
Ach, jakie ludzkie stworzenie!
Przypełznął do mnie i powie: —

Zapewnie mię chciał pocieszyć —
Biedny człowieku, po co to jęczenie?
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna;
Żeś czuły? Nie twoja wina!
Patrz, mówił dalej robaczek,
Na iskrę, bo ze mnie strzela
I cały objaśnia krzaczek:
Zrazu szukałem z niej chluby;
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby,
I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasły!
Klątem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza;
Chcę, żeby te iskry zgasły:
Ale cóż robić? nie moja w tem władza,
I póki żyję, te iskry nie zgasną.

(Po pauzie, pokazując na serce.)

Tak póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI.

A posłuchajcie — a jaki cud, jaki!
Tato, słyszałeś o cudzie?

(Ksiądz odchodzi, ściskając ramionami.)

Czy można, żeby robaki
Rozmawiały tak, jak ludzie?

PUSTELNIK.

Czemuż nie? Chodź tu, malcze, pod kantorek;
Nachyl się i przyłóż uszko:
Tu biedna duszka prosi o troje paciorek.
Aha, słyszysz jak kołata?

DZIECKO.

Tak tak, tak tak — tata, tata! —
A dalibóg że kołata,
Jak zegarek pod poduszką.
Co to jest? — tata, tak, ta tak!

PUSTELNIK.

Mały robaczek, kołatek,
A niegdyś wielki lichwiarz!
(Do kołatka.)
Czego żądasz duszko?
(Udaje głos.)
Proszę o troje paciorek —
A tuś mi, panie sknero! Znałem się z tym dziadem,
Był moim bliskim sąsiadem.
Zakopawszy chatę drągiem,
Nie dbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,
Nikogo nie obdarzył chlebem, ni szelągiem.
Za życia, dusza jego przy pieniędzy worku
Leżała na dnie w kantorku:
Za to i teraz po śmierci,
Nim słuszną karę odbierze w piekle,
Słyszycie, jak gryzie wściekle,
Jak świdruje i jak wierci? —
Przecież, jeśli łaska czyja,
Mówcie trzy zdrowaś Marya.
(Ksiądz wchodzi z szklanką wody.)

PUSTELNIK, coraz mocniej pomięszany.

A co, słyszałeś pisk złego ducha?

KSIĄDZ.

Przebóg! co się tobie plecie?
(Ogląda się.)
Nic nie ma, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK.

Nadstaw tylko lepiej ucha.
(Do dziecięcia.)
Chodź tu, chodź tu, moje dziecię!
Czy słyszałeś?

DZIECKO.

Prawda, tato,
Coś tam gada.

PUSTELNIK.

Cóż ty na to?

KSIĄDZ.

Pójdźcie spać dzieci; co się wam marzy?
Nic ani szaśnie, cicho w około.

PUSTELNIK, do dzieci z uśmiechem.

Nie dziw, głosu natury nie dosłyszą starzy!

KSIĄDZ.

Mój bracie, weź wody w dłonie,
I zmyj trochę twoje czoło;
Może ten zapał gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK, bierze i myje.

(Tymczasem zegar zaczyna bić; po kilku uderzeniach PUSTELNIK upuszcza wodę i patrzy nieporuszony, poważnie i ponuro.)

Oto dziesiąta wybija.

(Kur pieje.)

I kur pierwsze daje hasło;
Czas ucieka, życie mija,

(Świeca jedna na stoliku gaśnie.)

I pierwsze światło zagasło.
Jeszcze, jeszcze dwie godziny,

(Zaczyna drżeć.)

Jak mi zimno!

(Ksiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świecę.)

Wiatr zimny świszcze przez szczeliny:
Jak tu zimno!

(Idzie do pieca.)

Gdzież jestem? —

KSIĄDZ.

W przyjaciela domu.

PUSTELNIK, przytomniej.

Pewnie cię nastraszyłem o niezwykłej porze,
Do nieznanego miejsca, w dziwacznym ubiorze?
Musiałem wiele gadać? Ach, nie mów nikomu!
Jestem biedny podróżny, z dalekich stron jadę.

(Ogląda się, i przytomniej.)

W młodości jeszcze, na środku gościńca,
Napadł, odarł mię całkiem (z uśmiechem) skrzydlaty złoczyńca.
Nie mam sukien: co znajdę to na siebie kładę.

(Obrywa liście i szaty poprawia z żalem.)

Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata,
Została jedna przy mnie niewinności szata!

KSIĄDZ, który ciągle patrzał na świecę, do Pustelnika.

Uspokój się, dla Boga!

(Do dzieci.)

Kto to zgasił świecę?

PUSTELNIK.

Każdy cud chcesz tłomaczyć; biegaj do rozumu —
Lecz natura, jak człowiek, ma swe tajemnice,
Które nietylko chowa przed oczyma tłumu,

(Z zapałem.)

Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna!

KSIĄDZ, bierze za rękę.

Synu mój!

PUSTELNIK, poruszony i zdziwiony.

Synu! — Głos ten, jakby blaskiem gromu,
Rozum mój z mroczącego wydobywa cienia!

(Wpatrując się.)

Tak — poznaję gdzie jestem — w czyim jestem domu —
Tak, tyś mój drogi ojciec, to moja ojczyzna?
Poznaję luby domek! — Jak się wszystko zmienia!
Dziatki urosły, ciebie przyprusza siwizna!

KSIĄDZ, pomięszany bierze świecę, wpatruje się.

Jak to? znasz mię? — To on! — nie — tak — nie, być nie może!

PUSTELNIK.

Gustaw!

KSIĄDZ, upuszcza świecę. Dzieci podejmują, zapalają i stawią na stole.

Gustaw! ty Gustaw! (ściska) Gustaw! wielki Boże!
Uczeń mój! syn mój!

GUSTAW, ściska, patrząc na zegar.

Ojcze, jeszcze ściskać mogę!
Bo potem — wkrótce — zaraz pójdę w kraj daleki!
Ach, i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę —
Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

KSIĄDZ.

Gustaw! skąd, kędyś? Przebóg, tak długa wędrówka!
Gdzieś to bywał dotychczas, przyjacielu młody?
Nie wiedzieć kędyś zniknął, jakbyś wpadł do wody;
Litery nie napisać, nie nakazać słówka?
Wszak to lat tyle! — Gustaw! cóż się z tobą dzieje?
Ty, niegdyś w mojej szkole ozdoba młodzieży,

Na tobie najpiękniejszem zakładał nadzieje:
Czy można tak się zgubić? — W jakiejże odzieży? —

GUSTAW, z gniewem.

Starcze! A gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś: ty mnie nauczyłeś czytać! —
W pięknych księgach i pięknem przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś. —

(Z żalem i uśmiechem.)

I rajem!

(Mocniej i ze wzgardą.)

A to jest tylko ziemia!

KSIĄDZ.

Co słyszę? o Chryste!
Ja ciebie chciałem zgubić? — Mam sumienie czyste:
Kochałem cię jak syna!

GUSTAW.

I dla tego właśnie
Daruję ci!

KSIĄDZ.

Ach, o nic nie prosiłem Boga,
Jak abym cię raz jeszcze przy życiu obaczył!

GUSTAW, ściska.

Uściśnijmy się jeszcze,

(Patrzy na świecę.)

Nim druga zagaśnie.
Pan Bóg do twojej prośby przychylić się raczył.
Lecz już późno —

(Patrzy na zegar.)

A długa do przebycia droga!

KSIĄDZ.

Chociaż mocno ciekawy słyszeć twe przygody:
Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i wczasu;
Jutro

GUSTAW.

Dziekuję; przyjąć nie mogę gospody:
Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu.

KSIĄDZ.

Jakto?

GUSTAW.

O, tak przeklęci, którzy nic nie płacą!
Za wszyztko trzeba płacić: lub wzajemną pracą,
Albo wdzięcznem uczuciem, datkiem jednej łeski,
Za którą znowu ojciec odpłaci niebieski —
Ale ja, przebłądziwszy te kraje pamiątek,
Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,
I resztę uczuć i łzy wylałem ostatnie,
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.

(Po pauzie.)

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki —
Ledwie go poznać mogłem: już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie;
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła;
Jak na smętarzu w północ, milczenie do koła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiem oddaleniu, gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka;
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali.
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad gościńcem, wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu.
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, lewie nie zagłuszy. —
Teraz — pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku:
Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu Kruku! — Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!
Ujrzałem światło w oknach; wschodzę: cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,

Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły:
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi płacząc; w przedporannym mroku,
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła.
Bardziej do czyscowego podobna widziadła.
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc słania się z przestrachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?
«Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie,
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.»
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga:
Ach, więc wszystko minęło? —

KSIĄDZ.

Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

GUSTAW.

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamtem biegaliśmy lasek,
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca,
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem:
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam; a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzadzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje —

Janczarów zgraja pierzchła, lub do piasku wbita,
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta,
Aż pod wał trzebim drogę — ten wzgórek był wałem!

Tam — ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci;
Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci.
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią,
Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią!
Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice:
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj, na wzgórku, Russa czytaliśmy razem;
Altankę jej pod temi uwiązałem chłody:
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką
Śrebrno-piórego karpia, pstrąga z krasną cętką:
A dziś! —

(Płacze.)

KSIĄDZ.

Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic w koło nas nie zmienia!

GUSTAW.

Dzisiaj po latach tylu, po takiej przemianie,
Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym stanie! —

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy zdaleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko igrał przy piastunie;
Dziś, dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie:
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła —
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!

KSIĄDZ.

O! łza ta nie jest gorzka, gdy w obecne troski
Przypomnianego szczęścia mięsza nektar boski;
Czułość ją u ludzkości wylewa ołtarza:
Gorzką truciznę sączą tylko łzy zbrodniarza.

GUSTAW.

Słuchaj, powiem coś jeszcze. — Byłem i w ogrodzie,
Pod tęż porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie.
Też same cieniowane chmurami niebiosa,
Tenże bladawy księżyc i kroplistą rosa,
I tuman nakształt zlekka pruszącego śniegu —
I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,
I taż sama nademną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.
W tychże miejscach toż samo uczucie paliło:
Wszystko było jak dawniej — tylko jej nie było!
Podchodzę ku altance; jakiś szmer u wnijścia:
To ona? — Nie! to wietrzyk zżółkłe strząsał liścia.
Altano, mego szczęścia kolebko i grobie!
Tum poznał, tu pożegnał — ach, com uczuł w tobie!
To miejsce może wczoraj było jej siedzeniem,
Ona wczoraj tem samem oddychała tchnieniem! —
Słucham, oglądam wkoło: próżno wzrok się błąka;
Małegom tylko ujrzał nad sobą pająka.
Z listka wisząc, u słabej kołysał się nici:
Ja i on, równie słabo do świata przybici!
Oparłem się o drzewo. Wtem, na końcu ławki,
Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki:
Tenże sam listek, listka mojego połowa.

(Dobywa listek.)

Który mi przypomina, ostatnie: bądź zdrowa! —
To mój dawny przyjaciel! Czulem go powitał,
Długo z nim rozmawiałem i o wszystkom pytał:
Jak ona rano wstaje? czem się bawi zrana?
Jaką psionkę najczęściej gra u fortepiana?
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?
Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
Czy sama czasem, nie chcąc, nie wspomina o mnie? —
Lecz co słyszę! — O straszna ciekawości karo;

(Ze złością uderza się w czoło.)

Kobieta!

(Śpiewa.)

Najprzód —

(Urywa i do dzieci.)

Dzieci, znacie piosnkę starą?

(Śpiewa.)

Najprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI.

Jakże kocha dziewczyna,
Co chwilę przypomina!

GUSTAW.

Potem po razu co dnia,
A potem, co tygodnia.

CHÓR DZIECI.

Jakże czuła dziewczyna,
Co tydzień przypomina!

GUSTAW.

A potem co miesiąca
Z początku, albo z końca.

CHÓR DZIECI.

Jakże dobra dziewczyna
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW.

Biegą wody potoku,
Pamięć nie w naszej mocy:
Już tylko raz co roku
Około Wielkiejnocy.

CHÓR DZIECI.

Jaka grzeczna dziewczyna,
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW.

Więc (pokazując listek) ostatni przeszłości odrzuciła szczątek!
Więc już jej moich nosić nie wolno pamiątek! —
Wychodziłem z ogrodu; krok mię własny zdradza,
Pod pałac niewidoma ciągnęła mię władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słychać wrzaski pojezdnych i karet turkoty.
Już jestem blisko ściany; skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu:

Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto,
Muzyka, śpiewy — jakieś obchodzono święto!
Toast! — słyszałem imię — ach, nie powiem czyje!
Jakiś głos nieznajomy, wykrzyknął; niech żyje!
Niech żyje! z ust tysiąca zabrzmiały te słowa;
Tak, niech żyje! — i z cicha przydałem: bądź zdrowa!
Wtem — o, gdy mię wspomnienia same nie zabiją! —
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: niech żyją!

(Wpatruje się jakby we drzwi.)

Ktoś dziękuje z uśmiechem — znam głos — pewnie ona.
Nie wiem pewnie — nie mogę widzieć za zwierciadłem.
Wściekłość mię oślepiła, podparłem ramiona,
Chciałem szyby rozsadzić — i bez duszy padłem —

(Po pauzie.)

Myślałem, że bez duszy — tylko bez rozumu!

KSIĄDZ.

Nieszczęsny! dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW.

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu,
Leżałem na zroszonej gorzkim płaczem darni:
Sprzeczność ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!
Przebudzony, ujrzałem krwawy promyk wschodu.
Czekam chwilę: już nigdzie blasku, ani szumu.
Ach, ta chwila jak piorun, a jak wieczność długa!
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!

(Po pauzie zwolna.)

Wtem — Anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

KSIĄDZ.

I na cóż ból rozdrażniać w przygojonej ranie?
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga:
Że kiedy co się stało i już nie odstanie,
Potrzeba w tem uznawać wolę Pana Boga.

GUSTAW, z żalem.

O, nie! Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,

Ten sam powab we wszystkiem, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie —
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła:
Bóg osnuł przyszłe węzły, (z żalem największym) a tyś je rostrzygła!

(Mocniej, gniewny.)

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli:
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli —
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto,
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj! — Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto! —
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niśli aniołów oblicza,
Niśli sny moje, niśli poetów zmyślenia,
Niśli ty nawet — oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie:
Oddałbym ją za ciebie! —
Najmniejszych względów nie zyska odemnie,
Gdyby za tyle piękności i złota —
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie!
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
Gdyby jedna z nią pieszczota,
Gdyby jedno mgnienie oka:
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby!

(Surowo.)

A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą,
Wyrzekłaś słowo mej zguby!

I zapaliłaś niecne ogniska,
Któremi łańcuch, wiążący nas, pryska —
Które się wiecznem piekłem między nami żarzą,
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mię zwodnico! Nieba cię ukarzą!
Sam ją — nie puszczę bezkarnie —
Idę — zadrżyjcie odmieńce!

(Dobywa sztylet i ze wściekłą ironją.)

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
Ot — tem wina utoczę na ślubne toasty —
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!
Idę jak moją własność do piekła zagrabić,
Idę — (wstrzymuje się i zamyśla). O nie, nie — nie! Żeby ją zabić,
Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów! —
Precz to żelazo! (chowa) Niech ją własna pamięć goni.

(Ksiądz odchodzi.)

Niech ją sumienia sztylety ranią!
Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spojrzeć na nią.
W salach, gdzie te od złota świecące pijaki
Przy godowym huczą stole,
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,
Wnijdę i stanę przy stole. —
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem,
Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,
Ani słowa nie odpowiem.
Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,
Prosi mię w taniec drużba godowa:
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugiem ręku,
Nie odpowiem ani słowa! —
Wtem, ona z swoim anielskiem urokiem:
Gościu mój, rzecze, pozwól, niech się dowiem,
Skąd przychodzisz, kto jesteś? — Ja nic nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem,
Ha! okiem! okiem jadowitej żmije:

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka:
Na wskroś okiem przebije! —
Wgryzę się jak piekielny dym pod jej powieki,
I w głowie utkwię na wieki;
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził,
I w nocy ją ze snu budził.

(Powolniej, z czułością.)

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy,
I lada rosa obrywa. —
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie. —
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy:
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika,
I na powrót błyszczy w oku. —
Ach tak! tak ją kochałem —

Pójdęż teraz trwożyć,
I na kochanka larwę potępieńca włożyć? —
Po co? czego chcę od niej? — O, zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wiabiącemi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! Sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!

Po cóż ta wściekłość? jakie do niej prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! — ach, jednę miłość mam za sobą! —
Znam to: nigdym śmiałemi nie zgrzeszył zapędy;
Nie prosiłem, ażeby była mi wzajemną;
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną —
Choćby, jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem:
Bóg świadkiem, przestałbym na tem!
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora
I jutro widzieć będę:
Z nią z rana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora,
Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siędę:
Ach jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie.)

Zapędzam się marnie:
Ty pod zazdrosnych oczu, chytrych żądeł strażą —
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!
Pożegnać, porzucić każą —
Umrzeć! —

(Z żalem.)

Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie:
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać nie masz komu!

O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie!
Gdybyś, na mojej pamiątkę męki,
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,
Przypięła jednę czarną wstążkę do sukienki! —
Może spojrzysz ukradkiem — i łeską boleści —
I pomyślisz westchnąwszy: ach, on mię tak kochał! —

(Z dziką ironją.)

Stój, stój, żałosne piskle! precz wrzasku niewieści!
Będęż, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać:
Żebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacją.)

Rób co chcesz: jesteś woli swojej panią,
Zapomnij! ja zapomnę! (pomięszany) wszak już zapomniałem? —

(Zamyślony.)

Jej rysy — co raz ciemniej — tak już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią,
Doczesnym pogardzam szałem. —

(Pauza.)

Ach, wzdycham. — Czegóż wzdycham? Ha, westchnąłem za nią —
Nie, nie mogę zapomnieć o niej i umarły! —
Wszakże ją widzę, wszak tu — o tu stoi —
Płacze nademną — jaka łeska szczera!

(Z żalem.)

Płacz, moja luba, twój Gustaw umiera!

(Z determinacją.)

No, dalej, śmiało Gustawie;

(Podnosi sztylet. Z żalem.)

Nie bój się luba, on się nic nie boi!
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,
Zostawię życie i świat i roskosze,

(Z wściekłością.)

I twego! — wszystko — o nic ani łzy nie proszę!

(Do księdza, który wchodzi ze służącymi.)

Słuchaj ty. — Jeśli kiedy obaczy. —

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością.)

Pewna nadludzka dziewica — kobieta,
I jeśli ciebie zapyta,
Z czego umarłem? — Nie mów, że z rozpaczy;
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspominał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły —
Że ta pijatyka — tańce — —

Że mi się w tańcu — ot (uderza nogą) skręciła noga —
Z tego umarłem. —

(Przebija się.)

KSIĄDZ.

Jezus, Marya! bój się Boga!

(Chwyta za rękę. Gustaw stoi; zegar zaczyna bić.)

GUSTAW, pasując się ze śmiercią, patrzy na zegar.)

Łańcuch szeleści. — Jednasta wybija! —

KSIĄDZ.

Gustawie!

(Kur pieje drugi raz.)

GUSTAW.

To drugie hasło!
Czas ucieka, życie mija —

(Zegar kończy bić, świeca druga gaśnie.)

I drugie światło zagasło:
Koniec boleści! —

(Dobywa sztylet i chowa.)

KSIĄDZ.

Ratujcie przebóg, może jaka rada!
Ach! już, już kona, wbił do rękojeści,
Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW, z zimnym uśmiechem.

Przecież nie upada!

KSIĄDZ, chwyta za rękę.

O zbrodnio! Boże odpuść. — Gustawie! Gustawie!

GUSTAW.

Zbrodnia taka nie może popełniać się co dzień —
Daj pokój próżnej obawie:
Stało się — osądzono. — Tylko dla nauki,
Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

KSIĄDZ.

Jak to? co to jest?

GUSTAW.

Czary, omamienie, sztuki.

KSIĄDZ.

Ach! włosy mi się jeżą, drżą podemną nogi —
W imię Ojca i Syna! co to wszystko znaczy?

GUSTAW, patrząc na zegar.

Wybiło dwie godziny: miłości, rozpaczy;
A teraz następuje godzina przestrogi.

KSIĄDZ, chce go sadzić.

Usiądź, połóż się, oddaj zabójcze narzędzie,
Pozwól rany opatrzyć. —

GUSTAW.

Daję tobie słowo,
Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.
O ranach próżna troska: wszak wyglądam zdrowo?

KSIĄDZ.

Jak Bóg na niebie, nie wiem co to —

GUSTAW.

Skutki szału.
Albo może kuglarstwo? — Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika i aż w duszy tonie:
Przecież widomie nie uszkodzą ciału.
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity. —

(Po pauzie, z uśmiechem.)

Taką bronią, za życia, są oczy kobiety,

(Ponuro.)

A po śmierci, grzesznika cierpiącego skrucha!

KSIĄDZ.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!
Czego stoisz jak martwy? zaglądasz na stronę?
Ach, oczy! — przebóg, jakby bielmem powleczone;
Puls ustał — ręce twoje zimne, jak żelazo!
Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW.

O tem inną razą —
Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły!
Kiedy wchodząc do ciebie stanąłem u progu,
Pamiętam, że z dziatkami odprawiałeś modły,
Któreś za dusze zmarłe ofiarował Bogu,

KSIĄDZ, chwyta krucyfix.

Prawda, zaraz dokończym.

(Ciągnie dzieci do siebie.)

GUSTAW.

No, przyznaj się szczerze,
Czy wierzysz w piekło, w czyściec? —

KSIĄDZ.

Ja we wszystko wierzę,
Cokolwiek w piśmie świętem Chrystus nam ogłasza,
I w co zaleca wierzyć kościół, matka nasza.

GUSTAW.

I w co twoje pobożne wierzyły pradziady? —
Ach! najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek,
Za cóż zniosłeś dotychczas obchodzone Dziady?

KSIĄDZ.

Ta uroczystość ciągnie z pogaństwa początek.
Kościoł mi roskazuje i nadaje władzę,
Oświecać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW, pokazując na ziemię.

Jednak proszą przezemnie i ja szczerze radzę:
Przywróć nam Dziady. Tam, u Wszechmocnego tronu,
Kędy nasz żywot ścisłe odważają szale,
Tam, większym jest ciężarem łza jednego sługi,
Którą szczerze wyleje nad tobą u zgonu —
Niż kłamliwe po drukach rozgłaszane żale,
Płatny orszak i kirem powleczone cugi
Jeśli, żałując śmierci dobrego dziedzica,
Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie:
W cieniach wieczności jaśniej błyszczy się ta świeca,
Niż tysiąc lamp w niechętnej palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko,
I garścią mąki grobowiec posypie:
Lepiej posili duszę, o! lepiej daleko,
Niż krewni modnym balem, wydanym na stypie.

KSIĄDZ.

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki
Po cerkwiach, pustkach, lub ciemnych pieczarach,
Pełen guślarstwa obrzęd świętokradzki,
Pospólstwo nasze w grubej utwierdza ciemnocie;
Stąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie,
O nocnych duchach, upiorach i czarach.

GUSTAW.

Więc żadnych nie ma duchów? (z ironją) Świat ten jest bez duszy?
Żyje: lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy?
Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru?

(Z uśmiechem.)

Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi? —
O kołach, o sprężynach rozum was naucza:
Lecz nie widzicie ręki i klucza.
Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu!

(Do dzieci, które wchodzą.)

Dzieci, chodźcie pod kantorek.

(Do kantorka.)

Czego potrzebujesz duchu?

GŁOS Z KANTORKA.

Proszę o troje paciorek.

KSIĄDZ, przerażony.

W imię Ojca — niech biega — Altarystę zbudzi,
Słowo stało się ciałem! — zawołajcie ludzi! —

GUSTAW.

Wstydź się, wstydź się mój ojcze! Gdzie rozum? gdzie wiara?
Krzyż jest mocniejszy, niśli wszyscy ludzie twoi,
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

KSIĄDZ.

Mów, czego potrzebujesz — ach, to upiór! mara!

GUSTAW.

Ja! nic nie potrzebuje — jest potrzebnych tylu! —

(Łowi koło świecy motyla.)

A tuś mi panie motylu!

(Do księdza pokazując motyla.)

Ten migający w koło oćmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy promyczek oświaty:
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie. —
Tymczasem, z potępioną błąkając się duszą,
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą:
To są dla ciemnych duchów najsroższe męczarnie!

Patrzaj, ów motyl strojny barwionemi szaty,
Był jakiś królik, albo pan bogaty,
I wielkim skrzydeł roztworem
Zaciemniał miasta, powiaty.
Ten drugi mniejszy, czarny i pękaty,
Był książek głupim cenzorem,
I przelatując sztuk nadobne kwiaty:
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka,
I nauk ziarna z samego zarodka
Gadziny zębem roztoczył.
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,
Są dumnych pochlebnisie, czernideł pisarze:
Na jakie pan ich gniewał się zagony —
Tam przeklęta chmura leci,
I czy ledwie wschodząca, czy dojrzałe plony,
Jako szarańcza wybija. —
Za tych wszystkich, moje dzieci,
Nie warto zmówić i Zdrowaś Marya. —
Są inne, słuszniej godne litości istoty,
A między niemi twoi przyjaciele, ucznie,
Których ty wyobraźnią w górne pchnąłeś loty,
Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie. —
Jaką żyjąc pokutę mieli za swe winy,
Oznajmiłem, wieczności przestąpiwszy progi:
Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny,
I znowu wycierpiałem dla twojej przestrogi. —
Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą!
Dla mnie, oprócz wspomnienia, nic więcej nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną karą:
A dziś, nie wiem, nagrodę czy pokutę znoszę,
Bo kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,
Kto znalazł drugą swojej połowę istoty,
Kto, nad świeckiego życia wylatując krańce,
Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem:
Ten i po śmierci również własną bytność traci,

I przyczepiony do lubej postaci,
Jej tylko staje się cieniem.
Jeśli, żyjąc, świętemu był uległy panu,
Niebieską z nim chwałę dzieli;
Albo, ze złym do wiecznej strącony topieli,
Jest bolesnego wspólnikiem stanu.
Na szczęście, Bóg mię zrobił poddanym anioła:
Dla niej i dla mnie przyszłość śmieje się wesoła. —
Tymczasem, jak cień błądząc przy kochanych wdziękach,
Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach.
Gdy ona wspomni, westchnie i łeskę wyleje:
Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieje,
Zmięszam się z odetchnieniem i przeniknę siebie,
I jestem w niebie!
Lecz kiedy — o, czujecie, wy coście kochali,
Jakim zawiść ogniem pali! —
Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcie powoła;
Natenczas, śladem lubego anioła,
Cień mój błędny wkradnie się do nieba.

(Zegar zaczyna bić. Śpiewa.)

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

(Zegar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika.)

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

(Do str. 100.)

Pan Jan Prusinowski z Żytomierza ogłosił w N°. 42 Gazety Codziennej roku 1860, pierwotny z autografu Mickiewicza wypisany, warjant tego ustępu, któren brzmi:

GUSTAW.

O nie, księże, ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu,
Dla ciebie trzeba innego wywodu:
Słuchaj. — Czy byłeś pobożnym za młodu?
Czy ty na skrzydłach modłów latałeś do nieba?

KSIĄDZ.

Modlitwa zawsze jedne ma dla mnie powaby,
Prawda: jednakże pomału.
Wiek tępi ostrze zbytniego zapału.

GUSTAW.

Pamiętasz — kiedy miałeś dziewięć, dziesięć latek,
I po raz pierwszy, w uniesieniu ducha
Nabożnie klękłeś u kratek?
Kolana zgięła ci skrucha,
Usteczka do stulonych przycisnąłeś dłoni,
Łze pokuty oko roni!
A w tem się na ołtarzu rozdarły obłonki,
Błysnął kielich, dzwonią dzwonki,
I kapłan na twych ustach złożył Pańskie Ciało! —

KSIĄDZ.

Ach wówczas! wówczas mi się zdało
Że dusza moja ze mną się rozstanie!

GUSTAW.

A co! pamiętasz kapłanie? —

O luba! zginąłem w niebie
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie.

DZIADY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą wydawać do siedzącej rady, i w bożnicach swoich was biczować będą.
I do Starostów i do Królów będziecie wodzeni na świadectwo im i poganom.
I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego. Ale kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawion.

MAT., X, 17, 18, 22.

Warjanty tej części wypisane z autografu, darowanego przez autora ś. p. Klaudji Potockiej, a przechowanego w zbiorze Jana hr. Działyńskiego. P. W.

PRZEDMOWA.

UMIESZCZONA NA CZELE WYDANIA PIERWSZEGO TEGO POEMATU, W ROKU 1833.

Polska od pół-wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezbłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześciaństwa. Zdaje się, że królowie mają przeczucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania, podniesionego przez Imperatora Aleksandra.

Około roku 1822 polityka Imperatora Aleksandra przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. W ten czas podniesiono na cały ród polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach Nowosilcow. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rossyjskiego ku Polakom wyrozumował jako zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swych działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. W ten czas całą przestrzeń ziemi od Prosny aż do

do Dniepru i od Galicji do Baltyckiego morza zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administrację nakręcono jako jednę wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow. Systematyczny Nowosilcow wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Założył główną kwaterę katowstwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincji litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, Kongresem Wiedeńskim i przywilejami Imperatora zostawione Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow, chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed Imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkuset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądzenie studentów. W tajemnej procedurze rossyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronienia się: bo często nie wiedzą o co ich powołano; bo zeznania nawet komissja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem. Skasował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano, i aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym, rossyjskim wymysłem. Obok zamknienia szkół, skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich: w liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb' Rossji, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców, jednemu tylko dotąd udało się wydobyć z Rossji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami, zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I pocóż by miał dodawać albo przesadzać? Czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? czy dla obudzenia litości w Europie? — Czemże są wszystkie ówczesne okrucieństwa, w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historji litewskiej lat kilkunastu: nie potrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty Jeruzalemskie nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: «Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą.» —

ŚWIĘTEJ. PAMIĘCI.

JANOWI. SOBOLEWSKIEMU.

CYPRJANOWI. DASZKIEWICZOWI.

FELIKSOWI. KÓŁAKOWSKIEMU.

SPÓŁUCZNIOM. SPÓŁWIĘŹNIOM. SPÓŁWYGNAŃCOM.

ZA. MIŁOŚĆ. KU. OJCZYNIE, PRZEŚLADOWANYM.

Z. TĘSKNOTY. KU. OJCZYŹNIE. ZMARŁYM.

W. ARCHANGELU. W. MOSKWIE. W. PETERSBURGU.

NARODOWEJ. SPRAWY

MĘCZENNIKOM.

POŚWIĘCA.

AUTOR.

PROLOG.

Litwa. W Wilnie, przy ulicy Ostrobramskiej, w klasztore XX. Bazyljanów przerobionym na więzienie stanu. Cela więźnia.

(Więzień wsparty na oknie, śni.)

ANIOŁ STRÓŻ.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody,
Od pokusy i przygody:
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc, jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.

Nie raz ja, na prośbę matki
I za pozwoleniem bożem,
Zstępowałem do twej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu;
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twem łożem.

Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem
Stałem; jak lilia biała,
Schylona nad źródłem mętnem.
Nie raz dusza mi twa zbrzydła:
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarnek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił:
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać:
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga;
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła:
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty piła;
I pamiątki wyższych światów
W głąb ciągnąłeś: jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natęnczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem, i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie:
Bym nie spotkał twojej matki —
Spyta się, jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna? —

WIĘZIEŃ.

(Budzi się strudzony i patrzy w okno. Ranek.)

Nocy cicha! Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży:
Ale dla czego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,
Lecz dla czego śpią ludzie, żaden z nich nie bada —
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.
Nie dziwi słońca dziwna lecz codzienna głowa,
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa:
Ale gdzież są wodzowie, co jej roskazali? —

A sen? — Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?
Któż jedno miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy!
Trwoży się człowiek śpiący, śmieje się gdy zbudzi:
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie —
Mędrcy przeklęci!
Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mi wmówią, że moje więzienie
Jest tylko wspomnienie! —

Mówią, że senne czucie roskoszy i kaźni
Jest tylko grą wyobraźni:
Głupi, zaledwie z wieści wyobraźnią znają,
I nam wieszczom o niej bają?
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.
Prędzej dzień będzie nocą, roskosz będzie kaźnią,
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.

(Kladzie się i wstaje znowu; idzie do okna.)

Nie mogę spocząć: te sny to straszą, to łudzą;
Jak te sny mię trudzą!

(Drzemie.)

DUCHY NOCNE.

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłóżmy;
Śpiewajmy, a cicho: nie trwóżmy, nie trwóżmy.

DUCH Z LEWEJ STRONY.

Noc smutna w więzieniu: tam, w mieście, wesele,
U stołów tam muzyki huczą,
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,
Tam nocą komety się włóczą,
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem —
(Więzień usypia.)
Kto po nich kieruje łódź w biegu,
Ten zaśnie na fali w marzeniu uroczem;
Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOŁ.

My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.
Samotność, mędrców mistrzyni:
I ty, w samotnem więzieniu,
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twem przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH.

W dzień Bóg nam dokucza: lecz w nocy weselc,
W noc późną próżniaki się tuczą!
I w nocy swobodnej śpiewają minstrele,
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów poczciwych smak czuje:
Noc-pjawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.
Śpiewajmy nad sennym, my nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą;
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,
Nasz będzie — ach, gdyby spał długo!

ANIOŁ.

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie;
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIĘZIEŃ, budzi się i myśli.

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz,
I uśmiechasz się we dnie i w wieczór ucztujesz:

Czy ty zrana choć jeden sen twój przypominasz?
A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?
(Drzemie.)

ANIOŁ.

Ty będziesz znowu wolny: my oznajmić przyszli.

WIĘZIEŃ, budzi się.

Będę wolny? — Pamiętam, ktoś mi wczoraj prawił —
Nie — Skądże to? Czy we śnie, czy Bóg mi objawił?
(Zasypia.)

ANIOŁOWIE.

Pilnujmy tylko, ach pilnujmy myśli:
Między myślami bitwa już stoczona:

DUCH Z LEWEJ STRONY.

Podwójmy napaść!

DUCH Z PRAWEJ.

My podwójmy straże!
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona:
Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka.

WIĘZIEŃ.

Mam być wolny! — Tak! nie wiem, skąd przyszła nowina:
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę: ja będę wygnany!
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie,
Ja śpiewak: i nikt mojej pieśni nie zrozumie
Nic, oprócz niekształtnego i marnego dźwięku —
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły:
Ale mi ją zepsuto, przełamano w ręku;
Żywy — zostanę dla mej ojczyzny umarły,
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako dyament w brudnym zawarty kamieniu.
(Wstaje i pisze węglem z jednej strony.)

D. O. M.

GUSTAVUS
OBIIT M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Z drugiej strony.)

HIC NATUS EST
CONRADUS.
M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Wspiera się na oknie; usypia.)

DUCH.

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jednę myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebie zaświecisz;
A ty, jak obłok górny, ale błędny pałasz,
I sam nie wiesz gdzie lecisz, sam nie wiesz co działasz —
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony!

AKT I.

SCENA I.

Korytarz. Straż z karabinami opodal. Kilku więźniów młodych ze świecami wychodzą z cel swoich. Północ.

JAKÓB.

Czy można? obaczym się?

ADOLF.

Straż gorzałkę pije;
Kapral nasz —

JAKÓB.

Która biła?

ADOLF.

Północ niedaleko.

JAKÓB.

Ale jak nas ront złowi, kaprala zasieką.

ADOLF.

Tylko zgaś świecę! Widzisz, ogień w okna bije —
(Gaszą świecę.)
Ront, dzieciństwo! Ront musi do wrót długo pukać,
Dać hasło i odebrać, musi kluczów szukać;
Potem, długi kurytarz — Nim nas ront zacapi,
Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.
(Inni więźnie wywołani z celi wychodzą.)

ŻEGOTA.

Dobry wieczór.

KONRAD.

I ty tu!

KS. LWOWICZ.

I wy tu?

SOBOLEWSKI.

I ja tu.

FREJEND.

A wiecie co, Żegoto, idziem do twej celi!
Świeży więzień dziś wstąpił do nowicjatu,
I ma komin: tam dobry ogień będziem mieli;
A przytem nowość: dobrze widzieć nowe ściany.

SOBOLEWSKI.

Żegoto! — A jak się masz? — I ty tu kochany!

ŻEGOTA.

U mnie cela trzy kroki; was taka gromada —

FREJEND.

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele:
Jutro jest Narodzenie Boże. — Eh, koledzy,
Mam i kilka butelek —

JAKÓB.

Bez kaprala wiedzy?

FREJEND.

Kapral poczciwy, i sam z butelek skorzysta.
Przytem jest Polak, dawny nasz legionista,
Którego Car przerobił gwałtem na Moskala.
Kapral dobry katolik, i więźniom pozwala
Przepędzić wieczor świętej Wigilii razem.

JAKÓB.

Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.

(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalaj świecę. — Cela Konrada jak w prologu.)

KS. LWOWICZ.

I skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany,
Kiedy?

ŻEGOTA.

Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły —

KS. LWOWICZ.

I ty byłeś gospodarz?

ŻEGOTA.

Jaki zawołany.
Żebyś ty widział moje merynosy, woły!
Ja, co pierwej nie znałem co owies, co słoma,[1]
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma,

JAKÓB.

Wzięto cię niespodzianie?

ŻEGOTA.

Od dawna słyszałem
O jakiemś w Wilnie śledztwie; dom mój blisko drogi;
Widać było kibitki latające czwałem,
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.
Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli,
I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem.
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.
Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co,
Nie należałem dotąd do żadnego spisku;
Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku,
Że się więźniowie nasi porządnie opłacą,
I powrócą do domu. —

TOMASZ.

Taką masz nadzieję?

ŻEGOTA.

Jużci przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą:
A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?
Milczycie — wytłumaczcież, co się tutaj dzieje,
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ.

Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.
Znasz zapewne charakter Pana Senatora —

[1] Ja, co pierwej nie znałem, co owies, co słoma:
Jak znałem się na wszystkiem, jakem umiał zrzędzić!

JAKÓB.

Słyszałem, że przyjąłeś z Niemiec ekonoma.

ŻEGOTA, śmiejąc się.

Prawda. Właśnie go miałem obić i wypędzić:
Popsuł mi całe żniwo — Oj, to łotr wierutny! —
I nie dali mi czasu — i dla tegom smutny.

Wiesz, że już był w niełasce u Imperatora,
Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił,
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił:
Bo pomimo największych starań i zabiegów,
Nie może w Polsce spisku żadnego wyśledzić:
Więc postanowił świeży kraj, Litwę nawiedzić,
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów.
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować,
I na nowo się w łaskę samodzierżcy wkręcić,
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować
I nowych wiele ofiar Carowi poświęcić.

ŻEGOTA.

Lecz my się uniewinnim —

TOMASZ.

Bronić się daremnie:
I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie,
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony,
Ten co nas skarży, naszej ma słuchać obrony;
On gwałtem chce nas karać: nie unikniem kary —
Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny:
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,
I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.
Ja stałem na waszego towarzystwa czele:
Mam obowiązek cierpieć za was przyjaciele;
Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,
Z takich, co to sieroty, starsi, nie żonaci,
Których zguba nie wiele serc w Litwie zakrwawi,
A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

ŻEGOTA.

Więc aż do tego przyszło?

JAKÓB.

Patrz, jak się zasmucił.
Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND.

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,
A nie płacze —

FELIKS KÓŁAKOWSKI.

Ma płakać? Owszem chwała Bogu!
Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę.
Daj mi rękę; jestem trochę chiromanta,
Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta.
(Patrząc na rękę.)
Jeśli będzie poczciwy, pod moskiewskim rządem,
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;
A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze —
Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze.

ŻEGOTA.

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND.

Skądże datę wiedzieć?
Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;
To gorsza; że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

SUZIN.

Ja mam u okna parę drewnianych firanek,
I nie wiem nawet, kiedy mrok a kiedy ranek.

FREJEND.

Ale pytaj Tomasza, patryarchę biedy;
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni,
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,
Wie o wszystkich, kto przybył, skąd przybył i kiedy.

SUZIN.

To Pan Tomasz! ja poznać nie mogłem Tomasza.
Daj mi rękę. Znałeś mię krótko i nie wiele.
Wtenczas tak była droga wszystkiem przyjaźń wasza,
Otaczali was liczni blizsi przyjaciele:
Nie dojrzałeś mię w tłumie; lecz ja ciebie znałem,
Wiem coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił,
Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił,
I w dzień zgonu przypomnę: z Tomaszem płakałem —

FREJEND.

Ale, dla Boga, po co te łzy, płacze zgroza!
Patrz: Tomasz, gdy był wolny, miał na swojem czole
Wypisane wielkiemi literami «koza»:
Dziś w więzieniu jak w domu, jak w soim żywiole.

On był na świecie, jako grzyby kryptogamy:
Więdniał i schnął od słońca — wsadzony do lochu,
Kiedy my, słoneczniki, bledniejem, zdychamy,
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu —
Ale też, wziął Pan Tomasz kuracyę modną,
Sławną teraz na świecie kuracyę głodną.[1]

ŻEGOTA, do Tomasza.

Głodem ciebie morzono?

FREJEND.

Dodawano strawy;
Ale gdybyś ją widział! Widok to ciekawy:
Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,
Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

ŻEGOTA.

I jakże ty jeść mogłeś!

TOMASZ, spokojnie.

Tydzień nic nie jadłem;
Potem jeść probowałem, potem z sił opadłem;
Potem, jak po truciznie, czułem bole, kłucia,
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.
Nie wiem ile i jakiem choroby przebywał,
Bo nie było doktora, coby je nazywał.
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził,
I zdaje mi się żem się do tej strawy zrodził.[2]

FREJEND, z wymuszoną wesołością.

Wierzcie mi, tam za kozą same urojenia;
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:

[1] Jeżeli wskrzesim Polskę, to nasz Wielki Zupnik:
Bo nikt tyle nie wypił i tak czystej zupy:
Przez pół roku kapuśniak, przez pół roku krupnik,
W których nie było widać listka ani krupy;
Wspomniałbyś Eneidy księgę jedenastą:
Apparent rary nantes in gurgite vasto —
Dość było taką zupą w pokoju zakadzić,
Aby myszy wystraszyć i świerszcze wygładzić.

[2] Teraz mnie na stół lepszy wskazał sąd łaskawy,
Bo nie mogę wziąść w usta chleba ani strawy:
Wiedzą o tem, i teraz nie dają krupniku.

ŻEGOTA, wzruszony.

Bóg ciebie nam zachował, ty nasz męczenniku!

Jeść, mieszkać, źle czy dobrze, skutek przywyknienia.
Pytał raz Litwin, nie wiem, djabła czy Pińczuka:
Dla czego siedzisz w błocie? — siedzę, bom przywykną

JAKÓB.

Ależ przywyknąć bracie!

FREJEND.

Na tem cała sztuka.

JAKÓB.

Ja tu siedzę podobno od ośmiu miesięcy,
A tak tęsknię jak pierwej, nie mniej —

FREJEND.

I nie więcej?
Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi.
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci:
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,
Tylko łyknie powietrza, i wnet się podchmieli.

TOMASZ.

Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie
Znosić kije i gorsze niśli kije — śledztwo:
Niż tu w lepszem więzieniu mieć was za sąsiedztwo —
Łotry! — wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie

FREJEND.

Jakto? więc płaczesz po nas? masz kogo żałować!
Czy nie mnie, pytam? Jaka korzyść z mego życia!
Jeszcze w wojnie — mam jakiś talencik do bicia,
I mógłbym kilku Dońcom grzbiety naszpikować:
Ale w pokoju! — Cóż stąd, że lat sto przeżyję,
I będę klął Moskalów, i umrę i zgniję? —
Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,
Jak proch, albo jak wino miernego gatunku:
Dziś, gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,
W kozie mam całą wartość butli i ładunku.
Wytchnąłbym się jak wino, z otwartej konewki;
Spaliłbym jak proch lekko, z otwartej panewki;
Lecz jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,
Obaczą mię Litwini bracia, i pomyślą:

Wszakci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie,
Poczekaj zbójco Carze, czekaj Moskwicinie!
Taki jak ja, Tomaszu dałby się powiesić,
Żebyś ty jednę chwilę żył na świecie dłużej.
Taki jak ja, ojczyźnie tylko śmiercią służy:
Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić,
Ciebie, lub ponurego poetę Konrada,
Który nam o przyszłości, jak cygan powiada —

(Do Konrada.)

Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki;
Kocham cię, boś podobny także do butelki;
Rozlewasz pieśń uczuciem, zapałem oddychasz,
Pijem, czujem, a ciebie ubywa — usychasz.

(Bierze za rękę Konrada i łzy sobie ociera. Do Tomasza i Konrada.)

Wy wiecie, że was kocham: ale można kochać,
Nie płakać. Otóż bracia, osuszcie łzy wasze;
Bo jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać,
I herbaty nie zrobię i ogień zagaszę:

(Robi herbatę. Chwila milczenia.)

KS. LWOWICZ.

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza:

(Pokazując Żegotę.)

W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin —
Czy nie dosyć w dzień milczym! he? Jak długa cisza.

JAKÓB.

Czy nie ma powin z miasta?

WSZYSCY.

Nowin?

KS. LOWICZ.

Żadnych nowin?

ADOLF.

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście;
Ale milczy i smutny i jak widać z miny,
Nie ma ochoty gadać.

KILKU Z WIĘŹNIÓW.

No Janie! nowiny?

JAN SOBOLEWSKI, ponuro.

Niedobre. Dziś — na Sybir — kibitek dwadzieście
Wywieźli —

ŻEGOTA.

Kogo? — naszych?

JAN.

Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY.

Na Sybir?

JAN.

I paradnie! — było mnóstwo ludzi.

KILKU.

Wywieźli!

JAN.

Sam widziałem.

JACEK.

Widziałeś! — I mego
Brata wywieźli? — wszystkich?

JAN.

Wszystkich do jednego:
Sam widziałem. — Wracając, prosiłem kaprala,
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala,
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była, ludu zebrało się wiele:
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,
I kościoł tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. — Patrzę, z placu sadzi
Policmejster na koniu; z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf Cara północy, zwycięscy nad dziatwą:
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty.
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły warty:
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może

I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmejster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmejster człek ludzki, więc łańcuch oglądał:
«Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą» —
Wywiedli Janczewskiego — poznałem: oszpetniał,
Sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał;
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz — okiem dumnem, suchem i pogodnem,
To zdawał się pocieszać spólników niewóli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim lecz łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.
Wtem, zdało mi się że mnie napotkał oczyma,
I, nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślił, żem uwolniony: dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował;
I wszystkich oczy zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem, ażebym się schował.
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: —
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął więc łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył,
A wtem zacięto konia: kibitka runęła;
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: «Jeszcze Polska nie zginęła!» —
Wpadli w tłum — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza,
I wystaje z czarnego tylu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza:
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,
I zostaną w mej myśli, i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota;
Jeśli zapomnę o nich, ty Boże na niebie
Zapomnij o mnie! —

KS. LWOWICZ.

Amen za was.

KAŻDY Z WIĘŹNIÓW.

I za siebie.

JAN SOBOLEWSKI.

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki; ich wsadzano jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku: wszystkie twarze pobladły jak trupie;
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje, milczy — tak boją się Cara.
Wywiedli ostatniego: zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów, i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski; siedział tu w naszem sąsiedztwie:
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał: niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał;
Niesiony, jak słup sterczał, i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte.
I lud oczy i usta otworzył; i razem
Jedno westchnienie, z piersi tysiąca wydarte
Głębokie i podziemne jęknęło do koła,
Jak gdyby jękły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębnem i roskazem:
Do broni, marsz! Ruszono; a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta: był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy,

Siną, rozwartą, trupią: tu zął nią jakby żegnał!
Kibitka w tłum wjechała. Nim bicz tłumy przegnał,
Stanęli przed kościołem: i właśnie w tej chwili,
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościoł pusty, i rękę kapłańską
Widziałem podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów Cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną!

(Długie milczenie.)

JÓZEF.

Czytałem ja o wojnach: w dawnych dzikich czasach,
Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,
Że nieprzyjaciel drzewom nie przepuszczał w lasach,
I że z drzewami na pniu zasiewy palono:
Ale Car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi;
On nawet ziarna zboża zabiera i dławi;
Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KÓŁAKOWSKI.

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczy.

(Chwila milczenia.)

KS. LWOWICZ.

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.
Ja, jak ksiądz pomodlę się — i wam radzę szczerze
Zmówić za męczennika spoczynek, pacierze.
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

ADOLF.

Zmówże i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił.

FREJEND.

Łebski! To z nami uczty wesołe on dzielił:
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

KS. LWOWICZ.

Nieźleby i za tego pomodlić się brata.

JANKOWSKI.

Wiesz księże, dalibóg że drwię ja z twojej wiary:
Cóż stąd choćbym był gorszym niż Turki, Tatary,

Choćbym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,
Austryakiem, Prusakiem, Carskim urzędnikiem:
Jeszcze tak prędko bożej nie lękam się kary:
Wasilewski zabity, my tu — a są Cary.

FREJEND.

Toż chciałem mówić; dobrze, żeś ty za mnie zgrzeszył,
Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał;
Słuchając tych powieści, człek spłakał się, zgłupiał.
Ej Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył!
Ty, jeśli zechcesz, w piekle djabłabyś rośmieszył.

KILKU WIĘŹNIÓW.

Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać!
Feliks ma głos! Hej Frejend! hej, wina nalewać!

ŻEGOTA.

Stójcie na chwilę. Ja też szlachcic sejmikowy,
Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć.
Józef nam coś o ziarnkach mówił: na te mowy
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.
Lubo Car wszystkie ziarna naszego ogrodu,
Chce zabrać i zakopać w ziemię, w swojem carstwie:
Będzie drożyzna, ale nie bójcie się głodu.
Pan Antoni już pisał o tem gospodarstwie.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW.

Jaki Antoni?

ŻEGOTA.

Znacie bajkę Goreckiego?
A raczej prawdę —

KILKU.

Jaką? Powiedz nam kolego.

ŻEGOTA.

«Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu:
I roskazał aniołom zboże przysposobić,
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam; znalazł je, obejrzał z daleka,
I odszedł; bo nie wiedział, co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,

Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Naplwał, i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął,
Aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie! —
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,
Chytrość rozumem, a złość nazywacie mocą:
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.»

JAKÓB.

Brawo Antoni! pewnie Warszawę nawiedzi,
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND.

Dobre to: lecz ja znowu do Feliksa wracam.
Wasze bajki — i co mi to za poezye;
Gdzie muszę głowę trudzić, niśli sens namacam?
Nasz Feliks z piosenkami niech żyje i pije!

(Nalewa mu wina.)

JANKOWSKI.

A Lwowicz co? — On pacierz po umarłych mówi!
Posłuchajcie: zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.

(Śpiewa.)

Mówcie, jeśli wola czyja,
Jezus Marya:
Nim uwierzę, że nam sprzyja,
Jezus Marya,
Niech wprzód łotrów powybija,
Jezus Marya.

Tam Car jak dzika bestya,
Jezus Marya!
Tu Nowosilców jak żmija,
Jezus Marya!

Póki cała carska szyja,
Jezus Marya!
Póki Nowosilców pija,
Jezus Marya!
Nie uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Marya —

KONRAD.

Słuchaj ty! tych mi imion przy kielichach wara!
Dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara,
Nie mięszam się do wszystkich świętych z litanii:
Lecz nie dozwolę bluźnić imieniu Maryi.

KAPRAL, podchodząc do Konrada.

Dobrze, że panu jedno to zostało imię —
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety:
Nie zgrał się, póki jednę ma sztukę monety;
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy: więc z kalety wyjmie,
Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi
I większy skarb przed śmiercią, niśli miał, zostawi.
To imię panie, nie żart. — Więc mnie się zdarzyło
W Hiszpanii, lat temu — o, to dawno było —
Więc byłem w legionach, naprzód pod Dąbrowskim,
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego —

SOBOLEWSKI.

To mój brat!

KAPRAL.

O mój Boże! pokój duszy jego!
Walny żołnierz — tak zginął — od pięciu kul razem;
Nawet podobny panu. — Otóż — więc z roskazem
Brata pana jechałem w miasteczko Lamego —
Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska:
Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska;
Nuż beczeć — każdy Francuz jak podpije, beczy —
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wąsale takie pieśni tłuste,
Aż był wstyd mnie młodemu! — Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych. Otóż z większych w większe
Grzechy leżąc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszę —
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa,

I z powinności bronię Maryi imienia —
Więc ja im perswadować: stulcie pysk do bisa!
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. —

(Konrad zamyśla się, inni zaczynają rozmowę.)

Ale no pan posłuchaj, co się stąd wyświęci.
Po zwadzie, poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci:
Aż w nocy trąbią na koń, zaczną obóz trwożyć;
Francuzi nuż do czapek — i nie mogą włożyć:
Bo nie było na co wdziać, bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem, jak makówka:
Szelma gospodarz porżnął jak kury w folwarku.
Patrzę więc, moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
«Vivat Polonus, unus defensor Mariae!»
Otóż, widzisz pan, że ja tem imieniem żyję.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW.

Feliksie, musisz śpiewać! Nalać mu herbaty,
Czy wina.

FELIKS.

Jednogłośnie decydują braty,
Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka,
Feliks będzie wesoły i będzie piosenka.

(Śpiewa.)

Nie dbam jaka spadnie kara:
Mina, Sybir, czy kajdany;
Zawsze ja wierny poddany,
Pracować będę dla Cara.

W minach, kruszec kując młotem,
Pomyślę: ta mina szara,
To żelazo — z niego potem
Zrobi ktoś topór na Cara.

Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara:
Może w mojem pokoleniu
Zrodzi się Palen dla Cara.

Gdy w koloniach osiędę,
Ogród zorzę, grzędy skopię,
A na nich co rok siać będę
Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici: —
Śrebrem obwita nić szara
Może się kiedyś poszczyci,
Że będzie szarfą dla Cara.

CHÓR ŚPIEWA.

Zrodzi się Palen dla Cara,
Ra — ra — ra — ra — ra — ra —

SUZIN.

Lecz cóż to Konrad cichy, zasępiony siedzi,
Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?
Feliksie, on nie słyszał zgoła twoich pieni.
Konradzie! Patrzcie — zbladnął, znowu się czerwieni —
Czy on słaby?

FELIKS.

Stój, cicho! — Zgadłem, że tak będzie.
O, my znamy Konrada, co to znaczy, wiemy; —
Północ jego godzina. Teraz, Feliks niemy;
Teraz bracia, piosenkę lepszą posłyszemy —
Ale muzyki trzeba. — Ty masz flet, Frejendzie:
Graj dawną jego nótę; a my cicho stójmy,
I kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

JÓZEF, patrząc na Konrada.

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko,
Jeszcze nie wrócił: może przyszłość w gwiazdach czyta
Może się tam z duchami znajomemi wita,
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką — —
Jak dziwne oczy: błyszczy ogień pod powieką,
A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;
Duszy teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu

Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu.
Nim zgasną; wojsko wróci na swe stanowiska.

(Frejend probuje różnych nót.)[1]

KONRAD, śpiewa.

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna;
Krew poczuła: z pod ziemi wygląda,
I jak upiór powstaje krwi głodna,
I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.
Tak! zemsta, zemsta, na wroga,
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza.)

I pieśń mówi: ja pójdę wieczorem;
Najprzód braci rodaków gryźć muszę;
Komu tylko zapuszczę kły w duszę,
Ten jak ja musi zostać upiorem.
Tak! zemsta, zemsta, i t. d.

Potem pójdziem, krew wroga wypijem:
Ciało jego rozrąbiem toporem,
Ręce, nogi gwoździami przybijem:
By nie powstał i nie był upiorem.
Tak! zemsta! zemsta, i t. d.

Z duszą jego do piekła iść musim,
Wszyscy razem na duszy usiędziem,
Póki z niej nieśmiertelność wydusim:
Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.
Tak! zemsta: zemsta, i t. d.

KS. LWOWICZ.

Konradzie, stój dla Boga! To jest pieśń pogańska —

KAPRAL.

Jak on okropnie patrzy! To jest pieśń szatańska!

(Przestają śpiewać.)

KONRAD, z towarzyszeniem fletu.

Wznoszę się, lecę, tam! na szczyt opoki! —
Już nad plemieniem człowieczem,
Między proroki!

[1] W rękopisie:
Frejend próbuje różnych nót; nareszcie na notę
Non più andrai etc.

Stąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem;
Rękami, jak wichrami, mgły jej rozdzieram —
Już widno, jasno. Z góry na ludy spozieram:
Tak księga sybilińska przyszłych losów świata!

Tam, na dole —
Patrz, patrz — przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,
— Mnie orła na niebie! —
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą,
Jak się stado w piasek grzebie —
Za niemi, hej za niemi oczy me sokole!
Oczy błyskawice!
Za niemi szpony moje! Dostrzegę je, schwycę —

Cóż to? Jaki ptak powstał i rostacza pióra,
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?
Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura,
A szerokie i długie nakształt tęczy łuku,
I niebo całe zakrywa?

To kruk olbrzymi! — Ktoś ty, ktoś ty kruku?
Ktoś ty! Jam orzeł! — Patrzy kruk — myśl moją plącze.
Ktoś ty? Jam gromowłady! —
Spojrzał na mnie: w oczy mię jak dymem uderzył,
Myśli moje mięsza, plącze —

KILKU WIĘŹNIÓW.

Co on mówi — co — co to? Patrz, jaki blady.
(Porywają Konrada.)
Uspokój się —

KONRAD.

Stój! stójcie! Jam się z krukiem zmierzył —
Stójcie! Myśli rozplączę,
Pieśń skończę — skończę —
(Słania się.)

KS. LWOWICZ.

Dosyć tych pieśni.

INNI.

Dosyć.

KAPRAL.

Dosyć — Pan Bóg z nami —
Dzwonek! słyszycie dzwonek? Ront, ront pod bramami —
Gaście ogień — do siebie!

JEDEN Z WIĘŹNIÓW, patrząc w okno.

Bramę odemknęli —
Konrad osłabł — zostawcie — sam — sam jeden w celi!
(Uciekają wszyscy.)

SCENA II.

IMPROWIZACJA.

KONRAD, po długiem milczeniu.

Samotność! — Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi!
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie:
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą? —

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.
Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata;
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
Domyśla się, że do słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam pieśni, ludzkie oczy, uszy nie potrzebne! —
Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie:
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę, i w akordy — i w strofy plączę,
Rozlewam je w dźwiękach i w błyskawic wstęgach.

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie —
Sam śpiewam — słyszę me śpiewy:
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy.
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzą;
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie —
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie! —
Pieśń to wielka, pieśń — tworzenie,
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
Cóż Ty większego mogłeś zrobić Boże?
Patrz, ja te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą —
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was me dzieci wieszcze!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!

Depcę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki,
Których wielbił świat szeroki!
Gdyby chodzili dotąd śród swych duszny dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli i za słuszne znali,
I wszystkie sławy każdodziennej blaski,
Promieniami na wieńcach swoich łapalali:
Z całą pochwał muzyką i wieńcow ozdobą,
Zebraną z wieków tyla i z pokoleń tyla,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy,
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie.
Tak! Czuły jestem, silny jestem i rozumny!
Nigdym nie czuł, jak w tej chwili —
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam, czym najwyższy, czylim tylko dumny,
Dziś jest chwila przeznaczenia —
Dziś najsilniej wytężę duszy mej ramiona:
To jest chwila Samsona,
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny —
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie graniczą stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje.
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył; widzisz, jaka ma potęga:
Aż tu moje skrzydło sięga!
Lecz jestem człowiek i tam na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyznie serce me zostało — —

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie —
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić —
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;
Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą,
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa —

I mocy tej nie wziąłem z drzewa Edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań:

Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję.
Czyś Ty mi dał, czy wziąłem skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne: w chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki,
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle —
Stado pieśń żałosną dzwoni:
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy —
Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:
Mnie i Ciebie!
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mem skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę:
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno:
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić, jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa! -
Mówią, że Ty tak władasz! —

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył:
Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe, niśli Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz! — Tak gardzę tą martwą budową,
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny! — I w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni: wyższych nie spotkałem —
Najwyższy na niebiosach: Ciebie tu szukałem,
Ja, najwyższy z czujących na ziemnym padole.
Nie spotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję,
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję —
Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę;
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz.
(Długie milczenie. Z ironją.)
Milczysz, milczysz! — Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał;
Zrozumiałem coś Ty jest i jakeś Ty władał.
Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem, składy broni Twej wyśledzą.
Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi:
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,

Znajdzie prawność i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie.
Dałeś mnie najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie —

(Milczenie.)

Czem jest me czucie?
Ach iskrą tylko!
Czem jest me życie?
Ach jedną chwilką!
Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
Iskrą tylko.
Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?
Jedną chwilką.
Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?
Z iskry tylko.
Czem jest śmierć, co rosproszy myśli mych dostatek?
Jedną chwilką.
Czem był On, póki światy trzymał w swojem łonie?[1]
Iskrą tylko.
Czem będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?
Jedną chwilką.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.
Wsiąść muszę
Na duszę
Jak na koń
Goń! goń!
W cwał, w cwał!

GŁOS Z PRAWEJ.
Co za szał!
Brońmy go, brońmy,
Skrzydłem osłońmy
Skroń.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala:
Stwarza i zwala.
Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdłużmy, rozdalmy,
Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rozpalmy!
Teraz — dobrze — tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,
Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam —
Milczysz? — Wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?
Wyzywam Cię uroczyście!

[1] W rękopisie:
Czem był świat, póki On go trzymał w swojem łonie?

Nie gardź mną: ja nie jeden. Choć sam tu wzniesiony
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy — i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niśli Szatan —
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

GŁOS Z LEWEJ.
Rumaka
Przedzierżnę w ptaka,
Orlemi pióry!
Do góry!
W lot!

GŁOS Z PRAWEJ.
Gwiazdo spadająca!
Jaki szał
W otchłań cię strąca. —

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna, to jedno;
Nazywam się Milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na Ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpiena narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

Cierpię, szaleję. — A Ty, mądrze i wesoło,
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz!

Słuchaj! Jeśli ~~do~~ to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc:
Że Ty kochasz: jeżeliś Ty kochał świat, rodząc,
Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską:
Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;

Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi krzyczących «ratunku!»
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku;
Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną,
I nie jest tylko twoją omyłką liczebną —

GŁOS Z LEWEJ.
Orła w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturmu dalej!
Dymi! pali!
Ryk, grzmot!

GŁOS Z PRAWEJ.
Z jasnego słońca
Kometo błędu!
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Milczysz! — Jam Ci do głębi serce me otworzył —
Zaklinam, daj mi władzę: jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył;
Milczysz! — Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu,
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu [1],
Że cię znam lepiej, niśli Twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły —
Jeślim nie zgadł, odpowiedz! — Milczysz — ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię —
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie —
Widzisz to moje ognisko: uczucie:
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo —

GŁOS Z LEWEJ.
Ognia! pal!

GŁOS Z PRAWEJ.
Litość! żal!

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę, całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale —

[1] W rękopisie:
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Jam Twoje tajniki wybadał,
Że wiem, co jesteś i jakeś Ty władał,
Że Cię znam lepiej, i t. d.

GŁOS DJABŁA.

Carem!

KONRAD.

(Staje chwilę, słania się i pada.)

(DUCHY Z LEWEJ STRONY.)

PIERWSZY.

Depc, chwytaj!

DRUGI.

Jeszcze dysze.

PIERWSZY.

Omdlał, omdlał, a nim
Przebudzi się — dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY.

Precz! — modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ.

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ.

Ty bestjo głupia!
Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,
Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć!
Chwila dumy — ta czaszka już byłaby trupia.
Być tak blisko tej czaszki i nie można deptać!
Widzieć krew w jego ustach i nie można chłeptać!
Najgłupszy z djabłów, tyś go wypuścił w pół drogi —

DRUGI.

Wróci się, wróci —

PIERWSZY.

Precz stąd, bo wezmę na rogi,
I będę cię lat tysiąc niósł i w paszczę samą
Szatana wbiję.

DRUGI.

Cha! cha! straszysz ciociu! mamo!
Ja dziecko będę płakać — (płacze) — masz — (uderza rogiem) A co
nie chybił?
Leć i nie wyłaź z piekła! — Aha, do dna przybił! —
Rogi me, brawo, rogi —

PIERWSZY.

Sacrédieu!

DRUGI, uderza.

Masz.

PIERWSZY.

W nogi.

(Słychać sztukanie i klucz we drzwiach.)

DRUGI DUCH.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi.

SCENA III.

Wchodzą: KAPRAL, braciszek bernardyn PIOTR, JEDEN WIĘZIEŃ.

KS. PIOTR.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.

WIĘZIEŃ.

On zapewne osłabiał. — Konradzie! — Nie słucha.

KS. PIOTR.

Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi.

WIĘZIEŃ.

Dla Boga, on osłabiał; patrz, miota się, dąsa:
To jest wielka choroba; patrz, on usta kąsa.

(KS. PIOTR modli się.)

KAPRAL, do więźnia.

Mój panie, idźcie sobie, a nas tu zostawcie.

WIĘZIEŃ.

Ale dla Boga! próżnych modlitew nie prawcie;
Podejmijcie go z ziemi, połóżmy do łóżka:
Księże Pietrze.

KS. PIOTR.

Tu zostaw.

WIĘZIEŃ.

Oto jest poduszka.

(Kładzie Konrada.)

E, ja wiem, co to znaczy. — Czasem nań napada
Takie szaleństwo: długo śpiewa, potem gada,
A jutro zdrów jak ryba. Lecz kto wam powiedział,
Że on osłabiał?

KAPRAL.

Panie, ot byś cicho siedział.

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą;
Bo ja wiem, że tu było — coś — tu niedobrego.
Gdy ront odszedł, w tej celi hałas posłyszałem;
Spojrzę dziurką od klucza: a co tu widziałem,
To mnie wiedzieć. Pobiegłem do mojego kmotra —
Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra —
Patrz na tego chorego: nie dobrze się dzieje. —

WIĘZIEŃ.

Dalibóg nie pojmuję nic i oszaleję.

KAPRAL.

Oszaleć? — Ej panowie, strzeżcie się panowie!
U was usta wymowne, wiele nauk w głowie:
A patrzcie, głowa mądra w prochu się taczała,
I z tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała!
Słyszałem, co on śpiewał: ja słów nie pojąłem,
Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem —
Wierz mi, że z tym człowiekiem nie dobrze się dzieje.
Byłem ja w legionach, nim wzięto w rekruty:
Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty,
Więcej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,
Niśli Waćpan przeczytał książek w życiu całem:
A to jest rzecz niemała widzieć jak człek kona.
Widziałem ja na Pradze księży zarzynanych,
I w Hiszpanii żywcem z wieży wyrzucanych;
Widziałem matek szablą rozrywane łona,
I dzieci konające na kozackich pikach,
I Francuzów na śniegu i Turków na palu;
I wiem co w konających widać męczennikach,
A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskalu.
Widziałem rostrzelanych, co patrzyli śmiele
W rurę broni, nie chcieli na oczy zasłony:
A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele
Strach, co za życia wstydem i pychą więziony,
Wyszedł z trupa jak owad i pełzał w około,
Gorszy strach, niż ten, który tchórza w bitwie nęka —
Taki strach, że dość spojrzeć na zamarłe czoło,
Aby wiedzieć, że dusza dąsa się i lęka,
Gardzi bolem i cierpi — i wieczna jej męka —

A więc, mój panie, myślę, że twarz umarłego
Jest jak patent wojskowy do świata przyszłego:
I poznasz zaraz, jak on tam będzie przyjęty,
W jakiej randze i stopniu, święty czy przeklęty —
A więc tego człowieka i pieśń i choroba
I czoło i wzrok wcale mi się nie podoba.
Otoż Waćpan spokojnie idź do swojej celi;
My z bratem Piotrem będziem przy chorym siedzieli.

(Więzień odchodzi.)

KONRAD.

Przepaść — tysiąc lat — pusto — dobrze — jeszcze więcej!
Ja wytrzymam i dziesięć tysiąców tysięcy —
Modlić się — tu moditwa nie przyda się na nic —
I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic?
Nie wiedziałem — a była.

KAPRAL.

Słyszysz, jak on szlocha.

KS. PIOTR.

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.

(Do Kaprala.)

Wyjdź stąd i patrz, ażeby nikt tędy nie chodził,
I póki stąd nie wyjdę, nikt mi nie przeszkodził.

(Kapral odchodzi.)

KONRAD, zrywa się.

Nie! — oka mi nie wydarł! Mam to silne oko;
Widzę stąd i stąd nawet, choć ciemno — głęboko —
Widzę ciebie Rollison! [1] — Bracie, cóż to znaczy?
I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbryzgany,
I ciebie Bóg nie słuchał i tyś już w rozpaczy,
Szukasz noża, probujesz głowę tłuc o ściany:
«Ratunku!» — Bóg nie daje, ja ci dać nie mogę!
Oko mam silne: spojrzę, może cię zabiję — —
Nie — ale ci pokażę okiem śmierci drogę.
Patrz, tam masz okno: wybij, skocz, zleć i złam szyję,
I ze mną tu leć w głębie, w ciemność — lećmy na dół —
Otchłań. — Otchłań ta lepsza niśli ziemi padół,

[1] W rękopisie, wszędzie Mollison. P. W.

Tu nie ma braci, matek, narodów, tyranów —
Pójdź tu. —

KS. PIOTR.

Duchu nieczysty, znam cię po twym jadzie!
Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,
Znowu w dom opuszczony leziesz brzydki gadzie.
Tyś wpełznął w jego usta, na zgubęś tu wpełznął,
W Imię Pańskie jam ciebie pojmał i ochełznął.
Exorciso —

DUCH.

Stój, nie klnij — stój — odstąp od progu:
Wyjdę. —

KS. PIOTR.

Nie wyjdziesz, aż się upodoba Bogu.
Lew z pokolenia Judy tu Pan: On zwycięża.
Sieć na lwa zastawiłeś i w twym własnym wniku
Złowiłeś się: Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.
W jego ustach chcę tobie najsroższy cios zadać:
Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać.

DUCH.

Parle-moi donc français, mon pauvre capucin!
J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin;
Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues —
Vielleicht sprechen Sie deutsch? was murmeln Sie so bang?
What is it? — Cavallero, respondere yo. —

KS. PIOTR.

Ty to z ust jego wrzeszczysz stu-językowa żmijo!

DUCH.

C'est juste. Dans ce jeu, nous sommes de moitié;
Il est savant, et moi, diable de mon métier.
J'étais son précepteur et je m'en glorifie;
En sais tu plus que nous, parle — je te défie.

KS. PIOTR.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

DUCH.

Ale stój, stój mój księże, stój, już dosyć tego!
Tylko księżuniu, nie męcz na próżno. — Czyś szatan,
Żeby tak męczyć?

KS. PIOTR.

Ktoś ty?

DUCH.

Lukrecy, Lewiatan,
Voltaire, alter Fritz, Legio sum.

KS. PIOTR.

Coś widział?

DUCH.

Zwierza.

KS. PIOTR.

Gdzie.

DUCH.

W Rzymie.

KS. PIOTR.

Nie słucha mię. Wróćmy do pacierza.
(Modli się.)

DUCH.

Ale słucham.

KS. PIOTR.

Gdzieś widział więźnia?

DUCH.

Mówię w Rzymie.

KS. PIOTR.

Kłamiesz —

DUCH.

Księże, na honor, na kochanki imię —
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha.
A wiesz ty jak się zowie moja luba? — Pycha.
Jakiś ty nieciekawy!

KS. PIOTR, do siebie.

Przeciwią się duchy;
Upokorzmy się Panu i zróbmy akt skruchy.
(Modli się.)

DUCH.

Ale co tam masz robić, ja sam stąd wyruszę.
Przyznaję się, że wlazłem niezgrabnie w tę duszę.
Tu mnie kole: ta dusza jest jak skóra jeża,
Włożyłem ją na wywrot, kolcami do kiszek.
(Ksiądz modli się.)

Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek;
Osły powinni ciebie obrać za Papieża.
Głupstwo stawią w kościele przodem, jak kolumny,
A ciebie kryją w kątku: świecznik, gwiazdę blasku!

KS. PIOTR.

Tyranie i pochlebco, i podły i dumny,
Żebyś pierś ugryzł, u nóg wleczesz się po piasku!

DUCH, śmiejąc się.

Aha! gniewasz się, pacierz przerwałeś. — Da capo —
Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą:
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów —
On trzepie swoje. — No, więc dosyć już tych swarów:
Znam twoją moc i chcę się tobie wyspowiadać,
Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać —
A wiesz ty, co o tobie mówią w całem mieście? —

(Ksiądz modli się.)

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście? —
A wiesz, dla czego tobie przeor tak nie sprzyja? —
A wiesz w Apokalipsie, co znaczy bestya? —
Milczy i trzepie; oczy aż strach we mnie wlepił —
Powiedz księżuniu, czegoś do mnie się uczepił?
Co ja winien, że takie mam odbierać chłosty?
Czyż ja jestem król djabłów? Wszak ja djabeł prosty!
Zważ: czy to prawnie, sługę ukarać za pana;
Wszakże ja tu przyszedłem z roskazu Szatana:
Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat
Jestem, jako Kreishauptman, Gubernator, Landrat;
Każą duszę brać w areszt: biorę, sadzę w ciemność!
Zdarza się przytem duszy jaka nieprzyjemność:
Ale czyż z mojej winy? Jam ślepe narzędzie —
Tyran szelma da ukaz, pisze: «Niech tak będzie» —
Czyż to mnie miło męczyć? Mnie samemu męka —
Ach, (wzdycha) jak to źle być czułym! Ach, serce mi pęka!
Wierz mi: gdy pazurami grzesznika odzieram,
Nieraz ogonem, ah! ah! łzy sobie ocieram.

(Ksiądz modli się.)

A wiesz, że jutro będziesz bity jako Haman?

KS. PIOTR.

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.
Ego te exorciso, spiritus immunde — —

DUCH.

Księże, stój! Słucham, gadam. Stój jednę sekundę!

KS. PIOTR.

Gdzie jest nieszczęsny więzień, co chce zgubić duszę? —
Milczysz? — Exorciso te —

DUCH.

Gadam, gadam — muszę.

KS. PIOTR.

Kogo widziałeś?

DUCH.

Więźnia.

KS. PIOTR.

Jakiego?

DUCH.

Grzesznika.

KS. PIOTR.

Gdzie?

DUCH.

Tam, w drugim klasztorze.

KS. PIOTR.

W jakim?

DUCH.

Dominika.
Ten grzesznik już przeklęty, prawem mi należy.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

On już umarły.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Chory leży.

KS. PIOTR.

Exorciso te —

DUCH.

Gadam, gadam, skaczę, śpiewam:
Tylko nie klnij! Jak gadać? Dusisz — ledwie ziewam.

KS. PIOTR.

Mów prawdę.

DUCH.

Grzesznik chory, lata bez pamięci,
I jutro rano szyję niezawodnie skręci.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Poświadczy godny świadek, kmotr Belzebub:
Pytaj go, męcz; niewinnej duszy mojej nie gub.

KS. PIOTR.

Jak ratować grzesznika?

DUCH.

Bodajeś zdechł, klecho!
Nie powiem.

KS. PIOTR.

Exorciso —

DUCH.

Ratować pociechą.

KS. PIOTR.

Dobrze. Gadaj wyraźnie: czego mu potrzeba?

DUCH.

Mam chrypkę, nie wymówię.

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

Mój Panie! królu!
Daj odpocząć. —

KS. PIOTR.

Mów, czego potrzeba. —

DUCH.

Księżulu!
Ja tego nie wymówię.

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

He! — Wina — Chleba —

KS. PIOTR.

Rozumiem: chleba Twego i krwi Twojej Panie!
Pójdę — i daj mi spełnić Twoje roskazanie.
(Do ducha.)

A teraz zabierz z sobą twe złości i błędy,
Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy.
(Duch uchodzi.)

KONRAD.

Dźwigasz mię! — Ktoś ty? Strzeż się, sam spadniesz w te doły!
Podaje rękę. — Lećmy! W górę jak ptak lecę,
Mile oddycham wonią, promieniami świecę.
Któż mi dał rękę? — Dobrzy ludzie i anioły! —
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów?
Ludzie? — Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów!

KS. PIOTR.

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
Usta, któremiś wieczny Majestat obraził,
Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;
Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,
Oby ci policzone były za pokutę,
Obyś o nich zapomniał. —

KONRAD.

Już są tam — wykute.

KS. PIOTR.

Obyś grzeszniku nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby się o znaczenie ich Bóg nie zapytał,
Módl się. Myśl twoja, w brudne obleczona słowa
Jak grzeszna z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje,
I większym niśli pierwej blaskiem zajaśnieje —
Usnął. —
(Klęka.)
Twe miłosierdzie Panie jest bez granic!
(Pada krzyżem.)
Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja, za jego winy, przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe Imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!
(Modli się.)

(W bliskim kościele za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad Księdzem Piotrem chór Aniołów na nótę: «Anioł pasterzom mówił.»)

CHÓR ANIOŁÓW, głosy dziecinne.

Pokój temu domowi,
Spoczynek grzesznikowi.
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój temu domowi!

ARCHANIOŁ PIERWSZY, na nótę: «Bóg nasz ucieczką.»

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie, zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim, Twoi Anieli.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Tych zdepc o Panie, tych złam, o panie, którzy Twe święte sądy pogardzą.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

ANIOŁ.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,
Hymn Narodzenia śpiewali Anieli:
Mędrcy nas nie widzieli,
Królowie nie słyszeli —

Pastuszkowie postrzegli,
I do Betlejem biegli:
Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali,
Biedni, prości i mali.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów sług swych obaczył,
Duchom wieczystym, Aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, Aniołów tłumy.
I deszczem lecą za niemi codzień mędrców rozumy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.

Litość! Litość! nad synem ziemi,
On był między wielkimi:
Litość nad synem ziemi!

ARCHANIOŁ DRUGI.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz on szanował imię Najswiętszej Twej Rodzicielki!
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

ANIOŁ.

Krzyż w złoto oprawiony
Zdobi królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze:
A w duszę wejść nie może
Oświeć, oświeć ich Boże!

CHÓR ANIOŁÓW.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!
Wygnani od mędrków i króli,
Prostaczek nas przytuli;
Nad nim dzień, noc, śpiewamy.

CHÓR ARCHANIOŁÓW.

Podnieś tę głowę: a wstanie z prochu, niebios dosięże,
I dobrowolnie padnie, i uczci krzyża podnóże!
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj polęże,
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy, Pan, nasz,
o Boże!

OBADWA CHÓRY.

Pokój! pokój prostocie,
Pokornej, cichej cnocie!
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój grzesznemu sierocie!

SCENA IV.

DOM WIEJSKI POD LWOWEM.

Pokój sypialny. — EWA, młoda panienka, wbiega, poprawia kwiaty przed obrazem Najświętszej Panny, klęka i modli się. Wchodzi MARCELINA.

MARCELINA.

Modlisz się jeszcze dotąd? Czas spać, północ biła.

EWA.

Jużem się za ojczyznę moją pomodliła,
Jak nauczono, i za ojca i za mamę.
Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same;
Choć oni tak daleko: ale to są dziatki
Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.
Litwin, co dziś tu przybył, uciekł od Moskali:
Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali;
Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić,
I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić.
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił,
Poszedł w pole, i dotąd z przechadzki nie wrócił.
Mama na mszę posłała i obchód żałobny,
Bo wielu z nich umarło. — Ja, pacierz osobny
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił:
(Pokazując książkę.)
I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.
Te piosenki czytałam: niektóre są piękne —
Jeszcze pójdę, przed Matką Najświętszą uklęknę,
Pomodlę się za niego: kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się na nim pomodlili. —
(Marcelina odchodzi. Ewa modli się i usypia.)

ANIOŁ.

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym, naszym kochankiem.
Rączęta liljowe za liście splećmy,
Za róże kwitnące czoła roznieśmy,

Spod wstążek gwiaździstych włos nasz rozwiążmy,
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie;
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem,
Kochanka naszego piersi okrążmy,
Kochanka naszego otulmy skronie.
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem.

EWA.

(WIDZENIE.)

Deszczyk tak świeży, miły, cichy jak rosa —
I skąd ten deszczyk? Tak czyste niebiosa,
Jasne niebiosa! —
Krople zielone, kraśne; trawki, równianki,
Róże, lilje, wianki
Obwijają mię w koło. Ach, jaki sen wonny,
Sen lekki, słodki: oby był dozgonny!

Różo błyszcząca, słoneczna,
Liljo przeczysta, mleczna,
Ty nie z ziemi: tam rosłaś, nad białym obłokiem! —
Narcyzie, jakiem śnieżnem patrzysz na mnie okiem?
A te błękitne kwiaty pamiątek,
Jak źrenice niewiniątek,
Poznałam: kwiatki moje — sama polewałam,
W moim ogródku wczoraj nazbierałam,
I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,
Tam nad łóżkiem na obrasku.
Widzę — to Matka Boska. — Cudowny blasku!
Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,
Podaje Jezusowi; a Jezus dziecię,
Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie!
Jak wypiękniały kwiatki, jak ich wiele, krocie:
A wszystkie w przelocie
Szukają na powietrzu siebie,
— Moje kochanki —
I same plotą się w wianki! —
Jak tu mi miło, jak w niebie;
Jak tu mi dobrze, mój Boże!

Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,
Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,
W te białe narcyza oczy!
Róża — ta róża żyje!
Wstąpiła w nią dusza,
Główką lekko rusza,
Jaki ogień z niej bije:
To rumieniec żyjący, jak zorzy wnijście!
Śmieje się, jak na uśmiech rozwija liście,
Roztula między liściem dwoje ust z koralu,
Mówi, coś mówi — jak cicho, jak skromnie —
Co ty różo szepcesz do mnie?
Zbyt cicho, smutnie. — Czy to głos żalu?
Skarżysz się, żeś wyjęta z rodzinnej trawki?
— Nie wzięłam ciebie dla mojej zabawki:
Jam tobą skronie Matki Najświętszej wieńczyła,
Jam po spowiedzi wczora łzami cię poiła. —
A z twoich ust koralu,
Wylatują promieniem
Iskierka po iskierce:
Czy taka światłość jest twojem pieniem?
Czego chcesz różo miła?

RÓŻA.

Weź mię na serce.

ANIOŁOWIE.

Rozwiążmy, rosplećmy anielski wianek.

RÓŻA.

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE.

My w niebo do domu lećmy wesoło.

RÓŻA.

Ja będę ją bawić, nim błyśnie ranek,
Na sennem jej sercu złożę me skronie:
Jak święty apostoł, Pański kochanek,
Na boskiem Chrystusa spoczywał łonie.

SCENA V.

CELA KSIĘDZA PIOTRA.

KSIĄDZ PIOTR.

(Modli się, leżąc krzyżem.)

Panie! czemże ja jestem przed Twojem obliczem
Prochem i niczem!
Ale, gdym Tobie moję nicość wyspowiadał:
Ja, proch, będę z Panem gadał.

(WIDZENIE.)

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.
Co widzę? — Długie, białe, dróg krzyżowych biegi —
Drogi długie — nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi:
Wszystkie na północ! Tam, tam w kraj daleki
Płyną jak rzeki.
Płyną: ta droga prosto do żelaznej bramy;
Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy;
A tamtej ujście w morzu — Patrz! po drogach leci
Tłum wozów: jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jednę stronę —
Ach Panie! to nasze dzieci,
Tam na północ. — Panie, Panie!
Takiż to los ich — wygnanie!
I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,
I pokolenie nasze zatracisz do końca? —
Patrz — Ha! To dziecię uszło — rośnie — to obrońca!
Wskrzesiciel narodu!
Z matki obcej; krew jego dawne bohatery;
A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! Czy przyjścia jego nie raczysz przyśpieszyć?
Lud mój pocieszyć? —
Nie! Lud wycierpi. — Widzę ten motłoch: tyrany,
Zbójce biegą — porwali — mój Naród związany,
Cała Europa wlecze, nad nim się urąga:
«Na trybunał!» Tam zgraja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk: sędzie —
To jego sędzie!
Krzyczą: «Gal, Gal sądzić będzie!»
Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce;
A króle krzyczą: «Potęp i wydaj go męce!
Krew jego spadnie na nas i na syny nasze.
Krzyżuj syna Marji, wypuść Barabasze!
Ukrzyżuj: on cesarza koronę znieważa;
Ukrzyżuj: bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!»
Gal wydał: — Już porwali — już niewinne skronie,
Zakrwawione w szyderskiej, cierniowej koronie,
Podnieśli przed świat cały — i ludy się zbiegły —
Gal krzyczy: oto narod wolny, niepodległy!

Ach Panie! już widzę krzyż. — Ach, jak długo, długo
Musi go nosić. — Panie, zlituj się nad sługą:
Daj mu siły: bo w drodze upadnie i skona! —
Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew
ukuty —
Już wleką: już mój naród na tronie pokuty;
Rzekł: «pragnę» Rakuz octem, Borus żółcią poi;
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.
Patrz! Oto żołdak Moskal z kopiją przyskoczył,
I krew niewinną mego narodu wytoczył —
Cóżeś zrobił najgłupszy, najsroższy z siepaczy? —
On jeden poprawi się — i Bóg mu przebaczy!

Mój kochanek! — Już głowę konającą spuścił,
Wołając: Panie! Panie! za coś mie opuścił —
On skonał! —

(Słychać chóry aniołów, daleki śpiew wielkanocnej pieśni. Nakoniec słychać «alleluja! alleluja!»)

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!
I od stóp jego wionęła
Biała jak śnieg szata —
Spadła szeroko — cały świat się w nią obwinął —
Mój kochanek na niebie, z przed oczu nie zginął:

Jako trzy słońca błyszczą jego trzy źrenice,
I ludom pokazuje przebitą prawicę.
Któż ten Mąż? — To namiestnik na ziemskim padole!
Znałem go — gdy był dzieckiem — znałem:
Jak urosł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pachole.
Mąż straszny — ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldachim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnożem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą, gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony —
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej; krew jego, dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!

(Zasypia.)

ANIOŁOWIE, schodzą widomie.

Usnął. — Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwleczmy; ubierzmy w światło jak jutrzenkę,
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecię:
Niech uświęci sennego ojcowską pieszczotą;
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

SCENA VI.

Pokój sypialny wspaniały. SENATOR obraca się na łożu i wzdycha. Dwóch djabłów nad głową.

DJABEŁ PIERWSZY.

Spił się, a nie chce spać;
Muszę tak długo stać.
Łajdaku cicho leż!
Czy go tam kole jeż?

DJABEŁ DRUGI.

Syp mu na oczy mak.

DJABEŁ PIERWSZY.

Zasnął, wpadnę jak zwierz.

DJABEŁ DRUGI.

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ.

Duszę do piekła wlec,
Wężami smagać, piec.

BELZEBUB.

Wara!

DWAJ DJABŁY.

Cóż to za kmotr?

BELZEBUB.

Belzebub.

DWAJ DJABŁY.

No, i cóż?

BELZEBUB.

Zwierzyny mi nie płosz.

DJABEŁ PIERWSZY.

Ale gdy zaśnie łotr,
Do mnie należy sen?

BELZEBUB.

Jak ujrzy noc i żar,
Srogość i mnogość kar:
Zlęknie się naszych scen,
Przypomni jutro sen,
Może poprawić się;
Jeszcze daleko zgon.

DJABEŁ DRUGI, wyciągając szpony.

Pozwól zabawić się!
Co ty o niego drżysz?
Gdy poprawi się on,
Ja każę święcić się,
I wezmę w ręce krzyż.

BELZEBUB.

Jak zbyt nastraszysz raz,
Gotów przypomnieć sen,
Gotów oszukać nas —
Wypuścisz ptaka z rąk.

JABEŁ PIERWSZY, pokazując sennego.

Ależ braciszek ten,
Ten mój majmilszy syn,
Będzież on spał bez mąk? —
Nie chcesz? — ja męczę sam

BELZEBUB.

Łotrze, a znasz mój czyn?
Od Cara zwierzchność mam!

DJABEŁ PIERWSZY.

Pardon — cóż każesz Waść?

BELZEBUB.

Możesz na duszę wpaść,
Możesz ją w pychę wzdąć,
A potem w hańbę pchnąć;
Możesz w pogardzie wlec,
I szyderstwami siec:
Ale o piekle cyt!
My lećmy — fit, fit, fit.
(Odlatuje.)

DJABEŁ PIERWSZY.

Więc ja za duszę cap:
A ha, łajdaku, drżysz!

DJABEŁ DRUGI.

Tylko ją bierz do łap,
Lekko, jak kotek mysz.

WIDZENIE SENATORA.

SENATOR, przez sen.

Pismo! — to do mnie — reskrypt Jego Carskiej Mości!
Własnoręczny — ha! ha! ha! — rubli sto tysięcy.
Order! — Gdzie lokaj? Przypnij tu! — Tytuł książęcy!
A! a! — Wielki marszałku! — pękną z zazdrości! —
(Przewraca się.)
Do Cesarza! — Przedpokój: oni wszyscy stoją;
Nienawidzą mię wszyscy, kłaniają się, boją.
Marszałek, Grand Controleur — ledwie poznasz, w masce —
Ach, jakie lube szemrania,
Do koła lube szemrania:
Senator w łasce, w łasce, w łasce, w łasce —
Ach, niech umrę, niech umrę śród tego szemrania,
Jak śród nałożnic moich łoskotania! —
Każdy się kłania;
Jestem duszą zebrania —
Patrzą na mnie, zazdroszczą; nos w górę zadzieram.
O roskoszy! Umieram — z roskoszy umieram! —
(Przewraca się.)
Cesarz! — Jego Imperatorska Mość. — A! Cesarz wchodzi,
A! — Co? — Nie patrzy! Zmarszczył brwi, spojrzał ukosem? —
Ach, Najjaśniejszy Panie! Ach! — Nie mogę głosem —
Głos mi zamarł. — Ach! dreszcz, pot — ach! dreszcz ziębi,
chłodzi
Ach, Marszałek — co? do mnie odwraca się tyłem,
Tyłem! A! senatory, dworskie urzędniki? —
Ach umieram, umarłem, pochowany, zgniłem,
I toczą mię robaki, szyderstwa, żarciki.
Uciekają odemnie. — Ha! jak pusto, głucho —
Szambelan szelma, szelma; patrz, wyszczerza zęby —
Brrr! ten uśmiech jak pająk, wleciał mi do gęby.
(Spluwa.)
Jaki dźwięk! — To kalembur. — O brzydka mucho!
(Opędza koło nosa.)
Lata mi koło nosa,
Jak osa.
I epigramy, żarciki, przytyki,

Te szmery. — Ach, to świerszcze wlazły mi w ucho;
Moje ucho, moje ucho!

(Wytrząsa palcem ucho.)

Jaki szmer! Kamerjunkry świszczą jak puszczyki,
Damy ogonem skrzeczą jak grzechotniki;
Jaki okropny szmer! śmiechy! wrzaski:
Senator wypadł z łaski, z łaski, z łaski, z łaski!

(Pada z łóżka na ziemię.)

DJABEŁ, zstępuje widomie.

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia
Psa złego. Lecz nie całkiem, nałożym kaganiec:
Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;
Drugą połowę wleczmy aż na świata kraniec,
Gdzie się doczesność kończy, a wieczność zaczyna,
Gdzie z sumieniem graniczy piekielna kraina;
I złe psisko uwiążem tam na pograniczu:
Tam pracuj ręko moja, tam świstaj, mój biczu.
Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni
Wrócić zmordowanego, skalanego ducha,
Znowu przykuć do zmysłów, jako do łańcucha,
I znowu w ciele zamknąć, jako w brudnej psiarni.

SCENA VII.

SALON WARSZAWSKI.

Kilku wielkich urzędników, kilku wielkich literatów, kilka dam wielkiego tonu, kilku jenerałów i sztabsoficerów: wszyscy incognito piją herbatę przy stoliku. Bliżej drzwi kilku młodych ludzi i dwóch starych Polaków. Stojący rozmawiają z żywością. Towarzystwo stolikowe mówi po francusku, przy drzwiach po polsku.

(Przy drzwiach.)

ZENON NIEMOJOWSKI, do Adolfa.

To i u was na Litwie toż samo się dzieje?

ADOLF.

Ach, u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje!

NIEMOJOWSKI.

Krew?

ADOLF.

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata,
Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.

(Rozmawiają ciszej.)

Przy stoliku.

HRABIA.

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ.

Ja słyszałem, że było pusto jak w kościele.

DAMA.

Owszem, pełno —

HRABIA.

I świetny?

DAMA.

O tem mówić długo.

KAMMERJUNKER.

Służono najniezgrabniej, choć z liczną usługą;
Nie miałem szklanki wina, ułamku pasztetu:
Tak zawalono całe wejście do bufetu.

DAMA PIERWSZA.

W sali tańców zgoła nic nie ugrupowano,
Jak na raucie angielskim po nogach deptano.

DAMA DRUGA.

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorów.

SZAMBELAN.

Przepraszam, bal proszony — mam dotąd bilety.

(Wyjmuje zaprosiny i pokazuje; wszyscy przekonanywają się.)

DAMA PIERWSZA.

Tem gorzej; pomięszano grupy, toalety,
Nie można było zgoła ocenić ubiorów.

DAMA DRUGA.

Odtąd jak Nowosilców wyjechał z Warszawy,
Nikt nie umie gustownie urządzić zabawy;
Nie widziałam pięknego balu ani razu:
On umiał ugrupować bal nakształt obrazu.

(Słychać między mężczyznami śmiech.)

DAMA PIERWSZA.

Śmiejcie się Państwo, mówcie co się wam podoba;
A była to potrzebna w Warszawie osoba.

Przy drzwiach.

JEDEN Z MŁODYCH.

Cichowski uwolniony! —

ADOLF.

Ja znam Cichowskiego.
Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,
Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.

ZENON NIEMOJOWSKI.

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić:
Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie.

(Gadają ciszej.)

MŁODA DAMA, przy nich stojąca.

A jakie on okropne wycierpiał męczarnie!

(Rozmawiają.)

Przy stoliku.

JENERAŁ, do literata.

Ale przeczytaj wreszcie — dajże się uprosić:

LITERAT.

Ja nie umiem na pamięć.

JENERAŁ.

Zwykłeś z sobą nosić.
Masz przy sobie pod frakiem — a — widzę okładki;
Damy chcą słyszeć.

LITERAT.

Damy? — a! to literatki!
Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją,
Niśli ja.

JENERAŁ, idzie mówić z damami.

Tylko niechaj Panie się nie śmieją.

DAMA.

Macie robić lekturę? — przepraszam — choć umiem
Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem.

JENERAŁ, do oficera.

Ma racyą po części, bo nudne po trochu.

(Pokazuje na literata.)

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(Do literata.)

Czytajże. Jeśli ciebie nie będziem słuchali,
To patrz —

(Pokazując na drugiego literata.)

Ten nam gazeciarz swe rymy wypali:
Śliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa.
Patrz, jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga,
I usta już otworzył jak zdechłą ostrygę,
I oko zwrócił wielkie i słodkie jak figę.

LITERAT, do siebie.

Wychodzą —

(Do Jenerała.)

Długie wiersze, jabym piersi strudził.

JENERAŁ, do oficera.

Dobrze, że nie chce czytać; bo by nas zanudził.

MŁODA DAMA.

(Oddzielając się od grupy młodszej ode drzwi do stolika,)

A to jest rzecz okropna! — Słuchajcie Panowie!

(Do Adolfa.)

Niechaj Pan tym Ichmościom o Cichowskim powie.[1]

OFICER WYŻSZY.

Cichowski wypuszczony?

HRABIA.

Przesiedział lat tyle

W więzieniu —

SZAMBELAN.

Ja myśliłem, że leżał w mogile.

(Do siebie.)

O takich rzeczach słuchać, nie bardzo bespiecznie.
A wyjść w środku powieści, byłoby niegrzecznie.

(Wychodzi.)

HRABIA.

Wypuszczony? — to dziwna.

ADOLF.

Nie znaleźli winy.

MISTRZ CEREMONJI.

Któż tu mówi o winach? Są inne przyczyny —
Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,
Które musi ukrywać. — To jest rzecz rządowa —
Tajniki polityczne — myśl gabinetowa.

[1] W rękopisie, w miejscu Cichowskiego wszędzie Machnicki. P. W.

To się tak wszędzie dzieje — są tajniki stanu —
Ale Pan z Litwy — a! a! — to jest dziwno Panu.
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swem gospodarstwie.
(Uśmiecha się.)

KAMMERJUNKER.

Pan z Litwy, i po polsku? — Nie pojmuję wcale —
Ja myślałem, że w Litwie, to wszystko Moskale.
O Litwie, dalibóg! że mniej wiem, niż o Chinach:
Constitutionel coś raz pisał o Litwinach;
Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA, do Adolfa.

Niech Pan opowie: to rzecz ważna, narodowa.

STARY POLAK.

Znałem starych Cichowskich: uczciwa rodzina;
Oni są z Galicyi. Słyszałem, że syna
Wzięli i zamorzyli: mój krewny daleki!
Nie widziałem go dawno. — O ludzie! o wieki!
Trzy pokolenia przeszły, jak nas przemoc dręczy;
Męczyła ojców naszych — dzieci wnuków męczy!

ADOLF.[1]

(Wszyscy zbliżają się i słuchają.)

Znałem go będąc dzieckiem. Był on wtenczas młody,
Żywy, dowcipny, wesół, i sławny z urody;
Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił,
Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił;
Lubił dzieci i często brał mię na kolana,
U dzieci miał on tytuł wesołego pana.
Pamiętam włosy jego: nie raz ręce moje
Plątałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje;

[1] W rękopisie

ADOLF JANUSZKIEWICZ.

Mój ojciec, chociaż z Litwy, ma tu kawał ziemi:
Bywałem tu, i znam się dobrze z Machnickiemi.

STARY POLAK.

Powiedz Pan, jeżeli Machnickiego znałeś:
Gdzie jest? Co się z nim stało? — Czy Pan go widziałeś?

ADOLF JANUSZKIEWICZ.

Znałem go — i t. d. P. W.

Wzrok pamiętam: musiał być wesoły, niewinny,
Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny;
I patrząc na nas, wabił nas do swej źrenicy —
Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rówiennicy.
On wtenczas miał się żenić: pomnę, że przynosił
Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.
Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu,
Że nie wiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu,
Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił;
Nakoniec powiedziano, zabił się, utopił.
Policya dowodem stwierdziła domysły:
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły.
Przyniesiono płaszcz żonie; poznała: on zginął;
Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął.
Dlaczegóż on się zabił? Pytano, badano,
Żałowano, płakano: wreszcie — zapomniano.
I minęło dwa lata. — Jednego wieczora,
Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztora.
Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,
Czy umyślnie ktoś był tej processyi świadkiem:
Może jeden z odważnych Warszawskich młodzieńców,
Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców.
Warty stały w ulicach, głucho było w mieście —
Wtem, ktoś z za mury krzyknął! więźnie, kto jesteście?
Sto ozwało się imion: śród nich dosłyszano
Jego imię, i żonie nazajutrz znać dano.
Pisała i latała, prosiła, błagała:
Lecz prócz tego imienia nic nie posłyszała.
I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści,
Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści,
Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania,
I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwalano,
Że karmiono śledziami i pić nie dawano;
Że pojono opium, nasyłano strachy,
Larwy; że łaskotano w podeszwy, pod pachy —
Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli
Mówić: żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony, w nocy dzwonią.
Otworzono: oficer i żandarm pod bronią,
I więzień — on! — Każą dać pióra i papieru;
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.
Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy: «jeśli
Wydasz —» i nie skończyli; jak weszli, odeszli.
To on był. — Biegę widzieć; przyjaciel ostrzega;
Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiega.
Idę nazajutrz: w progu policyjskie draby;
Idę w tydzień: on sam mię nie przyjmuje — słaby.

Aż niedawno za miastem w pojeździe spotkałem —
Powiedziano, że to on: bo go nie poznałem.
Utył, ale to była okropna otyłość:
Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość;
Policzki mu nabrzmiały, pożółkły i zbladły,
W czole zmarszczki pół wieka, włosy wszystkie spadły.
Witam: on mnie nie poznał, nie chciał mówić do mnie;
Mówię kto jestem: patrzy na mnie bezprzytomnie.
Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał —
Ach! Wszystko co przecierpiał w swych męczarniach dziennych,
I wszystko co przemyślił w swych nocach bezsennych:
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka! —
Bo na tem oku była straszliwa powłoka;
Źrenice miał podobne do kawałków szklannych,
Które zostają w oknach więzień kratowanych,
Których barwa jest szara jak tkanka pajęcza,
A które patrząc z boku, świecą się jak tęcza:
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy,
Ale ich okiem na wskroś przebić nie zdołamy;
Straciły przezroczytość, lecz widać po wierzchu,
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu —

W miesiąc poszedłem znowu; myśliłem, że zdoła
Rospatrzyć się na świecie i pamięć przywoła.
Tecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,

Tyle lat go badały mękami tyrany,
Tyle lat otaczały słuch mające ściany,
A całą jego było obroną — milczenie,
A całem jego były towarzystwem — cienie:
Że już się nie udało wesołemu miastu
Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.
Słońce zda mu się szpiegem, dzień donosicielem,
Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,
No klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;
Odwraca się i głowę na ręku opiera.
Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera,
Ścina usta, by słowa same nie wypadły,
Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu,
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,
Krzycząc zawsze dwa słowa: «nic nie wiem, nie powiem.»
I te dwa słowa jego stały się przysłowiem.
I długo przed nim płacze na kolanach żona
I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie:
Myślałem! że on ją nam najlepiej opowie,
Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów,
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów.
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach:
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach —
I cóż on na pytanie moje odpowiedział?
Że o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział,
Nie pomniał!! Jego pamięć zapisana cała,
Jak księga herkulańska pod ziemią spruchniała:
Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać.
Rzekł tylko: będę o to Pana Boga pytać,
On to wszystko zapisał, wszystko mi opowie —

(Adolf łzy ociera. — Długie milczenie.)

DAMA MŁODA, do literata.

Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?

HRABIA.

Niech to stary Niemcewicz w Pamiętniki wsadzi;
On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi .

LITERAT PIERWSZY.

To historya!

LITERAT DRUGI.

Straszna!

KAMMERJUNKER.

Dalibóg, wyśmienita.

LITERAT TRZECI.

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?
I proszę, jak opiewać spółczesne wypadki?
Zamiast mitologii, są naoczne świadki —
Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki:
Że należy poetom czekać — aż — aż —

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Póki? —

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży,
Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?

LITERAT PIERWSZY.

Nie ma wyraźnych reguł.

LITERAT DRUGI.

Ze sto lat.

LITERAT PIERWSZY.

To mało.

LITERAT TRZECI.

Tysiąc, parę tysięcy —

LITERAT CZWARTY.

A mnie by się zdało,
Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy:
Szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy.
Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;
Śpiewać, naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Sławianie, my lubim sielanki.

LITERAT PIERWSZY.

Spodziewam się, że Panu przez myśl nie przejedzie,
Powieść napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.

Ja mówię, że poezji nie ma bez poloru,
A polor być nie może, tam gdzie nie ma dworu.
Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie:
Ach ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie!

MISTRZ CEREMONJI.

Nie ma dworu! — no, to mię dziwi niepomału.
Przecież ja jestem mistrzem ceremoniału.

HRABIA, cicho do Mistrza.

Gdybyś namiestnikowi wyrzekł za mną słówko,
Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(Głośno.)

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!
Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA, niedawno kreowany z mieszczan.

Arystokracja zawsze swobód jest podporą,
Niech Państwo przykład z Wielkiej Brytanii biorą.

(Zaczyna się kłótnia polityczna. Młodzież wychodzi. Za drzwiami.)

PIERWSZY Z MŁODYCH.

A łotry! O, to kija!

A*** G.

O to stryczka, haku!
Ja bym im dwór pokazał, nauczyłbym smaku.

N***.

Patrzcie, cóż my tu poczniem, patrzcie przyjaciele:
Otóż to jacy stoją na narodu czele!

WYSOCKI.

Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród jak lawa;
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi!

(Odchodzą.)

SCENA VIII.

W Wilnie. Sala przedpokojowa. Na prawo drzwi do komissji śledczej, gdzie prowadzą więźniów i widać ogromne pliki papierów; w głębi drzwi do pokojów Senatora, gdzie słychać muzykę. Czas po obiedzie. U okna siedzi sekretarz nad papierami; dalej nieco na lewo stolik, gdzie grają w wista. Nowosilców pije kawę; koło niego szambelan Bajków, Pelikan i jeden doktor. U drzwi warta i kilku lokajów nieruchomych.

SENATOR, do szambelana.

Diable quelle corvée! przecież po obiedzie! —
La princesse nas zwiodła i dziś nie przyjedzie;
Zresztą, en fait des dames, stare, albo głupie:
Gadać, imaginez-vous, o sprawach przy zupie!
Je jure, tych patryotków nie mieć à ma table,
Avec leur franc parler et leur ton détestable.
Figurez vous, ja gadam o strojach, kasynie:
A moja kompania o ojcu, o synie —
«On stary, on zbyt młody, Panie senatorze;
On kozy znieść nie może, Panie senatorze;
On prosi spowiednika, on chce widzieć żonę;
On —» que sais-je! Piękny dyskurs w obiady proszone.
Il y a de quoi oszaleć! Muszę skończyć sprawę,
I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.
Monseigneur mi napisał de revenir bientôt;
On się bezemnie nudzi, a ja z tą hołotą
Je n'en puis plus —

DOKTOR, podchodząc.

Mówiłem właśnie Jaśnie Panie,
Że ledwie rzecz zaczęta, i sprawa w tym stanie,
W jakim jest chory, kiedy lekarz go nawiedzi
I zrobi anagnosin. — Mnóstwa uczniów siedzi;
Tyle było śledzenia, żadnego dowodu:
Jeszcześmy nie trafili w samo jądro wrzodu.
Cóż odkryto? wierszyki! Ce sont de maux légers,
Ce sont, można powiedzieć, accidens passagers:
Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną,
I —

SENATOR, z urazą.

Tajemną? — To widzę panu w oczach ciemno!
I nie dziw, po obiedzie. — Więc signor Dottore,
Adio, bona notte — dzięki za perorę!
Tajemną! — Sam śledziłem i ma być tajemną?
I vous osez, docteur, mówić tak przedemną? —
Któż kiedy widział u nas formalniejsze śledztwa?
(Pokazuje papiery.)
Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa:
Wszystko jest; i tu cały spisek świętokradzki,
Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.
Tajemną! — Za te nudy, owóż co mam w zysku.

DOKTOR.

Jaśnie Panie, excusez, któż wątpi o spisku!
Właśnie mówię, że —

LOKAJ.

Człowiek kupca Kanissyna
Czeka, i jakiś Panu rejestr przypomina.

SENATOR.

Rejestr? — jaki tam rejestr? kto?

LOKAJ.

Kupiec Kanissyn,
Co mu Pan przyjść rozkazał —

SENATOR.

Idź-że precz sukinsyn!
Widzisz, że ja zajęty.

DOKTOR, do lokajów.

A głupie bestye,
Przychodzić? — Pan senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ, wstając od stoliku.

On powiada, że jeśli Pan zapłatę zwleka,
On zrobi proces.

SENATOR.

Napisz grzecznie; niechaj czeka.
(Zamyśla się.)
A propos — ten Kanissyn, trzeba mu wziąść syna
Pod śledztwo. — Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ.

To mały chłopczyna.

SENATOR.

Oni to wszyscy mali: ale patrz w ich serce —
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w iskierce.

SEKRETARZ.

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR.

W Moskwie? A, voyez vous,
Emissaryusz klubów! — Czas zabieżeć temu,
Wielki czas.

SEKRETARZ.

On podobno u kadetów służy.

SENATOR.

U kadetów? — Voyez vous: on tam wojsko burzy.

SEKRETARZ.

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR.

Oh! cet incendiaire,
Ma tu korespondentów.
(Do sekretarza.)
Ce n'est pas ton affaire,
Rozumiesz! — Hej, dežurny! We dwadzieścia cztery
Godzin, wysłać kibitkę i zabrać papiery.
A zresztą ojciec lękać się nie ma przyczyny,
Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

DOKTOR.

Właśnie jak miałem honor mówić Jaśnie Panu,
Są tam ludzie różnego i wieku i stanu:
To najniebespieczniejsze jest spisku symptoma,
A wszystkiem rusza pewna sprężyna kryjoma,
Którą —

SENATOR, z urazą.

Kryjoma?

DOKTOR.

Mówię, tajemnie skrywana,
Odkryta dzięki przezorności Jaśnie Pana —
(Senator odwraca się. Do siebie.)
To szatan niecierpliwy; z tym człowiekiem bieda!
Mam tyle ważnych rzeczy: wymówić mi nie da.

PELIKAN, do senatora.

Co Pan senator każe z Rollisonem robić?

SENATOR.

Jakim?

PELIKAN.

Co na śledztwie musiano go obić.

SENATOR.

Eh bien?

PELIKAN

On zarochował.

SENATOR

Wieleż kijów dano?

PELIKAN.

Byłem przy śledztwie, ale tam nie rachowano.
Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW.

Pan Botwinko! ha, ha!
O, nie prędko on kończy, gdy się raz rozmacha:
Ja zaręczam, że on go opatrzył nieszpetnie —
Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie.

SENATOR, zadziwiony.

Trois cents coups, et vivant! Trois cents coups, le coquin:
Trois cents coups, sans mourir? — quel dos jacobin!
Myślałem, że w Rosji la vertu cutanée
Surpasse tout: ten łotr ma une peau mieux tannée!
Je n'y conçois rien! Ha, ha, ha, mon ami,
(Do grającego w wista, który czeka na swego kompana.)
Polaki nam odbiorą nasz handel skórami!
Un honnête soldat en serait mort dix fois!
Quel rebelle! —
(Podchodzi do stolika.)
Dla Pana mam un homme de bois:
Chłopiec drewniany; dał mu sam Botwinko kije.
Trzysta kijów dziecięciu — figurez-vous? — żyje! —
(Do Pelikana.)
Nic nie wyznał?

PELIKAN.

Prawie nic. Zęby tylko zaciął;
Krzyczy, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół.

Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele:
Widać, że ci uczniowie — jego przyjaciele.

SENATOR.

C'est juste. Jaki upór!

DOKTOR.

Właśnie powiadałem
Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szałem,
Ucząc ich głupstw: naprzykład starożytne dzieje! —
Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje?

SENATOR, wesoło.

Vous n'aimez pas l'histoire? — Ha! ha, un satirique
Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR.

I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie
Co robili królowie, wielcy ministrowie —

SENATOR.

C'est juste.

DOKTOR, ucieszony.

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziej,
Że jest sposób wykładać dzieje i dla młodzi:
Lecz po co zawsze prawić o republikanach,
Zawsze o Ateńczych, Spartanach, Rzymianach? —

PELIKAN, do jednego ze swych towarzyszów, pokazując doktora.

Patrz, patrz, jak za nim łazi pochlebca przeklęty.
I wścibi mu się w łaskę. — Co to za wykręty! —

(Podchodzi do doktora.)

Ale cóż o tem mówić, czy to teraz pora?
Zważ no, czy można nudzić Pana senatora?

LOKAJ, do senatora.

Czy Pan rozkaże wspuścić te panie — kobiety —
Pan wie — co wysiadują tu co dzień z karety —
Jedna ślepa, a druga —

SENATOR.

Ślepa, Któż to ona?

LOKAJ.

Pani Rollison.

PELIKAN.

Matka tego Rollisona.

LOKAJ.

Co dzień tu są.

SENATOR.

Odprawić było —

DOKTOR.

Z Panem Bogiem!

LOKAJ.

Odprawiamy: lecz siada i skwierczy pod progiem.
Kazaliśmy brać w areszt: ze ślepą kobietą
Trudno iść; lud się skupił, żołnierza wybito —
Czy mam wpuścić?

SENATOR.

E! rady sobie dać nie umiesz! —
Wpuścić; tylko aż do pół schodów — czy rozumiesz? —
A potem ją sprowadzić — aż w dół: o tak (z gestem) tęgo,
Żeby nas nie nudziła więcej swą włóczęgą.

(Drugi lokaj wschodzi i oddaje list Bajkowowi.)

No, czegóż stoisz, pójdź-że —

BAJKOW.

Elle porte une lettre.

(Oddaje list.)

SENATOR.

Któżby to za nią pisał?

BAJKOW.

La princesse peut-être —

SENATOR, czyta.

Księżna! — Skąd jej to przyszło? Na kark mi ją wpycha.
Avec quelle chaleur! — Wpuścić ją do licha!

(Wschodzą dwie damy i Ksiądz Piotr.)

PELIKAN, do Bajkowa.

To stara czarownica, mère de ce fripon.

SENATOR, grzecznie.

Witam, witam! Któraż z Pań jest Pani Rollison?

P. ROLLISONOWA, z płaczem.

Ja. — Mój syn! — Panie Dobrodzieju —

SENATOR.

Proszę — chwilę:
Pani masz list; a po cóż przyszło tu Pań tyle?

DRUGA DAMA.

Nas dwie.

SENATOR, do drugiej.

I po cóż Panią mam tu honor witać?

DRUGA.

Pani Rollison trudno drogi się dopytać,
Nie widzi —

SENATOR.

Ha! nie widzi — a to wącha może?
Bo co dzień do mnie trafia.

DRUGA.

Ja tu ją przywożę.
Ona sama i stara i nie bardzo zdrowa.

P. ROLLISONOWA.

Na Boga! —

SENATOR.

Cicho.
(Do drugiej.)
Pani któż jesteś?

DRUGA.

Kmitowa.

SENATOR.

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie.
Jest na nich podejrzenie —

KMITOWA, blednąc.

Jakto, jakto? Panie!
(Senator śmieje się.)

P. ROLLISONOWA.

Panie! Litość! — Ja wdowa, Panie senatorze!
Słyszałam, że zabili. — Czyż można, mój Boże!
Moje dziecko! — Ksiądz mówi, że on jeszcze żyje:
Ale go biją, Panie! — Któż dzieci tak bije! —
Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito.
(Płacze.)

SENATOR.

Gdzie? kogo? — Gadaj przecie po ludzku, kobieto!

P. ROLLISONOWA.

Kogo? — Ach dziecko moje? Mój Panie — ja wdowa —
Ach, wieleż to lat, póki człek dziecko wychowa! —

Mój Jaś już drugich uczył: niech Pan wszystkich spyta,
Jak on uczył się dobrze. — Ja biedna kobieta!
On mię żywił ze swego szczupłego dochodu —
Ślepa, on był mi okiem. — Panie, umrę z głodu.

SENATOR.

Kto poplótł, że go bili, nie wyjdzie na sucho.
Kto mówił?

P. ROLLISONOWA.

Kto mi mówił? — Ja mam matki ucho.
Ja ślepa: teraz w uchu cała moja dusza,
Dusza matki. — Wiedli go wczoraj do ratusza:
Słyszałam —

SENATOR.

Wpuszczono ją? —

P. ROLLISONOWA.

Wypchnęli mię z progu,
I z bramy i z dziedzińca. Siadłam tam na rogu,
Pod murem — mury grube — przyłożyłam ucho —
Tam siedziałam od rana. W północ w mieście głucho:
Słucham — w północ, tam z mura — nie, nie zwodzę siebie,
Słyszałam go, słyszałem, jak Pan Bóg na niebie;
Ja głos jego słyszałam uszami własnemi —
Cichy, jakby z pod ziemi, jak ze środka ziemi —
I mój słuch wszedł w głąb' muru, daleko, głęboko;
Ach, dalej poszedł, niśli najbystrzejsze oko.
Słyszałam — męczono go! —

SENATOR.

Jak w gorączce bredzi!
Ale tam, moja Pani, wielu innych siedzi!

P. ROLLISONOWA.

Jakto? — Czyż to nie był głos mojego dziecięcia?
Niema owca pozna głos swojego jagnięcia
Śród najliczniejszej trzody. — Ach, to był głos taki! —
Ach, dobry Panie, żebyś słyszał raz głos taki,
Tobyś już nigdy w życiu spokojnie nie zasnął! —

SENATOR.

Syn Pani zdrów być musi, gdy tak głośno wrzasnął.

P. ROLLISONOWA, pada na kolana.

Jeśli masz ludzkie serce! —

(Otwierają się drzwi od sali. Słychać muzykę. Wbiega panna, ubrana jak na bal.)

PANNA.

Monsieur le sénateur —
Oh! je vous interromps. — On va chanter le choeur
De Don Juan, et puis le concerto de Herz —

SENATOR.

Herz! choeur! Tu także była mowa około serc —
Vous venez à propos, vous, belle comme un coeur!
Moment sentimental! il pleut ici des coeurs —

(Do Bajkowa.)

Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,
Ma foi, to jużbym dawno w radzie państwa siedział —

(Do Panny.)

J'y suis — dans un moment.

P. ROLLISONOWA.

Panie, nie rzucaj nas
W rozpaczy! Ja nie puszczę —

(Chwyta za suknię.)

PANNA.

Faites-lui donc grace!

SENATOR.

Diable m'emporte, jeśli wiem, czego chce ta jędza.

P. ROLLISONOWA.

Chcę widzieć syna.

SENATOR, z przyciskiem.

Cesarz nie pozwala.

KS. PIOTR.

Księdza!

PANI ROLLISONOWA.

Księdza przynajmniej poszlij: syn mój prosi księdza,
Może kona! — Gdy ciebie płacz matki nie wzruszy:
Bój się Boga! Dręcz ciało, ale nie gub duszy!

SENATOR.

C'est drole! Kto te po mieście wszystkie plotki nosi!
Kto Waćpani powiedział, że on księdza prosi?

P. ROLLISONOWA, pokazując Księdza Piotra.

Ten ksiądz poczciwy mówił. On tygodni tyle
Biega, błaga; lecz nie chcą wpuścić i na chwilę.
Spytaj księdza, on powie —

SENATOR, patrząc bystro na księdza.

To on wie? — poczciwy —
No zgoda, zgoda — dobrze. — Cesarz sprawiedliwy:
Cesarz księży nie wzbrania; owszem sam posyła,
Aby do moralności młodzież powróciła.
Nikt jak ja religii nie ceni, nie lubi —

(Wzdycha.)

Ach, ach! Brak moralności, to, to młodzież gubi! —
Eh bien, żegnam więc Panie.

P. ROLLISONOWA, do Panny.

Ach, panienko droga!
Wstaw się ty jeszcze za mną, ach, na rany Boga!
Mój syn mały! — rok siedzi o chlebie i wodzie,
W zimnem, zimnem więzieniu, bez odzieży, w chłodzie —

PANNA.

Est-il possible? —

SENATOR, w ambarasie.

Jak to; jak to? on rok siedział?
Jakto? Imaginez-vous — jam o tem nie wiedział!

(Do Pelikana.)

Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rozpatrzyć:
Jeśli to prawda, uszy komisarzom natrzeć.

(Do Rollisonowej.)

Soyez tranquille, i przyjdź tu o siódmej godzinie.

P. KMITOWA.

Nie płacz tak. Pan Senator nie wie o twym synie;
Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi.

P. ROLLISONOWA, uradowana.

Nie wie? — chce wiedzieć? — O niech mu Pan Bóg nagrodzi,
Ja to zawsze mówiłam ludziom: być nie może,
Tak okrutny jak mówią on stworzenie boże,
On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła —
Ludzie śmieli się: widzisz, jam prawdę mówiła.

(Do Senatora.)

Tyś nie wiedział! — Te łotry wszystko tobie tają.

Wierz mi, Panie, tyś łotrów otoczony zgrają!
Nie ich pytaj, nas pytaj: my wszystko powiemy,
Całą prawdę —

SENATOR, śmiejąc się.

No, dobrze, o tem pomówiemy;
Dziś nie mam czasu, adieu. — Księżnej powiedz Pani,
Że co można, to wszystko każę zrobić dla niej.

(Grzecznie.)

Adieu Madame Kmite, adieu — co mogę to zrobię.

(Do księdza Piotra.)

Waść księże zostań; parę słów mam szepnąć tobie.

(Do Panny.)

J'y suis dans un moment.

(Wszyscy odchodzą prócz dawnych osób.)

SENATOR, po pauzie do lokajów.

A, szelmy! łajdaki!
Łotry! Stoicie przy drzwiach — i porządek taki? —
Skórę wam zedrę szelmy, służby was nauczę:

(Do jednego lokaja.)

Słuchaj — ty idź za babą —

(Do Pelikana.)

Nie, Panu poruczę:
Skoro wyjdzie od Księżnej, daj jej pozwolenie
Widzieć syna i prowadź aż tam — tam, w więzienie
Potem osobno zamknij — tak, na cztery klucze —
C'en est trop. — A łajdaki! służby was nauczę!

(Rzuca się na krzesło.)

LOKAJ, ze drżeniem.

Pan kazał wpuścić —

SENATOR, schwytując się.

A? co? — Ty śmiesz, ty! mnie gadać? —
Toś wyuczył się w Polsce panu odpowiadać? —
Stój, stój, ja cię oduczę! — Wieść go do kwatery
Policmajstra — sto kijów i tygodni cztery
Na chleb i wodę —

PELIKAN.

Niech Pan Senator uważy,
Iż mimo tajemnicy i czujności straży,
O biciu Rollisona, niechętne osoby
Wieść roznoszą i może wynajdą sposoby,

Oczernić przed cesarzem nasze czyste chęci,
Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nie skręci.

DOKTOR.

Właśnie ja rozmyślałem nad tem Jaśnie Panie —
Rollison od dni wielu cierpi pomięszanie;
Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,
A okna są zamknięte —

PELIKAN.

On chory na płuca;
Nie należy w zamknionem powietrzu go morzyć —
Rozkażę mu więc okna natychmiast otworzyć —
Mieszka na trzeciem piętrze — powietrza użyje —

SENATOR, roztargniony.

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję! —
Nie dadzą chwili —

DOKTOR.

Właśnie mówię, Jaśnie Panie,
Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.
Po obiedzie, mówiłem zawsze, niechaj Pan te
Sprawy odłoży na czas. — Ça mine la santé.

SENATOR, spokojnie.

Eh mon docteur, przed wszystkiem służba i porządek! —
Potem, to owszem dobrze na słaby żołądek;
To żółć porusza, a żółć fait la digestion.
Po obiedzie, ja mógłbym voir donner la question,
Kiedy tak każe służba. — En prenant son café,
Wiesz co, to chwila właśnie widzieć auto-da-fé —

PELIKAN, odpychając doktora.

Jakże Pan z Rollisonem każe decydować?
Jeżeli on dziś jeszcze — umrze, to? —

SENATOR.

Pochować!
I pozwalam, jeżeli zechcesz, balsamować —
A propose balsamu; Bajkow! tobie by się zdało
Trochę balsamu; bo masz takie trupie ciało,
A żenisz się. Czy wiecie? On ma narzeczonę —

(Drzwi z lewej strony odmykają się. Lokaj wchodzi. Senator pokazując drzwi:)

Tę panienkę, tam, patrzaj, białą i czerwoną —

Fi! pan młody, avec un teint si délabré!
Powinienbyś brać ślub twój, jak Tiber, à Capré.
Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić,
Pięknemi usteczkami słowo tak wykrztusić.

BAJKOW.

Zmusić? — Parions, że ja z nią za rok się rozwiodę,
I potem co rok będę brał żoneczki młode,
Bez przymusu. Dość spojrzeć na tę lub na ową:
C'est beau małej szlachciance być jenerałową.
Spytaj księdza, jeżeli zapłacze przy ślubie.

SENATOR.

A propos księdza —

(Do Księdza.)

Pójdźno mój czarny Cherubie!
Patrzcie, quelle figure! — On ma l'air d'un poëte —
Czy ty widziałeś kiedy un regard aussi bête?
Potrzeba go ożywić. — Masz rumu kieliszek.

KS. PIOTR..

Nie piję.

SENATOR.

No kapłanie, pij!

KS. PIOTR.

Jestem braciszek.

SENATOR.

Braciszek czy stryjaszek, skądże to Waszeci
Wiedzieć, co po więzieniach robią cudze dzieci?
Czy to Waszeć chodziłeś z wieściami do matki?

KS. PIOTR.

Ja.

SENATOR, do Sekretarza.

Zapisz to wyznanie — a oto są świadki.

(Do Księdza.)

A skądżeś o tem wiedział; he? — Ptaszek nie lada!
Spostrzegł się, że notują i nie odpowiada —
W jakim klasztorze bractwo twe?

KS. PIOTR.

U Bernardynów.

SENATOR.

A u Dominikanów pewnie masz kuzynów?

Bo u Dominikanów ten Rollison siedział.
No, gadajże: skąd ty wiesz, kto ci to powiedział?
Słyszysz! Ja tobie każę. — Nie szepcz mi po cichu.
Ja w imieniu cesarza każę: słyszysz, mnichu?
Mnichu! Czy ty słyszałeś o ruskim batogu? —

(Do Sekretarza.)

Zapisz, że milczał.

(Do Księdza.)

Wszak ty służysz Panu Bogu —
Znasz ty teologię? — Słuchaj teologu:
Wiesz ty, że wszelka władza od Boga pochodzi?
Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi.

(Ksiądz milczy.)

A czy wiesz mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,
I obaczym, czy przeor potrafi cię wskrzesić.

KS. PIOTR.

Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha:
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR.

Jeżeli cię powieszę a cesarz się dowie,
Żem zrobił nieformalnie: a wiesz co on powie?
«Ej senatorze, widzę, że się już ty bisisz.»
A ty mnichu tym czasem jak wisisz tak wisisz! —
Pójdź-no bliżej, ostatni raz będę cię badał:
Wyznaj, kto tobie o tem biciu rozpowiadał?
He? — Milczysz? — Już od Boga ty się nie dowiedział —
Któż mówił! — Co? — Bóg? — anioł? — djabeł?

KS. PIOTR.

Tyś powiedział.

SENATOR, obruszony.

Tyś! — mnie mówić tyś? — tyś — ha! mnich!

DOKTOR.

Ha, kapcanie!
Mówi się Panu, Jaśnie Oświecony Panie,

(Do Pelikana.)

Naucz go tam, jak mówić. Ten mnich widzę z chleba
Daj mu tak —

(Pokazuje ręką.)

PELIKAN, daje księdzu policzek.

Widzisz ośle, senator się gniewa!

KSIĄDZ, do doktora.

Panie, odpuść mu Panie, on nie wie, co zrobił!
Ach bracie, tą złą radą tyś sam się już dobił.
Dziś ty staniesz przed Bogiem.

SENATOR.

Co to?

BAJKOW.

On błaznuje.
Daj mu jeszcze raz w papę, niech nam prorokuje.

(Daje mu szczutkę.)

KS. PIOTR.

Bracie! I ty poszedłeś za jego przykładem!
Policzone dni twoje, pójdziesz jego śladem.

SENATOR.

Hej, posłać po Botwinkę! — Zatrzymać tu klechę —
Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę:
Obaczym, czy on będzie milczał tak upornie.
Ktoś go namówił —

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie:
To jest rzecz umówiona i te wszystkie spiski
Kieruje, jak wiem pewnie, Książe Czartoryski.

SENATOR, schwytuje się krzesła.

Que me dites vous là, mon cher, o Książęciu?
Impossible —

(Do siebie.)

Kto wie? — eh! — Śledztwo lat dziesięciu
Nim się Książe wyplącze, jeśli ja go splątam —

(Do doktora.)

Skądże wiesz?

DOKTOR.

Dawno, czynnie, sprawą się zaprzątam —

[1] W rękopisie:

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie —

SENATOR, odwraca się.

DOKTOR, do siebie.

Znowu mnie nie chce słuchać! — Niech mnie cobądź spotka
Nie ma rady — chwyćmy się ostatniego środka.

(Do senatora.)

To jest rzecz, i t. p

SENATOR.

I Pan mi nie mówiłeś:

DOKTOR.

Jaśnie Pan nie słuchał;
Ja mówiłem, że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR.

Ktoś! ktoś! — Ale czy Książe?

DOKTOR.

Mam ślad oczywisty,
Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR.

Listy Księcia? —

DOKTOR.

Przynajmniej jest mowa o Księciu
W tych listach i o całem jego przedsięwzięciu,
I wielu professorów — a głównem ogniskiem
Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR, do siebie.

Ach, gdyby jaki dowód choćby podejrzenie,
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!
Nie raz już mi o uszy obiła się mowa:
To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa.
Obaczym teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić:
Czy ten, co umiał wynieść, czy ten, co obalić.
(Do doktora.)
Pójdź, que je vous embrasse! — A! a! to rzecz inna!
Ja wraz zgadnąłem, że to sprawa nie dziecinna;
Ja wraz zgadnąłem, że to jest Książęcia sztuka.

DOKTOR, poufale.

I Pan zgadł? — Zje djabła; kto Pana oszuka —

SENATOR, poważnie.

Choć ja wiem o tem wszystkiem, Panie Radco stanu:
Jeśli odkryć dowody udało się Panu,
Écoutez, daję Panu senatorskie słowo:
Najprzód pensyę roczną powiększę połową,
I tę skargę za dziesięć lat służby policzę;
Potem może starostwo, dobra kanonicze,
Order — kto wie? Nasz cesarz wspaniale opłaca
Ja go sam będę prosił, już to moja praca.

DOKTOR.

Mnie też to kosztowało nie mało zabiegów:
Ze szczupłej mojej płacy opłacałem szpiegów;
A wszystko z gorliwości o dobro cesarza.

SENATOR, biorąc go pod rękę.

Mon cher, idź zaraz, weźmij mego sekretarza.
Wziąść te wszystkie papiery i opieczętować;
(Do doktora.)
Wieczorem będziem wszystko razem trutynować,
(Do siebie.)
Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe:
A on z tego odkrycia miałby zysk i chwałę! —
(Zamyśla się. Do sekretarza na ucho.)
Przyaresztuj doktora razem z papierami.
(Do Bajkowa, który wchodzi.)
To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.
Doktor wymknął się z pewnem słówkiem nieumyślnie —
Zbadałem go — a śledztwo ostatek wyciśnie.
(Pelikan, widząc względy senatora, odprowadza doktora i kłania mu się nisko.)

DOKTOR, do siebie.

Niedawno mię odpychał — ho, ho, Pelikanie!
I ja go zepchnę i tak, że już nie powstanie!
(Do senatora.)
Zaraz wracam.

SENATOR, niedbale.

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta.

DOKTOR, patrząc na zegarek.

Co to? na mym zegarku godzina dwunasta?

SENATOR.

Już piąta.

DOKTOR.

Bo, już piąta? — Ledwie oczom wierzę?
Mój index na dwunastej, na-samym numerze
Stanął i na dwunastej sam indeksu nosek;
Żeby choć, o sekundę ruszył, choć o włosek!

KS. PIOTR.

Bracie! I twój już zegar stanął i nie ruszy
Do drugiego południa. — Bracie, myśl o duszy!

DOKTOR.

Czego ty chcesz?

PELIKAN.

Proroctwo tobie jakieś burczy.
Patrz, jak oczy mu błyszczą: istny wzrok jaszczurczy!

KS. PIOTR.

Bracie, Pan Bóg różnemi znakami ostrzega —

PELIKAN.

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega —

(Otwierają się drzwi z lewej strony. Wchodzi mnóstwo dam wystrojonych. urzędników, gości. Za niemi muzyka.)

P. GUBERNATOROWA.

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA.

C'est indigne!

P. JENERAŁOWA.

Ah! mon cher sénateur,
Czekamy, posyłamy —

P. SOWIETNIKOWA.

Vraiment, c'est un malheur.

WSZYSTKIE, razem.

Wreszcie przyszłyśmy szukać —

SENATOR.

Cóż to? — Jaka gala!

DAMA.

I tu możemy tańczyć; dość obszerna sala.

(Stają i szykują się do tańca.)

SENATOR.

Pardon, mille pardons, j'étais très occupé.
Que vois-je, un menuet? — Parfaitement groupé!
Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse!

KSIĘŻNA.

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR.

Est-ce vous, ma déesse!
Que j'aime cette danse! Une surprise? Ah! dieux!

KSIĘŻNA.

Vous danserez, j'espère.

SENATOR.

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z Don Juana. Z lewej strony stoją czynownicy, czyli urzędnicy i urzędniczki; z prawej kilku z młodzieży, kilku młodych oficerów rossyjskich, kilku starych ubranych po polsku i kilka młodych dam. Na środku menuet. Senator tańczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z Księżną.

BAL.

SCENA ŚPIEWANA.

DAMA, z prawej strony.

Patrz, patrz starego: jak się wije,
Jak sapie. Oby skręcił szyję!
(Do senatora.)
Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan!
(Na stronę.)
Il crévera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK.

Patrz, jak on łasi się i liże.
Wczoraj mordował, tańczy dziś!
Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,
Skacze jak w klatce ryś.

DAMA.

Wczoraj mordował i katował,
I tyle krwi niewinnej wylał;
Patrz, dzisiaj on pazury schował,
I będzie się przymilał.
(Z lewej strony.)

KOLLESKI REGISTRATOR, do sowietnika.

Tańczy senator czy widzicie?
Ej sowietniku, pójdźmy w tan.

SOWIETNIK.

Uważaj czy to przyzwoicie,
Byś ze mną tańczył Pan.

REGISTRATOR.

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK.

Ale nie o to idzie rzecz:
Ja sobie wolę tańczyć sam,
Niż z tobą — pójdź-że precz.

REGISTRATOR.

Skądże to?

SOWIETNIK.

Jestem sowietnikiem.

REGISTRATOR.

Ja jestem oficerski syn.

SOWIETNIK.

Mój Panie, ja nie tańczę z nikim,
Kto ma tak niski czyn.
(Do pułkownika.)
Pójdź Pułkowniku, pójdź-że w tanicc:
Widzisz, że tańczy sam senator.

PUŁKOWNIK.

Jaki kam gadał oszarpaniec?
(Pokazując registratora.)

SOWIETNIK.

Kolleski registrator!

PUŁKOWNIK.

Ta szuja istne jakubiny!

DAMA, do Senatora.

Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan.

SOWIETNIK, z gniewem.

Jak tu pomięszały się czyny!

DAMA.

Il crévera dans l'instant.

LEWA STRONA, chórem.

DAMA.

Ah quelle beauté, quelle grâce!

MĘŻCZYZNI.

Jaka to świetność, przepych jaki!

PRAWA STRONA, chórem.

MĘŻCZYZNI.

A łotry, szelmy, ah łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł!

SENATOR, tańcząc, do gubernatorowej.

Chcę zrobić znajomość starosty.
On piękną żonę, córkę ma:
Ale zazdrosny —

GUBERNATOR, biegąc za Senatorem.

To człek prosty:
Niech Pan to na nas zda.

(Podchodzi do Starosty.)

A żona Pańska?

STAROSTA.

W domu siedzi.

GUBERNATOR.

A córki?

STAROSTA.

Jednę tylko mam.

GUBERNATOROWA.

I córka balu nie odwiedzi?

STAROSTA.

Nie.

GUBERNATOROWA.

Pan tu sam?

STAROSTA.

Ja sam.

GUBERNATOR.

I żona nie zna senatora?

STAROSTA.

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA.

Chciałam wziąć córkę pańską wczora.

STAROSTA.

Usłużność Pani znam.

GUBERNATOR.

Tu w menuecie para zbywa:
Senator potrzebuje dam.

STAROSTA.

Moja córka w parach nie bywa:
Jej parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA.

Mówiono, że tańczy i grywa:
Senator chciał zaprosić sam.

STAROSTA.

Widzę, że pan senator wzywa
Naraz po kilka dam.

LEWA STRONA. chórem.

Jaka muzyka, jaki śpiew!
Jak pięknie meblowany dom!

PRAWA STRONA, chórem.

Te szelmy zrana piją krew,
A po obiedzie rum.

SOWIETNIK, pokazując Senatora.

Drze ich, to prawda, lecz zaprasza:
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA.

Po turmach siedzi młodzież nasza:
Nam każą iść na bal.

OFICER ROSSYJSKI, do Bestużewa.

Nie dziw, że nas tu przeklinają:
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają,
Samych łajdaków stek.

STUDENT, do oficera. [1]

Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha:
Co to za mina, co za ruch?
Skacze, jak po śmieciach ropucha.
Patrz, patrz, jak nadął brzuch,
Wyszczerzył zęby; nazbyt łyknął.
Patrz, jak otwiera gębę on.
Słuchaj, ach słuchaj: Bajkow ryknął.

(Bajkow nuci. Student do Bajkowa.)

Mon général, quelle chanson!

BAJKÓW, śpiewa pieśń Berangera.

Quel honneur, quel bonheur!
Ah! monsieur le sénateur!
Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT.

Général, ce sont vos paroles?

BAJKÓW.

Oui.

STUDENT.

Je vous en fais mon compliment.

[1] W rękopisie: Lachnicki do oficera. P. W.

JEDEN Z OFICERÓW, śmiejąc się.

Ces couplets sont vraiment fort droles;
Quel ton satirique et plaisant!

MŁODY CZŁOWIEK.[1]

Pour votre muse sans rivale,
Je vous ferais académicien.

BAJKÓW, na ucho, pokazując Księżnę.

Senator dziś będzie rogal.

SENATOR, na ucho, pokazując narzeczoną Bajkowa.

Va, va, je te coifferai bien.

PANNA, tańcząca, do matki.

Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA, z prawej strony.

Jeśli ci zbrzydnął, to go rzuć.

SOWIETNIKOWA, z lewej strony.

Jak mojej córeczce do twarzy!

STAROSTA.

Jak od nich rumem czuć!

SOWIETNIKOWA DRUGA, do córki, stojącej obok.

Tylko, Tosieńku, podnieś wzrok;
Może senator cię obaczy.

STAROSTA.

Jeżeli o mnie się zahaczy,
Dam rękojeścią (biorąc za karabelę) — w bok

LEWA STRONA, chórem.

Ach jaka świetność, przepych jaki!
Ah quelle beauté quelle grace!

PRAWA STRONA.

Ach szelmy, łotry, ach łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł!

(Z prawej strony między młodzieżą.)

JUSTYN POL, do Bestużewa, pokazując na Senatora.

Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić,
Lub zamalować w pysk.

BESTUŻEW.

Cóż stąd? Jednego łotra zgładzić,
Lub obić: co za zysk?

[1] W rękopisie: Gorecki. P. W.

Oni wyszukają przyczyny,
By uniwersytety znieść —
Krzyknąć, że ucznie jakubiny,
I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL.

Lecz on zapłaci za męczarnie,
Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW.

Cesarz ma u nas liczne psiarnie;
Cóż, że ten zdechnie pies?

JUSTYN POL.

Nóż świerzbi w ręku: pozwól ubić.

BESTUŻEW.

Ostrzegam jeszcze raz!

JUSTYN POL.

Pozwól przynajmniej go wyczubić.

BESTUŻEW.

A zgubić wszystkich was!

JUSTYN POL.

Ach szelmy, łotry, ach zbrodniarze!

BESTUŻEW.

Muszę ciebie wywieść za próg.

JUSTYN POL.

Czyż go to za nas nikt nie skarze?
Nikt się nie pomści! —

(Odchodzą ku drzwiom.)

KS. PIOTR.

Bóg!

(Nagle muzyka się zmienia i gra arję kommandora.)

TAŃCZĄCY.

Co to jest? — Co to?

GOŚCIE.

Jaka muzyka ponura!

JEDEN, patrząc w okna.

Jak ciemno. Patrz-no, jaka zebrała się chmura.

(Zamyka okno. Słychać zdaleka grzmot.)

SENATOR.

Cóż to? Czemu nie grają?

DYREKTOR MUZYKI.

Zmylili się.

SENATOR.

Pałki!!

DYREKTOR.

Bo to miano grać różne z opery kawałki:
Oni nie zrozumieli, i stąd zamięszanie.

SENATOR.

No, no, no. — Arrangez donc. — No Panowie, Panie —

(Słychać krzyk wielki za drzwiami.)

PANI ROLLISON, za drzwiami, okropnym głosem.

Puszczaj mię! puszczaj! —

SEKRETARZ

Ślepa?

LOKAJ, strwożony.

Widzi — patrz, jak sadzi
Po schodach. Zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE.

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON.

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ, chce zatrzymywać; ona obala jednego z nich.

A! patrz, jak obaliła! — A! a! opętana!

(Uciekają.)

PANI ROLLISON.

Gdzie ty! — Znajdę cię, mózgi na bruku rozbiję,
Jak mój syn! — Ha tyranie! — Syn mój! syn nie żyje!
Wyrzucili go oknem! — Czy ty masz sumienie?
Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie! —
Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tylu
Niewiniątek, pójdź! — gdzie ty, gdzie ty krokodylu?
Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki —
Syn! — Wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki —
Me dziecię, mój jedynak, mój ojciec żywiciel —
A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel!

KS. PIOTR.

Nie bluźń, kobieto! Syn twój zraniony, lecz żyje.

P. ROLLISON.

Żyje? Syn żyje? — Czyje to są słowa, czyje? —
Czy to prawda, mój księże? — Ja zaraz pobiegłam:
«Spadł» krzyczą! — Biegę — wzięli — i zwłok nie dostrzegłam:
Zwłok mego jedynaka! — Ja biedna sierota!
Zwłok syna nie widziałam! Widzisz: — ta ślepota! —
Lecz krew na bruku czułam. — Przez Boga żywego,
Tu czuję! krew tę samę! — Tu krew syna mego,
Tu jest ktoś krwią zbryzgany — tu, tu jest kat jego!

(Idzie prosto do Senatora. Senator umyka się; Pani Rollison pada zemdlona na ziemię; Ks. Piotr jeden podchodzi do niej ze Starostą. Słychać uderzenie piorunu.)

WSZYSCY, zlęknieni.

Słowo stało się ciałem! — To tu!

INNI.

Tu! tu!

KS. PIOTR.

Nie tu.

JEDEN, patrząc w okno.

Jak blisko: — w sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR, podchodzi do okna.

Okna doktora! —

KTOŚ Z WIDZÓW.

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY, śmiejąc się.

Ha, ha, ha, djabli wzięli!

PELIKAN, wbiega zmięszany.

SENATOR.

Nasz doktor? —

PELIKAN.

— Zabity
Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów:
Około domu stało dziesięć konduktorów,
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,
Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił.

Srebro leżało w biurku, tuż u głów doktora.
I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA.

Ruble rossyjskie widzę bardzo niebespieczne,

SENATOR, do dam.

Panie zmięszały taniec — jak Panie niegrzeczne.
(Widząc, że ratują Panią Rollison.)
Wynieście ją, wynieście — pomóż tej kobiecie.
Wynieście ją —

KS. PIOTR.

Do syna?

SENATOR.

Wynieście, gdzie chcecie.

KS. PIOTR.

Syn jej jeszcze nie umarł, on jeszcze oddycha:
Pozwól mi iść do niego.

SENATOR.

Idź gdzie chcesz do licha!
(Do siebie.)
Doktor zabity. — Ah! ah! ah! c'est inconcevable!
Ten ksiądz mu przepowiedział. — Ah! ah! ah! c'est diable!
(Do kompanji.)
No, i cóż w tem strasznego? — Wiosną idą chmury,
Z chmury piorun wypada: — taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA, do męża.

Już gadajcie co chcecie, a strach zawsze strachem:
Ja nie chcę dłużej z wami być pod jednym dachem.
Mówiłam: mężu, nie lęź do tych spraw dziecinnych;
Pókiś knutował żydów, chociaż i niewinnych,
Milczałam: ale dzieci — a widzisz doktora?

SOWIETNIK.

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA.

Do domu powracam, bom chora.[1]

(Słychać znowu grzmot. Wszyscy uciekają: naprzód lewa, potem prawa strona. Zostają: Senator, Pelikan, Ks. Piotr.)

[1] W rękopisie:

SOWIETNIKOWA.

Do domu powracam, jestem chora.

SENATOR, patrząc za uciekającymi.

Przeklęty doktor! Żyjąc nudził mię do mdłości,
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.
(Do Pelikana.)
Voyez, jak ten ksiądz patrzy — voyez quel oeil hagard;
To jest dziwny przypadek, un singulier hasard —

SENATOR, wstawszy.

He, Dyrektor! Cóż? — Grajcie znowu menueta!

PUŁKOWNIK, do Sowietnikowej.

I pani tak się boisz? —

SOWIETNIKOWA.

Ja jestem kobieta.

PUŁKOWNIK.

Harmaty równie huczą i częściej trafiają:
A my idziemy w ogień —

SENATOR, do muzyki.

Cóż oni tam grają? —

DYREKTOR.

Panie, wielkie nieszczęście! Pomięszali noty —

SENATOR.

Zmięszali? — Pałki!!

(Słychać grzmoty.)

WSZYSCY.

Grzmoty!

JEDEN GŁOS.

Księżna mdleje!

WSZYSCY.

Grzmoty!

(Uciekają różnemi drzwiami.)

SOWIETNIKOWA, do Pułkownika.

Ach, jak drzwi zawalili —

PUŁKOWNIK, uciekając.

Nie róbmy hałasu —

SOWIETNIKOWA, trzymając go.

Zrób mi Pan przejście, proszę —

PUŁKOWNIK.

Pardon, nie mam czasu.

SOWIETNIKOWA.

I Pan zląkł się? Uciekasz? —

PUŁKOWNIK.

Do kwatery jadę:
Służba przed wszystkiem. — Adieu. — Jutro mam paradę.
(Wszyscy uciekają: najprzód lewa, potem prawa strona. Zostają: Senator, Pelikan, Ks. Piotr.) i t. d. P. W.

Powiedz no, mój księżuniu, czy znasz jakie czary?
Skąd przewidziałeś piorun? — Może boskie kary?

(Ksiądz milczy.)

Prawdę mówiąc, ten doktor troszeczkę przewinił;
Prawdę mówiąc, ten doktor nad powinność czynił,
On aurait fort à dire — kto wie, są przestrogi —
Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!
No i cóż księże? — Milczy! — milczy i zwiesił nos.
Ale go puszczę wolno: — on dirait bien des choses! —

(Zamyśla się.)

PELIKAN.

Ha! ha! ha! jeśli śledztwo jest niebespieczeństwem:
Toćby nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem.

KS. PIOTR.

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści —

SENATOR, ciekawy.

O piorunie? — doktorze? Mów!

KS. PIOTR.

— Dwie przypowieści.
Onego czasu, w upał przyszli ludzie różni
Zasnąć pod cieniem muru: byli to podróżni.
Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,
Anioł pański zbudził go: wstań, bo mur się wali.
On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy:
Wstał, a mur inne pobił. On ręce złożywszy
Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie;
A pański anioł stanął przed nim i tak powie:
Ty najwięcej zgrzeszyłeś! kary nie wyminiesz;
Lecz ostatni, najgłośniej, najhaniebniej zginiesz.

A druga powieść taka. Za czasu dawnego,
Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego;
I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,
Wszystkie rotmistrze pułków i wszystkie setniki:
Ale króla samego przy życiu zostawił,
Tudzież starosty, tudzież pułkowniki zbawił.

I mówili do siebie głupi więźnie owi:
Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi.
Aż jeden żołnierz rzymski, co im posługował,
Rzekł im: zaprawdę, wódz was przy życiu zachował,
Bo was przykuje przy swym tryumfalnym wozie,
I będzie oprowadzał po całym obozie,
I do miasta powiedzie; bo wy z tych jesteście,
Których wodzą po Rzymie, onem sławnem mieście,
Aby lud rzymski krzyknął: patrzcie; co wódz zrobił,
On takie króle, takie pułkowniki pobił!
Potem, gdy was w łańcuchach złotych oprowadzi,
Odda was w ręce kata, a kat was osadzi
Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,
Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytanie.
Tak mówił żołnierz rzymski. To żołnierza tego
Król gromiąc rzekł: twe słowa są słowa głupiego;
Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,
Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?
Zgromiwszy, pił i śmiał się z zwymi współwięźniami,
Ze swymi hetmanami i pułkownikami.

SENATOR, znudzony.

Il bat la campagne. Księże, gdzie chcesz, ruszaj sobie.
Jeśli cię jeszcze złowię, tak skórę oskrobię,
Że cię potem nie pozna twa matka rodzona,
I będziesz mi wyglądał jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. Ks. Piotr idzie ku drzwiom i spotyka Konrada, który, prowadzony na śledztwo przez dwóch żołnierzy, ujrzawszy księdza, wstrzymuje się i patrzy nań długo.)

KONRAD.

Dziwna rzecz! — Nie widziałem nigdy tej postaci:
A znam go jak jednego z mych rodzonych braci.
Czy to we śnie? — Tak, we śnie; teraz przypomniałem —
Taż sama twarz, te oczy — we śnie go widziałem.
On to, zdało się, że mię wyrywał z otchłani —
(Do Księdza.)
Mój księże, choć jesteśmy mało sobie znani,
— Przynajmniej ksiądz mię nie znasz — przymij dziękczynienie
Za łaskę, którą tylko zna moje sumienie.

Drodzy są i widziani we śnie przyjaciele,
Gdy prawdziwych na jawie widzim tak nie wiele.
Weź proszę ten pierścionek, przedaj; daj połowę
Ubogim, drugą na mszę, za dusze czyszcowe:
Wiem co cierpią, jeżeli czyściec jest niewolą —
Mnie, kto wie, czy już kiedy słuchać mszy pozwolą.

KS. PIOTR.

Pozwolą. — Za pierścionek ja ci dam przestrogę:
Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej niśli oni umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże[1] —
Słuchaj co powie —

KONRAD, wpatrując się.

Cóż to, tyżeś? — czy być może?
Stój na chwilę — dla Boga —

KS. PIOTR.

Bywaj zdrów! nie mogę.

KONRAD.

Jedno słowo —

ŻOŁNIERZ.

Niewolno! każdy w swoją drogę —

SCENA IX.

NOC DZIADÓW.

(Opodal widać kaplicę; smętarz. GUŚLARZ i KOBIETA w żałobie.)

GUŚLARZ.

Już idą w cerkiew gromady,
I wkrótce zaczną się Dziady.
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIETA.

Ja tam nie pójdę, guślarzu;
Ja chcę zostać na smętarzu,

[1] W rękopisie scena kończy się na tych dwóch wierszach:

Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj co powie; on ci wiele dopomoże.

P. W.

Chcę jednego widzieć ducha:
Tego, co przed laty wielu,
Zjawił się po mem weselu,
Co pośród duchów gromady,
Stanął nagle krwawy, blady,
I mnie dzikiem okiem łowił
I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ.

On żył może, gdym go badał:
Dla tego nie odpowiadał.
Bo na duchów zgromadzenie,
W tajemniczą noc na Dziady,
Można wzywać żywych cienie.
Ciała będą u biesiady,
Albo u gry, albo w boju,
I zostaną tam w pokoju:
Dusza zwana po imieniu
Objawia się w lekkim cieniu;
Lecz póki żyje, ust nie ma,
Stoi biała, głucha, niema.

KOBIETA.

Cóż znaczyła w piersiach rana?

GUŚLARZ.

Widać, że w duszę zadana.

KOBIETA.

Ja tu sama zgubię drogę.

GUŚLARZ.

Ja tu z tobą zostać mogę.
Tam bezemnie zrobią czary,
Jest tam inny guślarz stary —
Czy słyszysz te śpiewy w dali?
Już się tam ludzie zebrali.
Pierwszą klątwę już zaklęli;
Klątwę wianka i kądzieli;
Wezwali powietrznych duchów.
Widzisz tych świateł tysiące,
Jakby gwiazdy spadające?

Ten ognistych ciąg łańcuchów?
To powietrznych roje duchów.
Patrz, już nad kaplicą świecą
Pod czarnym niebios obszarem:
Jak gołębie, kiedy lecą
W nocy nad miasta pożarem;
Gdy białemi skrzydeł puchy
Odbijając żar ogniska,
Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

KOBIETA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Widzisz — blask z kaplicy bucha.
Teraz klęli ognia władzą:
Ciała w mocy złego ducha,
Z pustyń, z mogił wyprowadzą.
Tędy będą ciągnąć duchy.
Poznasz go, jeśli pamiętasz.
Ukryj się ze mną w dąb suchy.
W ten dąb suchy i wygniły.
Tu się niegdyś wróżki kryły.
Już rusza się cały smętarz:
Rozwierają się mogiły,
Wybuchnął płomyk niebieski,
Podskakują w górę deski,
Wysuwają potępieńce
Blade głowy, długie ręce.
Widzisz oczy jak żarzewie? —
Schowaj oczy, skryj się w drzewie;
Upiór zdala wzrokiem piecze,
Lecz guślarza nie urzecze.
Ha! —

KOBIETA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Trup to świeży!
W niezgniłej jeszcze odzieży.

Dymem siarki trąci wkoło,
Czarne ma jak węgiel czoło.
Zamiast oczu w jamach czaszki
Żarzą się dwie złote blaszki,
A w środku każdego kółka
Siedzi djablik, jak w źrenicy,
I wywraca wciąż koziołka,
Miga lotem błyskawicy.
Trup tu bieży; zębem zgrzyta;
Z ręki przelewa do ręki,
Jak gdyby z sita do sita,
Wrzące srebro. — Słyszysz jęki?

WIDMO.

Gdzie kościół? — gdzie kościół? — gdzie Boga lud chwali,
Gdzie kościół, ach pokaż człowiecze!
Ach widzisz, jak we łbie ten dukat mnie pali,
Jak srebro stopione dłoń piecze.
Ach, wylej człowieku dla biednej sieroty,
Dla więźnia jakiego, dla wdowy,
Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,
I dukat ten wyłup mi z głowy.

Ty nie chcesz! — Ha, kruszec przelewać ja muszę,
Aż kiedyś ten dzieci pożerca
Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę:
Ten kruszec mu wleję do serca.
A potem przez oczy, przez uszy wyleję
I znowu tem wleję korytem,
I będę tym trupem obracać jak sitem:
Naleję, wyleję, przesieję!
Ach, kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!
Ach, czekać tak długo! — goreję! goreję!

(Ucieka.)

GUŚLARZ.

Ha! —

KOBIETA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Ha, jak blisko!

Drugi wylazł, ku nam bieży:
Jakie obrzydłe trupisko!
Blade, tłuste! Trup to świeży,
I strój świeży ma na ciele,
Ubrany jak na wesele;
I gad niedawno go toczy,
Ledwie mu w pół wygryzł oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył:
Czart go uwiódł, czart zamroczył,
Nie puści go do kaplicy.
Czart przybrał postać dziewicy:
I na trupa rączką kiwa,
Okiem mruga, śmiechem wzywa.
Skacze ku niej trup zwiedziony,
Z grobu na grób, jak szalony,
I rękami i nogami
Wije, jak wiatrak skrzydłami —
Już pada do jej uścisków:
Wtem z pod nóg jego wytryska
Dziesięć długich czarnych pysków;
Wyskakują czarne psiska,
Od nóg lubej go porwały,
I targają na kawały,
Członki krwawym piskiem trzęsą,
Po polu roznoszą mięso.

Psy zniknęły. — Nowe dziwo!
Każda część trupa jest żywą:
Wszystkie, jak oddzielne trupy,
Biegą zebrać się do kupy.
Głowa skacze jak ropucha
I nozdrzami ogień bucha;
Czołgają się piersi trupa,
Jak wielka żółwia skorupa —
Już zrosła się głowa z ciałem,
Jak krokodyl bieży cwałem;

Oderwanej ręki palce
Drżą, wiją się jak padalce:
Dłoń za piasek chwyta, grzebie,
I ciągnie rękę pod siebie;
I nogi się przyczołgały.
I znowu trup wstaje cały,
Znowu wabi ulubiona,
Znowu pada w jej ramiona,
Znowu go porwały czarty
I znowu w sztuki rozdarty —
Ha! niech go więcej nię widzę!

KOBIETA.

Tak się boisz?

GUŚLARZ.

Tak się brzydzę!
Żółwie, padalce, ropuchy:
W jednym trupie tyle gadów!

KOBIETA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów —
Słyszysz? trzeci kur już pieje;
Tam śpiewają ojców dzieje,
I rozchodzą się gromady.

KOBIETA.

I nie przyszedł on na Dziady!

GUŚLARZ.

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,
Wymów teraz jego imię;
Ja na czarodziejskie ziele,
W tajemniczym zaklnę rymie:
I duch ciało swe zostawi,
I przed tobą się objawi.

KOBIETA.

Wymówiłam.

GUŚLARZ.

On nie słucha —
Ja zakląłem.

KOBIETA.

Nie ma ducha!

GUŚLARZ.

O kobieto! Twój kochanek
Albo zmienił ojców wiarę,
Albo zmienił imię stare.
Widzisz, już zbliża się ranek,
Gusła nasze moc straciły,
Nie pokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa.)

Cóż to? cóż to? — Patrz, z zachodu,
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą, ile w koniach mocy.
Widzisz, jeden tam na przedzie
W czarnym stroju —

KOBIETA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIETA.

I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił,
Ach raz tylko — jakie oko!

GUŚLARZ.

Pierś miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły — aż w duszę.
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIETA.

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ.

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIETA.

Jednę ranę miał na czole,
Jednę tylko i nie wielką,
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bole:
Jam ją widział, jam ją zbadał;
Tę ranę sam sobie zadał:
Śmierć z niej uleczyć nie może.

KOBIETA.

Ach, ulecz go, wielki Boże!

Koniec aktu pierwszego. [1]

[1] Z rękopisu widać, że ta Część Dziadów miała się składać z trzech aktów. P. W.

USTĘP.

(PETERSBURG.)

TEN USTĘP

PRZYJACIOŁOM

MOSKALOM

POŚWIĘCA

AUTOR.

DO PRZYJACIÓŁ MOSKALI.

Wy, czy mnie wspominacie? — Ja ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach:
I o was myślę; wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? — Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm jak bratnią ściskał, carskiemi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa — —
Klątwa ludom, co swoje mordują proroki!

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
— Wieszcz i żołnierz — ta ręka, od pióra i broni
Oderwana, i car ją do taczki zaprzągnął,
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara —
Może kto z was, urzędem, orderem shańbiony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara,
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi,
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa;
Może w ojczyznie mojej moją krwią się krwawi,
I przed carem jak z zasług, chlubi się z przekleństwa.

Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zalecą te pieśni żałosne,
I odezwą się z góry nad krainą lodów:
Niech wam zwiastują wolność, jak żórawie wiosnę!

Poznacie mię po głosie! — Pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę:
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach,
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny —
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy:
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny;
Niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę — dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kąsać — rękę, co ją targa.

DROGA DO ROSSJI.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;
I oczy moje, jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,
Porwane burzą, do lądu nie zdążą —
A widzą obce pod sobą żywioły[1],
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników, ludzi, ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.
A przecież, nie raz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz przybyły z falami potopu,
I mową obcą moskiewskiemu chłopu
Głosi, że dawno stworzone te kraje,
I w czasach wielkiej Noego żeglugi,
Ląd ten handlował z azyjskiemi smugi.
A przecież, nie raz książka ukradziona,
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.

[1] W rękopisie:
A widzą obce przed sobą żywioły,
Choć jeszcze silne, już piórem źle władną,
Nie mają kędy i t. d. P. W.

Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,
Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,
O stąd przybyłych mówią rozbójnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta —
Czyż na niej pisać będzie palec Boski [1],
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie, i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty? —

Po polach białych, pustych, wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje,
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska,
I znowu jakby nagle skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów; nie wstrzymany w biegu,
Aż do Euxinu równinę zamiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak Symum błędnych Libów przy Kanopie.

[1] W rękopisie:
Czyliż Bóg na niej wypisze przykłady
Miłości swojej? czy szatan swe zdrady? —
— — — — — — — — — — — — — — — —

P. W.

Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów,
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły,
I sterczą nakształt wyspu i ląd brzegów:
To są północne świerki, sosny, jodły. [1]

Gdzieniegdzie drzewa, siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,
I ludzi kryją i zowią się: domy.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkiem polu, wszystkie jednej miary:
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,
Jak ładownice, okienka błyszczące;
Tam, domy rzędem szykowane w pary,
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;
I taki domów pułk zowie się: grodem.

Spotykam ludzi: z rozrosłemi barki,
Z piersią szeroką, z otyłemi karki;
Jako zwierzęta i drzewa północy,
Pełni czerstwości i zdrowia i mocy.
Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych;
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych —
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:

Burza w las wpada. Las lodem pobity,
I śnieżystemi obwisły konary,
Drzewa tam stare, twarde jak granity,
Spokojnie wichru wytrzymują szały:
Bo ich wierzchołek świstu nie powtórzy,
Z ich głębi echo nie gada do burzy.
Wicher, wdarłszy się do cichego boru,
Po bryłach lodu i po śniegów puchu,
Jak Napoleon biega bez oporu:
W końcu zdrętwiały, upada bez ducha.

Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu, oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste; i nigdy zgiełk duszy
Niezwykłym rzutem źrenic nie poruszy,
Nigdy i długa żałość nie zacieni.
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne;
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsiennica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytka i ozdobi —
Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Na wskroś pustyni krzyżują się drogi.
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
Nie wydeptały ich karawan nogi:
Car ze stolicy palcem je nakreślił.
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany:
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
I car ruiny ich zasypał — drogą.
Dróg tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
Ale śród puszczy dośledzi je oko:
Proste i długie na północ się włoką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach któż jeździ? Tu cwałem
Konnica wali przypruszona śniegiem,
A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek wałem.
Te pułki, podług carskiego ukazu,
Ciągną ze wschodu, by walczyć z północą;
Tamte z północy idą do Kaukazu:

Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co,
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła
Z nabrzmiałem licem, małem krzywem okiem;
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.
Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki,
I zmarłą niosą cięciwę Kałmuki.
Ich oficery? Tu Niemiec w karecie,
Nucąc Szyllera pieśń sentymentalną,
Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie;
Tam Francus, gwiżdżąc w nos pieśń liberalną,
Błędny filozof, karyery szuka,
I gada teraz z dowódcą Kałmuka,
Jakby najtaniej wojsku żywność kupić.
Cóż, że połowę wymorzą tej zgrai?
Kassy połowę będą mogli złupić,
I jeśli zręcznie dzieło się utai,
Minister wzniesie ich do wyższej klassy.
A car da order za oszczędność kassy.

A wtem kibitka leci. Przednie straże,
I dział lawety, i chorych obozy,
Pryskają z drogi, kędy się ukaże;
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka: żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczyskiem: wszystko z drogi zmyka;
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży.
Gdzie? Kto w niej jedzie? Nikt nie śmie zapytać.
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy:
Zapewne cesarz kazał kogoś chwytać.
«Może ten żandarm jedzie z za granicy?»
— Mówi jenerał. — «Kto wie, kogo złowił?
Może król pruski, francuski, lub saski,
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski,
I car go w turmie zamknąć postanowił;
Może ważniejsza pochwycona głowa,
Może samego wiozą Jermołowa.

Kto wie! Ten więzień, chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy:
Wielka osoba! Za nim wozów tłumy:
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz-no, jakie oczy śmiałe!
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
Że jenerały, albo szambelany:
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe.
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzane dzieci.»
Tak z sobą cicho dowódcy gadali.
Kibitka prosto do stolicy wali.

PRZEDMIEŚCIA STOLICY.

Zdala, już zdala widno, że stolica.
Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi,
Rzędy pałaców. Tu, niby kaplica
Z kopułą, z krzyżem; tam, jak siana stogi
Posągi stoją pod słomą i śniegiem;
Ówdzie, za kolumn korynckich szeregiem,
Gmach z płaskim dachem, pałac letni, włoski;
Obok japońskie, mandaryńskie kioski,
Albo z klasycznych czasów Katarzyny,
Świeżo małpione klasyczne ruiny.
Różnych porządków, różnych kształtów domy,
Jako zwierzęta z różnych krańców ziemi,
Za parkanami stoją żelaznemi —
W osobnych klatkach — jeden niewidomy
Pałac krajowej ich architektury,
Wymysł ich głowy, dziecko ich natury —
Jakże tych gmachów cudowna robota:
Tyle kamieni na kępach śród błota!
W Rzymie, by dźwignąć teatr dla cezarów,

Musiano niegdyś wylać rzekę złota:
Na tem przemieściu, podłe sługi carów,
By swe roskoszne zamtuzy dźwignęli,
Ocean naszej krwi i łez wyleli.

Żeby zwieźć głazy do tych obelisków:
Ileż wymyślić trzeba było spisków,
Ilu niewinnych wygnać albo zabić,
Ile ziem naszych okraść i zagrabić,
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy,
I złotem Polski hojnie zakupiono
Wszystko, co mają Paryże, Londyny,
I po modnemu gmachy wystrojono,
Szampanem zmyto podłogi bufetów,
I wydeptano krokiem menuetów.

Teraz tu pusto. Dwór w mieście zimuje,
I dworskie muchy, ciągnące za wonią
Carskiego ścierwa, za niem w miasto gonią.
Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańcuje:
Panowie w mieście, car w mieście. Do miasta
Leci kibitka. Zimno, śnieżno było,
Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło —
Niebios sklepienie otwarte szeroko,
Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,
Bez żadnej barwy, blado-przeźroczyste,
Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto. Nad miasto do góry,
Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,
Słupy i ściany, krużganki i mury,
Jak babilońskie wiszące ogrody:
To dymy z dwiestu tysięcy kominów
Prosto i gęsto kolumnami lecą;
Te, jak marmury kararyjskie świecą,
Tamte się żarzą iskrami rubinów;

W górze wierzchołki zginają i łączą,
Kręcą w krużganki i łukami plączą
I ścian i dachów malują widziadła:
Jak owe miasto, co nagle powstanie,
Ze śródziemnego czystych wód źwierciadła,
Lub na libijskim wybuchnie tumanie,
I wabi oko podróżnych z daleka,
I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka.
Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają;
Trzęsą, badają, pytają — wpuszczają.

PETERSBURG.

Za dawnych greckich i italskich czasów
Lud się budował pod przybytkiem Boga;
Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,
Albo na górach chronił się od wroga:
Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę.
W wieku gotyckim, pod wieżą barona,
Gdzie była całych okolic obrona,
Stawały chaty do wałów przyparte;
Albo pilnując spławnej rzeki cieków,
Rosły powoli z postępami wieków.
Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,
Jakiś obrońca, lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?
Skąd się zachciało sławiańskim tysiącom
Leźć w te ostatnie swoich dzierżaw kątki,
Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom?
Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty:
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
Srogie i zmienne jak humor despoty!

Nie chcieli ludzie: błotne okolice
Car upodobał, i stawić rozkazał,
Nie miasto ludziom, lecz — sobie stolicę:
Car tu wszechmocność woli swej pokazał.

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów,
Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów,
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów.
Potem, na palach i ciałach Moskalów
Grunt założywszy, inne pokolenia
Zaprzągł do taczek, do wozów, okrętów,
Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia,
Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

Przypomniał Paryż: wnet paryskie place
Kazał budować. Widział Amsterdamy:
Wnet wodę wpuścił i porobił tamy.
Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace:
Pałace stają. Wenecka stolica,
Co wpół na ziemi, a do pasa w wodzie
Pływa, jak piękna syrena-dziewica,
Uderza cara: i zaraz w swym grodzie
Porżnął błotniste kanałami pole,
Zawiesił mosty i puścił gondole.
Ma Wenecyę, Paryż, London drugi: —
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.
U architektów słowne jest przysłowie:
Że ludzi ręką był Rzym budowany,
A Wenecyę stawili bogowie;
Ale kto widział Petersburg, ten powie:
Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzece pobiegły:
Szerokie, długie; jak wąwozy w górach.
Domy ogromne: tu głazy, tam cegły,
Marmur na glinie, glina na marmurach;
A wszystkie równe i dachy i ściany,
Jak korpus wojska na nowo ubrany

Na domach pełno tablic i napisów:
Śród pism tak różnych, języków tak wielu,
Wzrok, ucho błądzi, jak w wieży Babelu.
Napis: Tu mieszka Achmet Han Kirgizów
Rządzący polskich spraw departamentem,
Senator, napis: Tu mieszka Monsieur Żoko
Lekcye daje paryskim akcentem,
Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,
Basem w orkiestrze, przytem szkół dozorcą.
Napis: Tu mieszka Włoch Piacere Gioco.
Robił dla frejlin carskich salcesony,
Teraz panieński pensyon otwiera;
Napis: Mieszkanie pastora Dienera,
Wielu orderów carskich kawalera.
Dziś na kazanie wykłada z ambony,
Że Car jest Papież, z Boskiego ramienia
Pan samowładny wiary i sumienia.
I wzywa przytem braci kalwinistów,
Socynianów i anabaptystów,
Aby, jak każe imperator ruski
I jego wierny Aliant król Pruski,
Przyjąwszy nową wiarę i sumienie,
Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie;
Napis: Tu stroje damskie; dalej: Nuty;
Tam robią: Dzieciom zabawki; tam «Knuty».

W ulicach kocze, karety, landary,
Mimo ogromu i bystrego lotu
Ma łyżwach błysną, znikną bez łoskotu,
Jak w panorama czarodziejskie mary.
Na kozłach koczów angielskich brodaty
Siedzi woźnica: szron mu okrył szaty,
Brodę i wąsy i brwi; biczem wali.
Przodem na koniach lecą chłopcy mali
W kożuchach, istne dzieci Boreasza.
Świszczą piskliwie, i gmin się rozprasza,
Pierzcha przed koczem saneczek gromada,
Jak przed okrętem białych kaczek stada.

Tu ludzie biegą, każdego mróz goni,
Żaden nie stanie, nie patrzy, nie gada;
Każdego oczy zmrużone, twarz blada,
Każdy trze ręce i zębami dzwoni,
I z ust każdego wyzioniona para
Wychodzi słupem, prosta, długa, szara:
Widząc te dymem buchające gminy,
Myślisz, że chodzą po mieście kominy.
Po bokach gminnej cisnącej się trzody,
Ciągną poważnie dwa ogromne rzędy,
Jak processye w kościelne obrzędy,
Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.
I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,
Na mróz nieczuła jak trzoda soboli?
Przechadzka modna jest o tej godzinie:
Zimno i wietrzno; ale któż dba o to?
Wszak Cesarz tędy zwykł chodzić piechotą,
I Cesarzowa i dworu mistrzynie!
Idą marszałki, damy, urzędniki,
W równych abcugach: pierwszy, drugi, czwarty,
Jako rzucane z rąk szulera karty,
Króle, wyżniki, damy i niźniki,
Starki i młódki, czarne i czerwone
Padają na tę i na ową stronę,
Po obu stronach wspaniałej ulicy,
Po mostkach lśniącym wysłanych granitem.
A najprzód idą dworscy urzędnicy:
Ten w futrze ciepłem, lecz na pół odkrytem,
Aby widziano jego krzyżów cztery —
Zmarznie, lecz wszystkim pokaże ordery;
Wyniosłem okiem równych sobie szuka,
I gruby, pełznie wolnym chodem żuka.
Dalej, gwardyjskie, modniejsze młokosy,
Proste i cienkie jak ruchome piki,
Wpół ciała tęgo związane, jak osy.
Dalej, z pochyłym karkiem czynowniki,
Z podełba patrzą komu się pokłonić,
Kogo nadeptać a od kogo stronić;

A każdy giętki, we dwoje skurczony:
Tuląc się pełzną, jako skorpiony.
Po środku damy, jako pstre motyle —
Tak różne płaszcze, kapeluszów tyle.
Każda w paryskim świeci się stroiku
I nóżką miga w futrzanym trzewiku [1]:
Białe jak śniegi, rumiane jak raki.
Wtem dwór odjeżdża. Stanęły orszaki;
Podbiegły wozy, ciągnące jak statki
Obok pływaczów w głębokiej kąpieli.
Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli;
Za nimi pierzchły piechotne ostatki.
Nie jeden kaszlem suchotniczym stęknie,
A przecież mówi: jak tam chodzić pięknie!
Cara widziałem i przed jenerałem
Nisko kłaniałem i z paziem gadałem!

Szło kilku ludzi między tym natłokiem.
Różni od innych twarzą i odzieniem,
Na przechodzących ledwo rzucą okiem,
Ale na miasto patrzą z zadumieniem.
Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,
Po tych żelazach i po tych granitach
Czepiają oczy: jakby próbowali,
Czy mocno każda cegła osadzona;
I opuścili z rozpaczą ramiona,
Jak gdyby myśląc: człowiek ich nie zwali!
Dumali, poszli. Został z jedenastu
Pielgrzym sam jeden. Zaśmiał się złośliwie,
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie
W głaz: jakby groził temu głazów miastu;
Potem na piersiach założył ramiona
I stał dumając i w cesarskim dworze

[1] W rękopisie:
I nóżka w futrzanym trzewiku.
Te Salamandry północne wiatr piją,
Słotamy dyszą i od zimy tyją:
Białe jak śniegi i t. d.

Utkwił źrenice dwie, jako dwa noże
I był podobny wtenczas do Samsona,
Gdy zdradą wzięty i skuty więzami,
Pod Filistynów dumał kolumnami.
Na czoło jego, nieruchome, dumne,
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,
Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć:
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,
Najprzód na jego oblicze osiadał,
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy
Stał drugi człowiek. Nie był to podróżny;
Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy:
Bo rozdawając między lud jałmużny,
Każdego z biednych po imieniu witał,
Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.
Odprawił wszystkich, wsparł się na granicie
Brzeżnych kanałów i wodził oczyma
Po ścianach gmachów i po dworca szczycie;
Lecz nie miał oczu owego pielgrzyma,
I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł z daleka
Biedny żebrzący żołnierz, lub kaleka.
Wzniósł w niebo ręce, stał i dumał długo.
W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpaczy —
Patrzył jak anioł, gdy z niebios posługą
Między czyszcowe dusze zstąpić raczy,
I widzi całe w męczarniach narody —
Czuje co cierpią, mają cierpieć wieki,
I przewiduje, jak jest kres daleki
Tylu pokoleń zbawienia — swobody.
Oparł się płacząc na kanałów brzegu —
Łzy gorzkie biegły i ginęły w śniegu:
Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy,
Za każdą odda ocean słodyczy.

Późno już było, oni dwaj zostali,
Oba samotni i chociaż odlegli,

Nakoniec jeden drugiego postrzegli,
I długo siebie nawzajem zważali.
Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony:
«Bracie, rzekł, widzę żeś tu zostawiony
Sam jeden, smutny, cudzeziemiec może.
Co ci potrzeba, rozkaż w Imię Boże;
Chrześcijaninem jestem i Polakiem,
Witam cię krzyża i pogoni znakiem.»

Pielgrzym zbyt swemi myślami zajęty,
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;
Ale nazajutrz, gdy myśli swych męty
Zwolna rozjaśnia i pamięć odświeża,
Nieraz żałuje owego natręta.
Jeśli go spotka, pozna go, zatrzyma;
Choć rysów jego twarzy nie pamięta,
Lecz w głosie jego i w słowach coś było
Znanego uszom i duszy pielgrzyma.
Może się o nim pielgrzymowi śniło.

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

Z wieczora, na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi, był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą nie długo lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze, wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody:
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciołki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.

Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rossyjski tak rzekł cichym głosem:

Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyznie jemu nie dosyć przestronno:
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knuto-władny w todze Rzymianina;
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem najprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu,
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby w koło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powraca!
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:

Koń wzdyma grzywę, żarem z oczy świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blisko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą —
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie —
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyrańskiwa?

PRZEGLĄD WOJSKA.

Jest plac ogromny. Jedni zowią szczwalnią:
Tam car psy wtrawia, nim puści na zwierza;
Drudzy plac zowią grzeczniej, gotowalnią:
Tam car swe stroje probuje, przymierza,
Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony.
Kokietka idąc na bal do pałacu,
Nie tyle trawi przed źwierciadłem czasów,
Nie robi tyle umizgów, grymasów,
Ile car codzień na tym swoim placu. —
Inni w tym placu widzą szarańczarnię:
Mówią, że car tam hoduje nasiona

Chmury szarańczy, która wypasiona
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.
Są, co plac zowią toczydłem chirurga:
Bo tu car najprzód lancety szlifuje,
Nim, wyciągnąwszy rękę z Petersburga,
Tnie tak, że cała Europa czuje;
Lecz nim wyśledzi, jak głęboka rana,
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,
Już car puls przetnie Szacha i Sułtana,
I krew wypuści z pod serca Sarmaty.
Plac różnych imion; lecz w języku rządów,
Zowie się placem wojskowych przeglądów.

Dziesiąta, ranek: już przeglądów pora.
Już plac okrąża ludu zgraja cicha,
Jako brzeg czarny białego jeziora;
Każdy się tłoczy, na środek popycha.
Po placu, jako rybitwy nad wodą,
Zwija się kilku dońców i dragonów,
Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,
Na bliższe karki sypią grad bizunów.
Kto wylazł naprzód, jak żaba z bagniska,
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.
Słychać grzmot zdala, głuchy, jednostajny,
Jak kucie młotów, lub młócenie cepów!
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny.
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów,
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze
— Zielone — w śniegu czernią się z daleka;
I płynie każda kolumna jak rzeka,
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj, Muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryskich języków,
I daj mi pióra wszystkich buchhalterów:
Bym mógł wymienić owych pułkowników,
I oficerów i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohatery tak podobne sobie!
Tak jednostajne! Stoi chłop przy chłopie,
Jako rzęd koni żujących brzy żłobie,
Jak kłosy w jednym uwiązane snopie;
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów. —
Tyle dostrzegłem: że jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów
Mieli na czapkach mosiężne litery
Jakby łysinki — to grenadyery:
I było takich trzy zgraje wąsalów.
Za nimi, niżsi stali w mnogich rzędach,
Jak pod liściami ogórki na grzędach.
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda wykopane w błocie,
I gatunkuje i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby: to konne orszaki,
I rozmaitsze ułanów, huzarów,
Dragonów czapki, kirysy, kołpaki;
Myślałbyś, że tu kapelusznik jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów.
W końcu pułk wjechał: chłopy gdyby hlaki,
Okute miedzią, jak rząd samowarów,
A spodem pyski końskie jako haki.
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach:
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza.
Napisał wielki jenerał Żomini,
Że koń nie człowiek dobrą jazdę czyni;
Dawno już o tym wiedzieli Rusini:
Bo za dobrego konia gwardyaka,
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy;
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy

Lutnistę, skoczka, albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza.
Skarbowe chude, poderwane klacze,
Nawet te, które wożą łazarety,
Jeśli je stawią w faraona gracze,
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary lecz anglizowany;
Dwa były gniade, a piąty bułany,
Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,
A potem znowu kary bez ogona —
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał jak wrona.
Harmat wjechało czterdzieści i osiem.
Jaszczyków więcej niśli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim.
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko twe, Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu!
Ty, nie zważając na ludzie i konie,
Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś:
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury
Jak trawy, w które ubiera się łąka;
Gdzieniegdzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk podobny do błotnego bąka,
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działo ze swoim lawetem,
Usiadło nakształt czarnego pająka.

Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery,
I cztery tylnych: zowią się te nogi
Kanoniery i bombardiery.
Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,

Noga się każda gdzieś daleko rucha:
Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,
I brzuch jak balon w powietrzu ulata —
Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata,
Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana,
Jak tarantala, gdy jej kto w nos dmuchnie;
Wnet ściągnie nogi, podchyla kolana,
I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,
Zrazu przednimi kanonierami,
Około pyska długo, szybko wije:
Jak mucha co się w arszeniku splami;
Siadłszy swój czarny pyszczek długo myje,
Potem dwie przednie nogi wtył wywróci,
Tylnemi kręci, potem kiwa zadem,
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,
Chwilę spoczywa — wkońcu buchnie jadem.

Pułki stanęły. Patrzą: car, car jedzie,
Tuż kilku starych, konnych admirałów,
Tłum adjutantów i ćma jenerałów,
Z tyłu i z przodu, a car sam na przedzie.
Orszak dziwacznie pstry i centkowany,
Jak arlekiny: pełno na nich wstążek;
Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek;
Ten sino, tamten żółto przepasany,
Na każdym gwiazdek, kółek i krzyżyków
Z przodu i z tyłu więcej niż guzików.
Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnem:
Promienie na nich idą z oczu pańskich.
Każdy jenerał jest robaczkiem jasnym,
Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich:
Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,
Nędzne robaczki tracą swoje blaski.
Żyją, do cudzych krajów nie ucieką,
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem:
Kula go trafi, car się doń uśmiechnie;

Lecz gdy car strzeli niełaskawem okiem,
Jenerał bladnie, słabnie, często — zdechnie.
Śród dworzan prędzej znalazłbyś stoików:
Wspaniałe dusze. — Choć gniew cara czują,
Ani się zarżną, ani zachorują;
Wyjadą na wieś do swych pałacyków,
I piszą stamtąd: ten do szambelana,
Ów do metresy, ów do damy dworu,
Liberalniejsi piszą do furmana,
I znowu zwolna wrócą do faworu.
Tak z domu oknem zrzucony pies zdycha:
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi,
I znowa szuka do powrotu drogi,
I jakąś dziurą znowu wnijdzie z cicha.
Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,
Na wsi rozprawia cicho — liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem
Złotym. Car nigdy nie zrzuca mundura;
Mundur wojskowy jest to carska skóra:
Car rośnie, żyje i — gnije żołnierzem.
Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,
Zaraz do tronu zrodzony paniczyk,
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,
A za zabawkę szabelkę i — biczyk.
Sylabizując szabelką wywija,
I nią wskazuje na książce litery;
Kiedy go tańczyć uczą guwernery,
Biczykiem takty muzyki wybija.
Dorosłszy, całą jest jego zabawą
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,
Komenderować na lewo, na prawo,
I wprawiać pułki w musztrę — i pod baty.
Tak się car każdy do tronu sposobił,
Stąd ich Europa boi się i chwali.
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
Mądry przegadał, ale głupi pobił.

Piotra wielkiego niechaj pamięć żyje:
Pierwszy on odkrył tę Caropedyę.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę:
Widział on mądre Europy narody,
I rzekł: Rossyę zeuropejczyć mogę,
Obetnę suknie i ogolę brody.
Rzekł — i wnet poły bojarów, kniazików
Ścięto, jak szpaler francuskiego sadu;
Rzekł — i wnet brody kupców i mużyków
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety,
I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety;
I na granicach poosadzał straże,
I łańcuchami pozamykał porty;
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty;
Ogolił, umył i ustroił chłopa,
Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował,
I zadziwiona krzyknęła Europa:
Car Piotr Rossyę ucywilizował!
Zostało tylko dla następnych carów:
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawić kilka rzezi i pożarów,
Zagrabiać cudze do koła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać oklask Francusów i Niemców,
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi! zaczekajcie nieco!
Bo gdy wam w uszy zabrzmi huk ukazów,
Gdy knutów grady na karki wam zlecą,
Gdy was pożary waszych miast oświecą,
A wam natenczas zabraknie wyrazów:
Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić —
Sybir, kibitki, ukazy i knuty:

Chyba będziecie cara pieśnią bawić.
Waryowaną na dzisiejsze nuty.[1]
Car, jak kręgielna kula, między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi.
«Zrowia ci życzym» szepcą wojowniki.
Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.
Dał rozkaz. Rozkaz wymknął się przez zęby,
I wpadł jak piłka w usta komendanta,
I potem gnany od gęby do gęby
Na ostatniego upada sierżanta.[2]
Jęknęły bronie, szczęknęły pałasze,
I wszystko było zmięszane w odmęcie.
Na liniowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,
Kiedy weń woda z pompy jako z rzeczki
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza —

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:
Pan Chateaubriand, mówca i poeta,
Był w Jeruzalem, na Golgocie siadał,
Chwalił Chrystusa w państwie Mahometa,
O męczennikach bardzo pięknie gadał.
Lecz gdy go wielkim ministrem zrobiono,
Kiedy się wcisnął między królów grono,
Wnet Aleksandra pokochał szalenie:
Już go i z gazet i z trybuny wieńczy,
Już męczenników puścił w zapomnienie.
I będzie sławił cara co nas dręczy.
Niemcy skromniejsi i nie dbają wcale
O ministerstwa i o przyjaźń królów:
Dość, że im przyszlą orderzyk Moskale
I dadzą tytuł poważny konsulów,
I profesora, co był szewca synem,
Zrobią szlachcicem, ruskim dworzaninem.
On przez dzień cały chodzi po spacerach,
Albo przy piwie zasiada w orderach,
A w wieczór pisze, cara sławiąc, póki
Wystarczą lipskie bibuły i druki.

[2] W rękopisie:
Na ostatniego upada sierżanta,
A jak głaz z góry i z większym pośpiechem
I z częstszem coraz odzywa się echem
Jęknęły bronie i t. d.

P. W.

Kto zna francuską izbę deputatów,
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,
Kiedy w nię projekt komissya wmiotła,
I już nadchodzi godzina debatów;
Cała Europa czując zdawna głody,
Myśli, że dla niej tam warzą swobody;
Już liberalizm z ust jako z pomp bucha,
Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,
Izba się burzy, szumi i nie słucha —
Ktoś wspomniał wolność, lecz nie zrobił wrzątku;
Ktoś wreszcie wspomniał o królów zamiarach,
O biednych ludach, o despotach, carach:
Izba znudzona krzyczy: «do porządku!»
Aż tu, minister skarbu, jakby z drągiem,
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mięszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stęplach, remanentach;
Izba wre, huczy i kipi i pryska,
I szumowiny aż pod niebo ciska;
Ludy się cieszą, gabinety straszą:
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,
Że była mowa tylko — o podatku. —
Kto tedy widział owy kocieł z kaszą,
Lub ową izbę: ten łatwo zrozumie,
Jaki gwar powstał w tylu pułków tłumie,
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.
Wtem, trzystu bębnów ozwały się huki.
I jak lód Newy gdy pryśnie na sztuki,
Piechota w długie porżnęła się słupy;
Kolumny jedne za drugiemi dążą,
Przed każdą bęben i komendant woła.
Car stał jak słońce, a pułki do koła
Jako planety toczą się i krążą.
Wtem car wypuścił stado adjutantów,
Jak wróble z klatki, albo psy ze smyczy:
Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy —
Wrzask jenerałów, majorów, sierżantów,
Huk tarabanów, piski muzykantów —

Nagle piechota, jak lina kotwicy
Z kłębów rozwita, wyciąga się sznurem;
Ściany idącej pułkami konnicy
Łączą się, wiążą, jednym stają murem. —

Jakie zaś dalej były tam obroty:
Jak jazda rącza i niezwyciężona,
Leciała obces na karki piechoty —
Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona
Na związanego niedźwiedzia uderza,
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza —
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy,
Nadstawia bronie jako igły jeża,
Który poczuje, że pies nad nim burczy;
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku
Targniona smyczą powściągnęła kroku,
I jak harmaty w przód i w tył ciągano —
Jak po francusku, po rusku łajano,
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,
Jak tam marzniono i z koni spadano,
I jak carowi w końcu winszowano:
Czuję tę wielkość, bogactwo przedmiotu —
Gdybym mógł opiać, wsławiłbym me imię!
Lecz Muza moja, jak bomba w pół lotu
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,
I śród głównego manewrów obrotu,
Jak Homer w walce bogów, ja — ach, drzemię —

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:

Wam to zostawiam opiewać, Francuzy!
Wyście przybyli aż do Moskwy grodu,
Na wyłamane waszą ręką gruzy,
Po świeżych trupach waszego narodu,
Byście koronę cara opiewali,
Sławili mądrość i łaskawość rządów —
Których nie sławił jeszcze nikt z Moskali! —
Wy urodzeni wioszcze uczt, namaszczeń,
Rzezi, rabunków, niewoli, przywłaszczeń,
Wy narodowych nie znacie przesądów:
Wam być wieszczami wojskowych przeglądów!

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,
O których tylko car czytał lub słyszał:
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał:
Już i sukmany, delie, kożuchy,
Co się czerniły gęsto w koło placu,
Rozpełzały się każda w swoją stronę,
I wszystko było zmarzłe i znudzone;
Już zastawiano śniadanie w pałacu.
Ambassadory zagranicznych rządów,
Którzy pomimo i mrozu i nudy,
Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów,
I co dzień krzyczą: o dziwy! o cudy!
Już powtórzyli raz tysiączny drugi
Z nowym zapałem dawne komplementy:
Że car jest taktyk w planach niepojęty,
Że wielkich wodzów ma na swe usługi —
Że kto nie widział, nigdy nie uwierzy,
Jaki tu zapał i męstwo żołnierzy.
Nakoniec była rozmowa skończona,
Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona;
I na zegarek już każdy spozierał,
Bojąc się dalszych galopów i kłusów:
Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,
Dusiła nuda i głód już doskwierał.
Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy.
Swe pułki siwe, kare i bułane,
Puszcza, wstrzymuje po dwadzieścia razy;
Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,
Znowu ją ściska w czworobok zawarty,
I znowu nakształt wachlarza roztacza:
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,
Mięsza i zbiera i znów mięsza karty;
Choć towarzystwo samego zostawi,
On się sam z sobą kartami zabawi.
Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił
I w jenerałów ukrył się natłoku.
Wojsko tak stało, jak je car porzucił,
I długo z miejsca nie ruszyło kroku:

Aż trąby, bębny dały znak nareszcie.
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście
Płyną i toną w głębi ulic miejskich.
Jakże zmienione, niepodobne wcale
Do owych bystrych potoków alpejskich,
Co rycząc mętne walą się po skale,
Aż w jezior jasnem spotkają się łonie,
I tam odpoczną i oczyszczą wody —
A potem z lekka nowemi wychody,
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie:
Tu, pułki weszły czerstwe, czyste, białe —
Wyszły zziajane i oblane potem,
Roztopionemi śniegi poczerniałe,
Brudne z pod lodu wydeptanem błotem.

Wszyscy odeszli, widze i aktory.
Na placu pustym, samotnym, zostało
Dwadzieścia trupów, ten ubrany biało,
Żołnierz od jazdy; tamtego ubiory
Nie zgadniesz jakie, tak do śniegu wbity,
I stratowany końskiemi kopyty;
Ci zmarzli, stojąc przed frontem jak słupy,
Wskazując pułkom drogę i cel biegu;
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu,
Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.
Biorą ich z ziemi policejskie sługi
I niosą chować; martwych, rannych społem,
Jeden miał żebra złamane, a drugi
Był wpół harmatnem przejechany kołem;
Wnętrzności ze krwią wypadły mu z brzucha,
Trzykroć okropnie z pod harmaty krzyknął,
Lecz major woła: milcz! bo car nas słucha;
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,
Że zęby zaciął. Nakryto co żywo
Rannego płaszczem. Bo gdy car przypadkiem
Z rana jest takiej nagłej śmierci świadkiem,
I widzi na czczo skrwawione mięsiwo,

Dworzanie czują w nim zmianę humoru:
Zły, opryskliwy powraca do dworu;
Tam go czekają z śniadaniem nakrytem,
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił:
Grożono, bito; próżna groźba, kara,
Jenerałowi nawet się sprzeciwił,
I jęczał głośno — klął samego cara!
Ludzie, niezwykłym przerażeni krzykiem,
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem.
Mówią, że jechał z dowódcy roskazem,
Wtem koń mu stanął jak gdyby zaklęty,
A z tyłu wleciał cały szwadron razem;
Złamano konia i żołnierz zepchnięty
Leżał pod jazdą płynącą korytem.
Ale od ludzi litościwsze konie:
Skakał przez niego szwadron po szwadronie,
Jeden koń tylko trafił weń kopytem,
I złamał ramię. Kość na pół rozpadła
Przedarła mundur, i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała;
I twarz żołnierza równie jak kość zbladła.
Lecz sił nie stracił: wznosił drugą rękę
To ku niebiosom, to widzów gromady
Zdawał się wzywać, i mimo swą mękę
Dawał im głośno, długo, jakieś rady.
Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim,
Bojąc się szpiegów — słuchacze uciekli,
I tyle tylko pytającym rzekli,
Że ranny mówił złym ruskim językiem;
Kiedy niekiedy słychać było w gwarze,
Car, cara, caru — coś mówił o carze.
Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany,
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem;
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,

I że dowódca nie lubiąc Polaka,
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,
Mówiąc: niech skręci szyję Lach, sobaka. —
Kto był, nie wiedzą, i po tem zdarzeniu
Nikt nie posłyszał o jego imieniu,
Ach! kiedyś tego imienia, o carze!
Będą szukali po twojem sumieniu;
Djabeł je pośród tysiąców ukaże,
Któreś ty w minach podziemnych osadził,
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.

Nazajutrz, zdala za placem słyszano
Psa głuche wycie. — Czerni się coś w śniegu:
Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano;
On po paradzie został na noclegu.
Trup na pół chłopski, na poły wojskowy,
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy,
I był zapewne oficerskim sługą.
Siedział na wielkiem futrze swego pana.
Tu zostawiony, tu roskazu czekał,
I zmarzł, i śniegu już miał za kolana;
Tu go pies wierny znalazł i oszczekał:
Zmarznął — a w futro nie okrył się ciepłe!
Jedna źrenica śniegiem zasypana;
Lecz drugie oko, otwarte choć skrzepłe;
Na plac obrócił, czekał stamtąd pana!
Pan kazał siedzieć i sługa usiądzie;
Kazał nie ruszać z miejsca, on nie ruszy,
I nie powstanie aż na strasznym sądzie.
I dotąd wierny panu, choć bez duszy:
Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę
Pilnując, żeby jej nie ukradziono.
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube.
I pan go dotąd nie szukał, nie pytał:
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny —

Zgadują, że to oficer podróżny,
Że do stolicy niedawno zawitał,
Nie z powinności chodził na parady,
Lecz by pokazać świeże epolety;
Może z przeglądów poszedł na obiady,
Może na niego mrugnęły kobiety,
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza,
I nad kartami — zapomniał brodacza;
Może się wyrzekł i futra i sługi,
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą,
Że nie mógł zimna wytrzymać jak drugi,
Gdy je car carską wytrzymał osobą;
Boby mówiono: jeździ nieformalnie
Na przegląd z szubą — myśli liberalnie! —

O biedny chłopie! Heroizm, śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem!
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny jak sobaka —
O biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie,
I serce bije, myśląc o twym czynie? —
Ach! żal mi ciebie, biedny Sławianinie!
Biedny narodzie! żal mi twojej doli:
Jeden znasz tylko heroizm — niewoli!

OLESZKIEWICZ.

DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERSBURSKĄ 1824.

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,
Nagle zsiniało, plamami czernieje,
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,
Ale nabrawszy ciepła a nie życia,
Zamiast oddechu, zionie parą gnicia.

Wiatr zawiał ciepły. Owe słupy dymów,
Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów,
Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,
Runęło w gruzy i na ziemię spadło,
I dym rzekami po ulicach płynął,
Zmięszany z parą ciepłą i wilgotną.
Śnieg zaczął topnieć, i nim wieczór minął,
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.
Sanki uciekły, kocze i landary
Zerwano z płozów: grzmią po bruku koła;
Lecz pośród mroku i dymu i pary
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła;
Widać je tylko po latarek błyskach,
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy. Lubią iść o zmroku;
Bo czynowników unikną widoku,
I w pustem miejscu nie zejdą się z szpiegiem.
Szli obcym z sobą gadając językiem;
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nucą,
Czasami staną i oczy obrócą:
Czy kto nie słucha? Nie zeszli się z nikim.
Nucąc błądzili nad Newy korytem,
Które się ciągnie jak alpejska ściana,
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem
Ku rzece droga spada wyrąbana.
Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka
Nad brzegiem wody z latarką człowieka.
Nie szpieg: bo tylko śledził czegoś w wodzie,
Ani przewoźnik: któż pływa po lodzie?
Nie jest rybakiem; bo nic nie miał w ręku
Oprócz latarki i papierów pęku.
Podeszli bliżej; on nie zwrócił oka,
Wyciągał powróz, który w wodę zwisał,
Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;
Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.

Odblask latarki odbity od lodu,
Oblewa jego księgi tajemnicze,
I pochylone nad świecą oblicze
Żółte, jak obłok nad słońcem zachodu;
Oblicze piękne, szlachetne, surowe.
Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał
Że słysząc obcych kroki i rozmowę
Tuż po nad sobą, kto są, nie zapytał;
I tylko z ręki lekkiego skinienia
Widać, że prosi, wymaga milczenia.
Coś tak dziwnego było w ręki ruchu,
Że choć podróżni tuż nad nim stanęli,
Patrząc i szepcąc i śmiejąc się w duchu,
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.
Jeden w twarz spojrzał i poznał i krzyknął:
To on! — I któż on? — Polak, jest malarzem,
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem;
Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,
Biblię tylko i kabałę bada,
I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył,
I rzekł jak gdyby rozmawiając z sobą:
Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył,
Będzie to drugą, nie ostatnią próbą,
Pan wstrząśnie szczeble assurskiego tronu,
Pan wstrząśnie grunty miasta Babylonu;
Lecz trzecią widzieć, Panie! nie daj czasu! —
Rzekł, i podróżnych zostawił u wody,
A sam z latarką wolno szedł przez schody,
I zniknął wkrótce za parkan terasu.
Nikt nie zrozumiał, co ta mowa znaczy.
Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,
Wszyscy krzyknęli: nasz guślarz dziwaczy!
I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,
Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,
Każdy do domu powracał co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył,
I biegł terasem. Nie widział człowieka,
Tylko latarkę jego zdala zoczył,
Jak błędna gwiazda świeciła zdaleka.
Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,
Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,
Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze
Tak nim wstrząsnęły! — Przypomniał po chwili,
Że głos ten słyszał, i biegł, co miał mocy
Nieznaną drogą, śród słoty, śród nocy.
Latarka prędko niesiona mignęła,
Coraz mniejszała, zakryta mgły mrokiem
Zdała się gasnąć; wtem nagle stanęła
W pośrodku pustek na placu szerokim.
Podróżny kroki podwoił, dobiega.
Na placu leżał wielki stos kamieni,
Na jednym głazie malarza spostrzega.

Stał nieruchomy pośród nocnych cieni;
Głowa odkryta, odsłonione barki,
A prawa ręka wzniesiona do góry,
I widać było z kierunku latarki,
Że patrzył w dworca cesarskiego mury.
I w murach jedno okno w samym rogu
Błyszczało światłem: to światło on badał,
Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu,
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

«Ty nie śpisz carze! Noc już w koło głucha,
Śpią już dworzanie: a ty nie śpisz carze.
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża.
Zaśnie głęboko. — Dawniej, ileż razy
Był ostrzegany od anioła stróża,
Mocniej, dobitniej, sennemi obrazy —
On tak zły nie był: dawniej był człowiekiem;
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana,

Anioły pańskie uszły, a on z wiekiem
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.
Ostatnią radę, to przeczucie ciche
Wybije z głowy jak marzenie liche;
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepce —
Ci w niskich domkach nikczemni poddani,
Najprzód za niego będą ukarani.
Bo piorun w martwe gdy bije żywioły,
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży:
Lecz między ludźmi najprzód bije w doły,
I najmniej winnych najpierwej uderzy. —
Usnęli w pjaństwie, w swarach lub w roskoszy:
Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!
Śpijcie spokojnie, jak zwierzęta głupie,
Nim was gniew pański jak myśliwiec spłoszy,
Tępiący wszystko co w kniei spotyka,
Aż dojdzie w końcu do legowisk dzika!
Słyszę! — tam! — wichry — już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła;
Już sobie z chmury porobiły skrzydła;
Wsiadły na falę, zdjęły jej okowy.
Słyszę! — już morska otchłań rozkiełznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła.
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;
Już! — jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —
Wkrótce rozkują — słyszę młotów kucie.» —

Rzekł, i spostrzegłszy że ktoś słucha z boku,
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.
Błysnął i zniknął jak nieszczęść przeczucie,
Które uderzy w serce, niespodziane,
I przejdzie straszne — lecz niezrozumiane.

OBJAŚNIENIA.

DO TRZECIEJ CZĘŚCI DZIADÓW.

Wyrazy czyn, czynownik, często są tu użyte w znaczeniu rossyjskiem, dla Litwinów tylko zrozumiałem. W Rossji, ażeby nie być chłopem albo kupcem, słowem, aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwanę klassę albo czyn. Służba dzieli się na czternaście klass; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jednej klassy w drugą. Są przepisane czynownikom różne egzamina, podobne do formalności zachowujących się w hierarchji mandaryńskiej w Chinach, skąd, zdaje się, że ten wyraz Mongoły do Rossji przenieśli, a Piotr pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął. Czynownik często nie jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się oń ma prawo. Każda klassa albo czyn odpowiada pewnej randze wojskowej: i tak, doktor filozofji albo medecyny liczy się w klassie ósmej i ma stopień majora, czyli assesora kolleskiego; stopień kapitański ma frejlina, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archijerej jest jenerałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi, stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

Str. 113. w. 16. Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.

Feldjegry, czyli strzelcy polni cesarscy, są rodzajem żandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane

jeżdżą pospolicie w kibitkach, to jest wózkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i z przodu wyższych niż z tyłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim Don Juanie. Feldjegier przybywa pospolicie w nocy, porywa podejrzaną osobę, nie mówiąc nigdy, gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie, z trudnością wystawi sobie przestrach, jaki panuje w każdym domu, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

Str. 117. w. 2. Pytał raz Litwin, nie wiem djabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie Pińczukami obywateli błotnistych okolic Pińska.

Str. 117. w. 16. Tylko łyknie powietrza, i wnet się podchmieli.

Więźniowie, którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze, doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

Str. 118. w. 23. W Litwie zły to znak, płakać w dniu inkrutowin.

Nazywają inkrutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi, wnosząc się do nowego mieszkania.

Str. 171. w. 11. Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rossji ciemność ukazów senackich. Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelarji senackich, ciągnących niezmierne zyski z procesów.

Str. 188. w. 25. Kolleski registrator do sowietnika.

Kolleski registrator, jest to jeden z najniższych czynów. Sowietników, czyli radzców, różne są rodzaje i gatunki, jako to: radcy honorowi, kollescy, tajni, rzeczywiści. Pewny dowcipny Rossjanin mawiał, iż Rzeczywisty Tajny Radca, jest trojakiem kłamstwem; bo nie radzi, nie wie o żadnej tajemnicy, i często jest najniedorzeczniejszem stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem. «Nazwij raczej dobrym chłopcem — odezwał się ów żartowniś — jak czynownik może być człowiekiem, póki jest tylko registratorem? W Rossji, ażeby być człowiekiem, trzeba być przynajmniej radcą stanu.»

Str. 191. w. 12. **Nam każą iść na bal.**

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rossji roskazem; szczególniej jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin i t. d. cesarza lub osób familji panujących, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebespieczeństwo. Były przykłady w Rossji, że rodzina osob uwięzionych i wskazanych na szubienicę, znajdowały się na balach dworu. W Litwie, Dybicz ciągnąc przeciwko Polakom, a Chrapowicki więżąc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach, jako dobrowolne wynurzenia nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów.

Str. 219. w. 37. **Może samego wiozą Jermołowa.**

W Rossji między ludem jest przekonanie, iż car może każdego innego króla wziąść w kibitkę. I w istocie, nie wiemy, co by odpowiedziano w niektórych państwach feldjegrowi, któryby przyjechał w podobnym celu. To pewna, iż Nowosilcow często powtarzał: «Nie będzie pokoju, póki nie zaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule, z tąż samą łatwością wykonywać.» Odebranie rządów Gruzji jenerałowi Jermołowowi, którego imię u Rossjan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą, niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu Rossjan dziwić się nie należy. Przypomnijmy, iż Jego Królewiczowska Mość książe Wirtemberski, oblegając z wojskami sprzymierzonemi Gdańsk, pisał do jenerała Rapp: iż jenerał rossyjski równy jest co do stopnia królowi, i mógłby nosić ten tytuł, jeżeliby taka była wola cesarska. (Ob. Pamiętniki jenerał Rapp.)

Str. 221. w. 1. **Musiano n e dyś wylać rzekę złota.**

Te słowa wyrzekł król Gotów, ujrzawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

Str. 221. w. 21. 22. Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło.

W dniach zimowych w Petersburgu około godziny trzeciej już mrok pada.

Str. 222. w. 8. I wiecznie stoi i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych, w czasie mroźnym wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego mirage, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabji. Mirage zdaje się być już miastem, już wsią, już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do nich niepodobna; zawsze w równej od podróżnego znajdują się odległości i nakoniec nikną.

Str. 222. w. 27. Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom.

Finnowie, po rossyjsku zwani Czuchońcami albo Czuchnami, mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Petersburg.

Str. 223. w. 12. Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

U wielu historyków znaleść można opisanie założenia i budowania Petersburga. Wiadomo, iż mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano i że ich więcej niż sto tysięcy w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

Str. 224. w. 23. Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego, są szczególniej protegowane w Rossji: najprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką, za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastorowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumienia, w których katolicy odwołują się do decyzji kościoła. Wiadomo, iż wyznania augsburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden Kościoł.

Str. 225. w. 8. Myślisz, że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów, daje się widzieć w kształcie słupa, długiego częstokroć na kilka łokci.

Str. 229. w. 4. Druga carowa pamiętnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis: Petro primo Catharina secunda.

Str. 229. w. 14. I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wiersz jest tłumaczony z rossyjskiego poety, którego nazwiska nie pomnę.

Str. 230. w. 7. Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra, roboty Falconneta, i posąg Marka Aureljusza, stojący teraz w Rzymie w Kapitolu, są tu wiernie opisane.

Str. 232. w. 35. Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rossyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka rosłego, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobietę, w czasie głodu na Białorusi, sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy, iż panowie niektórzy polscy z Białorusi tego towaru dostarczali.

Str. 234. w. 6. Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule: rodzaj wielkich, jadowitych pająków, gnieżdżących się na stepach południowej Rossji i Polski.

Str. 284. w. 22. Jak arlekiny pełno na nich wstążek.

Orderów rossyjskich, licząc w to różne ich klassy, tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby, jest około sześćdziesięciu. Zdarza się, że na jednym mundurze świeci dwadzieścia znaków honorowych.

Str. 235. w. 5. Ani się zarżną, ani zachorują.

Przed niewielu laty jeden z dworkich urzędników zarżnął się dla tego, że na jakimś obchodzie dworskim naznaczono mu niższe miejsce, niż podług hierarchji należało. Był to Werter czynownictwa.

Str. 235. w. 27. Kiedy go uczą tańczyć guwernery.

Portret carewicza następcy tronu można widzieć w galerji obrazów petersburskiej Ermitażu. Malarz, anglik Dow, wystawił go w postaci dziecka w mundurze huzarskim z biczem w ręku.

Str. 244. Oleszkiewicz.

Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnót, głębokiej nauki i mistycznych przepowiedni. (Obacz nekrolog jego w gazetach petersburskich z roku 1830.)

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XL.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM CZWARTY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1883.

TREŚĆ TOMU CZWARTEGO.

	Strona
PAN TADEUSZ.	1
Księga I. Gospodarstwo.	9
Księga II. Zamek.	39
Księga III. Umizgi.	64
Księga IV. Dyplomatyka i Łowy.	88
Księga V. Kłótnia.	121
Księga VI. Zaścianek.	148
Księga VII. Rada.	166
Księga VIII. Zajazd.	183
Księga XI. Bitwa.	207
Księga X. Emigracya. Jacek.	230
Księga XI. Rok 1812.	259
Księga XII. Kochajmy się.	280

PAN TADEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

O czem tu dumać na paryskim bruku, [1]
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, nie wczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów? —

Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga;
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha,
I każą oddać co najprędzej ducha.

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski jako dzwon smętarza;
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze,
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą —
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie obrzydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich!

Chciałem pominąć, ptak małego lotu,
Pominąć strefy ulewy i grzmotu,

[1] Wiersz ten, z rękopisów Mickiewicza po raz pierwszy tu ogłoszony, napisany był w roku 1834.

I szukać tylko cienia i pogody:
Wieki dzieciństwa, domowe zagrody —

Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie,
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów,
I dumał, marzył o swojej krainie —

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
O łzach, któremi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała:
O nich pomyśleć nie mieliśmy duszy! —
Bo naród bywa na takiej katuszy! —
Że, kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet odwaga załamuje ręce —

Te pokolenia żałobami czarne —
Powietrze tylą klątwami ciężarne —
Tam — myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów,
W sferę, okropną nawet ptakom grzmotów! —

O Matko Polsko! ty tak świeżo w grobie
Złożona — nie masz sił mówić o sobie!

Ach, czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tylą łez brzemienne? —

Kiedyś — gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy orły nasze lotem błyskawicy
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Ciał się najedzą, krwią całe opłyną,
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną;

Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,
Umilknie, światu swobodę obwieści:
Wtenczas — dębowym liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siędą rozbrojeni
Rycerze nasi, słuchać o przeszłości —
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami,
I wtenczas łza ta ich lica nie splami — —

Dziś — dla nas, w świecie nieproszonych gości,
W całej przeszłości i całej przyszłości,
Jedna już tylko dziś kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecinnych! — On zawsze zostanie,
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał:
Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie
Małe i piękne: jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia —
Jak każdy kącik ziemi był znajomy
Aż po granicę — po sąsiadów domy!

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,

Że był w błyszczącym i pięknym mundurze:
Bo węża tylko znaliśmy po skórze — —

I tylko krajów tych obywatele
Jedni zostali wierni przyjaciele,
Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni!
Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,
Sąsiedzi dobrzy! — Kogo z nich ubyło,
Jakże tam o nim czule się mówiło!
Ile pamiątek, jaka żałość długa,
Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża —
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu lud po bohaterze. —

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie,
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie:
Jak bajeczne żórawie, na dzikim ostrowie,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną,
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił —

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy;
Żeby wieśniaczki kręcąc kołowrotki,
Gdy odśpiewają ulubione zwrotki:
O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła,
O tej sierocie, co piękna jak zorze,
Zaganiać ptastwo szła w wieczornej porze:
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste jako ich piosenki! —

Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie,
Czytano nie raz, pod lipą na trawie,
Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie,

A przy stoliku drewnianym pan włodarz,
Albo ekonom, lub nawet gospodarz
Nie bronił czytać i sam słuchać raczył,
I młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczył —
Chwalił piękności, a błędom wybaczył.

I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,
Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu,
I którym droższy, niż laur Kapitolu,
Wianek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty! —

KSIĘGA I.

GOSPODARSTWO.

Powrót panicza. — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu. — Ważna Sędziego nauka o grzeczności. — Podkomorzego uwagi polityczne nad modami. — Początek sporu o Kusego i Sokoła. — Żale Wojskiego. — Ostatni Woźny Trybunału. — Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy

---

Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie! —

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mię dziecko do zdrowia powróciłaś cudem —
Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę;
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu — —
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!
Tymczasem, przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;

Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną — na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi.
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zieśmcić się nie może.
Widać, że okolica obfite we zboże —
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarno-ziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto.
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział; bo w dalekiem mieście
Kończył nauki — końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z któremi się zabawiać lubił od powicia,

Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma —
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów, [1]
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałośny po wolności stracie;
W ręku trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny;
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wejścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianiach: w tej komnacie mieszkanie kobiece!
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepiano?
Na niem nuty i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie: nieporządek miły!
Nie stare były rączki, co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczy rozpięta;
A na oknach donice z pachnącemi ziołki,
Geranium, lewkonija, astry i fijołki.

[1] I takim był, gdy na wózku wjechał do Krakowa,
I przysiągł przed ołtarzem, że szabli nie schowa,
Dopóki nie pokona wrogów wszystkich razem;
Lub trupem nie padnie. — Tu z męskim wyrazem
Siedzi Rejtan —

Podróżny stanął w jednem z okien; nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą,
Był małeńki ogródek ścieżkami porżnięty.
Pełen bukietów, trawy angielskiej i mięty
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek;
Grządki widać że były świeżo polewane —
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane.
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki.
Tylko co wyszła: jeszcze kołyszą się drzwiczki,
Świeżo trącone; blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku: bez trzewika była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym na kształt śniegu
Ślad wyraźny lecz lekki: odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał, patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając.
Oblicze aż na krzaki fijałkowe skłonił,
Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były — odgadywał.
Przypadkiem oczy podniósł: aż tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna. — Białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takiem Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takiem nigdy nie bywa od mężczyzn widziana:
Więc choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na Świętych obrasku.
Twarzy nie było widać. Zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;

Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez grządki, przez kwiaty,
I po desce opartej o ścianę komnaty —
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nucąc chwyciła suknię, biegła do źwierciadła:
Wtem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
Jak obłok, gdy z jutrzenką napotka się ranną.
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,
Chciał coś mówić, przepraszać; tylko się ukłonił
I cofnął się. Dziewica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
Podróżny zląkł się, spojrzał: lecz już jej nie było.
Wyszedł zmięszany i czuł, że mu serce biło
Głośno — i sam nie widział, czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano,
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy nie chciał, według nowej mody,
Odsyłać koni gości żydom do gospody.
Słudzy nie wyszli witać; ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale:
Słudzy czekają, nim się pan Wojski ubierze,
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
On pana zastępuje i on, w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości —
Daleki krewny pański i przyjaciel domu. —
Widząc gościa, na folwark dążył pokryjomu,
Bo nie mógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie;
Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie;
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał z dala, ręce rozkrzyżował
I z krzykiem podróżnego ściskał i całował.
Zaczęła się ta prędka, zmięszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
Gdy się pan Wojski dosyć napytał, nabadał,
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

«Dobrze mój Tadeuszu» — bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano,
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził
«Dobrze mój Tadeuszu; żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele, [1]
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele:
Jest z czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,
Dla skończenia dawnego z panem Hrabią sporu:
I pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami.
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
A starzy i kobiety żniwo oglądają
Pod lasem i tam pewnie na młodzież czekają.
Pójdziemy, jeśli zechcesz i wkrótce spotkamy,
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.»

Pan Wojski z Tadeuszem idą pod las drogą,
I jeszcze się dowoli nagadać nie mogą.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniej silnie ale szerzej niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze,
Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru i już pomrok mglisty,

[1] Do domu, w imieniny stryja i w niedzielę;
Tem większe staruszkowi sprawimy wesele.
I sam się uweselisz: u nas goście liczni,
Od dni kilku już bawią sędziowie graniczni,
Dla skończenia dawnego i t. d.

Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się nakszałt ogromnego gmachu,
Słońce nad niem czerwone jak pożar na dachu.
Wtem zapadło do głębi; jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach i grabliska suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;
Słońce, Jego robotnik, kiedy zejdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola —
Tak zwykł mawiać pan Sędzia — u Sędziego wola
Była Ekonomowi poczciwemu świętą;
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły:
Cieszą się z niezwyczajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesołe, lecz w porządku. Najprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkomorzyną, [1]
Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku —
Tak każe przyzwoitość. — Nikt tam nie rozprawiał
O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał:
A każdy mimowolnie porządku pilnował;
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu.
Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.
Więc do porządku zwykli domowi i słudzy;
I przyjezdny gość, krewny, albo człowiek cudzy,

[1] Z dozorcą, potem stary Podkomorzy z Sęstwem,
Wiodąc żonę pod rękę, otoczon rodzeństwem.

Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przyjmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego z synowcem witania:
Dał mu poważnie rękę do pocałowania,
I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;
A choć przez wzgląd na gości nie wiele z nim mówił,
Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał pana Tadeusza.

W ślad gospodarza, wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i z pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc, w ulicę się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu; dalej z wolna kroczy
Stado cielic tyrolskich z mosiężnemi dzwonki;
Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki:
Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa
Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności,
Udał się sam ku studni. Najlepiej z wieczora
Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora.
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy:
Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni
Stali i rozprawiali, nieco poróżnieni:
Bo w niebytność Wojskiego, Woźny pokryjomu
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
I ustawić co prędzej w pośrodku zamczyska,
Którego widne były pod lasem zwaliska.
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
I przepraszał Sędziego, Sędzia się zadziwił
Lecz stało się: już późno i trudno zaradzić;
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.
Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył:

W dworze, żadna izba nie ma obszerności
Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości.
W zamku, sień wielka, jeszcze dobrze zachowana,
Sklepienie całe; wprawdzie pękła jedna ściana —
Okna bez szyb: lecz latem nic to nie zawadzi —
Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.
Tak mówiąc, na Sędziego mrugał — widać z miny,
Że miał i taił inne, ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków.
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków —
Dobra, całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
W cząstce spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wziąść nie chciał, bo w szlacheckim stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie.
Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury,
Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem,
Że architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem.
Dość, że Hrabia chciał zamku. Właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle taż chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,
W senacie, znowu w ziemstwie i guberskim rządzie;
Wreszcie, po wielu kosztach i ukazach licznych;
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał, że w zamkowej sieni
Zmieści się i palestra i goście proszeni.
Sień wielka jak refektarz, z wypukłem sklepieniem
Na filarach — podłoga wysłana kamieniem,
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi.
Sterczały w około sarnie i jelenie rogi

Z napisami, gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte,
I stoi wypisany każdy po imieniu.
Herb Horeszków, Półkozic, jaśniał na sk'ep'eniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem.
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie —
Mężczyznom dano wódkę: wtenczas wszyscy siedli,
I chołodziec litewski milcząc, żwawo jedli.

Pan Tadeusz, choć młodzik, ale prawem gościa
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
Stryj nieraz na to miejsce i na drzwi poglądał,
Jakby czyjegoś przyjścia był pewny i żądał.
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
I z nim na miejscu pustem oczy swe osadzał.
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,
Wszystkie zacnie zrodzone, każda młoda, ładna:
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.
To miejsce jest zagadką — młodź lubi zagadki.
Roztargniony, do swojej nadobnej sąsiadki
Ledwo słów kilka wyrzekł, do Podkomorzanki;
Nie zmienia jej talerzów, nie nalewa szklanki,
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,
Z którychby wychowanie poznano stołeczne:
To jedno puste miejsce nęci go i mami —
Już nie puste: bo on je napełnił myślami.
Po tem miejscu biegało domysłów tysiące,
Jako po deszczu żabki na samotnej łące;

Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę
Lilja jezior, skroń białą wznosząca nad wodę. [1]

Dano trzecią potrawę. Wtem pan Podkomorzy,
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodszej przysunąwszy z talerzem ogórki,
Rzekł: «Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
Choć stary i niezgrabny.» Zatem się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza,
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: «Dziś, nowym zwyczajem,
My na naukę młodzież do stolicy dajem;
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowej nauki.
Ale codzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.
Dawniej, na dwory pańskie jechał szlachcic młody;
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana —
Mówiąc, Podkomorzego ścisnął za kolana —
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił;
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Codzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeślim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów:

[1] Tadeusz przypominał: jak wszedł do komnaty,
Pustej jak to siedzenie i patrzał przez kwiaty,
Jak przez głowy sąsiadek, patrzał w okna sadu,
Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu
Pamiątki, zostawionej po prześlicznej nóżce,
Co głębiej w myśli tkwiła niż w piasku na dróżce.
I nie śmiał oczu podnieść do góry: był pewny,
Że ujrzy na filarze jej ubiór powiewny,
Włos pokręcony, w białe obwinięty strączki,
I na piersiach odkrytych skrzyżowane rączki.
Dano trzecią potrawę i t. d.

Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci bym uchybił komu
W uczciwości, w grzeczności; a powiem to śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą, ani małą.
Nie łatwą, bo nie na tem kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;
Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka,
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i pana
Dla sług zwoich: a w każdej jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
Była to historyja żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu.
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą —
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
Z kim on żył? co porabiał? Każdy gdzie chce wchodzi,
Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazianus nie wąchał pieniędzy
I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów:
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów;
Dość, że ważny i że się stempel na nim widzi —
Więc szanują przyjaciół, jak pieniądze żydzi.»

To mówiąc, sędzia gości obejrzał porządkiem,
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież teraźniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem.
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem;
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
Ale częstem skinieniem głowy potakiwał.

Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
I dalej mówił: «Grzeczność nie jest rzeczą małą;
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej
Grzeczność, którą powinna młódź dla płci nadobnej,
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga de afektów i stąd się kojarzy.
Wspaniały domów sojusz. Tak myślili starzy.
A zatem» — Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy [1]

[1] A zatem.» — Tu spojrzał na synowca, na Podkomorzanki,
I dalej rzecz prowadził dokończywszy szklanki:
«Pamiętacie Waćpaństwo, jak tu z za granicy
Przyleciał Wojewodzic. W naszej okolicy
Pan najpierwszy, po ojcu senatora dziecię.
Przystojny, pełen nauk, bywalec na świecie,
Wszyscy za nim latali, jakby za rarogiem;
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Wojewodzica koczyk stanął z koni dwójką.
Ekonom ojca jego, nieboszczyk pan Łojko,
Wstydziłby się zajeżdżać dryndulką tak małą;
Lecz Wojewodzic nazwał swój kocz damą białą.
Z tyłu, zamiast lokaja; wziął kusego pieska
A na kozłach niemczysko, wychudłe jak deska.
Nogi miał długie, cienkie jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi sprzączkami trzewiki,
I peruka z ogonem, uwiązanym w miechu.
My starsi, patrząc na to, parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się: mówiąc: że w powiecie
Jeździ niemiecki djabeł w weneckiej karecie.
Wszakże młodzieży przypadł ten djabeł do smaku!
Brali sobie do sukien kroje z jego fraku;
A damy uczyły się grymasów, ukłonów,
Konceptów przywiezionych z paryskich salonów —
Ja zaś mówiłem, że ten człowiek niederzeczny
Źle skończy: a wnosiłem stąd, że był niegrzeczny
Ciągle tęsknił w ojczyźnie, znaleźć nie mógł ludzi,
Nie miał z kim żyć, powtarzał, że się na śmierć nudzi;
Przedrwiwał najzacniejsze kobiety w powiecie,
Bo prostaczki, na wielkim nie bywały świecie,

Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy:
Znać było, że przychodził już do wniosków mowy.

Wtem brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
I rzekł: «Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!
Teraz, nie wiem, czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorszenia.
Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny,
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny,
Gdy raptem paniczyki obce z cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza:
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,
Odbiera najprzód rozum od obywateli.
I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli —
I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.

Trudno z niemi rozmawiać, nie podobna bawić —
Nie umiały go dosyć ocenić i sławić!
A wiecież jak on skończył? Poznał się z otyłym
Żydem jakimś, bankierem z Królewca przybyłym.
Siostra szachraja, dziewka długa i dziobata,
Niepiękna i niemłoda, nawet niebogata,
Lecz ćwik baba: umiała przynęcać młodzików,
Plotąc, jak opętana, dziesięcią językyów;
Wojewodzic przysięgał, że czystym mówiła
Akcentem, jak gdyby się na bruku rodziła
Paryskim. Owoż teraz popadł w babie szpony,
I już wpół zrujnowany i wpół ożeniony,
I oczu teraz nie śmie pokazać przed światem.»
detchnął Sędzia, potem rzekł kończąc: «A zatem» —
Co by znak, że przychodzi już do wniosków mowy —
Razełęum Tadeusza rzucił wzrok surowy:
Zląkł si bardzo synowiec. Wtem z potrawą czwartą
Podszedł lokaj i z traskiem boczne drzwi otwarto.
Weszła nowa osoba — i t. d.

Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory:
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po której miał przyjść wkrótce wielki post — niewola!

«Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku,
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem!
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francusku zwała kariulka:
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczysko, chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się, mówiąc, że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie.
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą, lub papugą —
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza! —
Taka była przesądów owoczesnych władza!

«Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować;
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi —
Choć o tem dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.

Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza;
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi:
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

«Chwała Bogu, że teraz, jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę to już nie po odzież,
Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.
Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!
Zawżdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.
Tylko smutno, że nam, ach, tak się lata wleką
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina! —
Ojcze Robaku — ciszej rzekł do Bernardyna —
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
Może też co o naszem wojsku wie Jegomość?»
«Nic a nic» odpowiedział Robak obojętnie —
Widać było, że słuchał rozmowy niechętnie —
Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie: cóż o tem gadać u wieczerzy;
Są tu świeccy, do których nic to nie należy.»

Tak mówiąc, spojrzał zyzem, gdzie śród biesiadników
Siedział gość, Moskal; był to pan kapitan Ryków,
Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:
«Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a po polsku umiem —
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!
Wy Polaki, ja Ruski! teraz się nie bijem.
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem.
Często na awanpostach nasz z Francuzom gada,
Pije wódkę — jak krzykną ura! — kanonada.
Ruskie przysłowie: z kim się biję, tego lubię;
Gładź drużkę jak po duszy, a bij jak po szubie.
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
Płuta, Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu! Pójdiem, czy pod Turka,
Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na Francuza,
Że Bonapart czarował: no, tak i Suwarów
Czarował; tak były czary przeciw czarów.
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta,
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta;
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.
Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą —»
Tu Ryków przerwał i jadł; wtem, z potrawą czwartą
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda.
Jej zjawienie się nagłe, jej wzrost i uroda,
Jej ubiór zwrócił oczu; wszyscy ją witali:
Prócz Tadeusza, widać że ją wszyscy znali.
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
Suknię materyalną, różową, jedwabną,

Gors wycięty, kołnierzyk z koronek, rękawki
Krótkie; w ręku kręciła wachlarz dla zabawki —
Bo nie było gorąco — wachlarz pozłocisty
Powiewając, rozlewał deszcz iskier rzęsisty.
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi;
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu:
Słowem, ubiór galowy; szeptali nie jedni,
Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko; suwała się raczej
Jako osóbki, które na trzy-królskie święta
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła, i wszystkich lekkim witając ukłonem.
Chciała usiąść na miejscu sobie zostawionem.
Trudno było: bo krzeseł dla gości nie stało,
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało —
Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeskoczyć.
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potem, między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem.
W biegu, dotknęła blisko naszego młodziana:
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana,
Pośliznęła się nieco, i w tem roztargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swem siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkiem dotknięciem się ręki
Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła, najprzód ciche szmery,
A potem się zaczęły wpół-głośne rozmowy;
Mężczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.

Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zająca pochwycił;
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy do koła
Brali stronę Kusego albo też Sokoła —
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
Sędzia na drugim końcu do nowej sąsiadki
Rzekł półgłosem: «Przepraszam, musieliśmy siadać,
Nie podobna wieczerzy na później odkładać:
Goście głodni, chodzili daleko na pole —
Myślałem, że dziś z nami nie będziesz przy stole.»
To rzekłszy, z Podkomorzym, przy pełnym kielichu,
O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
Tadeusz przyglądał się nieznanej osobie.
Przypomniał, że za pierwszem na miejsce wejrzeniem
Odgadnął zaraz, czyjem miało być siedzeniem
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie:
Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!
Więc było przeznaczono, by przy jego boku
Usiadła owa piękność, widziana w pomroku!
Wprawdzie, zdała się teraz wzrostem dorodniejsza.
Bo ubrana, a ubiór powiększa i zmniejsza.
I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,
A u tej krucze długie zwijały się sploty?
Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,
Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła;
Ale myśl, twarz nadobną odgadywać zwykła. —
Myślił, że pewnie miała czarniutkie oczęta,
Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;
U tej znalazł podobne oczy, usta, lica.
W wieku możeby była największa różnica:

Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
A Pani ta niewiastą, już w latach dojrzałą;
Lecz młodzież o piękności metrykę nie pyta,
Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta —
Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz, chociaż liczył lat blisko dwadzieścia,
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście,
Miał za dozorcę księdza, który go pilnował
I w dawnej surowości prawidłach wychował.
Tadeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne,
Ale razem niemałą chętkę do swawoli.
Zgóry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi długo wzbronionej swobody;
Wiedział, że był przystojny, czuł się rzeski, młody,
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica: wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nie odrodził.
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził;
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił;
On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić.
Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,
Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił, siedząc w szkole.
Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
Kazał aby przyjechał i aby się żenił
I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.

Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
I w twarz spojrzała, z której wytryskał rumieniec,
Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieniec:
Bo z pierwszej lękliwości całkiem już ochłonął,
I patrzył wzrokiem śmiałym, w którym ogień płonął.
Również patrzyła ona: i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie, jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;
Wracał z miasta, ze szkoły: więc o książki nowe,
O autorów pytała Tadeusza zdania,
I ze zdań wyciągała na nowo pytania.
Cóż, gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie,
Dowiodła, że zna równie pędzel, nuty, druki;
Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki!
Lękał się, by nie został pośmiewiska celem,
I jąkał się jak żaczek przed nauczycielem.
Szczęściem, że nauczyciel ładny i nie srogi;
Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
By życie uprzyjemnić a wieś rozweselić.
Tadeusz odpowiadał śmielej, szła rzecz dalej,
W pół godziny już byli z sobą poufali;
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
W końcu, stawiła przed nim trzy z chleba gałeczki.
Trzy osoby na wybór; wziął najbliższą sobie —
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie —
Sąsiadka zaśmiała się, lecz nie powiedziała,
Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła;
Bo tam, wzmogłszy się nagle, stronnicy Sokoła
Na partyę Kusego bez litości wsiedli.
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli;

Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniej Pan Rejent był zacietrzewiony:
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoję tokował,
I gestami ją bardzo dobitnie malował. —
Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta. —
Teraz ręce przy boku miał, wtył wygiął łokcie,
Z pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem:
Właśnie rzecz kończył. «Wyczha — puściliśmy razem
Ja i Assesor, razem, jakoby dwa kurki
Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;
Wyczha, poszli, a zając jak struna, smyk w pole,
Psy tuż — to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał —
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał.
Sokoł smyk naprzód; rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec:
Wiedziałem że spudłuje. Szarak, gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstrąk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie, dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo: on w las, a mój Kusy
Cap!!» Tak krzycząc, Pan Rejent na stół pochylony,
Z palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,
I «Cap!» Tadeuszowi wrzasnął tuż na uchem:
Tadeusz i sąsiadka, tym głosu wybuchem
Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy,
Jako wierzchołki drzewa powiązane społem,
Gdy je wicher rozerwie; i ręce pod stołem,
Blisko siebie leżące, wstecz nagle uciekły.
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz, by nie zdradzić swego roztargnienia:
«Prawda, rzekł, mój Rejencie, prawda bez wątpienia,

Kusy piękny chart z kształtu jeśli równie chwytny —»
«Chwytny? — krzyknął Pan Rejent — móg pies faworytny
Żeby nie miał być chwytny? —» Więc Tadeusz znowu
Cieszył się, że tak piękny pies nie ma narowu —
Żałował, że go tylko widział, idąc z lasu,
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrżał Assesor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.
Assesor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały z postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim: ma żądło w języku;
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować —
Wszystkie złośliwe — ostre. Dawniej człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił, na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu, by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo mysliwstwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane.
Teraz mu z całej psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze z tych jednemu chciano przeczyć chwały!
Więc zbliżył się, i zwolna gładząc faworyty [1]
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:

[1] Potrzeba także wiedzieć, że on Telimenie
Nadskakiwał i niby kochał się szalenie;
Żałował więc, że dał się ułowić tak prędko:
Widać, że już na inną rybkę dybie z wędką.
Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:

«Sławną Akademiję macie Państwo w Wilnie:
Lecz z katedry o chartach nauczano mylnie,
Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,
I u nas na wsi. U nas jest stare przysłowie:
Chart bez ogona —

«Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,
Ogon też znacznie chartom pomaga dopędu:
A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
Zresztą, zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
I bawi się niedawno w naszej okolicy,
Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:
Tak to nauka sama z latami przychodzi.»

Tadeusz, na którego niespodzianie spadał,
Grom taki, wstał zmięszany, chwilę nic nie gadał,
Lecz patrzał na rywala coraz straszniej, srożej —
Wtem, wielkim szczęściem, dwakroć kichnął Podkomorzy.
«Wiwat!» krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił.
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A w środku jej był portret króla Stanisława —
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował;
Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać.
Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.
On rzekł: «Wielmożni Szlachta, Bracia Dobrodzieje!
Forum myśliwskiem tylko są łąki i knieje;
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,
I posiedzenie nasze na jutro solwuję,
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę.
Woźny! odwołaj sprawę, na jutro, na pole.
Jutro i Hrabia z całem myśliwstwem tu zjedzie,
I Waszeć z nami ruszysz, Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi.»
To mówiąc, tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród mysliwych siedział;
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.

On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył;
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową, rzekł z gorzkim uśmiechem:
«O, jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżby to o tem starzy mówili myśliwi,
Widząc, że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?
Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim?
A od tylu lat siedzi jak mnich we swym dworze;
Nikt go na polowanie uprosić nie może —
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby Pan taki,
Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraki!
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk — nazwan był zwierzem szlacheckiem,
A zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów,
Zostawiono dla płatnych sług i dworskich ciurów.
Żaden Pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą shańbiono sypiąc w nią śrót cieńki!
Trzymano wprawdzie chartów: bo z łowów wracając,
Trafia się, że z pod konia mknie się biedak zając;
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smyczne,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niem noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha.»

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył.
Wstano od stołu. Pierwszy Podkomorzy ruszył:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy —
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
Tadeusz Telimenie, Assesor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance,

Tadeusz z kilku gośćmi poszedł do stodoły,
A czuł się pomięszany, zły i nie wesoły.
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki:
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki;
A szczególniej mu słowo «ciocia» koło ucha
Brzęczało ciągle, jako naprzykrzona mucha.
Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać
O Pannie Telimenie, lecz go nie mógł schwytać —
Wojskiego też nie widział; bo zaraz z wieczerzy
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
Urządzając we dworze izby do spoczynku.
Starsi i damy spały we dworskim budynku;
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano,
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W pół godziny tak było głucho w całym dworze,
Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża — —
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu nie zmruża;
Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
W pole — i w domu przyszłą urządza zabawę.
Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać.
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.
Woźny pas mu odwiązał, pas słucki, pas lity,
Przy którym świecą gęste kutasy jak kity:
Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
Na wywrót jedwab' czarny, posrebrzany w kraty;

Pas taki można równie kłaść na strony obie;
Złotą, na dzień galowy, a czarną w żałobie.
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
Właśnie tem się zatrudniał i kończył tak gadać:

«Cóż złego, że przeniosłem stoły do zamczyska?
Nikt na tem nic nie stracił, a Pan może zyska.
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
I mimo całą strony przeciwnej zajadłość,
Dowiodę, że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
Wszakże, kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
Dowodzi, że posiadłość tam ma albo bierze;
Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.»

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,
Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,
Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
Albo o których później dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem;
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,
Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć ze Rdułtowskim,
Obuchowicz z Kahałem, Juraha z Piotrowskim,
Malewski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia
Z Soplicą — i czytając, z tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie procesu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki.
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem:
Jedna ręka na szabli, a druga do stoła,
Przywoławszy dwie strony, «Uciszcie się!» woła,

Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału. [1]

Takie były zabawy, spory w one lata,
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabór
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła, hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
Które broniły Litwę murami żelaza
Przed wieścią, dla Rossyi straszną jak zaraza.

Przecież nie raz nowina, niby kamień z nieba,
Spadała w Litwę. Nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął, i oczy w koło obracał ostrożne —
Gdy nie widział we dworze rossyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był, wyznawał: był legionistą,
Przynosi kości stare na ziemię ojczystą,
Której już bronić nie mógł. — Jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ściskała,
Zanosząc się od płaczu! On za stołem siadał,
I dziwniejsze od baśni historye gadał.
On opowiadał, jako Jenerał Dąbrowski,
Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski;
Jak on rodaków zbiera na Lombardzkiem polu;
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu,
I zwycięsca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

[1] Na tym ustępie w pierwotnym rękopisie kończy się Księga pierwsza. Obacz uwagę na końcu Księgi trzeciej.

Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznej wiośnie
Pachnące kwitną lasy; z legiją Dunaju
Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.
Mowy starca krążyły po wsi pokryjomu;
Chłopiec co je posłyszał, znikał nagle z domu,
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie —
I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
Gdzie usłyszał głos miły: «Witaj nam kolego!»
Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia
I Moskałom przez Niemen rzekł: «do zobaczenia!»
Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Gedymin i inni, których nie doliczę:
Opuszczali rodziców i ziemię kochaną —
I dobra, które na skarb carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,
Gazetę im pokazał, wyprutą z szkaplerza.
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
I nazwiska każdego wodza legionu,
I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
Po wielu latach pierwszy raz miała rodzina
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna:
Brał dom żałobę, ale powiedzieć nie śmiano
Po kim była żałoba, tylko zgadywano
W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:
Często on z Panem Sędzią rozmawiał osobno;
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
Wydawała, że mnich ten zawsze nie w kapturze
Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.

Miał on nad prawem uchem, nieco wyżej skroni,
Bliznę, wyciętej skóry na szerokość dłoni,
I w brodzie ślad nie dawny lancy lub postrzału;
Ran tych nie dostał pewno przy czytaniu mszału.
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
Od ołtarza do ludu, by mówić: «Pan z wami,»
To nieraz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,
I słowa liturgii takim wyrzekł tonem
Do ludu, jak oficer stojąc przed szwadronem.
Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy — —
Spraw także politycznych był Robak świadomszy,
Niśli żywotów świętych; a jeżdżąc po kweście,
Często zastanawiał się w powiatowem mieście.
Miał pełno interesów: to listy odbierał,
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
Nie powiadał — częstokroć wymykał się nocą
Do dworów Pańskich, z szlachtą ustawicznie szeptał,
I okoliczne wioski do koła wydeptał,
I w karczmie z wieśniakami rozprawiał nie mało,
A zawsze o tem, co się w cudzych krajach działo.
Teraz Sędziego, który już spał od godziny,
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

KSIĘGA II.

ZAMEK.

Polowanie z chartami na upatrzonego. — Gość w Zamku. — Ostatni z dworzan opowiada historję ostatniego z Horeszków. — Rzut oka w sad. — Dziewczyna w ogórkach. — Śniadanie. — Pani Telimeny anekdota petersburska. — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła. — Interwencja Robaka. — Rzecz Wojskiego. — Zakład. — Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc szedł na pole,
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedze, nie poznasz, że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec, jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu. —
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków, widnych strzeleckiemu oku;
Czy jak czarownik gada z ziemią, która, głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek.
Ówdzie orzeł szerokiem skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb, pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem, jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki?
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków,
I innych gazet, oprócz domowych rachunków! —

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemno-zielonem, świeżem, wonnem sianie,
Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rozpływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc, świerkać zaczęły pod strzechą;
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo,
Odezwały się chórem kaczki i indyki,
I słychać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież. Tadeusz jeszcze senny leży;
Bo też najpóźniej zasnął. Z wczorajszej wieczerzy
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
Jeszcze oczu nie zmrużył, a na swem posłaniu
Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
I spał twardo: aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto z trzaskiem,
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym paskiem,
«Surge puer» wołając, i ponad barkami
Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki:
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie.
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
Zgraja chartów wypadłszy, wesoło skowycze —
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,

Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
Potem biegą i kładą szyje na obroże.
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży —
Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.
Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim!
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim.
W środku jechali obok Assesor z Rejentem;
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie, jak ludzie honoru,
Idąc na rozstrzygnienie śmiertelnego sporu:
Nikt ze słów, zawziętości ich poznać nie zdoła!
Pan Rejent wiódł Kusego, Assesor Sokoła.
Z tyłu damy w pojazdach; młodzieńcy, stronami
Cwałując tuż przy kołach, gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem,
Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem
Na pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,
Wreszcie kiwnął nań palcem. Tadeusz podjechał,
Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby,
Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczył,
Bernardyn odpowiedzieć, ni spojrzeć nie raczył;
Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył.
Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie wtenczas myśliwi smycze zatrzymali,
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia,
Nad którym stał pan Sędzia. On zwierza obaczył,
I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy: stoją, a środkiem po roli
Assesor i pan Rejent kłusują powoli.
Tadeusz, będąc bliższy, obudwu wyprzedził,
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu: na szarej przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni

Pokazał mu pan Sędzia. Siodział biedny zając,
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając;
Okiem czerwonem spotkał myśliców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,
Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka.
Tymczasem kurz na roli rośnie coraz bliżej;
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,
Tuż Assesor z Rejentem razem, wrzaśli z tyłu:
«Wyczha, wyczha!» i z psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
Ukazał się pan Hrabia pod zamkowym lasem.
Wiedziano w okolicy, że ten pan nie może
Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze.
I dziś zaspał poranek; więc na sługi zrzędził,
Widząc myśliców w polu cwałem do nich pędził.
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
Połami na wiatr puścił; z tyłu konno sługi,
W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśniących, małych,
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych.
Sługi, które pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu: dżokeje.
Cwałująca czereda zleciała na błonia:
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia —
Pierwszy raz widział zamek z rana, i nie wierzył,
Że to były też same mury; tak odświeżył
I upiększył poranek zarysy budowy:
Zadziwił się pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo sterczącа
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca —
Pod nim błyszczała w kratach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rozpadliny i szczerby zakryła od oka;
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany,
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:

Przysiągłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykłe i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał, że ma głowę
Romansową: w istocie był wielkiem dziwakiem.
Nie raz, pędząc za lisem albo za szarakiem,
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
Jak kot, gdy ujrzy wróble na wysokiej sośnie;
Często bez psa, bez strzelby, błąkał się po gaju,
Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
Nieruchomy, chyliwszy głowę nad potokiem,
Jak czapla wszystkie ryby chcąca pożreć okiem;
Takie były Hrabiego dziwne obyczaje.
Wszyscy mówili, że mu czegoś nie dostaje;
Szanowano go przecież, bo pan z prapradziadów,
Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów,
Nawet dla żydów — —

Hrabski koń, zwrócony z drogi,
Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.
Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.
Wtem, spojrzawszy w bok — ujrzał o dwadzieścia kroków
Człowieka, który, równie miłośnik widoków
Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
Zdawało się, że liczył oczyma kamienie.
Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
Marszczkami pooraną, posępną, surową.
Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu
Ani był na kiermaszu, ani na weselu;

Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano,
I uśmiechu na jego twarzy nie widziano.
Zawsze nosił Horeszków liberyję dawną;
Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,
Który, dziś żółty, dawniej zapewne był złoty —
W koło szyte jedwabiem herbowe klejnoty,
Półkozice: i stąd też cała okolica
Półkozicem przezwała starego szlachcica.
Czasem też od przysłowia, które bez ustanku
Powtarzał, nazwano go także i Mopanku;
Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał w szczerbach;
Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach
Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował:
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem,
Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje
Stały otworem. Przcieże wynalazł drzwi dwoje;
Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie.
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowem.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił,
Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
I naciętą od licznych kordów jak nasieka;
Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko
Skłoniwszy się, rzekł smutnie: «Mopanku, panisko,
Daruj mi że tak mówię, Jaśnie Grafie panie,
To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:
Mopanku powiadali wszyscy Horeszkowie,
Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie —
Czyż to prawda, Mopanku, że pan grosza skąpisz
Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz?

Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.»
Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.

«Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki, a nuda
Jeszcze większa; chcę skończyć. Lecz szlachcic maruda
Upiera się; przewidział, że mnie znudzić może:
Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
Przyjmę warunki zgody, jakie mi sąd poda. —»
«Zgody? krzyknął Gerwazy, z Soplicami zgoda?
Z Soplicami, Mopanku? — to mówiąc wykrzywił
Usta, jakby nad własną mową się zadziwił —
Zgoda i Soplicowie! Mopanku, panisko,
Pan żartuje, co? Zamek, Horeszków siedlisko,
Ma pójść w ręce Sopliców? Niech pan tylko raczy
Zsiąść z konia. Pójdźmy w Zamek. Niechno pan obaczy.
Pan sam nie wie co robi. Niech się pan nie wzbrania,
Zsiadaj pan —» i przytrzymał strzemię do zsiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:
«Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,
Często siadali w krzesłach, w poobiedniej porze.
Pan godził spory włościan, lub w dobrym humorze,
Gościom różne ciekawe historyje prawił,
Albo ich powieściami i żarty się bawił —
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.»

Weszli w sień. Rzekł Gerwazy, «W tej ogromnej sieni
Brukowanej, nie znajdziesz pan tyle kamieni,
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach,
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
Albo na imieniny pańskie, lud na łowy.
Podczas uczty, na chórze tym kapela stała,
I w organ i w rozliczne instrumenta grała;
A gdy wnoszono zdrowie, trąby, jak w dniu sądnym,
Grzmiały z chóru. Wiwaty szły ciągiem porządnym:

Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,
Potem Prymasa, potem królowej Jejmości,
Potem Szlachty i całej Rzeczypospolitej,
A nakoniec po piątej szklanicy wypitej,
Wnoszono: Kochajmy się. Wiwat bez przestanku,
Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku:
A już gotowe stały cugi i podwody,
Aby każdego odwieźć do jego gospody.»

Przeszli już kilka komnat. Gerwazy w milczeniu,
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
Przywołując pamiątkę tu smutną, tam miłą;
Czasem, jakby chciał mówić «wszystko się skończyło»
Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką:
Widać, że mu wspomnienie samo było męką,
I że je chciał odpędzić. Aż się zatrzymali
Na górze, w wielkiej, niegdyś zwierciadlanej sali.
Dziś, wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
Okna bez szyb, z krużgankiem w prost naprzeciw bramy.
Tu wszedłszy, starzec głowę zadumaną skłonił
I twarz zakrył rękami; a gdy ją odsłonił
Miała wyraz żałości wielkiej i rozpaczy.
Hrabia, chociaż nie wiedział co to wszystko znaczy,
Poglądając w twarz starca, czuł jakieś wzruszenie,
Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,
Przerwał je starzec, trzęsąc wzniesioną prawicą:
«Nie masz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
I krwią Horeszków. W panu krew Horeszków płynie!
Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczynie,
Która się rodzi z drugiej córki kasztelana,
Który był jak wiadomo, wujem mego pana.
Słuchaj pan historyi swej własnej rodzinnej,
Która się stała właśnie w tej izbie, nie innej.

«Nieboszczyk pan mój, Stolnik, pierwszy pan w powiecie,
Bogacz i familiant, miał jedyne dziecię,
Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało
Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.

Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda —
Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,
Choć sam nic nie posiadał prócz kawałka roli,
Szabli i wielkich wąsów od ucha do ucha.
Owoż pan Stolnik nie raz wzywał tego zucha,
I ugaszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików.
Popularny dla jego krewnych i stronników.
Wąsal tak wzbił się w dumę łaskawem przyjęciem,
Że mu się uroiło zostać pańskim zięciem.
Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,
Wkońcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł.
I już miał się oświadczać: lecz pomiarkowano,
I czarną mu polewkę do stołu podano.
Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,
Ale przed rodzicami taiła głęboko.

«Było to za Kościuszki czasów; pan popierał
Prawo trzeciego maja i już szlachtę zbierał,
Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy:
Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy.
Ledwie był czas z moździerza na trwogę wypalić,
Podwoje dolne zamknąć i ryglem zawalić.
W zamku całym był tylko pan Stolnik, ja, pani,
Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani;
Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali.
Więc za strzelby, do okien. Aż tu tłum Moskali,
Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;
My im ze strzelb dziesięcu palnęli «a zasie.»
Nic tam nie było widać; słudzy bez ustanku
Strzelali z dolnych pięter, a ja i pan z ganku.
Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze:
Dwadzieścia strzelb leżało tu na tej podłodze;
Wystrzeliliśmy jednę, podawano drugą.
Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,

I pani i panienka i nadworne panny —
Trzech było strzelców, a szedł ogień nieustanny.
Grad kul sypały z dołu moskiewskie piechury;
My zrzadka, ale celniej pogrzewali z góry.
Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
Ale za każdym razem trzech nogi zadarło.

«Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.
Pan stolnik wesół wyszedł ze strzelbą na ganek,
I skoro z pod lamusa moskal łeb wychylił,
On dawał zaraz ognia, a nigdy nie mylił;
Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
I już się rzadko który z za ściany wykradał.
Stolnik, widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę
I z ganku krzycząc sługom, wydawał rozkazy;
Obróciwszy się do mnie, rzekł: za mną Gerwazy!
Wtem strzelono z pod bramy. — Stolnik się, zająknął,
Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął:
Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same.
Pan słaniając się, palcem ukazał na bramę:
Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!
Po wzroście i po wąsach! Jego to postrzałem
Zginął Stolnik, widziałem! Łotr jeszcze do góry
Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!
Wziąłem go na cel; zbójca stał jak skamieniały!
Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały
Chybiły, czym ze złości czy z żalu źle mierzył —
Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzałem — pan nie żył.»

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał:
Potem rzekł kończąc: «Moskal już wrota wywalał:
Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,
I nie widziałem co się działo w około mnie.
Szczęściem na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz,
Przywiódłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz.
Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,
A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

«Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy;
Ojciec włościan, brat szlachty — i nie miał po sobie
Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!
Ale miał sługi wierne. Ja w krew jego rany
Obmoczyłem mój rapier scyzorykiem zwany. —
Zapewne pan o moim słyszał scyzoryku,
Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku —
Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach:
Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jamarkach.
Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku
Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze,
Upiekł się tak jak piskorz; a tych nie policzę,
Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
Który dotąd odemnie pamiątki nie dostał,
Rodzoniutki braciszek owego wąsala!
Żyje dotąd, i z swoich bogactw się przechwala,
Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,
Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
I pan mu zamek oddasz? Niecne jego nogi
Mają krew pana mego zetrzeć z tej podłogi?
O nie! Póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,
I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy
Scyzoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie,
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!»

«O! — krzyknął, Hrabia, ręce podnosząc do góry —
Dobre miałem przeczucie, żem lubił te mury!
Choć nie wiedziałem, że w nich taki skarb się mieści,
Tyle scen dramatycznych i tyle powieści!
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,
Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię.
Twoja powieść, Gerwazy, zajęła mię mocno.
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną:
Udrapowany płaszczem, siadłbym na ruinach,
A tybyś mi o krawawych rozpowiadał czynach.

Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania!
Nieraz takie słyszałem, i czytam podania;
W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,
W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów.
W każdej dawnej, szlachetnej, potężnej rodzinie,
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:
W Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku. [1]
Czuję, że we mnie mężnych krew Horeszków płynie,
Wiem, co winienem sławie i mojej rodzinie! —
Tak, muszę zerwać wszelkie z Soplicą układy,
Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
Honor każe.» — Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
A Gerwazy szedł z tyłu w milczeniu głębokiem.
Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał —
Tak samotną rozmowę kończąc roztargniony:
«Szkoda, że ten Soplica stary nie ma żony,
Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki.
Kochając i nie mogąc otrzymać jej ręki,
Nowa by się w powieści zrobiła zawiłość:
Tu serce, tam powinność — tu zemsta, tam miłość!»

Tak szepcąc, spiął ostrogi; koń leciał do dworu,
Gdy z drugiej strony strzelcy wyjedżali z boru.
Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
Zapomniawszy o wszystkiem, prosto ku nim skoczył,
Mijając bramę, ogród, płoty: gdy w zawrocie
Obejrzał się i konia zatrzymał przy płocie —
Był sad.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;

[1] Niech wiedzą cudzoziemcy, że i nasze kraje
Zupełnie europejskie miały obyczaje!

Tam, plącząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu:
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza.
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone —
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle
Trzepiotąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak źrenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik, licem wielkiem, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
Pośrodku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
W majowej zieloności tonąc po kolana;
Z grząd zniżając się w bruzdy, zdała się nie stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
I kilka puklów świątłych, rozwitych warkoczy;
Na ręku miała koszyk, w dół spuściła oczy,
Prawą rękę podniosła, niby do chwytania.
Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania
Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia, zachwycony tak cudnym widokiem,
Stał cicho. Słysząc tentent towarzyszów w dali,
Ręką dał znak, ażeby wstrzymać konie — stali.
On patrzył z wyciągniętą szyją, jak dziobaty
Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty
Stojąc na jednej nodze, z czujnemi oczyma,
I by nie zasnąć, kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;
Był to bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni
Podniesione do góry węzłowate sznurki:
«Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz ogórki!
Wara panie od szkody; na tutejszej grzędzie
Nie dla Waszeci owoc, nic z tego nie będzie.» —
Potem palcem pogroził, kaptura poprawił,
I odszedł. Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,
Śmiejąc się i klnąc razem tej nagłej przeszkodzie.
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie.
Nie było jej; mignęła tylko śród okienka
Jej różowa wstążeczka i biała sukienka.
Widać na grzędach, jaką przeleciała drogą:
Bo liść zielony, w biegu potrącony nogą,
Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,
Jak woda, którą ptaszek skrzydłami rozkroił.
A na miejscu, gdzie stała, tylko porzucony
Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,
Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,
I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho.
Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho;
Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomi
Za nim stali. Aż w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania,
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż, po wszystkich izbach panował ruch wielki:
Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki.
Mężczyzni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
Z talerzami, szklankami, chodząc po pokojach,
Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach.
Podkomorstwo i Sędzia przy stole — a w kątku
Panny szeptały z sobą. Nie było porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa;
Była to w staropolskim domu moda nowa:
Przy śniadaniach, pan Sędzia choć nierad pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
I z porcelany saskiej złote filiżanki;
Przy każdej garnuszeczek mały do śmietanki.
Takiej kawy, jak w Polsce, nie ma w żadnym kraju.
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta —
Nazywa się Kawiarka; ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czem dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią: bo kawiarka zrana
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie,
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy, piły kawę;
Teraz, drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.
W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie —
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

W dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:
Starszyzna, przy stoliku małym zgromadzona,
Mówiła o sposobach nowych gospodarskich!
O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich —
Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.
Panna Wojska, włożywszy okulary sine,
Zabawiała kabałą z kart Podkomorzynę.
W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach:
Bo Assesor i Rejent, oba mówcy wielcy,
Pierwsi znawcy myśliwstwa i najlepsi strzelcy,
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni.
Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni
Zwycięstwa swoich chartów: gdy pośród równiny
Znalazł się zagon chłopskiej niezżętej jarzyny.
Tam wpadł zając; już Kusy, już go Sokół imał,
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał.
Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie
Psy powróciły same, i nikt pewnie nie wie,
Czy żwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć nie zdoła,
Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,
Czyli obudwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał nierozstrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
Po obu stronach oczy roztargnione wodził,
Nie mięszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
I widać, że czem innem zajętą miał głowę.
Nosił skórzaną plackę; czasem w miejscu stanie,
Duma długo, i — muchę zabije na ścianie!

Tadeusz z Telimeną, pomiędzy izbami
Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami.
Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,
Więc szeptali. Tadeusz teraz się dowiedział:
Że ciocia Telimena jest bogata pani,
Że nie są kanonicznie z sobą powiązani
Zbyt bliskiem pokrewieństwem, i nawet niepewno,
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,
Choć ją stryj zowie siostrą: bo wspólni rodzice
Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę.
Że potem ona żyjąc w stolicy czas długi
Wyrządziła niezmierne Sędziemu usługi:
Stąd ją Sędzia szanował bardzo i przed światem,
Lubił, może z próżności, nazywać się bratem —
Czego mu Telimena przez przyjaźń nie wzbrania.
Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.
Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;
A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.

Ale w izbie, na prawo, kusząc Assesora
Rzekł Rejent mimojazdem: «Ja mówiłem wczora,
Że polowanie nasze udać się nie może:
Jeszcze zbyt wcześnie, jeszcze na pniu stoi zboże,
I mnóstwo sznurów chłopskiej niezżętej jarzyny:
Stąd i Hrabia nie przybył mimo zaprosiny.
Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,
Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;
Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,
I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
Polować, tak jak u nas, bez żadnego względu
Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;
Nie szanując niczyich kopców ani miedzy,
Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy —
Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,
Zabijać nieraz lisa właśnie, gdy linieje,
Albo cierpieć, iż kotną samicę zającą
Charty w runi uszczują, a raczej zamęczą,
Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,
Że cywilizacja większa dzisiaj u Moskali;

Bo tam o polowanu są ukazy Cara
I dozór polieyi i na winnych kara.

Telimena, ku lewej izbie obrócona,
Wachlując batystową chusteczką ramiona:
«Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się nie myli.
Znam ja dobrze Rossyę. Państwo nie wierzyli,
Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów
Godna pochwały czujność i srogość urzędów.
Byłam ja w Petersburku, nie raz, nie dwa razy!
Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
Co za miasto! Nikt z panów nie był w Petersburku?
Chcecie może plan widzieć? Mam plan miasta w biórku. —
Latem, świat Petersburski zwykł mieszkać na daczy,
To jest w pałacach wiejskich — dacza wioskę znaczy. —
Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,
Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:
Ach, co to był za domek! — Plan mam dotąd w biórku —
Otóż, na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie
Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie.
Trzymał kilkoro chartów: co to za męczarnie,
Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie!
Ilekroć z książką wyszłam sobie do ogrodu,
Użyć księżyca blasku, wieczornego chłodu:
Zaraz i pies przyleciał i kręcił ogonem,
I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.
Nieraz się nalękałam. Serce mi wróżyło
Z tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło.
Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,
Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka
Bonończyka! Ach, była to roskoszna psina,
Miałam ją w podarunku od księcia Sukina
Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka:
Mam jej portrecik — tylko nie chcę iść do biórka —
Widząc ją zadławioną, z wielkiej alteracji
Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacji.

Możeby gorzej jeszcze z mojem zdrowiem było;
Szczęściem, nadjechał właśnie z wizytą Kiryło
Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu.
Pyta się o przyczynę tak złego humoru,
Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy.
Staje pobladły, drżący i prawie bez duszy. —
Jak śmiesz, krzyknął Kiryło piorunowym głosem,
Szczuć wiosną łanię kotną tuż pod Carskim nosem?
Osłupiały czynownik darmo się zaklinał,
Że polowania dotąd jeszcze nie zaczynał,
Że z Wielkiego Łowczego wielkiem pozwoleniem,
Zwierz uszczuty zda mu się być psem, nie jeleniem.
Jakto? krzyknął Kiryło, to śmiałbyś hultaju,
Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju
Niśli ja, Kozodusin, Carski Jegermajster?
Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster!
Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo.
Ja, rzecze Kozodusin, wydaję świadectwo,
Że to łania; on plecie, że to pies domowy:
Rozsądź nas, kto zna lepiej zwierzynę i łowy!
Policmajster powinność służby swej rozumiał:
Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,
I odwiodłszy na stronę po bratersku radził,
By przyznał się do winy i tem grzech swój zgładził.
Łowczy udobruchany, przyrzekł że się wstawi
Do Cesarza, i wyrok nieco ułaskawi.
Skończyło się, że charty poszły na powrozy,
A czynownik na cztery tygodnie do kozy.
Zabawiła nas cały wieczór ta pustota:
Zrobiła się nazajutrz z tego anekdota,
Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się:
I nawet wiem z pewnością, że sam Cesarz śmiał się.»

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardyneм
Grał w marjasza, i właśnie z wyświeconem winem
Miał coś ważnego zadać: już ksiądz ledwo dyszał,
Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał,

I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,
I z kartą podniesioną, do bicia gotową,
Siedział cicho i tylko Bernardyna trwożył.
Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,
I rzekł śmiejąc się «Niech tam sobie kto chce chwali
Niemców cywilizację, porządek Moskali;
Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
Prawować się o lisa i przyzywać drabów,
By wziąść w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje:
Na Litwie, chwała Bogu, stare obyczaje.
Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
I nie będziemy nigdy o to robić śledztwa;
I zboża mamy dosyć, psi nas nie ogłodzą,
Że po jarzynach albo po życie pochodzą —
Na morgach chłopskich bronię robić polowanie.»

Ekonom z lewej izby rzekł: «Nie dziw Mospanie,
Bo też pan drogo płaci za taką zwierzynę.
Chłopy i radzi temu, kiedy w ich jarzynę
Wskoczy chart; niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta:
To pan mu kopę oddasz, i jeszcze nie kwita:
Często chłopi talara w przydatku dostali.
Wierz mi pan, że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,
Jeśli — —» Reszty dowodów pana Ekonoma
Nie mógł usłyszeć Sędzia; bo pomiędzy dwoma
Rozprawami, wszczęło się dziesięć rozgoworów,
Anekdot, opowiadań i nakoniec sporów.

Tadeusz z Telimeną, całkiem zapomniani,
Pamiętali o sobie. Rada była pani,
Że jej dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;
Młodzieniec jej nawzajem komplimenty prawił.
Telimena mówiła coraz wolniej, ciszej,
I Tadeusz udawał, że jej nie dosłyszy
W tłumie rozmów: więc szepcąc, tak zbliżył się do niej,
Że uczuł twarzą lubą gorącość jej skroni;
Wstrzymując oddech, usty chwytał jej westchnienie,
I okiem łowił wszystkie jej wzroku promienie.

Wtem, pomiędzy ich usta mignęła znienacka
Najprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi
Gatunek much osobny, zwanych szlacheckiemi.
Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,
Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych;
Latając bardzo huczą i nieznośnie brzęczą,
A tak silne, że tkankę przebiją pajęczą —
Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,
Bo z pająkiem sam na sam może się borykać.
Wszystko to Wojski zbadał i jeszcze dowodził,
Że się z tych much szlacheckich pomniejszy lud rodził,
Że one tem są muchom, czem dla roju matki,
Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki —
Prawda, że ochmistrzyni, ani pleban wioski,
Nie uwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski
I trzymali inaczej o muszym rodzaju:
Lecz Wojski nie odstąpił dawnego zwyczaju:
Ledwo dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.
Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił;
Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się, że chybił,
Trzeci raz machnął, tylko co okno nie wybił:
Aż mucha, odurzona od tyla łoskotu,
Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,
Rzuciła się z rospaczą pomiędzy ich lica;
I tam za nią mignęła Wojskiego prawica.
Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,
Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy;
Uderzyły się mocno oboje w uszaki,
Tak, że obojgu sine pozostały znaki.

Szczęściem, nikt nie uważał; bo dotychczasowa
Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa
Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu.
Jak strzelcy, gdy na lisa zaciągną do lasu,
Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni granie —
A wtem, dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,

Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,
Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy:
Tak dzieje się z rozmową. Zwolna się pomyka:
Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.
Dzikiem rozmów strzeleckich był ów spór zażarty
Rejenta z Assesorem o sławne ich charty.
Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;
Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,
Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali,
I tocząc się przezedrzwi nakształt bystrej fali,
Unieśli młodą parę stojącą na progu,
Podobną Janusowi, dwu-licemu bogu. [1]

Tadeusz z Telimeną nim na skroniach włosy
Poprawili, już groźne ucichły odgłosy.
Szmer zmięszany ze śmiechem śród ciżby się szerzył;
Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją uśmierzył.
Człowiek stary, lecz kręty i bardzo pleczysty.
Właśnie kiedy Assesor podbiegł do Jurysty,
Gdy już sobie gestami grozili szermierze:
On raptem porwał obu z tyłu za kołnierze,
I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne,
Jednę o drugą, jako jaja wielkanocne,
Rozkrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
I we dwa kąty izby rzucił ich od razu.
Chwilę z rozciągnionemi stał w miejscu rękami,
I «Pax, pax, pax vobiscum, krzyczał, pokój z wami!»

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie.
Przez szacunek, należny duchownej osobie,
Nie śmiano łajać mnicha; a po takiej próbie,

[1] Podobną Janusowi, dwu-licemu bogu
Który, gdy wyrocznemi skrzypnie zawiasami,
Krzyczą dzieci, a matki zlewają się łzami.

Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę.
Zaś kwestarz Robak, skoro uciszył gromadę,
Widać było, że w walce tryumfu nie szukał,
Ani groził kłótnikom więcej, ani fukał;
Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem
Zatknąwszy, wyszedł cicho z pokoju.

Tymczasem
Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony
Plac zajęli. Pan Wojski, jakby przebudzony
Z głębokiego dumania, na środek wystąpił [1]
Wąsy siwe pokręcił, miny nie poskąpił —
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą,
I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,
Tam uciszając machał swą płacką ze skóry,
Wreszcie podniósłszy trzonek z powagą do góry,
Jak laskę marszałkowską, nakazał milczenie:

«Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,
Wy, co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,
Z gorszącej kłótni waszej co będzie? czy wiecie?
Oto młodzież, na której Ojczyzny nadzieje,
Która ma wsławiać nasze ostępy i knieje,
Która niestety, i tak zaniedbuje łowy —
Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy,
Widząc, że ci, co innym mają dać przykłady,
Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady!
Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;
Bo znałem większych dawniej niśli wy myśliwych,
A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.
Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?
Czy obławą zaciągnąć czy spotkać się z zwierzem,
Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?
Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,
Co kulą z pistoletu w biegu trafiał kota?

[1] Z głębokiego dumania, w środku się postawił,
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił
Iskrzyły mu się oczy — zawidy postrzegano
Ten blask niezwykły, kiedy o łowach gadano. —
Obiegł więc zgromadzenie ognistą źrenicą i t. d.

Terajewicza znałem, co idąc na dziki
Nie brał igdy ninnego oręża prócz piki;
Budrewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy.
Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!
Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?
Oto, obrali sędziów i zakład stawili.
Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka;
Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!
I wy, panowie, pójdźcie za starych przykładem,
I rozstrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.
Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca;
Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zająca.
Więc polubownych sędziów najpierwej obierzcie,
A co wyrzekną, temu sumiennie zawierzcie.
Ja uproszę Sędziego, ażeby nie bronił
Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił,
I tuszę, że tę łaskę otrzymam od pana.»
To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

«Konia, zawolał Rejent, stawię konia z rzędem,
I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,
Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę.»
«Ja, rzekł Assesor, stawię me złote obroże,
Jaszczurem wykładane z kółkami ze złota,
I smycz tkany jedwabny, którego robota
Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.
Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,
Jeślibym się ożenił. Ten sprzęt mi darował
Książe Dominik, kiedym z nim razem polował
I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem
Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwałem.
Tam, bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,
Uszczułem sześć zajęcy pojedyńczą suką.
Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiem błoniu;
Książę Radziwił nie mógł dosiedzieć na koniu:
Zsiadł, i objąwszy sławną mą charcicę Kanię
Trzykroć jej w samą głowę dał pocałowanie,

A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
Rzekł, mianuję cię odtąd księżną na Kupisku.
Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa
Od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa.»

Telimena, znudzona zbyt długiemi swary,
Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary:
Wzięła koszyczek z kołka: «Panowie, jak widzę,
Chcecie zostać w pokoju; ja idę na rydze:
Kto łaska, prosze za mną.» Rzekła, koło głowy
Obwijając czerwony szal kaszemirowy;
Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
A drugą podchyliła do kostek sukienkę.
Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył;
Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
A więc krzyknął: «Panowie, po grzyby do boru!
Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,
Ten obok najpiękniejszej panienki usiędzie:
Sam ją wybierze sobie. Jeśli znajdzie dama,
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.» [1]

[1] Dalej na rydze! Waszeć Mości Rotmistrzysko,
Każ wnieść stół obiadowy — tylko nie w zamczysko.»

KSIĘGA III.

UMIZGI.

Wyprawa Hrabi na sad. — Tajemnicza nimfa gęsi pasie. — Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizejskich. — Gatunki grzybów. — Telimena w świątyni dumania. — Narady tyczące się postanowienia Tadeusza. — Hrabia pejzażysta. — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami. — Hrabiego myśl o sztuce. — Dzwon. — Bilecik. — Niedźwiedź Mospanie.

Hrabia wracał do siebie; lecz konia wstrzymywał,
Głową co raz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał.
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,
Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:
Jako promień słoneczny, wykradłszy się z chmurki,
Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę,
Lub śród zielonej łąki w drobną wody szybę. [1]

Hrabia zsiadł z konia, sługi odprawił do domu,
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu.
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,
I wcisnął się po cichu, jak wilk do obory.

[1] Lub śród zielonej łąki w drobną wody szybę,
Odpoczywając na niej nakształt lampy gore:
Tak oświecała biała snkienka rozorę.

Nieszczęściem, trącił krzaki suchego agrestu:
Ogrodniczka, jak gdyby zlękła się szelestu,
Oglądała się w koło, lecz nic nie spostrzegła;
Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,
Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę i ujrzał cudne widowisko:

W tej części sadu rosły tu i owdzie wiśnie,
Śród nich zboże w gatunkach zmięszanych umyślnie:
Pszenica, kukuruza, bób, jęczmień wąsaty,
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.
Domowemu to ptastwu taki ochmistrzyni
Wymyśliła ogródek: sława gospodyni,
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowiczówna. Jej wynalazek epokę stanowi
W domowem gospodarstwie; dziś powszechnie znany,
Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: Sposób
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu — był to ów ogródek.

Jakoż, zaledwie kogut, co odprawia warty,
Stanie i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tem łacniej w niebo mógł celować okiem,
Dostrzeże wiszącego jastrzębia śród chmury:
Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,
Nawet gęsi i pawie i w nagłym przestrachu
Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego nie widziano wroga;
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga.
Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku;
Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Śród ptaszych głów sterczały główki ludzkie, małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;
Szyje nagie do ramion; a pomiędzy niemi
Dziewczyna głową wyższa, z włosami dłuższemi.
Tuż za dziećmi paw' siedział i piór swych obręcze
Szeroko rozprzestrzenił w różnofarbną tęczę,
Na której główki białe, jak na tle obrasku,
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku.
Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu,
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przeźroczu —
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski,
I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mięszały się razem:
Niby krata ze srebra i złota pleciona,
A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badylów
Wisiała jak bałdachim jasna mgła motylów,
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka
Lekkie jak pajęczyna, pejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną, zaledwo widome,
I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w ręku
Szarą kitką, pobobną do piór strusich pęku;
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu. W drugiej ręce
Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei;
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony
Przybliżył się, czołgając jak wąż przez zagony:

Aż wyskoczył z łopuchu. Spojrzała — stał blisko,
O cztery grzędy od niej i kłaniał się nisko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,
I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem:
Kiedy dzieci, przelękłe podróżnego wnijściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie.
Posłyszała, uczuła że jest nieroztropnie
Dziatwę małą, przelękłą i samą porzucić:
Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić —
Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem,
Przybiegła z najkrzykliwszem bawić się dziecięciem.
Siadła przy niem, na ziemi, wzięła je na łono;
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta
Jej kolana i tuląc główki, jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: «czy to pięknie
Tak krzyczeć? czy to grzecznie? Ten pan się zalęknie.
Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny,
To gość, dobry pan, patrzcie tylko jaki ładny.»

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
I widocznie był wdzięczen jej za pochwał tyle;
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny pan: słusznej urody,
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał, pełznąc przez zagony,
Zieleniły się jako wieniec rozpleciony.

«O ty, rzekł, jakiemkolwiek uczczę cię imieniem,
Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!
Mów: własna-li cię wola na ziemię sprowadza,
Obca-li więzi ciebie na padole władza?

Ach, domyślam się: pewnie wzgardzony miłośnik,
Jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik,
W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!
Godna, by o cię bronią walczyli rycerze, [1]
Byś została romansów heroiną smutnych —
Odkryj mi piękna, tajnie twych losów okrutnych:
Znajdziesz wybawiciela. Odtąd twem skinieniem,
Jak rządzisz sercem mojem, tak rządź mem ramieniem.»
Wyciągnął ramię —

Ona z rumieńcem dziewiczym,
Ale z rozweselonem słuchała obliczem.
Jak dziecię lubi widzieć obraski jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich wartość: tak się słuch jej pieści
Z dźwięcznemi słowy, których nie pojęła treści.
Nakoniec zapytała: «Skąd tu pan przychodzi?
I czego tu po grzędach szuka pan Dobrodziej?»
Hrabia oczy roztworzył. Zmięszany, zdziwiony,
Milczał; wreszcie, zniżając swej rozmowy tony,
«Przepraszam, rzekł, panienko! Widzę żem pomięszał
Zabawy. Ach, przepraszam: jam właśnie pośpieszał
Na śniadanie — już późno; chciałem na czas zdążyć;
Panienka wie, że drogą trzeba w koło krążyć:
Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościej» —
Dziewczyna rzekła: «Tędy droga Jegomości;
Tylko grząd psuć nie trzeba. Tam, między murawą
Ścieżka.» — «W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?»
Ogrodniczka, podniosłszy błękitne oczęta,
Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej
Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu
Rozmowy: «Panna mieszka tu blisko ogrodu?

[1] O ty, godna być czczoną w Pafos lub w Cyterze,
Godna, aby młodzieży, pistolety, szpady,
Walczyły o cię, by cię sławiły ballady.

Czy na wsi? Jak to było, żem panny we dworze
Nie widział? czy nie dawno tu? przyjezdna może?»
Dziewczę wstrząsnęło głową. «Przepraszam, panienko,
Czy nie tam pokój panny, gdzie owe okienko?

Myślał zaś w duchu, jeśli nie jest heroiną
Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną.
Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta
W samotności, jak róża śród lasów rozkwita;
Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem,
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem! —

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,
Podniosła jedno dziecię zwisłe na ramieniu,
Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem
Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła: «Czy też pan nie może
Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?»
«Ja ptastwo pędzać?» krzyknął Hrabia z zadziwieniem —
Ona tymczasem znikła, zakryta drzew cieniem.
Chwilę jeszcze z szpaleru, przez majowe zwoje,
Przeświecało coś na wskróś, jakby, oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie.
Dusza jego, jak ziemia po słońca zachodzie,
Ostygała powoli, barwy brała ciemne;
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne,
Zbudził się, i nie wiedząc, na kogo się gniewał:
Niestety, mało znalazł! nadto się spodziewał!
Bo gdy zagonem pełzał ku owej pasterce,
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał:
Wszystko znalazł inaczej! Prawda, że twarz ładną,
Kibić miała wysmukłą: ale jak nieskładną!
A owa pulchność liców i rumieńca żywość,
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość:

Znak, że myśl jeszcze drzemie, że serce nieczynne!
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
«Po cóż się łudzić, krzyknął, zgaduję po czasie:
Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!»

Z nimfy zniknieniem, całe czarowne przeźrocze
Zmieniło się. Te wstęgi, te kraty urocze
Złote, srebrne: niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,
Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy
Nie zapomniał naczynia: złocista konewka,
Ów rożek Amaltei, była to marchewka!
Widział ją w ustach dzieci pożeraną chciwie:
Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec, kiedy ujrzy cykoryi kwiaty,
Wabiące dłoń miękkiemi, lekkiemi bławaty,
Chce je pieścić; zbliża się, dmuchnie: i podmuchem
Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,
A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
Nagą łodygę szaro-zielonawej trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz i wracał
Tamtędy, kędy przyszedł; ale drogę skracał,
Stąpając po jarzynach, kwiatach i agreście!
Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareszcie! —
Przypomniał, że dziewczynie mówił o śniadaniu:
Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu
W ogrodzie, blisko domu? może szukać wyszlą?
Postrzegli że uciekał? kto wie co pomyślą?
Więc wypadło się wrócić. Chyląc się u płotów
Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów
Rad był przecież, że wyszedł w końcu na gościniec,
Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.
Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu.
Jak złodziej od śpichlerza, aby nie dać śladu

Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.
Tak Hrabia był ostrożny: choć go nikt nie śledził —
Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą.
Po jej kobiercach, wskróś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce i dziwny ubiór: istne duchy
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową; inni, jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony,
Ciągnące się za głową jak komet ogony.
Każdy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi;
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy:
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdy by wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,
Ani mówią do siebia, ani się witają —
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz elizejkich cieni,
Które, chociaż boleściam, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojnie, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął, że owi tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi,
Sędziowscy towarzysze? Z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania.
Jako ludzie razsądni, umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmiennie:
Służące do przechadzki opończe płócienne,

Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomiane wdziali kapelusze.
Stąd biali wyglądają, jak czyszczowe dusze.
Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
I kilku po franscuku chodzących.

Tej sceny
Hrabia nie pojął; nie znał wiejskiego zwyczaju:
Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw' ich nie zjada,
I dziwna: żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. — Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku
Dla szkodliwości, albo niedobrego smaku,
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona,
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone — a jest ich bez liku.

Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy:
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie:
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera.
Roztargniona, znudzona, do koła spoziera,
Z głową w górę zadartą. Więc pan Rejent w gniewie
Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;
Assesor ją złośliwiej równał do samicy,
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż, zdała się szukać samotności, ciszy.
Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,
I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,
Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.
W środku szarzał się kamień; strumień z pod kamienia
Szumiał, tryskał i zaraz, jakby szukał cienia,
Chował się między gęste i wysokie zioła,
Które wodą pojone bujały do koła.
Tam ów bystry swawolnik, spowijany w trawy
I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,
Niewidziany i ledwie dosłyszany szepce,
Jako dziecię krzykliwe złożone w kolebce,
Gdy matka nad niem zwiąże fiaranki majowe
I liścia makowego nasypie na głowę.
Miejsce piękne i ciche: tu się często schrania
Telimena, zowiąc je Świątynią dumania.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik
Z ramion swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik;
I podobna pływaczce, która do kąpieli
Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,
Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;
Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,
Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła.
Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,

Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,
Błysnął francuskiej książki papier welinowy:
Nad alabastrowemi stronicami księgi,
Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnej trawy, na krwawniczym szalu,
W sukni długiej, jak gdyby w powłoce z koralu,
Od której odbijał się włos z jednego końca,
Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca
Śnieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,
Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety!
Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety
Darmo szukały znawców, nikt nie zważał na nie:
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,
I nie śmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem
Jak strzelec, gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na tropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą,
A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą:
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty mieszał
I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.
Z wiatrem igrały białe poły sarafana
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;
Słomiany, podwiązany kapelusz, od ruchu
Nagłego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
Spadając to na barki, to znowu na oczy;
W ręku ogromna laska: tak pan Sędzia kroczy.
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
I, wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową
Trzciny ogromnej, z taką ozwał się przemową:

«Widzi Aśćka, od czasu jak tu u nas gości
Tadeuszek, niemało mam niespokojności.
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,
Wszak to moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojej. Z łaski nieba,
Zostawię kęsek niezły szlacheckiego chleba;
Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie;
Ale zważajno Aśćka moje utrapienie!
Wiesz, że pan Jacek, brat mój, Tadeusza ojciec,
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec —
Nie chce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,
Nawet nie chce synowy oznajmić że żyje,
A ciągle nim zarządza. Najprzód w legiony
Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.
Potem zgodził się przecie by w domu pozostał
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
Partyę upatrzyłem. Nikt z obywateli
Nie wyrówna z imienia ani z parenteli
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna
Jest na wydaniu, piękna i posażna panna;
Chciałem zagaić —» Na to Telimena zbladła,
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

«Jak mamę kocham, rzekła, czy to panie bracie
Jest w tem sens jaki, czyli Boga w sercu macie?
To myślisz Tadeusza zostać dobrodziejem,
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem?
Świat mu zawiążesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie:
Zakopać taki talent w izbach i na grzędzie!
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecię,
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie.
Dobrze brat zrobi, gdy go do stolicy wyśle,
Naprzykład do Warszawy? Lub wie brat, co myślę —
Żeby do Petersburka? Ja pewnie tej zimy
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy
Co zrobić z Tadeuszem. Znam tam wiele osób,
Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.

Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,
Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,
Mając już i znaczenie i znajomość świata.
I cóż brat myśli o tem?» — «Jużci w młode lata,
Rzekł Sędzia, nie źle chłopcu trochę się przewietrzyć,
Obejrzeć się po świecie, między ludźmi przetrzeć;
Ja za młodu niemało świata objechałem;
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie — to za trybunałem
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy:
Człek niemało skorzystał! Chciałbym i synowca
Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
Jak czeladnika, który terminuje lata,
Ażeby nabył trochę znajomości świata.
Nie dla rang, ni orderów! Proszę uniżenie,
Ranga moskiewska, order: cóż to za znaczenie?
Któryż to z dawnych panów, ba nawet dzisiejszych,
Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,
Dba o podobne fraszki? — Przecież są w estymie
U ludzi; bo szanujem w nich ród, dobre imię,
Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem.»

Telimena przerwała: «Jeśli brat tak myśli,
Tem lepiej: więc go jako wojażera wyślij.»

«Widzi siostra» rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę,
«Chciałbym bardzo: cóż, kiedy mam trudności nowe!
Pan Jacek nie wypuszcza z opieki swej syna,
I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
Robaka, który przybył z tamtej strony Wisły.
Przyjaciel brata, wszystkie wie jego zamysły,
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
I chcą by się ożenił — aby pojął Zosię,
Wychowankę Waćpani. Oboje dostaną,
Oprócz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano

W kapitałach; wiesz Aśćka, że ma kapitały,
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały:
Ma więc prawo rozrządzać. — Aśćka pomyśl o tem,
Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem.
Trzeba ich z sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
Szczególnie Zosia mała: lecz to nic nie szkodzi.
Czas by już Zośki wreszcie wydobyć z zamknięcia,
Bo wszak ci to już pono wyrasta z dziecięcia.»

Telimena zdziwiona i prawie wylękła,
Podnosiła się co raz, na szalu uklękła;
Zrazu słuchała pilnie, potem dłoni ruchem
Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,
Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
Na powrót w usta mówcy —

«A! a! to rzecz nowa!
Czy to Tadeuszowi szkodzi, czy nie szkodzi,
Rzekła z gniewem, sądź o tem sam Waćpan Dobrodziej!
Mnie, nic do Tadeusza; sami o nim radźcie,
Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,
Niech szynkuje, lub z lasu niech źwierzynę znosi:
Z nim sobie co zechcecie, zróbcie. Lecz do Zosi?
Co Waćpaństwu do Zosi? Ja jej ręką rządzę,
Ja sama! Że pan Jacek dawał był pieniądze
Na wychowanie Zosi i że jej wyznaczył
Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył:
Toć jej jeszcze nie kupił! Zresztą, państwo wiecie,
I dotąd jeszcze o tem wiadomo na świecie,
Że hojność państwa dla nas nie jest bez powodu —
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.»
Tej części mowy Sędzia słuchał z niepojętem
Pomięszaniem, żałością i widocznym wstrętem;
Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,
I ręką potakując, mocno się zapłonił.

Telimena kończyła: «Byłam jej piastunką,
Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.

Nikt oprócz mnie nie będzie myślił o jej szczęściu.»
«A jeśli ona szczęście znajdzie w tem zamęściu?
Rzekł Sędzia wzrok podnosząc, jeśli Tadeuszka
Podoba?» — «Czy podoba? to na wierzbie gruszka!
Podoba nie podoba: a to mi rzecz ważna!
Zosia nie będzie, prawda, partya posażna:
Ale toż nie jest z lada wsi, lada szlachcianka —
Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
Rodzi się z Horeszkówny! małżonka dostanie!
Staraliśmy się tyle o jej wychowanie!
Chybaby tu zdziczała.» — Sędzia pilnie słuchał,
Patrząc w oczy; zdało się, że się udrobruchał,
Bo rzekł dosyć wosoło: «No to i cóż robić!
Bóg widzi szczerze chciałem interesu dobić;
Tylko bez gniewu. Jeśli Aśćka się nie zgodzi,
Aśćka ma prawo — smutno: gniewać się nie godzi.
Radziłem, bo brat kazał; nikt tu nie przymusza.
Gdy Aśćka rekuzuje pana Tadeusza,
Odpisuję Jackowi, że nie z mojej winy
Nie dojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
Teraz sam będę radzić. Pono z Podkomorzym
Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.»

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:
«Ja nic nie rekuzuję, braciszku, pomału!
Sam mówiłeś, że jeszcze zawcześnie, zbyt młodzi:
Rozpatrzmy się, czekajmy, nic to nie zaszkodzi.
Poznajmy z sobą państwo młodych, będziem zważać;
Nie można szczęścia drugich tak na traf narażać.
Ostrzegam tylko wcześnie: niech brat Tadeusza
Nie namawia, kochać się w Zosi nie przymusza;
Bo serce nie jest sługa, nie zna co to pany,
I nie da się przemocą okuwać w kajdany.»

Zaczem Sędzia, powstawszy, odszedł zamyślony.
Pan Tadeusz z przeciwnej przybliżył się strony,
Udając, że szukanie grzybów tam go zwabia.
W tymże kirunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia, podczas Sędziego sporów z Telimeną,
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną.
Dobył z kieszeni papier i ołówek — sprzęty
Które zawsze miał z sobą, i na pień wygięty,
Rozpiąwszy kartkę, widać że obraz malował,
Mówiąc sam z sobą: «Jakbyś umyślnie grupował:
Ten na głazie, ta w trawie; grupa malownicza!
Głowy charakterowe! z kontrastem oblicza!»

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przebierał,
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał:
«Miałożby to cudowne, śliczne widowisko
Zginąć, albo zmienić się, gdy podejdę blisko?
Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie?
W nimfie tej, czyż obaczę jaką ochmistrzynię?»

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał
W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,
Lecz mało ją uważał: zadziwił się zrazu,
Rozeznając w niej model swojego obrazu.
Miejsca piękność, postawy, wdzięk i gust ubrania
Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.
W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;
Twarz, ożywiona wiatru świeżemi powiewy,
Sporem z Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,
Nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców.

«Pani, rzekł Hrabia, racz mej śmiałości darować;
Przychodzę i przepraszać i razem dziękować.
Przepraszać, że jej kroków śledziłem ukradkiem;
I dziękować, że byłem jej dumania świadkiem.
Tyle ją obraziłem! winienem jej tyle!
Przerwałem chwilę dumań; winienem ci chwilę
Natchnienia, chwilę błogą! Potępiaj człowieka;
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!
Na wielem się odważył, na więcej odważę:
Sądź!» tu ukląkł i podał jej swoje pejzaże.

Telimena sądziła malowania próby
Tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby;
Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:
«Brawo, rzekła, winszuję, nie mało talentu.
Tylko pan nie zaniedbuj; szczególniej potrzeba
Szukać pięknej natury! — O, szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klassyczne Tyboru spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże! —
To Hrabio kraj Malarzów! U nas, żal się Boże! —
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,
Umrze pewnie. — Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w album umieszczę, do rysunków zbiorku,
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biórku.»

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych i skał szczytach,
Mięszając tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.
A przecież, w około nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem.
Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej, dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stające panny i młodzieńce
W koło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona,
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
Tam matrony topole i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,

Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamienałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się, nudząc nie pomału
Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału.
Aż, gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,
I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje:
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi:
Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec, nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
«Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie,
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi.
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem, nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie;
Jest to jak lokaj niemiec we dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.

«Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka kiedy, płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha! —
Czemuż pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,

Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznej litewskiej równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.»

«Przyjacielu, rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materją; a duszą — natchnienie,
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Nie dość jest przyrodzenia, nie dosyć zapału:
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!
Dowiesz się o tem wszystkiem z książek w swoim czasie —
Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba —
Nieba włoskiego! Stąd też, w kunszcie peizażów,
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów!
Stąd też, oprócz Brejgela — lecz nie Van der Helle,
Ale peizażysty: bo są dwaj Brejgele —
I oprócz Ruisdala, na całej północy,
Gdzież był peizażysta który pierwszej mocy?
Niebios, niebios potrzeba!» — «Nasz malarz Orłowski,
Przerwała Telimena, miał gust soplicowski. —
Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba —
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz — mam jego kilka szkiców w biórku —
Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju:
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił do kraju!
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy.» —

«I miał rozum! zawołał Tadeusz z zapałem.
To państwa niebo włoskie, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste: wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas, dość głowę podnieść: ileż to widoków
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!

Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełznie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze — to są deszczu strugi.
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółta świeci,
Szum wielki słychać w koło. Nawet te codzienne,
Patrzcie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu, jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karbów, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie:
Wszystkie białe jak srebro, zmięszały się — nagle,
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie:
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!»

Hrabia i Telimena poglądali w górę —
Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,
A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny.
Kilka już upłynęło minut cichej sceny:
Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,
I wydobył ołówek. Wtem, przykry dla uszu
Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu
Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia, kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:
«Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem! —
Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni,
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
Wylania się serc czułych: gdy śpiż zdala ryknie,
Wszystko mięsza się, zrywa, mąci się i niknie!»
Tu, obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,
«Cóż zostanie?» — a ona mu rzekła: «wspomnienie!» —
I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,
Podała mu urwany kwiatek niezabudek.

Hrabia go ucałował i na pierś przyszpilał.
Tadeusz, z drugiej strony, krzak ziela rozchylał
Widząc, że się ku niemu tem zielem przewija
Coś białego: była to rączka jak lilija;
Pochwycił ją, całował, i usty po cichu
Utonął w niej, jak pszczoła w lilii kielichu.
Uczuł na ustach zimno: znalazł klucz i biały
Papier w trąbę zwiniony; był to listek mały.
Porwał, schował w kieszenie; nie wie, co klucz znaczy:
Lecz mu to owa biała kartka wytłómaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem, z głębi cichych lasów,
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów.
Odgłos to był szukania i nawoływania,
Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania;
Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy,
Jak się Hrabiemu zdało: owszem obiadowy.
Dzwon ten, w każde południe krzyczący z poddasza,
Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
Tak było w dawnych, licznych dworach we zwyczaju,
I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
Wychodziła gromada, niosąca krobeczki,
Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
Pełne grzybów; a panny w jednem ręku niosły,
Jako wachlarz zwiniony, borowik rozrosły,
W drugiem, związane razem, jakby polne kwiatki,
Opieńki i rozlicznej barwy surojadki.
Wojski miał muchomora. Z próżnemi przychodzi
Rękami Telimena — z nią panicze młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem.
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy —
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży.
Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;
Podano w kolej wódkę: zaczem wszyscy siedli,
I chołodziec litewski, mlekiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszej niż się zwykłe zdarza;
Nikt nie gadał, pomimo wezwań gospodarza.
Strony, biorące udział w wielkiej o psów zwadzie,
Myślały o jutrzejszej walce i zakładzie;
Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.
Telimena, mówiąca wciąż do Tadeusza,
Musiała ku Hrabiemu nieraz się odwrócić,
Nawet na Assesora nieraz okiem rzucić.
Tak ptasznik patrzy w sidło, kędy szczygły zwabia,
I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia,
Obadwa radzi z siebie, obadwa szczęśliwi,
Oba pełni nadziei: więc niegadatliwi.
Hrabia na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie;
A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie,
Czy ów kluczyk nie uciekł? Ręką nawet chwytał
I kręcił kartkę, której dotąd nie przeczytał.
Sędzia Podkomorzemu węgrzyna, szampana
Dolewał, służył pilnie, ściskał za kolana,
Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty
I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania:
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania,
Gość niespodziany. Szybko wpadając gajowy,
Nie zważał nawet, że czas właśnie obiadowy,
Pobiegł do pana; widać z postawy i z miny,
Że ważnej i niezwyklej jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie.
On odetchnąwszy nieco, rzekł: Niedźwiedź, Mospanie!
Resztę wszyscy odgadli: że zwierz z mateczника [1]
Wyszedł, że w zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go trzeba wnet ścigać — wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili, ani namyślali.

[1] Resztę wszyscy odgadli: że z cudzego lasu
Przybył i dalej pójdzie; że, nie tracąc czasu,
Trzeba zrobić obławę, wszyscy wraz uznali,

Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, wydanych rozlicznych rozkazów,
Które, wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu,
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

«Na wieś! zawołał Sędzia — hej! konno, stetnika,
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.»

«Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąść co żywo
Dwie pijawki, te które w okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu,
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu.»
— «Wańka! krzyknął na chłopca Assesor po rusku,
Tasak mój sanguszkowski pociągnąć na brusku:
Wiesz, tasak co od księcia miałem w podarunku;
Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku.»
— «Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu!»
Assesor wołał ciągle: «ołowiu, ołowiu!
Formę do kul mam w torbie.» — «Do księdza plebana
Dać znać, dodał pan Sędzia, żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnej: króciuchna offerta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.»

Po wydanych rozkazach nastało milczenie,
Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,
Jak gdyby kogoś szukał: zwolna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę
Wodza i że Wojskiemu oddają buławę.
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszów wolę,
I uderzywszy ręką poważnie po stole,
Pociągnął złocistego z zanadrza łańcuszka,
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka:
«Jutro, rzekł, pół do piątej, przy leśnej kaplicy
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy.»

Rzekł i ruszył od stołu; za nim szedł gajowy:
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze, gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;
A wodze śród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień zszedł na kowaniu koni,
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni —
U wieczerzy, zaledwo kto przysiadł do stoła;
Nawet strona Kusego z partyą Sokoła,
Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem —
Pobrawszy się pod ręce, Rejent z Assesorem
Wyszukują ołowiu. Reszta, spracowana,
Szła spać wcześnie, ażeby przebudzić się z rana. [1]

[1] Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.
Wszedłszy, drzwi zamknął, świecę postawił w kominku,
Udając, że już zasnął: lecz oczu nie zmrużył.
Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.
Stał przy oknie i patrzał wyrżniętym otworem,
Co robi stróż, chodzący ciągle pode dworem.
Gdy go ujrzał daleko: nogami równemi
Wyskoczył, okno zamknął, tuląc się do ziemi
Jako wyżeł skradał się. Dalsze jego kroki
Jesienna noc gęstemi osłoniła mroki.

Tu w pierwotnym rękopismie, następuje opis politycznego stanu Litwy, zamykający obecnie Księgę pierwszą (str. 36 w. 3.), począwszy od: «Takie były zabawy, spory w one lata» i t. d., aż do dwóch ostatnich wierszy (str. 38. w. 25.), w ten sposób zmienionych:

Teraz, gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze
Gadał długo. Wychodząc, ostrzegł, że nie może
Być na mszy obławniczej: bo jutro, w niedzielę,
Musi w parafialnym nauczać kościele;
Potem będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,
Lub, gdy prędko nie wrócą, szukać ich przyrzekał.

KSIĘGA IV.

DYPLOMATYKA I ŁOWY.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Zapóźne postrzeżenie pomyłki. — Karczma. — Emissaryusz. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusje na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagalasówki z Sanguszkówką, rozstrzygniony na stronę jednorurki Horeszkowskiej. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Równienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki;
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym —
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy! —
Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie,
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom —
Wszak lipa czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

O ileż ja wam winiem, wy domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyzy
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody —
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:

Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wystercza z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy —
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa żwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie —
Schował się: ale dziobem nie przestaje pukać;
Jak dziecko gdy schowane, woła, by go szukać,
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera:
Chociaż tak osłoniona, do koła spoziera —
Dostrzegłszy gości, skacze gajów tanecznica,
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada. —
Znowu cicho.

Wtem! gałęź wstrzęsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica:
To jagód lub orzechów zbieraczka — dziewica.
W krobeczce z prostej kory, podaje zebrane
Bruśnice, świeże, jako jej usta rumiane.
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina:
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtem, usłyszeli odgłos rogów i psów granie:
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi:
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

W Soplicowie ruch wielki. Lecz ni psów hałasy,
Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,
Ni odgłos trąb, dających hasło polowania,
Nie mogły Tadeusza wyciągnąć z posłania;
Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.
Nikt z młodzieży nie myślał szukać go po dworze;
Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano:
O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał. Słońce w otwór, co śród okiennicy
Wyrżnięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy
Słupem ognistym prosto sennemu na czoło.
On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło,
Chroniąc się blasku. Nagle usłyszał stuknienie,
Przebudził się: wesołe było przebudzenie.
Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,
Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał;
Myśląc o wszystkiem, co mu wczoraj się zdarzyło,
Rumienił się i wzdychał i serce mu biło.
Spojrzał w okno: o dziwy! W promieni przeźroczu,
W owem sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie,
Kiedy z jasności dziennej przedziera się w cienie.
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz, z boku
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku;
Palce drobne zwrócone na światło różowe,
Czerwieniły się na wskroś jakby rubinowe.
Usta widział ciekawe, roztulone nieco,
I ząbki, co jak perły śród korałów świecą,
I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią
Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu,
Leżąc na wznak, cudnemu dziwił się zjawieniu,
I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy.
Nie wiedział, czy to jawa, czyli mu się marzy,
Jedna z tych miłych, jasnych twarzyczek dziecinnych,
Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych,
Twarzyczka schyliła się: ujrzał, drżąc z bojaźni
I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,
Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,
W drobne, jako śnieg białe, zwite papiloty,
Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku
Świeciły, jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się, i widzenie zaraz uleciało
Przestraszone łoskotem; czekał, nie wracało!
Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie
I słowa: «Niech pan wstaje, czas na polowanie!
Pan zaspał.» Skoczył z łóżka i obu rękami
Pchnął okiennicę, że aż trzasła zawiasami,
I rozwarłszy się, w obie uderzyła ściany
Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmięszany,
Nic nie widział, nie dostrzegł niczyjego śladu.
Nie daleko od okna był parkan od sadu,
Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce
Chwiały się: czy je lekkie potrąciły ręce?
Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,
Nie śmiał iść w ogród; tylko wsparł się na parkanie,
Oczy podniósł i z palcem do ust przyciśnionym
Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapionem
Nie rozerwał milczenia; potem w czoło szukał,
Niby do wspomnień dawnych uśpionych w niem pukał,
Nakoniec, gryząc palce do krwi się zadrasnął,
I na cały głos «dobrze, dobrze mi tak!» wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:
Wszyscy ruszyli w pole. Tadeusz nadstawił
Uszu i ręce do nich jak trąbki przyprawił;

Słuchał: aż mu wiatr przyniósł, wiejący od puszczy,
Odgłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy.

Koń Tadeusza czekał w stajni osiodłany.
Wziął więc flintę, skoczył nań i jak opętany
Pędził ku karczmom, które stały przy kaplicy,
Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy,

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,
Oknami wzajem sobie grożące jak wrogi.
Stara należy z prawa do zamku dziedzica:
Nową, na złość zamkowi, postawił Soplica.
W tamtej, jak w swem dziedzictwie, rej wodził Gerwazy;
W tej najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma nie była ciekawa z pozoru.
Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,
Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,
A potem go Żydowie po świecie roznieśli:
Rodzaj architektury, obcym budowniczym
Wcale nieznany: my go od Żydów dziedziczym.

Karczma z przodku jak korab', z tyłu jak świątynia: [1]
Korab', istna Noego czworogranna skrzynia,
Znany dziś pod prostackiem nazwiskiem stodoły;
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,
I płazów choć po parze, są też i owady.
Część tylna, nakształt dziwnej świątyni stawiona,
Przypomina z pozoru ów gmach Salomona,
Który, pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle,
Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.
Żydzi go naśladują dotąd w swoich szkołach;
A szkół rysunek widny w karczmach i stodołach.

[1] Karczma z dwóch ciał jest zrosła, jak sporysz orzecha,
Różnych od siebie, choć je kryje jedna strzecha.
Z przodu jako korab', z tyłu jak świątynia —

Dach z dranic i ze słomy, spiczasty, zadarty:
Pogięty, jako kołpak żydowski podarty.
Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie.
Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
Trwałe, chociaż wpół-zgniłe i stawione krzywo,
Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modelów
Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
Nad kolumnami biegą wpół-okrągłe łuki,
Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.
Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłutem,
Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane sklutem,
Krzywe, jak szabasowych ramiona świeczników;
Na końcu wiszą gałki — coś nakształ guzików,
Które Żydzi modląc się na łbach zawieszają,
I które, po swojemu «cyces» nazywają.
Słowem, zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;
Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrząśniona,
Ściany dymne i brudne, jak czarna opona,
A z przodu rzeźba sterczy, jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział, jak w żydowskiej szkole:
Jedna część, pełna izbic ciasnych i podłużnych,
Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych:
W drugiej ogromna sala: koło każdej ściany
Ciągnie się wielonożny stół wąski, drewniany;
Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,
Jako dzieci do ojca.

Na stołkach do koła
Siedziały chłopy, chłopki, tudzież szlachta drobna,
Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
Po rannej mszy z kaplicy, że była niedziela,
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,
Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.

W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi
Sarafanie, zapiętym haftkami srebrnemi,
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,
Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził.
Rzucając w koło okiem, rozkazy wydawał —
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał,
Zagajając rozmowę — kłótliwych zagadzał,
Lecz nie służył nikomu: tylko się przechadzał.
Żyd stary i powszechnie znany z poczciwości,
Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości
Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu.
O cóż skarżyć? Miał trunki dobre do wyboru,
Rachował się ostrożnie, lecz bez oszukaństwa,
Ochoty nie zabraniał, nie cierpiał pijaństwa,
Zabaw wielki miłośnik: u niego wesele
I chrzciny obchodzono — on w każdą niedzielę
Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,
Przy której i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam słynął muzycznym talentem;
Z cymbałami, narodu swego instrumentem,
Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał
I pieśnami, bo biegle i uczenie śpiewał.
Chociaż Żyd, dosyć czystą miał polską wymowę,
Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;
Przywoził mnóstwo, z każdej za Niemen wyprawy,
Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy.
Wieść, nie wiem czyli pewna, w całej okolicy
Głosiła, że on pierwszy przywiózł z za granicy
I upowszechnił wówczas, w tamecznym powiecie,
Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,
A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonów
Wygrały Włochom polskie trąby legionów.
Talent śpiewania bardzo na Litwie popłaca,
Jedna miłość u ludzi, wsławia i wzbogaca:
Jankiel zrobił majątek; syt zysków i chwały,
Zawiesił dźwięcznostrunne na ścianie cymbały;

Osiadłszy z dziećmi, w karczmie zatrudniał się szynkiem,
Przytem w pobliskiem mieście był też podrabinkiem,
A zawsze miłym wszędzie gościem i domowym
Doradcą — — Znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinnym: potrzebna jest znajomość taka
Na wsi. Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy godził kłótnie, często nawet krwawe,
Między dwiema karczmami: obie wziął w dzierżawę;
Szanowali go równie i starzy stronnicy
Horeszkowscy i słudzy sędziego Soplicy.
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym
Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym —
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy:
Gerwazy, groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego nie było, ruszył na obławę,
Nie chcąc, aby tak ważną i trudną wyprawę
Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;
Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego, najdalsze od progu,
Między dwiema ławami, samym karczmy rogu,
Zwane pokuciem, kwestarz ksiądz Robak zajmował.
Jankiel go tam posadził. Widać, że szanował
Wysoko Bernardyna: bo skoro dostrzegał
Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
I rozkazał dolewać lipcowego miodu.
Słychać, że z Bernardynem znali się za młodu,
Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał
Nocą do karczmy, tajnie z żydem się naradzał
O ważnych rzeczach; słychać było, że towary
Ksiądz przemycał — lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak, wsparty na stole, wpół-głośno rozprawiał —
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze. —
Brano z niej i kichała szlachta jak moździerze.

«Reverendissimi — rzekł kichnąwszy Skołuba —
To mi tabaka, co to idzie aż do czuba!
Od czasu jak nos dźwigam — tu głasnął nos długi —
Takiej nie zażywałem — tu kichnął raz drugi —
Prawdziwa Bernardynka, pewnie z Kowna rodem,
Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.
Byłem tam już lat — —» Robak przerwał mu — «Na zdrowie
Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi panowie!
Co się tabaki tyczy — hm, ona pochodzi
Z dalszej strony, niż myśli Skołuba Dobrodziej:
Pochodzi z Jasnej Góry. — Księża Paulinowie
Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,
Kędy jest obraz tylu cudami wsławiony,
Bogarodzicy Panny, Królowej korony
Polskiej — zowią ją dotąd i Księżną Litewską —
Koronęć jeszcze dotąd piastuje królewską —
Lecz na Litewskiem Księstwie teraz shyzma siedzi!»
«Z Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam w spowiedzi,
Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście.
Czy to prawda, że Francuz gości teraz w mieście,
Że chce kościół rozwalać i skarbiec zabierze:
Bo to wszystko w Litewskim stoi Kuryerze?»
«Nieprawda — rzekł Bernardyn — nie! Pan Najjaśniejszy:
Napoleon, katolik jest najprzykładniejszy:
Wszak go Papież namaścił, żyją z sobą wzgodzie
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,
Który się trochę popsuł. Prawda, z Częstochowy,
Oddano wiele srebra na skarb narodowy
Dla ojczyzny, dla Polski; sam Pan Bóg tak każe:
Skarbcem ojczyzny zawsze są Jego ołtarze.
Wszakże w warszawskiem księstwie mamy sto tysięcy
Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcej:
A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini?
Wy tylko grosz dajecie do moskiewskiej skrzyni. —»
«Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą.»
«Oj dobrodzieju — chłopek ozwał się z pokorą,
Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę —
Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę;

Lecz nas drą jak na łyka.» — «Cham! Skołuba krzyknął,
Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknął,
Jak węgórz do odarcia, lecz nam urodzonym,
Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!
Ach, bracia, wszak to dawniej szlachcic na zagrodzie —»
— «Tak tak — krzyknęli wszyscy — równy wojewodzie!» —
«Dziś mam szlachectwa przeczą, każą nam drabować
Papiery i szlachectwa papierem próbować.»
«Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,
Waszeć z pradziadów chłopów uszlachcony szlacha;
Ale ja, z kniaziów! Pytać u mnie o patenta,
Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta!
Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny,
Kto jej dał patent rosnąć nad wszystkie krzewiny.»
«Kniaziu, rzekł Żagiel, świeć Waść baki lada komu,
Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.»
«Waść ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta
Alluzya, że w rodzie bywał neofita.»
«Fałsz, przerwał Birbasz, przecież ja z tatarskich hrabiów
Pochodzę, a mam krzyże nad herbem Korabiów.»
«Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotem,
Herb książęcy, Stryjkowski gęsto pisze o tem.» —

Zaczem wielkie powstały w całej karczmie szmery.
Ksiądz Bernardyn uciekł się do swej tabakiery;
W kolej częstował mówców. Gwar zaraz uciichnął;
Każdy zażył przez grzeczność i kilkrakroć kichnął.
Bernardyn, korzystając z przerwy mówił dalej:
«Oj, wielcy ludzie od tej tabaki kichali!
Czy uwierzycie Państwo, że z tej tabakiery,
Pan jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?»
«Dąbrowski?» zawołali. «Tak, tak, on jenerał —
Byłem w obozie, gdy on Gdańsk Niemcom odbierał;
Miał coś pisać; bojąc się ażeby nie zasnął,
Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął:
Księże Robaku mówił, księże Berardynie,
Obaczymy się w Litwie może nim rok minie;

Powiedz Litwinom, niech mię czekają z tabaką
Częstochowską, nie biorę innej tylko taką.»

Mowa księdza wzbudziła takie zadziwienie,
Taką radość, że całe huczne zgromadzenie
Milczało chwilę; potem na pół ciche słowa
Powtarzano: «Tabaka z Polski? Częstochowa?
Dąbrowski? z ziemi włoskiej?» — aż nakoniec razem,
Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem
I wszyscy jednogłośnie, jak na dane hasło,
Krzyknęli: «Dąbrowskiego!» wszystko razem wrzasło,
Wszystko się uścisnęło: chłop z tatarskim hrabią,
Mitra z Krzyżem, Poraje z Gryfem i z Korabią;
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,
Tylko śpiewali krzycząc: wódki, miodu, wina!

Długo się przysłuchiwał ksiądz Robak piosence,
Nakoniec chciał ją przerwać; wziął w obiedwie ręce
Tabakierkę, kichaniem melodyę zmięszał,
I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał:
«Chwalicie mą tabakę, Mości Dobrodzieje;
Obaczcież, co się wewnątrz tabakierki dzieje.»
Tu, wycierając chustką zabrudzone denko,
Pokazał malowaną armię maleńką
Jak rój much: w środku jeden człowiek na rumaku,
Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku,
Spinał konia, jak gdyby chciał skakać w niebiosa,
Jednę rękę na cuglach, drugą miał u nosa:
«Przypatrzcie się, rzekł Robak, tej groźnej postawie:
Zgadnijcie czyja? —» Wszyscy patrzyli ciekawie —
Wielki to człowiek, Cesarz, ale nie Moskali —
Ich Carowie tabaki nigdy nie bierali.» —
«Wielki człowiek! zawołał Cydzik, a w kapocie?
Ja myśliłem, że wielcy ludzie chodzą w złocie:
Bo u Moskalów lada jenerał, Mospanie,
To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie.»
«Ba, przerwał Rymsza, przecież widziałem za młodu
Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:

Wielki człowiek! a chodził w krakowskiej sukmanie,
To jest czamarce.» — «W jakiej czamarce, Mospanie?
Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką.»
«Ale tamta z fręzlami, ta jest całkiem gładką.»
Krzyknął Mickiewicz. Zatem wszczynały się swary
O różnych taratatki kształtach i czamary.

Przemyślny Robak, widząc, że się tak rozpryska
Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,
Do swojej tabakiery; częstował — kichali,
Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej:
«Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa
Raz po raz, to znak pewny, że bitwę wygrywa.
Na przykład pod Austerlic: Francuzi tak stali
Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali.
Cesarz patrzył i milczał. Co Francuzi strzelą,
To Moskale pułkami jak trawa się ścielą;
Pułk za pułkiem cwałował i spadał z kulbaki;
Co pułk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki.
Aż w końcu, Aleksander ze swoim braciszkiem
Konstantym i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,
W nogi z pola; więc Cesarz, widząc że po walce,
Spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palce.
Otóż, jeśli kto z panów, coście tu przytomni,
Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni.»

«Ach zawołał Skołuba, mój księże kwestarzu!
Kiedyż to będzie! Wszak to ile w kalendarzu
Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą!
Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mróżą!
A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję.
Pono nim słońce wejdzie, rosa oczy myje.»

«Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,
A żydowska rzecz, ręce założywszy czekać,
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka.
Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.

Jużci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,
Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił
Het za morze: Moskalom zapewne wygodzi;
Ale co stąd wyniknie, wie Asan Dobrodziej?
Oto, szlachta Litewska wtenczas na koń wsiędzie
I szable weźmie, kiedy bić się z kim nie będzie;
Napoleon sam wszystkich pobiwszy nareszcie
Powie: obejdę się ja bez was — kto jesteście?
Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić:
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci;
Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!»

Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie:
«Jakże to dom oczyścić, jak to ksiądz rozumie?
Jużci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi;
Tylko niech ksiądz Dobrodziej jaśniej się wysłowi.»

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę;
Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,
Po chwili rzekł powastając: «Dziś czasu nie mamy;
Potem o tem obszerniej z sobą pogadamy.
Jutro będę dla sprawy w powiatowem mieście;
I do Waszmościów z drogi zajadę po kweście.»

«Niech też do Niehrymowa ksiądz na nocleg zdąży,
Rzekł Ekonom, rad będzie księdzu pan Chorąży;
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:
Szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niehrymowie»
«I do nas, rzekł Zubkowski, wstąp jeżeli łaska;
Znajdzie się tam półsztuczek płutna, masła faska,
Baran lub krówka; wspomnij księże na te słowa:
Szczęśliwy człowiek, trafił, jak ksiądz do Zubkowa.»
«I do nas,» rzekł Skołuba. «Do nas, Terajewicz,
Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz.»
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
Przeprowadzała księdza — on już był za drzwiami

On już pierwej przez okno ujrzał Tadeusza,
Który leciał gościńcem, w cwał, bez kapelusza,
Z głową schyloną, bladem, posępnem obliczem,
A konia ustawicznie bodł i kropił biczem.
Ten widok bardzo księdza Bernardyna zmięszał;
Więc za młodzieńcem kroki szybkiemi pośpieszał
Do wielkiej puszczy, która, jako oko sięga,
Czerniła się na całym brzegu widnokręgu.

Któż zbadał puszcz Litewskich przepastne krainy, [1]
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak, ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz Litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice:
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice —
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje;
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebespieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą —
Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą. —
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń pługawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

[1] Obacz warjanty na końcu tego poematu.

Za temi jeziorkami, już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem:
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec — jak wieść gminna głosi —
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory;
Około nich, na drzewach, gnieździ się ryś bystry,
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy, umierają śmiercią naturalną.
Mają tuż i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci:
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zębu, strawy nie przeżuwa;
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa;
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie;
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie;
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi —
Idą na smętarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie —
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem ręką pana już głaskane;
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nie znane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: Mateczniki.

Głupi nieźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.
Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność:
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził,
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.
Teraz Wojski z obławą, już od matecznika,
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział że niemało czasu
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.
Cicho. — Próżno myśliwi natężają ucha;
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
Tylko muzyka puszczy gra do nich z daleka.
Psy nurtują po puszczy, jak pod morzem nurki,
A strzelcy obróciwszy do lasu dwuruki,
Patrzą w Wojskiego. Ukląkł, ziemię uchem pyta;
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta
Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby:
Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.
«Jest! jest!» wyrzekł pół-głosem, zerwał się na nogi.
On słyszał! oni jeszcze słuchali; nareszcie
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,
Ujadają. Już nie jest to powolne granie
Psów, goniących zająca, lisa, albo łanie;
Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły —
To nie na ślad daleki ogary napadły:
Na oko gonią. Nagle ustał krzyk pogoni:
Doszli zwierza. Wrzask znowu, skowyt: zwierz się broni
I zapewne kaleczy; śród ogarów grania,
Słychać coraz to częściej jęk psiego konania.

Sstrzelcy stali i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową.
Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się wciska,
Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem, czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem!
Nie było rady! Wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli. Trzy strzelby huknęły od razu;

Potem wciąż kanonada, aż głośniej nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny boleści, wściekłości, rozpaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy. Ci strzelcy w las spieszą,
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żałości, krzyczy, że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
Na przełaj zwierza, między ostępem i puszczą,
A niedźwiedź, odstraszony psów i ludzi tłuszczą,
Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone
Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,
Gdzie tylko pozostali, z mnogich łowczych szyków,
Wojski, Tadeusz, Hrabia, z kilką obławników.

Tu las był rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu;
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami, pod drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo.
Kręcąc niem jak maczugą, na prawo, na lewo,
Runął wprost na ostatnich strażników obławy:
Hrabię i Tadeusza. Oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
Aż oba, jednym razem, pociągnęli kurki,
— Niedoświadczeni! — razem zagrzmiały dwururki:
Chybili. Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie. Spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza:
Pobledli, w tył skoczyli i gdzie rzadnie puszcza
Zmykali. Zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,

I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy —
Zdarłby mu czaszkę z mózgów, jak kapelusz z głowy:
Gdy Assesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej, w jednej chwili,
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili!
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
I głową na dół runął i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb' pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher, wirowatym dechem,
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni,
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.

Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,

Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmięszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg i tryumfu hymn udeżył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru,
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu! —

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu,
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem, promiennem,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony,
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszono się zwolna i oczy gawiedzi
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi.
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity;
Rozprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,

Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
Pjawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy:
Z lewej strony Strapczyna, a z prawnej zawisał
Sprawnik i dusząc gardziel, krew czarną wysyssał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
Psom między zęby i tak paszczęki roztworzyć.
Kolbami przewrócono na w znak zwierza zwłoki,
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

«A co? — krzyknął Assesor, kręcąc strzelby rurą —
A co? fuzyjka moja? górą, nasi górą!
A co? fuzyjka moja? Nie wielka ptaszyna,
A jak się popisała? To jej nie nowina:
Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku;
Od książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.»
Tu pokazywał strzelbę przedziwnej roboty,
Choć maleńką i zaczął wyliczać jej cnoty.
«Ja biegłem — przerwał Rejent otarłszy pot z czoła —
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a pan Wojski woła
Stój na miejscu! Jak tam stać? Niedźwiedź w pole wali,
Rwąc z kopyta jak zając coraz dalej, dalej;
Aż mi ducha nie stało, dobiedz ni nadziei —
Aż spojrzę w prawo: sadzi, a tu rzadko kniei —
Jak też wziąłem na oko: postójże marucha,
Pomyślałem — i basta: ot leży bez ducha!
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis: Sagalas London à Bałabanówka» —
Sławny tam mieszkał slusarz Polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił. —

«Jakto, parsknął Assesor, do krocset niedźwiedzi!
To to niby pan zabił? Co też to pan bredzi?»
«Słuchajno, odparł Rejent, tu panie nie śledztwo,
Tu obława: tu wszystkich weźmiem na świadectwo.» —

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta:
Ci stronę Assesora, ci brali Rejenta.

O Gerwazym nie wspomniał nikt: bo wszyscy biegli.
Z boków i co się z przodu działo nie postrzegli.
Wojski głos zabrał: «Teraz jest przynajmniej za co;
Bo to panowie nie jest ów szarak ladaco,
To niedźwiedź, tu już nie żal poszukać odwetu,
Czy szerpentyną, czyli nawet z pistoletu.
Spór wasz trudno pogodzić: więc dawnym zwyczajem,
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.
Pamiętam, za mych czasów, żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili,
I przysięgli się strzelać przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem, jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyę całą.»

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził.
On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził;
Nareszcie dobył tasak, rozciął pysk na dwoje,
I w tylcu głowy, mózgu rozkroiwszy słoje,
Znalazł kulę; wydobył, suknią ochędożył,
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył,
A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni:
«Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszej broni,
Ona z tej Horeszkowskiej wyszła jednorurki —
Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki —
Lecz nie ja wystrzeliłem. O, trzeba tam było
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
A niedźwiedź z tyłu już, już, na Hrabiego głowie,
Ostatniego z Horeszków! — chociaż po kądzieli.
Jezus Marya, krzyknąłem! i Pańscy anieli

Zesłali mi na pomoć księdza Bernardyna.
On nas wszystkich zawstydził; oj, dzielny księżyna!
Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,
On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił —!
Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
Panowie! długo żyję: jednego widziałem
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
Ów głośny niegdyś u nas z tylu pojedynków,
Ów co korki kobietom wystrzelał z patynków,
Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne!
Ów Jacek, vulgo wąsal — nazwiska nie wspomnę —
Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
Chwała księdzu! dwom ludziom on życie ocalił —
Może i trzem: Gerwazy nie będzie się chwalił,
Ale gdyby ostatnie z krwi Horeszków dziecię
Wpadło w bestyi paszczę, nie byłbym na świecie,
I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości. —
Pójdź księże, wypijemy zdrowie Jegomości.»

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,
Że po zabiciu zwierza zjawił się na chwilę;
Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
A widząc, że obadwa cali są i zdrowi,
Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem, na Wojskiego rozkaz, pęki wrzosu,
Suche chrusty i pniaki rzucono do stosu.
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,
I rozszerza się w górze nakształt baldachimu.
Nad płomieniem, oszczepy złożono w koziołki,
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki,
Z wozów niosą jarzyny, maki i pieczyste,
I chleb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którem rzędami flaszek białe sterczą głowy;

Wybiera z nich największy kufel kryształowy —
Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka —
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka;
«Niech żyje — krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę —
Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!»
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano. W słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby ocenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I prąży się, aż ogień wszystkie z niej wyciśnie.
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy z trzykrotnym wiwatem,
Zbrojni łyżkami, biegą i bodą naczynie.
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie —
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assesora
I Rejenta; ci byli gniewliwsi niż wczora,
Kłócąc się o zalety, ten swej Sanguszkówki.
A ten bałabanowskiej swej Sagalasówki;
Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,
Wstydząc się, że chybili i że się cofnęli:

Bo na Litwie, kto zwierza wypuści z obławy,
Długo musi pracować, nim poprawi sławy.

Hrabia mówił, że pierwszy do oszczepu godził,
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy,
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
Przemawiali, śród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,
Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny.
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,
Kończył im o Dowejce i Domejce powieść: [1]
«Assesorze, jeżeli chciałem, byś z Rejentem
Pojedynkował, nie myśl, że jestem zawziętym
Na krew ludzką; broń Boże! Chciałem was zabawić,
Chciałem wam komedyę niby to wyprawić,
Wznowić koncept, który ja, lat temu czterdzieście
Wymyśliłem — przedziwny! Wy młodzi jesteście,
Nie pamiętacie o nim; lecz za moich czasów,
Głośny był od tej puszczy do poleskich lasów.

«Domejki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików,
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica, daj kreskę Dowejce:
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupejko,
Wiwat Dowejko, drudzy krzyknęli Domejko,
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

[1] Kończył im o Dowejce i Domejce powieść:
«— A co się onych tyczy, Domejki z Dowejką —
Mieli dwory w sąsiedztwie nad rzeką Wilejką.
Bywali u mnie często, chociaż ja daleko
Od nich miałem folwark mój ponad Uszą rzeką.
«Assesorze, jeżeli i t. d.

«Gorzej było. Raz w Wilnie, jakiś szlachcic pjany
Bił się w szablę z Domejką i dostał dwie rany;
Potem, ów szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem, z Dowejką zjechał się u prómu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada, kto on! odpowie! Dowejko —
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki:
Czach, czach i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imiennicy,
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu;
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu,
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób:
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdź-że! jaki sposób?

«Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas, jak dwóch słońc pono za nadto na świecie,
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie: co ich szlachta grodzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety:
Stają — krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali. — Sekunduj Hreczecha!
Zgoda rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczem;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi,
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi,

I ja sam was ustawię: Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.
Zgoda! — wrzaśli; czas? jutro; miejsce? — karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza.» —

Tu Wojskemu przerwał krzyk: Wyczha! Tuż z pod koni
Smyknął szarak, już Kusy, już go Sokół goni.
Psy wzięto na obławę: wiedząc że z powrotem
Na polu łatwo można napotkać się z kotem;
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
Wprzód nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegły.
Rejent też i Assesor chcieli końmi natrzeć;
Lecz Wojski wstrzymał, krzycząc: «Wara! stać i patrzeć!
Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę;
Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole.»
W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnię,
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie —
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
Pył za nim, psy za pyłem; z daleka się zdało,
Że zając, psy i charty jedne tworzą ciało:
Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,
Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,
A psami jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Assesor, patrzą; otworzyli usta,
Dech wstrzymali. Wtem Rejent pobladnął jak chusta;
Zbladł i Assesor; widzą — fatalnie się dzieje:
Owa żmija im dalej, tem bardziej dłużeje,
Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie? z tyłu! —
Głowa niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem
Mignął: w las wpadła — ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem.

Wreszcie wracają, zwolna skacząc przez zagony —
Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,
I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wznieść oczu,
I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
Assesor rzucał okiem, ale niewesoło;
Potem zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni. —

Mądrze rzecz wyłuszczali szczwacze doświadczeni:
Myśliwi z tych mów wiele mogliby korzystać,
Lecz nie słuchali pilnie. Ci zaczęli świstać,
Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.
Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił;
Widząc, że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
I kończył rzecz przerwaną: «Na czem więc stanąłem?
A ha! na tem, że obu za słowo ująłem,
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę —
Szlachta w krzyk: to śmierć pewna! prawie rura w rurę
A ja w śmiech. Bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie Waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał:
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

«Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porżniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie:

Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie —
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewangelii, z Statutów dowodzić —
Nie ma rady: śmieli się i musieli zgodzić.

«Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę.
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.»

(Do stronnicy 102. w. 9.)

W rękopisie dwa następne znajdują się warjanty opisu puszczy:

I.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice:
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Bo dalej niśli bory i podszyte knieje
Są miejsca: bajka tylko wie, co się w nich dzieje. —
Miejsca nigdy człowieka nie zgwałcone krokiem,
Jak zaklęte, okryte tumanów obłokiem.
Śród tysiąca strumieni ogromne mrowiska,
Poplątane zielsk sieci, żmii legowiska —
Tu i owdzie jeziora, jako wilcze doły
Zdradnie ukryte, zielem zarosłe na poły.
A głębokie tak, iż ich dna nikt nie dośledzi:
W tych to jeziorach mówią wszyscy, że bies siedzi.
Woda ich brzydka lśkni się jak skorupą rdzawą,
I ciągle naksztalt dymu zionie woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę:
Złysiałe, karłowate, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą około wody, jak czarownic kupa
Koło czarnego kotła, w którym warzą trupa.
Dalej zaś niedostępne, niezbadane okiem,
Leżą jary nakryte tumanu obłokiem,
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.
Za temi tumanami, jak wieść niesie głucha,

Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.
Tam są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.
Tam, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
Te pary, królujące i patryarchalne,
W jądrze puszczy ukryte, ludziom niewidzialne,
Rodzą się, umierają, bespieczne siedliskiem —
Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory
Żubr ogromny i niedźwiedź, puszcz imperatory;
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej znowu, podwładne, potężne wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy:
Żyjący z łaski państwa dworscy zausznicy.
Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawnej zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie!
Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka:
Uczy się obyczajów wojny od człowieka.
W tejże stolicy słychać, że lasów mocarze
Mają swe niezbadane od ludzi smętarze.
Bo wiadomo, że w miejscach, kędy człowiek gości,
Nigdy nie znaleziono zmarłych zwierząt kości,
Gdyż każdy zwierz, raniony lub w ciężkiej chorobie,
Na smętarz bieży spocząć w przodków swoich grobie.
Głupi Niedźwiedziu! i t. d.

II.

Któż zbadał puszcz litewskich szerokie krainy,
Ich cienie nieprzejrzane, ich wnętrzne głębiny?
Gdzie z borów bory, z gęstych gęstsze ciągną knieje:
Strach tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Nie lęka się rybaków dno przepastne morza:
I myśliwiec nie zgwałci puszcz litewskich łoża;
Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich serca, życia tajemnice.
Są tam, jakby za światem, w ukryciu głębokiem,
Miejsca nigdy człowieka niezbadane okiem.
Tam od wieków panują puszcz imperatory:
Żubr pyszny, niedźwiedź groźny, ze swojemi dwory;
Syn panuje po ojcu; bespieczni siedliskiem,
Żaden z ich przodków ludzkim nie zginął pociskiem.
Blisko nich też żyjący, nie tak okazałe,
Wilcy ich ministrowie, dziki, ich wassale,
A nad nimi latają, niby zausznicy,
Sępy i orły, gromów i burz posłannicy.

Człowieka tam nie znają. On by mógł niezbrojny
W środku tych zwierząt strasznych przechodzić spokojny:
One by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim, w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia,
Ojce ich pierwsze, co ich rody zaczynały,
Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.
Nikogo nie zawiodły w głębie tych przepaści
Ni ciekawość nauki, ni łotrów napaści.
Czasem tylko i t. d.

KSIĘGA V.

KŁÓTNIA.

Plany myśliwskie Telimeny. — Ogroduiczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki. — Strzelcy wracają. — Wielkie zadziwienie Tadeusza. — Spotkanie się powtórne w Świątyni Dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek. — U stołu wytacza się rzecz o łowach. — Powieść Wojskiego o Rejtanie i księciu Denassów, przerwana. — Zagajenie układów między stronami, także przerwane. — Zjawisko z kluczem. — Kłótnia. — Hrabia z Gerwazym odbywają radę wojenną.

Wojski, chlubnie skończywszy łowy, wraca z boru,
A Telimena, w głębi samotnego dworu,
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma,
Siedzi z założonemi na piersiach rękoma —
Lecz myślą goni zwierzów dwóch; szuka sposobu,
Jakby razem obsaczyć i ułowić obu:
Hrabię i Tadeusza. Hrabia, panicz młody,
Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody,
Już trochę zakochany: cóż? może się zmienić!
Potem, czy szczerze kocha? czy się zechce żenić?
Z kobietą kilku laty starszą! nie bogatą:
Czy mu krewni pozwolą? co świat powie na to?

Telimena, tak myśląc, z sofy się podniosła
I stanęła na palcach: rzekłbyś, że podrosła;
Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,
I sama siebie pilnem obejrzała okiem,
I znowu zapytała o radę zwierciadła —
Po chwili, wzrrok spuściła, westchnęła — i siadła.

Hrabia Pan — zmienni w gustach są ludzie majętni!
Hrabia blondyn — blondyni nie są zbyt namiętni.
A Tadeusz? — Prostaczek! poczciwy chłopczyna!
Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna!
Pilnowany, niełacno zerwie pierwsze zwiąski;
Przytem dla Telimeny ma już obowiąski —
Mężczyźni, póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,
W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.
Długo serce młodzieńca, proste i dziewicze,
Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!
Ono roskosz i wita i żegna z weselem,
Jak skromną ucztę, którą dzielim z przyjacielem.
Tylko stary pjanica, gdy już spali trzewa!
Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.
Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,
Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? — Można im zejść z oczu,
W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu;
Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy
Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,
Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,
Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,
Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata,
Nareszcie — użyć świata, póki służą lata! —

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło
Przeszła się kilka razy. Znów spuściła czoło.

Wartoby też pomyśleć o Hrabiego losie —
Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?
Nie bogata: lecz za to urodzeniem równa,
Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.
Jeżeliby do skutku przyszło ożenienie,
Telimena w ich domu miałaby schronienie
Na przyszłość: krewna Zosi i Hrabiego swatka,
Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka. —

Po tej z sobą odbytej, stanowczej naradzie,
Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito:
Do nóg jej biegło ptastwo. Stąd kury szurpate
Toczą się kłębkiem; stamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty —
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,
Sarkając na gdyranie swej krzykliwej żony.
Ówdzie prawie, jak tratwy długiemi ogony
Sterują się po łące, a gdzie niegdzie z góry
Upada jak kiść śniegu gołąb' srebrnopióry,
W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Ściska się okrąg ptastwa, krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z korali
Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali,
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych —
Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona, w środku, wysoko nad ptastwem się wznosi;
Sama biała i w długą bieliznę ubrana
Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontanna;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych. To ziarno godne pańskich stołów,
Robi się dla zaprawy litewskich rosołów;
Zosia je wykradając z szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: Zosiu! — To głos cioci;
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,

A sama kręcąc sito, jako tanecznica
Bębenek i w takt bijąc, swawolna dziewica,
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmięszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,
Zdawała się najwyżej bujać między niemi —
Przodem głębie białe, które w biegu płoszy
Leciały, jak przed wozem bogini roskoszy.

Zosia przez okno z krzykiem do alkowy wpadła,
I na kolanach ciotki zadyszana siadła;
Telimena, całując i głaszcząc pod brodę,
Z radością, zważa dziecka żywość i urodę —
Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę. —
Ale znowu poważnie nastroiła lice,
Wstała i przechodząc się wszerz i wzdłuż alkowy,
Dzierżąc palec przy ustach, temi rzekła słowy:

«Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz
I na stan i na wiek twój: wszak to dziś zaczynasz
Rok czternasty. Czas rzucić indyki i kurki;
Fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki!
I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli
Napieściłaś się! Zosiu, patrząc, serce boli:
Opaliłaś okropnie płeć, czysta cyganka,
A chodzisz i ruszasz się jako parafianka.
Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę;
Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,
Do salonu, do gości — gości mamy siła;
Patrzajżeż, ażebyś mi wstydu nie zrobiła.»

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,
I ciotec zawisnąwszy oburącz na łonie,
Płakała i śmiała się naprzemian z radości.
«Ach ciociu, już tak dawno nie widziałam gości!
Od czasu, jak tu żyję z kury i indyki,
Jeden gość co widziałam, to był gołąb' dziki.
Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkowie;
Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie.»

«Sędzia! przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał,
Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał,
Że już jesteś dorosłą: sam nie wie co plecie,
Dziaduś nigdy na wielkiem nie bywały świecie.
Ja wiem lepiej, jak długo trzeba się sposobić
Panience, by wyszedłszy na świat effekt zrobić.
Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,
Choć piękny, choć rozumny, effektów nie wzbudzi,
Gdy go wszyscy przywykną widzieć od maleńka;
Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka,
Nagle ni stąd ni zowąd przed światem zabłyśnie,
Wtenczas każdy się do niej przez ciekawość ciśnie,
Wszystkie jej ruchy, rzuty oczu jej uważa,
Słowa jej podsłuchiwa i drugim powtarza.
A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,
Każdy ją chwalić musi, choć i nie podoba.
Znaleźć się, spodziewam się, że umiesz — w stolicy
Urosłaś; choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
Nie zapomniałaś jeszcze całkiem Peterburka.
No, Zosiu, toaletę rób — dostań tam z biórka,
Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.
Spiesz się, bo lada chwila wrócą z polowania.»

Wezwano pokojowę, i służącą dziewkę,
W naczynie srebrne wody wylano konewkę.
Zosia, jak wróbel w piasku, trzepioce się, myjo
Z pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.
Telimena otwiera petersburskie składy,
Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,
Pokrapia Zosię w koło wyborną perfumą —
Woń napełniła izbę — włos namaszcza gumą.
Zosia kładnie pończoszki białe atłasowe.
I trzewiczki wycięte, białe, safjanowe —
Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,
Potem rzuciła na gors pannie pudermanik;
Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,
Pukle, że niezbyt krótkie, uwito w dwa sploty,

Zostawując na czole i skroniach włos gładki;
Pokojowa zaś świeże zebrane bławatki
Uwiązawszy w plecionkę daje Telimenie,
Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,
Z prawej strony na lewo: kwiat od bladych włosów
Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!
Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.
Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę,
Chusteczkę batystową białą w ręku zwija,
I tak cała wygląda jak biała lilija.

Poprawiwszy raz jesze i włosów i stroju,
Kazano jej wzdłuż i wszerz przejść się po pokoju.
Telimena uważa, znawczyni oczyma
Mustruje siostrzenicę, gniewa się i zżyma;
Aż na dygnienie Zosi krzyknęła z rozpaczy:
«Ja nieszczęśliwa! Zosiu, widzisz, co to znaczy
Żyć z gęśmi, z pastuchami! Tak nogi rozszerzasz
Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,
Czysta rozwódka! — Dygnij, patrz jaka niezwinna!»
«Ach ciociu, rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna!
Ciotka mnie zamykała; nie było z kim tańczyć:
Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć.
Ale poczekaj ciociu, niechno się pobawię
Trochę z ludźmi, obaczysz, jak się ja poprawię.»

«Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej z ptastwem,
Niż z tem co u nas dotąd gościło plugastwem;
Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:
Pleban co pacierz mruczał, lub w arcaby grywał,
I palestra z fajkami! To mi kawalery!
Nabrałabyś się od nich pięknej maniery.
Teraz, to pokazać się jest przynajmniej komu:
Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.
Uważaj dobrze Zosiu, jest tu Hrabia młody,
Pan dobrze wychowany, krewny wojewody,
Pamiętaj być mu grzeczną.»

Słychać rżenie koni
I gwar myśliwców; już są pod bramą: «To oni!»
Wziąwszy Zosię pod rękę podbiegła do sali.
Myśliwi na pokoje jeszcze nie wchadzali;
Musieli po komnatach odmieniać swą odzież,
Nie chcąc wejść do dam w kurtach. Pierwsza wpadła młodzież,
Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przebrani.

Telimena sprawuje obowiąski pani,
Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,
I siostrzenicę wszystkim z kolei przedstawia:
Najprzód Tadeuszowi, jako krewnę bliską.
Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,
Chciał coś do niej przemówić, już usta otworzył:
Ale, spojrzawszy w oczy Zosi, tak się strwożył,
Że stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;
Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.
Uczuł się nieszczęśliwym bardzo — poznał Zosię!
Po wzroście i pó włosach światłych i po głosie;
Tę kibić i tą główkę widział na parkanie,
Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie —
Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamięszania;
Widząc, że bladnie i że na nogach się słania,
Radził mu odejść do swej izby dla spoczynku.
Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,
Nic nie mówiąc, szerokie, obłędne źrenice
Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.
Dostrzegła Telimena, iż pierwsze spojrzenie
Zosi tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;
Nie odgadła wszystkiego, przecież pomięszana
Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.
Wreszcie czas upatrzywszy ku niemu podbiega;
Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega
Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty.
Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,
Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:
Tem bardziej Telimenę pomięszał i zdziwił.

Zmieniła więc natychmiast twarz i tok rozmowy,
Powstała zagniewana i ostremi słowy
Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty.
Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukłuty;
Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa, splunął,
Krzesło nogą odepchnął i z pokoju runął,
Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem, że tej sceny
Nikt z gości nie uważał, oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole.
Jak szczupak, gdy mu oścień wskróś piersi przekole,
Pluska się i nurtuje, myśląc, że uciecze,
Ale wszędzie żelazo i sznur z sobą wlecze:
Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,
Bez celu i bez drogi. Aż niemało czasu
Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu
I trafił, czy umyślnie czyli też przypadkiem,
Na wzgórek, co był wczora szczęścia jego świadkiem,
Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,
Miejsce, jak wiemy, zwane Świątynią dumania.

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega: to ona!
Telimena, samotna, w myślach pogrążona,
Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,
W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,
Choć nie słyszysz szlochania, znać, że we łzach tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza;
Ulitował się, uczuł, że go żal porusza.
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:
Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił? —
Więc zwolna głowę ku niej z za drzewa wychylił —
Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia,
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze wskroś strumienia,

Rozkrzyżowana, z włosem rozpuszczonym, blada,
Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni;
Widać z jej ruchów, w jakiej strasznej jest męczarni:
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana.
Skoczył Tadeusz myśląc, że jest pomięszana,
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny
Pochodziły te ruchy.

U bliskiej brzeziny
Było wielkie mrowisko. Owad gospodarny
Snuł się w koło po trawie ruchawy i czarny.
Nie wiedzieć, czy z potrzeby, czy z upodobania,
Lubił szczególnie zwiedzać Świątynię dumania:
Od stołecznego wzgórka aż po źródła brzegi
Wydeptał drogę, którą wiódł swoje szeregi.
Nieszczęściem, Telimena siedziała śród dróżki:
Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać —
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie siąść i owad łowić.

Nie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić:
Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył —
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył — —
W tak przyjaznej postawie, choć nic nie mówili
O rannych kłótniach swoich przecież się zgodzili:
I nie wiedzieć, jak długo trwałaby rozmowa,
Gdyby ich nie przebudził dzwonek z Soplicowa:
Hasło wieczerzy —

Pora powracać do domu,
Zwłaszcza, że słychać było opodal trzask łomu.
Może szukają? razem wracać nie wypada:
Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,
A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi —
Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:

Telimenie zdało sie, że raz z poza krzaka
Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;
Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi
Pokazał się na lewo cień biały i długi:
Co to było, nie wiedział, ale miał przeczucie,
Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczerzano w zamczysku. Uparty Protazy,
Nie dbając na wyraźne Sędziego zakazy,
W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,
I kredens doń — jak mówił — zaintromitował.
Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy —
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna,
Po prawej stronie męża, ma Podkomorzyna.
Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,
Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił.
Mężczyznom dano wódkę; zaczem wszyscy siedli,
I chłodnik zabielany milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów węgrzyna, malagi —
Jedzą, piją, a milczą wszyscy. Nigdy pono,
Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,
Nie pamiętano takiej posępnej wieczerzy.
Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
Rzekłbyś, iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia. Myśliwi
Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;
Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,
Postrzegają, że wyszli z niej z niewielką sławą:

Trzebaż było, ażeby jeden kaptur popi,
Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi,
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!
Cóż o tem będą gadać w Oszmianie i Lidzie,
Które od wieków walczą z tutejszym powiatem
O pierwszeństwo w strzelectwie? Myśleli więc nad tem.

Zaś Assesor i Rejent, prócz wspólnych niechęci,
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
W oczach im stoi niecny kot: skoki wyciąga,
I omykiem z pod gaju kiwając urąga,
I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem —
Siedzieli z pochylonem ku misie obliczem.
Assesor nowe jeszcze miał powody żalów,
Patrząc na Telimenę i na swych rywalów,
Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,
Pomięszana, zaledwie śmie nań rzucić okiem;
Chciała zasępionego Hrabiego zabawić,
Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić —
Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił z przechadzki,
A raczej, jako myślił Tadeusz, z zasadzki.
Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,
Brwi zmarszczył, spojrzał na nią ladwie nie z pogardą;
Potem przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi —
Nalewa jej do szklanki, talerze przynosi,
Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha,
Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.
Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,
Że umizgał się tylko na złość Telimenie:
Bo głowę odwracając, niby nieumyślnie,
Coraz ku Telimenie groźnem okiem błyśnie.

Telimena nie mogła pojąć, co to znaczy;
Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy!
Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość rada,
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz też posępny nic nie jadł, nic nie pił,
Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;
Telimena mu leje wino, on się gniewa
Na natrętność; pytany o zdrowie — poziewa.
Ma za złe — tak się zmienił jednego wieczora —
Że Telimena zbytnie do zalotów skora,
Gorszy się, że jej suknia tak wcięta głęboko,
Nieskromnie — a dopiero, kiedy podniósł oko!
Aż przeląkł się; bystrzejsze teraz miał źrenice.
Ledwie spojrzał w rumiane Telimeny lice,
Odkrył odrazu wielką, straszną tajemnicę —
Przebóg, narożowana!

Czy róż w złym gatunku,
Co jakoś na obliczu przetarł się z trafunku:
Gdzie niegdzie zrzedniał, na wskroś grubszą płeć odsłania —
Może to sam Tadeusz, w Świątyni dumania,
Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła
Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.
Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,
I poprawić kolorów swych nie miała czasu:
Około ust szczególniej widne były piegi.
Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,
Odkrywszy jednę zdradę, poczną w kolej zwiedzać
Resztę wdzięków i wszędzie jakiś fałsz wyśledzać:
Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! Czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,
Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie,
Być szpiegiem swej kochanki; nawet jak szkaradnie,
Odmieniać smak i serce — lecz któż sercem władnie?
Darmo chce brak miłości zastąpić sumieniem:
Chłód duszy ogrzać znowu jej wzroku promieniem,
Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,
Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła —
Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,
Pochylił w talerz głowę; milczał i gryzł wargi.

Tymczasem zły duch nową pokusą go wabi,
Podsłuchiwać co Zosia mówiła do Hrabi.
Dziewczyna: uprzejmością Hrabiego ujęta,
Zrazu rumieniła się, spuściwszy oczęta —
Zdato się że ją Hrabia delikatnie chwali —
Potem śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali
O jakiemś niespodzianeem w ogrodzie spotkaniu,
O jakiemś po łopuchach i grzędach stąpaniu.
Tadeusz, wyciągnąwszy co najdłużej uszy,
Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy —
Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija
Dwoistem żądłem zioło zatrute wypija,
Potem skręci się w kłębek i na drodze legnie,
Grożąc stopie, co na nią nieostrożnie biegnie:
Tak Tadeusz, opiły trucizną zazdrości,
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości. [1]

W najweselszem zebraniu, niech się kilku gniewa,
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa:
Strzelcy dawniej milczeli; druga stołu strona
Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
Nie miał ochoty gadać, widząc swoje córy,
Posażne i nadobne panny, w wieku kwiecie,
Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.
Gościnnego Sędziego również to obchodzi;
Wojski zaś, uważając że tak wszyscy milczą,
Nazywał tę wieczerzę nie polską lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
Sam gawęda i lubił niezmiernie gaduły.
Nie dziw! Ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
Na polowaniach, zjazdach; sejmikowych radach:
Przywykł, żeby mu zawsze coś bębniło w uchu,
Nawet wtenczas gdy milczał, lub z placką za muchą

[1] Całego tego ustępu [—] brak w rękopisie i w pierwszem wydaniu.

Skradał się, lub zamknąwszy oczy, siadał marzyć,
W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć
Pacierze różańcowe, albo gadać bajki.
Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
Wymyślonej od Niemców by nas zcudzoziemczyć!
Mawiał: Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.
Starzec, wiek przegwarzywszy, chciał spoczywać w gwarze
Milczenie go budziło ze snu — tak młynarze,
Uśpieni kół turkotem, ledwie staną osie,
Budzą się krzycząc z trwogą: a słowo stało się

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
Prosząc o głos. Panowie na ten ukłon niemy
Odkłonili się oba, co znaczy: prosiemy.
Wojski zagaił.

«Śmiałbym upraszać młodzieży,
Ażeby po staremu bawić u wieczerzy,
Nie milczeć i żuć. Czy my Ojce Kapucyni?
Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie.
Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię:
Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
Ale aby nawzajem mogli się wygadać
Co każdy miał na sercu, nagany, pochwały —
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
Miła uchu myśliwców, jak druga obława.
Wiem, wiem o co wam idzie. Ta czarnych trosk chmura
Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!
Wstydzicie się swych pudeł! Niech was wstyd nie pali;
Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali;
Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka.
Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,
Chybiałem; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,
Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.

O Rejtanie opowiem później. Co się tycze
Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
Zwierzowi jak należy kroku nie dostali,
Choć mieli oszczep w ręku: tego nikt nie chwali,
Ani gani. Bo zmykać, mając nabój w rurze,
Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze;
Toż wystrzelić na oślep — jak to robi wielu —
Nie przypuściwszy zwierza, nie wziąwszy do celu,
Jest rzecz haniebna, ale kto dobrze wymierzy,
Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,
Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
Albo walczyć oszczepem. — Lecz z własnej ochoty,
A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony
Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
Tak było po staremu. A więc mnie zawierzcie,
I waszej rejterady do serca nie bierzcie,
Kochany Tadeuszku i Wielmożny Grafie;
Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrogę:
Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny. —

Właśnie Wojski wymawiał to słowo zwierzyny,
Gdy Assesor półgębkiem podszepnął: dziewczyny;
Brawo! krzyknęła młodzież. Powstał szmer i śmiechy;
Powtarzano z kolei przestrogę Hreczechy,
Mianowicie ostatnie słowo — ci zwierzyny,
A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli: dziewczyny.
Rejent szepnął: kobiety, Assesor: kokiety,
Utkwiwszy w Telimenie oczy jak sztylety.

Nie myślił wcale Wojski przymawiać nikomu,
Ani uważał, co tam szepczą pokryjomu;
Rad bardzo, że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć;
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

«Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,

Podobny do zdarzenia dzisiejszej obławy.
Klucznik mówił że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić z daleka;
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów
Tadeusz Rejtan, poseł i książe Denassów.
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie;
Owszem, u stołu pierwsi pili jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,
I skórę zabitego dzika. O tym dziku
I o strzale, powiem wam, jak naoczny świadek:
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,
A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i księciu Denassów.»

A wtem ozwał się Sędzia nalewając czaszę:
«Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze!
Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić:
Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
Lecz skóry księdzu nie dam: lub gwałtem zabiorę,
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
Skórą tą rozrządzimy wedle naszej woli:
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży;
Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.»

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał:
Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,
Tamten psiarnię zawołał, ów zwierza nawrócił
Znowu w ostęp. Assesor z Rejentem się kłócił,
Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,
Drugi bałabanowskiej swej Sagalasówki.

«Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,
Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa Boży;
Lecz nie łacno rozsądzić kto jest po nim drugi:
Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.
Przecież, dwóch dziś odznaczył los niebespieczeństwem,
Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura:
Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.
Pan Tadeusz ustąpi — jestem tego pewny —
Jako młodszy i jako gospodarza krewny;
Więc spolia opinia weźmiesz Mości Hrabia:
Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
Niechaj pamiątką będzie dzisiejszej zabawy,
Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłej sławy.»

Umilknął wesół, myśląc, że Hrabię ucieszył;
Nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.
Bo Hrabia, na strzeleckiej komnaty wspomnienie,
Mimowolnie wzrok podniósł: a te łby jelenie,
Te gałęziste rogi, jakby las wawrzynów
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
Te rzędami portretów zdobione filary,
Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,
Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości.
Zbudził się z marzeń, wspomniał gdzie, u kogo gości:
Dziedzic Horeszków, gościem śród swych własnych progów,
Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!
A przytem zawiść, którą czuł dla Tadeusza,
Tem mocniej Hrabię przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: «Mój domek zbyt mały
Nie ma godnego miejsca na dar tak wspaniały;
Niech lepiej niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.»

Podkomorzy zgadując, na co się zanosi:
Zadzwonił w tabakierkę złotą, o głos prosi.

«Godziencś pochwał, rzecze, Hrabio, mój sąsiedzie,
Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie,
Nie tak jak modni wieku twojego panicze,
Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę
Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie.
Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie:
Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić
Ziemią, w sposób następny.» — Tu zaczął wywodzić
Porządnie — jak zwykł zawsze — plan przyszłej zamiany.
Już był w połowie rzeczy: ruch niespodziany
Wszczął się na końcu stoła. Jedni coś postrzegli,
Wskazują palcem; drudzy oczyma tam biegli:
Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosy schylone
Wstecznym wiatrem, w przeciwną zwróciły się stronę
W kąt — —

Z kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka,
Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,
Z małych drzwiczek, ukrytych pomiędzy filary,
Wysunęła się cicho postać, nakształt mary:
Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,
Po srebrzyztych na żółtej kurcie Półkozicach.
Stąpał jako słup prosto, niemy i surowy,
Nie zdjąwszy czapki, nawet nie schyliwszy głowy;
W ręku trzymał błyszczący klucz jakby puginał,
Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;
Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
Południe wskazywały często o zachodzie.
Gerwazy nie przybrał się machiny naprawić,
Ale bez nakręcenia nie chciał jej zostawić:
Dręczył kluczem zegary każdego wieczora.
Właśnie teraz przypadła nakręcania pora;
Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę,
Stron interesowanych, on pociągnął wagę:

Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rozprawę.
«Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę»
I kończył plan zamiany. Lecz Klucznik na psotę
Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru;
I wnet gil, który siedział na wierzchu zegaru,
Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty.
Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że zepsuty,
Zająkał się i piszczał, im dalej tem gorzej,
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.
«Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,
Jeśli dziôb twój szanujesz, dość mi tego krzyku.»

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył:
Prawą rękę poważnie na zegar położył,
A lewą wziął się pod bok. Tak oburącz wsparty
«Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty;
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiórach
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach.
Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.»

«Za drzwi z nim!» Podkomorzy krzyknął.

«Panie Hrabio
Zawołał Klucznik, widzisz pan co się wyrabia.
Czy nie dosyć się jeszcze pański honor plami,
Że pan jadasz i pijasz z temi Soplicami?
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
Gerwazego Rembajłę, Horeszków Klucznika,
Lżyć w domu panów moich, i pan że to zniesie!»
Wtem Protazy zawołał trzykroć: Uciszcie się,
Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,
Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
Vulgo Woźny, woźneńską obdukcyę robię
Rewizyę formalną — zamawiając sobie
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo,
I pana Assesora wzywając na śledztwo,

Z powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:
O inkursyę, to jest o najazd granicy,
Gwałt zamku, którym Sędzia dotąd prawnie włada,
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.»
«Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę»
I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,
Okręcił w koło głowy, puścił z całej mocy.
Pęk żelaza wyleciał, jako kamień z procy,
Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci:
Szczęściem, schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy; chwilę była głucha
Cichość, aż Sędzia krzyknął: «w dyby tego zucha:
Hola chłopcy!» i czeladź rzuciła się żwawo
Ciasnem przejściem pomiędzy ścianami i ławą.
Lecz Hrabia krzesłem w środku zagrodził im drogę
I na tym szańcu słabym utwierdziwszy nogę,
«Wara! — zawołał, — Sędzio! nie wolno nikomu
Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu:
Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży.»

Zyzem w oczy Hrabiemu spojrzał Podkomorzy:
«Bez Waścinej pomocy ukarać potrafię
Zuchwałego szlachetkę; a Waść, Mości Grafie
Przed dekretem ten zamek zawcześnie przywłaszczasz:
Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz —
Siedź cicho jakeś siedział; jeśli siwej głowy
Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.»

«Co mi? odmruknął Hrabia, dość już tej gawędy;
Nudźcie drugich waszemi względy i urzędy!
Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Waćpaństwem
W pijatyki, które się kończą grubijaństwem;
Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy.
Do widzenia po trzeźwu! — Pójdź za mną Gerwazy!»

Nigdy się odpowiedzi takiej nie spodziewał
Podkomorzy. Właśnie swój kieliszek nalewał!

Gdy zuchwalstwem Hrabiego rażony jak gromem,
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,
Oczy rozwarł szeroko, usta w pół otworzył —
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,
Że szkło dźwięknąwszy pękło — płyn w oczy mu prysnął.
Rzekłbyś, że z winem ognia w duszę się nalało:
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało.
Zerwał się mówić: pierwsze słowo niewyraźnie
Mleł w ustach; aż przez zęby wyleciało: «Błaźnie!
Grafiątko! Ja cię —! Tomasz — karabelę! Ja tu
Nauczę ciebie mores, błaźnie — daj go katu!
Względy, urzędy nudzą uszko delikatne!
Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płatnę.
Fora za drzwi! Do korda! Tomasz — karabelę!»

Wtem do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
Sędzia porwał mu rękę: «Stój pan, to rzecz nasza,
Mnie tu naprzód wyzwano. Protazy, pałasza!
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju.»
Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał: «Panie stryju,
Wielmożny Podkomorzy, czyż się państwu godzi
Wdawać się z tym fircykiem; czy tu nie ma młodzi?
Na mnie to zdajcie: ja go należycie skarcę.
A Waszeć, panie śmiałku, co wyzywasz starce,
Obaczym, czyli jesteś tak strasznym rycerzem:
Rozprawimy się jutro, plac i broń wybierzem;
Dziś uchodź pókiś cały.»

Dobra była rada:
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.
Przy wyższym końcu stołu wrzał tylko krzyk wielki,
Ale z ostrego końca latały butelki
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety
W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: niestety!
Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,
I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,

Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie
Hrabia, choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,
Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,
Wystawiony na stołków i butelek razy,
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięści
Rzucała się nań zewsząd hurmem: gdy na szczęście
Zosia, widząc szturm, skoczy, i litością zdjęta
Zasłania starca, na krzyż rozpiąwszy rączęta.
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,
Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował;
Gdy nagle, z drugiej strony, wyszedł jak z pod ziemi,
Podniósłszy w górę ławę ramiony silnemi,
Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,
Wziął Hrabię; i tak oba, ławą zasłonieni,
Cofali się ku drzwiczkom — już dochodzą progów:
Gerwazy stanął, i jeszcze raz spojrzał na wrogów.
Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,
Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie:
Obrał drugie. Już ławę jak taran murowy
W tył dźwignął dla zamachu — już ugiąwszy głowy,
Z wypiętą na przód piersią, z podniesioną nogą,
Miał wpaść — ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwogę.

Wojski, cicho siedzący z przymrużonem okiem,
Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiem.
Dopiero, gdy się Hrabia z Podkomorzym skłócił
I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,
Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.
Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,
O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
Przypatrywał się zatem z ciekawością walce;
Wyciągnął zlekka na stół rękę, dłoń i palce,
Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia;

Potem rękę w tył nieco wychyloną kiwał,
Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,
Już była zaniedbaną podówczas na Litwie,
Znajoma tylko starym — Klucznik jej próbował
Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej celował:
Widać z zamachu ręki, że silnie uderzy,
A z oczu łacno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy —
Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli —
Mniej baczni młodzi ruchów starca nie pojęli:
Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,
Cofa się ku drzwiom — «Łapaj!» krzyknęła gromada.

Jako wilk, obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgrają, co mu ucztę przerwie;
Już goni, ma ją szarpać: w tem, śród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkurcze; wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega że z tyłu, za charty,
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty,
Rurą ku niemu wije i już cyngla tyka —
Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka;
Psiarnia z tryumfującym rzuca się hałasem,
I skubie go po kudłach; zwierz zwraca się czasem,
Spojrzy, klapnie paszczęką, i białych kłów zgrzytem
Ledwie pogrozi; psiarnia pierzcha ze skowytem —
Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,
Wstrzymując napastników oczyma i ławą,
Aż razem z Hrabią wpadli w głąb ciemnej framugi.

«Łapaj!» krzykniono znowu. Tryumf był nie długi:
Bo nad głowami tłumu Klucznik niespodzianie
Ukazał się na chórze, przy starym organie,
I z trzaskiem jął wyrywać ołowiane rury.
Wielką by klęskę zadał, uderzając z góry;
Ale już goście tłumnie wychodzili z sieni;
Nie śmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,
I chwytając naczynia w ślad panów uciekli;
Nawet nakrycia z częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, nie dbając na groźby i razy,
Ustąpił z placu bitwy? Brzechalski Protazy.
On, za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,
Aż skończył, i z pustego zszedł pobojowiska,
Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było. Ale wszystkie ławy
Miały zwichnionie nogi; stół także kulawy,
Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
Między licznemi kurcząt i indyków ciały,
W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili, w Horeszkowskim samotnym budynku
Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.
Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady
Leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na Dziady
Zgromadzać się zaklęte mają nieboszczyki.
Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
Jak guślarze: zdają się witać wschód miesiąca,
Którego postać oknem spadła na stół, drżąca,
Niby dusza czyszcowa; z podziemia, przez dziury,
Wyskakiwały, nakształt potępieńców, szczury:
Gryzą, piją; czasami, w kącie zapomniana,
Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugiem piętrze, w izbie, którą zwano,
Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie,
Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramię,
Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
I pierś surdutem jakby płaszczem udrapował.
Gerwazy chodził kroki wielkiemi po sali;
Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:
«Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.»
«Zamek, rzekł Kluczник, i wieś, oboje to nasze»

«Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemię·
Wyzywaj!» «Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
Zabieraj pan.» To mówiąc zwrócił się do Hrabi:
«Jeśli pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
Poco proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta:
Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
I jak pan wie, oddano władaniu Soplicy.
Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
Za koszta procesowe, za karę grabieży.
Mówiłem panu zawsze: procesów zaniechać;
Mówiłem panu zawsze: najechać, zajechać!
Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiądzie,
Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
Co się tyczy dawniejszych z Soplicami sprzeczek:
Jest na to od procesu lepszy scyzoryczek;
A jeśli Maciej w pomoc da mi swą rózeczkę,
To my we dwóch Sopliców tych porżniem na sieczkę.»

«Brawo! rzekł Hrabia, plan twój, gotycko-sarmacki,
Podoba się mi lepiej niż spór adwokacki.
Wiesz co, na całej Litwie narobim hałasu
Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.
I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
Jakąż bitwę widziałem? z chłopami o miedzę!
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży.
Odbyłem taką jednę w czasie mych podróży.
Gdym w Sycilii bawił u pewnego księcia,
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
I okupu od krewnych żądali zuchwale;
My, zebrawszy na prędce sługi i wassale,
Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,
Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
Ach, mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
Lud z kwiatami spotykał nas; córka książęcia,
Wdzięczna zbawcy, ze łzami padła w me objęcia.

Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety;
Nawet wydrukowano o całem zdarzeniu
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
Romans ma tytuł: Polak, czyli tajemnice
Zamku Birbante-rokka. Czy są tu ciemnice
W tym zamku?» «Są, rzekł Klucznik, ogromne piwnice,
Ale puste! bo wino wypili Soplice.»
«Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,
Z włości wezwać wassalów!» — «Lokajów? broń Boże!
Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
Kto widział zajazd robić z chłopstwem i z lokajstwem?
Mój panie, na zajazdach nie znacie się wcale!
Wąsalów, co innego, zdadzą się wąsale;
Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Cięty czach, w Rąbankach,
Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,
Wszyscy przychylni panów Horeszków rodzinie,
Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców —
To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca
I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;
Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje.
Ja tu będę pilnować zamku, aż rozdnieje,
A ze słoneczkiem stanę w Bobrzyńskim zaścianku.»

Na te słowa pan Hrabia ustąpił z krużganku;
Ale nim odszedł, spojrzał przez otwór strzelnicy,
I widząc świateł mnóstwo w domostwie Soplicy,
«Illuminujcie! krzyknął, jutro o tej porze,
Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze!» —

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
I pochylił ky piersiom czoło zadumane.
Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,
Gerwazy po nim kreślił palcem różne rysy;
Widzać, że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
Ciążą mu coraz bardziej powieki brzemienne;

Bezwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,
Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
Lecz między Ojczenaszem i Zdrowaś Maryą,
Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:
Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne pany;
Ci niosą karabele, drudzy buzdygany,
Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,
Składa się karabelą, buzdyganem wstrząsa —
Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
Z krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
Poznał Stonika; zaczął w koło siebie żegnać,
I ażeby tem pewniej straszne sny rozegnać,
Odmawiał litanię o czyszcowych duszach.
Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach!
Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabele:
Zajazd! zajazd! Korelicz i Rymsza na czele!
I ogląda sam siebie, jak na koniu siwym,
Z podniesionym nad głową rapierem straszliwym
Leci; rozpięta na wiatr szumi taratatka,
Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;
Leci — jezdnych i pieszych po drodze obala,
I nakoniec Soplicę w stodole podpala.
Wtem, ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.

KSIĘGA VI.

ZAŚCIANEK.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu. — Wyprawa Protazego. — Robak z panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej. — Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznej. — Ustęp o konopiach. — Zaścianek szlachecki Dobrzyn. — Opisanie domostwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.

Nieznaczenie, z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu,
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu
Że słońce wstało, tędy ma zstąpić na ziemię;
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtaniu:
Dziś, okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa;
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,

Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów, kałuży,
Klekce bocian. Na kobach siedzą wrony zmokłe;
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe;
Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęsknią, jednostajną,
Tem smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwortki
Stają, ostrzą żelezca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgle nie widać: tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku, na snopie zboża Ekonom usiadłszy
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,
Kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach, od samego ranka,
Panuje ruch niezwykły. Stąd chłopska furmanka
Skrzypi, lecąc jak poczta; stąd szlachecka bryka
Cwałem turkoce, drugą i trzecią spotyka;
Z lewej drogi posłaniec jak kuryer goni,
Z prawej przebiegło w zawód kilkanaście koni:
Wszyscy śpieszą, ku różnym kierują się stronom.
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom,
Chciał przypatrzyć się, spytać; długo stał nad drogą,
Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy —
Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głuchy,
I co dziwniejsza jeszcze, szczękanie pałaszy:
Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.
Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,

O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.
Miałyżby wojnę wróżyć ci jeźdcy? te bronie?
Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście, po kłótni
Wczorajszej, wstali z siebie nieradzi i smutni.
Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
Mężczyznom próżno karty dają do maryasza:
Nie chcą bawić się, ni grać, siedzą cicho w kątkach,
Mężczyźni palą lulki, kobiety przy prątkach;
Nawet śpią muchy —

Wojski, rzuciwszy łopatkę,
Znudzony ciszą idzie pomiędzy czeladkę;
Woli w kuchennej słuchać ochmistrzyni krzyków
Gróźb i razów kucharza, hałasu kuchcików:
Aż go powoli wprawił w przyjemne marzenie,
Ruch jednostajny rożnów, kręcacych pieczenie.

Sędzia od rana pisał, zamknąwszy się w izbie;
Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie.
Sędzia, skończywszy pozew, Protazego wzywa
Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:
O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,
Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;
Obudwu o przechwałki, o koszta z powodu
Procesu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.
Pozew dziś trzeba wręczyć ustny, oczywisto,
Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą
Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;
Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.
Na samą myśl procesu czuł, że się odmłodził:
Wspomniał na dawne lata, gdy z pozwami chodził
Po guzy, ale razem po zapłaty hojne.
Tak żołnierz, który strawił życie, tocząc wojnę,
A na starość w szpitalach spoczywa kaleki·
Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,

Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: bij moskala!
I na drewnianej nodze skacze ze szpitala,
Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzież.

Protazy śpieszył włożyć swą woźnieńską odzież.
Przecież żupana ani kontusza nie kładzie:
One służą ku wielkiej sądowej paradzie;
Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy
I kurtkę, której poły, podpięte na guzy,
Można zakasać albo spuścić na kolana;
Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słotą.
Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą;
Bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem,
Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy, że w drogę pośpieszył,
Bo nie długoby swoim pozwem się nacieszył:
W Soplicowie zmieniano kampanii plany.
Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany,
I rzekł: «Sędzio, to bieda nam z tą panią ciotką,
Z tą panią Telimeną, kokietką i trzpiotką!
Kiedy Zosia została dzieckiem w biednym stanie,
Jacek ją Telimenie dał na wychowanie;
Słysząc że jest osoba dobra, świat znająca:
A postrzegam, że ona coś tu nam zamąca,
Intryguje i pono Tadeuszka wabi:
Śledzę ją; albo może bierze się do Hrabi;
Może do obu razem. Obmyślmy więc środki,
Jak się jej pozbyć: bo stąd mogą urość plotki,
Zły przykład i pomiędzy młokosami zwady,
Które mogą pomięszać twe prawne układy.»
«Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapałem,
Z układów kwita, już je skończyłem, zerwałem.»
«A to co? przerwał Rokak, gdzie rozum, gdzie głowa;
Co tu mi Wasze bajesz, jaka burda nowa?»
«Nie z mej winy, rzekł Sędzia, proces to wyjaśni:
Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,

I Gerwazy łotr. — Lecz to do sądu należy.
Szkoda żeś nie był, księże, w zamku na wieczerzy,
Poświadczyłbyś, jak Hrabia srodze mnie obraził.»
«Po coś Waść, krzyknął Robak, do tych ruin łaził?
Wiesz, jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga
Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!
Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć.
Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć:
Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić pieniaczy;
Ale jeszcze raz zgodzę.» «Zgodzić? Cóż to znaczy!
A idź-że mi Waść wreszcie z tą zgodą do licha!
— Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą — patrzcie mnicha!
Że go przyjmuję grzecznie, chce mię za nos wodzić!
Wiedz Wasze, że Soplice nie zwykli się godzić:
Gdy pozwą, muszą wygrać; nie raz w ich imieniu
Trwał proces, aż wygrali w szóstem pokoleniu.
Dosyć zrobiłem głupstwa z porady Waszeci,
Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.
Od dzisiaj nie ma zgody, nie ma, nie ma, nie ma!» —
I krzycząc chodził, tupał nogami obiema —
Prócz tego, za wczorajszy niegrzeczny uczynek
Musi mi deprekować, albo pojedynek!»
«Ale Sędzio, cóż będzie jak się Jacek dowie?
Wszak on umrze z rozpaczy! Czyliż Soplicowie
Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego?
Bracie! wspominać nie chcę wypadku strasznego —
Wiesz także, że część gruntów od zamku dziedzica
Zabrała i Soplicom dała Targowica —
Jacek, za grzech żałując, musiał był ślubować
Pod absolucyą, dobra te restytuować:
Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
Hodować, wychowanie jej opłacał drogo;
Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać,
I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,
I dziedziczce bez wstydu ustąpić grabieży.» —
«Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?
Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem:
Ledwiem słyszał o jego życiu hajdamackiem,

Siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole,
Potem u Wojewody służąc za pachole.
Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,
Przyjąłem, hodowałem, myślę o jej losie:
Dość mię nudzi ta cała historya babia!
A potem, czegóż jeszcze wlazł mi tu ten Hrabia?
Z jakiem prawem do zamku? Wszak wiesz przyjacielu,
On Horeszkom dziesiąta woda na kiesielu!
I ma mnie łżyć? a ja go zapraszać do zgody!»
«Bracie! rzekł ksiądz, poważne są tego powody.
Pamiętasz, że Jacek chciał do wojska słać syna,
Potem w Litwie zostawił: cóż w tem za przyczyna?
Oto, w domu, w ojczyznie potrzebniejszy będzie.
Słyszałeś pewnie o czem już gadają wszędzie,
O czem ja wiadomostki przynosiłem nie raz:
Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!
Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!
Wojna o Polskę, bracie! będziem Polakami!
Wojna niechybna! Kiedy z poselstwem tajemnem
Tu biegłem, wojsk forpoczty już stały nad Niemnem;
Napoleon już zbiera armię ogromną,
Jakiej człowiek nie widział i dzieje nie pomną;
Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,
Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!
Już są w drodze; na pierwszy znak Napoleona
Przejdą Niemen i bracie! Ojczyzna wskrzeszona!»

Sędzia, słuchając, zwolna okulary składał,
I wpatrując się mocno w księdza, nic nie gadał —
Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły.
Wreszcie porwał za szyję księdza z całej siły,
»Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?
Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?
Ileż razy zwodzono! Pamiętasz? gadali:
Napoleon już idzie! i my już czekali!
Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,
Wkracza do nas! A on! co? pokój w Tylży zrobił!

Czy tylko prawda! Czy ty nie zwodzisz sam siebie?»
«Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie!»
«Błogosławioneż niechaj będą usta, które
To zwiastują! — rzekł Sędzia, wznosząc ręce w górę —
Nie pożałujesz twego poselstwa Robaku,
Nie pożałuje klasztor: dwieście owiec z braku
Daję na klasztor. Księże, tyś się wczoraj palił
Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił:
Dziś, zaraz w tym kwestarskim wozie pójdą oba;
Dziś proś mnie o co zechcesz, co ci się podoba,
Nie odmówię! — Lecz o tym interesie całym
Z Hrabią, daj pokój: skrzywdził mnie, już zapozwałem;
Czyż wypada?»

Załamał ręce ksiądz zdziwiony.
Wlepiwszy oczy w Sędzię, ruszywszy ramiony,
Rzekł: «To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,
Gdy świat drży cały, to ty myślisz o procesie?
I jeszczeż po tem wszystkiem, com tobie powiedział,
Będziesz spokojnie, ręce założywszy, siedział,
Gdy działać trzeba!» — «Działać? Cóż?» Sędzia zapytał.
«Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?
Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach bracie!
Jeżeli Soplicowskiej krwi coś w żyłach macie,
Uważ tylko: Francuzi uderzają z przodu —
A gdyby z tyłu zrobić powstanie narodu?
Co myślisz? Niechno Pogoń zarży, niech na Żmudzi
Niedźwiedź ryknie! Ach, gdyby jakie tysiąc ludzi,
Gdyby choć pięćset z tyłu na Moskwę natarło,
Powstanie jako pożar w koło rozpostarło!
Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków,
Zwycięscy, szli powitać wybawców rodaków? —
Ciągniemy! Napoleon, widząc nasze lance,
Pyta, co ty za wojsko; my krzyczym: Powstańce,
Najjaśniejszy Cesarzu! Litwa ochotnicy!
Pyta: pod czyją wodzą? — Sędziego Soplicy!
Ach, któżby potem pisnąć śmiał o Targowicy? —

Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,
Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć.
Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica
Wskazywać palcem, mówiąc, oto jest Soplica,
Z tych Sopliców, co pierwsi zrobili powstanie!»

A na to Sędzia: «Mniejsza o ludzkie gadanie;
Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata:
Bóg świadkiem, żem nie winien grzechów mego brata;
W politykę jam nigdy bardzo się nie wdawał,
Urzędując i orząc mojej ziemi kawał.
Lecz jestem szlachcic, radbym plamę domu zmazać;
Jestem Polak, dla kraju radbym coś dokazać,
Choć duszę oddać. W szablę nie byłem zbyt tęgi,
Wszakże bierali ludzie i odemnie cięgi,
Wie świat, że w czasie polskich ostatnich sejmików
Wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików,
Którzy — ale to mniejsza. Jakże Wasze myśli?
Czy potrzeba, żebyśmy zaraz w pole wyszli?
Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek —
W plebanii u księdza jest kilka armatek;
Przypominam, że Jankiel mówił, iż u siebie
Ma groty do lanc, że je mogę wziąść w potrzebie;
Te groty przywiózł w pakach gotowych z Królewca
Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca;
Szabel nam nie zabraknie; szlachta na koń wsiędzie,
Ja z synowcem na czele i — jakoś to będzie!»

«O polska krwi! — zawołał Bernardyn wzruszony,
Z otwartemi skoczywszy na Sędzię ramiony —
Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza
Oczyścić grzechy brata twojego tułacza!
Zawszem ciebie szanował! ale o tej chwili
Kocham cię, jak gdybyśmy bracią sobie byli! —
Przygotujemy wszystko; lecz wyjść nie czas jeszcze:
Ja sam wyznaczę miejsce i czas wam obwieszczę.
Wiem, że car wysłał gońców do Napoleona

Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona:
Lecz książe Józef słyszał od pana Biniona,
Francuza, co należy do cesarskiej rady,
Że się na niczem skończą wszystkie te układy,
Że będzie wojna. Książe wysłał mię na zwiady,
Z rozkazem, żeby byli Litwini gotowi
Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,
Że chcą złączyć się znowu z siostrą swą, Koroną,
I żądają ażeby Polskę przywrócono.
Tymczasem, bracie, z Hrabią trzeba przyjść do zgody.
Jest to dziwak, fantastyk trochę, ale młody,
Poczciwy, dobry Polak — potrzebny nam taki.
W rewolucyach bardzo potrzebne dziwaki:
Wiem z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą,
Byle tylko poczciwi i pod mądrych władzą.
Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,
Cały powiat ruszy się, jeśli on powstanie;
Znając jego majątek, każdy szlachcic powie:
Musi to być rzecz pewna, gdy z nią są panowie.
Biegę do niego zaraz.» — «Niech się pierwszy zgłosi —
Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mię przeprosi;
Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!
Co się tyczy procesu, sąd arbitrów będzie.» —
Bernardyn trzasnął drzwiami. «No, szczęśliwa droga!»
Rzekł Sędzia.

Ksiądz wpadł w powóz stojący u proga;
Tnie biczem konie, łechce lejcami po bokach,
Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach;
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi.
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niej, a strzelców zda fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli:

Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci
Krąży około domu, pałkę w ręku kręci,
Udaje, że obaczył kędyś bydło w szkodzie.
Tak zręcznie lawirując, stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi:
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W tej zielonej, pachnącej i gęstej krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,
Skacze skryć się w konopiach bespieczniej niż w chruście:
Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka
Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekuta chłopi,
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi.
I stąd to w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań,
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
A z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem,
Kryje attak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu:
Bo przypomniał z samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet,
Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleść pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjedz twój papier;

Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,
Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie, już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie —
Ale Protazy o tej obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,
Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę,
Dla naglącej potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa:
Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa,
I rozchylając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako rybak pod wodą nurkujący płynie:
Wzniósł głowę: cicho wszędzie — do okien się skrada:
Cicho wszędzie — przez okna głąb' pałacu bada!
Pusto wszędzie — na ganek wchodzi nie bez strachu,
Odmyka klamkę: pusto jak w zaklętym gmachu;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.
A wtem, usłyszał turkot, uczuł serca drżenie,
Chciał uciec — gdy ode drzwi zaszła mu osoba:
Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.
Widno, że Hrabia kędyś ruszył z całym dworem,
I bardzo śpieszył, bo drzwi zostawił otworem.
Widać, że się uzbrajał: leżały dwururki
I sztućce na podłodze, dalej sztenfle, kurki,
I narzędzia ślusarskie, któremi rynsztunki
Poprawiano; proch, papier — robiono ładunki.
Czy Hrabia z całym dworem wyjechał na łowy?
Ale po cóż broń ręczną? Tu szabla bez głowy
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:
Zapewne wybierano oręż z tego braku,
I poruszono nawet stare broni składy.
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,
A potem do folwarku wybrał się na zwiady,

Szukając sług, żeby się rozpytał o Hrabię.
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
Od których słyszy, że pan i dworska drużyna
Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek.
Niegdyś możny i ludny: bo gdy król Jan Trzeci
Obwołał pospolite ruszenie przez wieci,
Chorąży województwa z samego Dobrzyna
Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś, rodzina
Zmniejszona, zubożała. Dawniej, w pańskich dworach
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach,
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie:
Teraz, zmuszeni sami pracować na siebie,
Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach,
I rżną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew Lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;
Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli,
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.
Jeśli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koroniasza,
Świętego Bartłomieja albo Matyasza:
Tak Syn Macieja zawżdy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
Kobiety wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
By rozeznać się w pośród takiej mięszaniny,

Brali różne przydomki, od jakiej zalety
Lub wady, tak mężczyzni jako i kobiety.
Mężczyznom czasem kilka dawno przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcic inaczej w Dobrzynie,
A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.
Dobrzyńskich naśladując, inna szlachta bliska
Brała również przydomki, zwane imioniska.

Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna,
I były tam potrzebne: kiedy w reszcie kraju
Głupiem naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Więc Matyasz Dobrzyński, który stał na czele
Całej rodziny, zwan był Kurkiem na kościele;
Potem, z siedemset dziewięć-dziesiąt czwartym rokiem
Odmieniwszy przydomek, ochrzcił się Zabokiem;
Toż Królikiem Dobrzyńscy mianują go sami,
A Litwini nazwali Maćkiem nad Maćkami.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota:
Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzoski;
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
I kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
I prawą stronę gdzie jest świetlica, miał z cegły.
Obok lamus, śpichrz, gumno, obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe. Domu dachy
Świeciły się, jak gdyby od zielonej blachy,
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony,
Gniazda ptastwa różnego; w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki

Białe skaczą i ryją w niedeptanej darni.
Słowem: dwór nakształt klatki albo królikarni.

A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa:
Wielka leżała kula żelazna, działowa,
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.
Na dziedzińcu, z pomiędzy piołunu i chwastu,
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu
Na ziemi nieświęconej: znać, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał zbliska lamus, śpichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych: w każdej plamie
Siedzi we środku kula, jak czmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu próbowano hartu Zygmuntówek,
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerżnąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę serów zasłoniły pułki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.
Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych: dziś Wenery ptaki,
Gołębie, w nich gruchając, karmią swe pisklęta.
W stajni, kolczuga wielka nad żłobem rozpięta
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
Słowem, wygnała Marsa Ceres gospodarna,

I panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.
Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie:
Mars powraca.

O świcie zjawił się w Dobrzynie
Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
Budzi jak na pańszczyznę. Wstają szlachta braty,
Napełniają się ciżbą zaścianku ulice,
Słychać krzyk w karczmie, widać w plebanii świece.
Biegą; jeden drugiego pyta, co to znaczy,
Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,
Kobiety zatrzymują, chłopcy się szamocą,
Rwą się biedz, bić się, ale nie wiedzą z kim, o co?
Muszą chcąc nie chcąc zostać. W mieszkaniu plebana
Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamięszana;
Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski
Niskiego wzrostu, dawny konfederat Barski.
Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
Jego damaskowaną krzywą karabelę,
Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,
I której żartem skromne dał imię rózeczki.
Z konfederata stał się stronnikiem królewskim
I trzymał z Tyzenhauzem Podskarbim litewskim;
Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo
I stąd to: że przechodził partyi tak wiele,
Nazywany był dawniej Kurkiem na kościele:
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
Przyczynę zmian tak częstych napróżnobyś macał:
Może Maciej zbyt wojnę lubił; zwyciężony
W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?
Może bystry polityk, duch czasu zbadywał,
I tam szedł, gdzie ojczyzny dobro upatrywał?

Kto wie! To pewna, że go nigdy nie uwiodły
Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły,
I że nigdy z moskiewską partyą nie trzymał;
Na sam widok Moskala pienił się i zżymał.
By nie spotkać Moskala, po kraju zaborze,
Siedział w domu jak niedźwiedź, gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował, poszedłszy z Ogińskim
Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,
I tam z rózeczką cudów dokazał odwagi.
Wiadomo, że sam jeden skoczył z wałów Pragi
Bronić pana Pocieja, który odbieżany
Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
Myślano długo w Litwie, że obu zabito:
Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
Pan Pociej, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie
Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie;
Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
Lecz Dobrzyński odpisał: niech Pociej Macieja
A nie Maciej Pocieja ma za Dobrodzieja.
Odmówił więc folwarku i nie przyjął płacy;
Sam wróciwszy do domu, żył z własnej rąk pracy,
Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła,
Szląc na targ kuropatwy, które łowił w sidła,
I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzynie
Starych ludzi roztropnych, którzy po łacinie
Umieli i w Palestrze ćwiczyli się z młodu;
Było dość majętniejszych: a z całego rodu
Maciek prostak ubogi był najwięcej czczony —
Nietylko jako rębacz rózeczką wsławiony,
Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
Znający dzieje kraju, rodziny podania.
Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa,
Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa;

Przyznawano mu nawet — czemu pleban przeczy —
Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
To pewna, że powietrza zmiany zna dokładnie,
I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.
Nie dziw tedy że, czy to siejbę rozpoczynać,
Czy wininy wyprawiać, czy zboże zażynać,
Czy procesować, czyli zawierać układy:
Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.
Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał;
Owszem, chciał się go pozbyć, klientów swych fukał;
I najczęściej wypychał milczkiem za drzwi domu.
Rady rzadko udzielał i nie lada komu,
Ledwie, w niezmiernie ważnych sporach lub umowach
Pytany, wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.
Myślano, że dzisiejszej podejmie się sprawy
I stanie swą osobą na czele wyprawy;
Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu,
I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: Kiedy ranne wstają zorze —
Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, pośrebrza, wyzłaca, rumieni —
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia —
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty, tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierżgało.
Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia, usiadł przed domem i świsnął:
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął.

Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny,
Gęste, wszyte w aksamit zielonej darniny.
Już króliki na łapkach stają; każdy słucha,
Patrzy: nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On, sam biały jak królik, lubi ich gromadzić
W koło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić;
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów: spada z dachów krzykliwa hołota.
Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
Nagle króliki znikły w ziemi; a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,
Którzy szli do folwarku krokami prędkiemi.
Byli to z plebanii przez szlachty gromadę
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
Z dala witając starca niskiemi ukłony
Rzekli: «Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony»
«Na wieki wieków, amen» starzec odpowiedział,
A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,
Prosi do chaty. Weszli, zasiadają ławę;
Pierwszy z posłów stał w środku i jął zdawać sprawę.
Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało:
Dobrzyńscy prawie wszyscy, sąsiadów niemało
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,
W kałamaszkach i bryczkach i piesi i konni.
Stawią wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,
Ciekawi skutku narad koło domu krążą;
Już izbę napełnili, kupią się do sieni,
Inni słuchają, w okna głowami wciśnieni.

KSIĘGA VII.

RADA.

Zbawienne rady Bartka, zwanego Prusak. — Głos żołnierski Maćka Chrzciciela. — Głos polityczny Buchmana. — Jankiel radzi ku zgodzie, którą scyzoryk rozcina. — Rzecz Gerwazego, z której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej. — Protestacya starego Maćka. — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę. — Hejże na Soplice!

Z kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał.
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,
Nazwany był Prusakiem od swych spół-rodaków;
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać. Człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich wiele zwiedził świata;
Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,
W niebytność Maćka zwykle przewodził obradom.
Ten tak rzecz kończył:

Nie jest to, panie Macieju,
Bracie mój, a nas wszystkich ojcze Dobrodzieju,
Nie jest to marna pomoc. Jabym na Francuzów
Spuścił się, w czasie wojny, jak na czterech tuzów;
Lud bitny, a od czasów pana Tadeusza
Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza
Wojennego, jak wielki cesarz Bonaparte.
Pamiętam, kiedy przeszli Francuzi przez Wartę;
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku pańskim
Tysiącznym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem, a krewnych mam wiele w Poznańskiem.

Jeździłem ich odwiedzić; więc z panem Józefem
Grabowskim, który teraz jest rejmentu szefem,
A pod ów czas żył na wsi blisko Objezierza —
Polowaliśmy sobie na małego źwierza.
Był pokój w Wielko-Polsce, jak teraz na Litwie;
Wtem nagle rozeszła się wieść o strasznej bitwie.
Przybiegł do nas posłaniec ów pana Todwena:
Garbowski list przeczytał, krzyknął: «Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!»
Ja z konia zsiadłszy, zaraz padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu. — Do miasta jedziemy,
Niby dla interesu, niby nic nie wiemy.
Aż tu widzimy wszystkie Landraty, Hofraty,
Komisarze i wszystkie podobne psu-braty
Kłaniają się nam nisko; każdy, drży, blednieje,
Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje.
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
O nowinki? pytamy, co słychać o Jenie?
Tu ich strach zdjął — dziwią się, że o klęsce owej
Już wiemy; krzyczą Niemcy: achary Got! o wej!
Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi —
O, to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi
Pełne uciekających. Niemczyska jak mrowie
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
Wageny i fornalki; mężczyzni, kobiety,
Z fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;
Drapią jak mogą. A my milczkiem wchodzim w radę:
Hejże na koń, pomięszać Niemcom rejteradę!
Nuż Landratów tłuc w karki, z Hofratów drzeć schaby,
A Herów oficerów łowić za harcaby!
A jenerał Dąbrowski wpada do Poznania
I Cesarski przynosi rozkaz: do powstania!
W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał
I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał! —
Gdyby się tak obrócić i gracko i raźnie,
I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaźnię?
He, co myślisz Macieju? Jeśli z Bonapartem
Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:

Bohater pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku:
He, cóż myślisz Macieju, nasz ojcze Króliku?»

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.
Maciej głowy nie ruszył ani podniósł wzroku,
Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,
Jak gdyby szabli szukał — od zaboru kraju
Szabli nie nosił: przecież z dawnego zwyczaju:
Na Wspomnienie Moskala, zawsze rękę zwracał
Na lewy bok: zapewne rózeczki swej macał;
I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem. —
Już wzniósł głowę; słuchają w milczeniu głębokiem.
Maciej oczekiwanie powszechne omylił,
Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.
Nakoniec odezwał się; zwolna każde słowo
Wymawiając z przyciskiem, a w takt kiwał głową.

«Cicho! skąd-że ta cała nowina pochodzi?
Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?
Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?
Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?
Wiele piechoty, jazdy? Kto wie, niechaj gada!»

Milczała patrząc na się kolejno gromada.
«Radziłbym, rzecze Prusak, czekać Bernardyna
Robaka, bo od niego pochodzi nowina;
Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę,
I po cichu uzbrajać całą oklicę,
A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,
Aby Moskalom naszych zamiarów nie zdradzić.»

«He! czekać? szczekać? zwlekać?» przerwał Maciej drugi,
Ochrzczony Kropicielem, od wielkiej maczugi,
Którą zwał kropidełkiem. Miał ją dziś przy sobie;
Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,
Na ręku oparł brodę, krzycząc! «Czekać! zwlekać!
Sejmikować! Hem, trem brem, a potem uciekać! [1]

[1] Ot plan pruski! po cichu, szu szu szu uzbrajać —
Czy my szczury! Mamy tu jako baby bajać?

Ja w Prusach nie bywałem; rozum królewiecki
Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.
To wiem: że kto chce bić się, niech kropidło chwyta;
Kto umierać, ten księdza niech woła i kwita!
Ja chcę żyć, być! Bernardyn po co? czy my żaki?
Co mi tam Robak: otóż, my będziem robaki,
I dalej Moskwę toczyć! Trem brem, szpiegi, zwiady;
Wiecie wy, co to znaczy? Oto, że wy dziady,
Niedołęgi! He, Bracia, to wyżła rzecz tropić,
Bernardyńska kwestować, a moja rzecz: kropić;
Kropić, kropić i kwita!» Tu maczugę głasnął,
Za nim cały tłum szlachty «kropić, kropić!» wrzasnął.

Poparł stronę Chrzciciela, Bartek zwan Brzytewka,
Od szabli cienkiej, tudzież Maciej zwan Konewka,
Od sztućca który naszał, z gardłem tak szerokiem,
Że zeń jak z konwi tuzin kulek lał potokiem.
Oba krzyczeli: «wiwat Chrzciciel z kropidełkiem!
Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem
I śmiechem — «precz, wołano, precz Prusaki, tchórze;
Kto tchórz, niech w bernardyńskim chowa się kapturze!»

Wtem znowu głowę zwolna podniósł Maciej stary,
I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary,
«Nie drwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ćwik klecha,
Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha.
Raz go tylko widziałem: ledwiem okiem rzucił,
Poznałem co za ptaszek — ksiądz oczy odwrócił.
Lękając się, żebym go nie raczył spowiadać;
Ale to rzecz nie moja, wiele o tem gadać!
On tu nie przyjdzie; próżno wzywać Bernardyna.
Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,
To kto wie, w jakim celu: bo to bies księżyna!
Jeśli prócz tej nowiny nic więcej nie wiecie:
Więc po coście tu przyszli i czego wy chcecie?»

«Wojny!» krzyknęli; «Jakiej?» spytał. Zawołali:
«Wojny z Moskalem! Bić się! Hejże na Moskali!»

Prusak wciąż wołał, a głos coraz wyżej wznosił;
Aż posłuchanie, częścią ukłonem wyprosił,
Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

«I ja chcę bić się — wołał tłukąc się w pierś ręką —
Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny
Sprawiłem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,
Którzy mię po pianemu chcieli w Preglu topić.»
«Toś zuch Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić, kropić!»
«Ależ, najsłodszy Jezu! trzeba pierwej wiedzieć
Z kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,
— Wołał Prusak — bo jakże lud ruszy za nami?
Gdzie pójdzie, kiedy, gdzie iść, my nie wiemy sami?
Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!
Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!
Chcecie wojny: więc zróbmy konfederacyę;
Obmyślmy, gdy zawiązać i pod laską czyją?
Tak było w Wielko-Polsce: widzim rejteradę
Niemiecką: cóż my robim? wchodzim tajnie w radę,
Uzbrajamy i szlachtę i włościan gromadę;
Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu;
Nakoniec, hejże na koń! powstajem od razu!»

«Proszę o głos,» zawołał pan Komisarz z Kłecka,
Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka.
Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polsce się rodził:
Nie widzieć pewnie, czyli ze szlachty pochodził:
Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana
Szacowali, iż służył u wielkiego pana,
Był dobry patryota i pełen nauki,
Z ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,
I dóbr administracyę prowadził porządnie;
O polityce także wnioskował rozsądnie,
Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać.
Zatem umilki wszyscy, kiedy jął rozprawiać;
«Proszę o głos,» powtórzył, po dwakroć odchrząknął,
Ukłonił się i usty dźwięcznemi tak brząknął:

Preopinanci moi, w swych głosach wymownych,
Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych,
Dyskusyę na wyższe wznieśli stanowisko;
Mnie tylko pozostaje, w jedno dąć ognisko
Rzucone trafne myśli i rozumowania:
Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.
Dwie części w dyskusyi całej uważałem;
Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.
Najprzód: dla czego mamy przedsiębrać powstanie?
W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;
Drugie, rewolucyjnej władzy się dotycze:
Podział jest trafny, tylko przewrócić go życzę.
Najprzód zacząć od władzy: skoro pojmiem władzę,
Z niej powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.
Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam
Dzieje całej ludzkości i cóż w nich spostrzegam?
Oto, ród ludzki dziki, w lasach rozpierzchniony,
Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnej obrony,
Obmyśla ją — i to jest najpierwsza obrada.
Potem każdy wolności własnej cząstkę składa
Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,
Z której: jako ze źródła, płyną wszystkie prawa.
Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,
Nie pochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożej.
Owóż, rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,
Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym.»

«Otóż są i kontrakty! Kijowskie czy Mińskie?
Rzekł stary Maciej, owoż i rządy Babińskie!
Panie Buchman, czy Bóg nam chciał cara narzucić,
Czy djabeł, ja z Waszmością nie będę się kłócić:
Panie Buchman, gadaj Waść jakby cara zrzucić.»

«Tu sęk, krzyknął Kropiciel, gdybym mógł podskoczyć
Do tronu i kropidłem, plusk, raz cara zmoczyć:
To jużby on nie wrócił, ni Kijowskim traktem,
Ni Mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem:

Ani by go wskrzesili z mocy Bożej popi,
Ni z mocy Belzebuba. — Ten mi zuch, kto krepi.
Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa szum, drum: kropić! to rzecz główna.»

«To, to, to,» pisnął, ręce trąc, Bartek Brzytewka,
Od Chrzciciela do Maćka biegając, jak cewka
Od jednej strony krosien przerzucana w drugą:
«Tylko ty Maćku z rózgą, ty Maćku z maczugą;
Tylko zgódzcie się: dalibóg, pobijem na druzgi
Moskala; Brzytew idzie pod komendę Rózgi.»

«Komenda, przerwał Chrzciciel, dobra ku paradzie;
U nas była komenda w Kowieńskiej brygadzie
Krótka a węzłowata, strasz, sam się nie strachaj;
Bij, nie daj się; postępuj często, gęsto machaj;
Szach, mach!» — «To, pisnął Brzytwa, to mi regulament?
Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?
Konfederacyi trzeba? co to cała sprzeczka?
Jest Marszałek nasz Maciej, a laska różeczka.»
«Niech żyje, krzyknął Chrzciciel, Kurek na kościele!»
Szlachta odpowiedziała. «Wiwat Kropiciele!»

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony;
Widać, że się rozdziela rada na dwie strony.
Buchman krzyknął: «ja zgody nigdy nie pochwalam!
To mój system!» Ktoś drugi wrzasnął: nie pozwalam!»
Inni z kątów wtórują. Nareszcie głos gruby:
Ozwał się przybyłego szlachcica Skołuby:

«Cóż to Państwo Dobrzyńscy! A to co się święci?
A my, czy to będziemy z pod prawa wyjęci?
Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,
A zapraszał nas klucznik Rębajło Mopanku,
Mówiono nam, że wielkie rzeczy dziać się miały,
Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,
O całą szlachtę idzie, toż i Robak bąkał,
Choć nigdy nie dokończył i zawsze się jąkał,

I ciemno się tłumaczył. Wreszcie, koniec końców,
My zjechali, sąsiadów zwołali przez gońców.
Nie sami tu panowie Dobrzyńscy jesteście;
Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;
Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,
Głosujmy wszyscy, równa u każdego gałka.
Niech żyje równość!»

Zatem dwaj Terajewicze
I czterej Stypułkowscy i trzej Mickiewicze,
Krzyknęli; «Wiwat równość!» stając za Skołubą.
Tymczasem Buchman wołał: «zgoda będzie zgubą!»
Kropiciel krzyczał: «bez was obejdziem się sami;
Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!
Hej do laski!» Dobrzyńscy krzyczą: «zapraszamy!»
A obca szlachta woła w głos: «nie pozwalamy!»
Rozstrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,
I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
Tamci: «nie pozwalamy,» ci krzyczą; «prosiemy.»

Maciek stary, w pośrodku, jeden siedział niemy,
I jedna głowa jego była nieruchoma.
Przeciw niemu stał Chrzciciel, zwieszony rękoma.
Na maczudze, a głową na końcu maczugi
Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,
I na przemiany, to w tył, to się naprzód kiwał,
I ustawiczne «kropić, kropić!» wykrzykiwał.
Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy
Ciągle od Kropiciela do Macieja ławy.
Konewka zaś powoli wszerz izbę przechodził
Od Dobrzyńskich do szlachty: niby to ich godził;
Jeden wciąż wołał «golić» a drugi «zalewać!»
Maciek milczał; lecz widno, że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,
Ze środka głów wyskoczył w górę słup błyszczący:
Był to rapier sążnistej długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki,

Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiej stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali [1]
Kto ją podniósł, nie widać; lecz zaraz zgadniono:
«To Scyzoryk, niech żyje Scyzoryk! krzykniono,
Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku,
Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!»

Wnet Gerwazy — to on był — przez tłum się przecisnął
Na środek izby, w koło scyzorykiem błysnął;
Potem, w dół chyląc ostrze, na znak powitania
Przed Maćkiem, rzekł: «Rózeczce Scyzoryk się kłania.
Bracia, szlachta Dobrzyńscy! Ja nie będę radził
Nic na nic; powiem tylko, po com was zgromadził:
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;
Ksiądz Robak o tem gadał: wszakże wszyscy wiecie?»
«Wiemy!» krzyknęli — «Dobrze. Owoż mądrej głowie,
— Ciągnął mówca, spojrzawszy bystro — dość dwie słowie. —
Nie prawdaż?» «Prawda» rzekli. «Gdy Cesarz Francuski,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski:
Więc wojna; car z cesarzem, królowie z królami
Pójdą za łby, jak zwykle między monarchami.
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż?» «Prawda, rzekli, jakby z książki czyta.»
«Prawda, powtórzył Chrzciciel, krop a krop i kwita.»
«Ja zawsze gotów golić» ozwał się Brzytewka;
«Tylko zgódźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
Chrzcicielu i Macieju, pod czyją iść wodzą?»
Ale mu przerwał Buchman: «Niech się głupi godzą,
Dyskusye publicznej sprawie nie zaszkodzą.

[1] Była wieść, że od przodka Dobrzyńskich ta klinga
Wydarta pod Grunwaldem, z rąk Mistrza Junginga.

Proszę milczeć!» słuchamy: sprawa na tem zyska;
Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.»
«Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu.
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu:
Jest na to Cesarz, będzie król, senat, posłowie.
Takie rzeczy, Mopanku, robią się w Krakowie,
Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku w Dobrzynie;
Aktów konfederackich nie piszą w kominie
Kredą, nie na wicinie, lecz na pargaminie.
Nie nam to pisać akta; ma Polska pisarzy
Koronnych i Litewskich: tak robili starzy.
Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać.» «Kropidłem
Pluskać» dodał Kropiciel — «I wykalać szydłem,»
Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swej szpadki.

Wszystkich nas, kończył Klucznik, biorę tu na świadki.
Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie
W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?
Słyszeliście to wszyscy: a czy rozumiecie? —
Któż jest śmieciem powiatu? Kto zdradziecko zabił
Najlepszego z Polaków, kto go okradł, zgrabił,
I jeszcze chce ostatni wydrzeć z rąk dziedzica?
Któż to? Mamże wam gadać?» — «A już ci Soplica,
Przerwał Konewka; to łotr» — «Oj, to ciemiężyciel»
Pisnął Brzytewka — «Więc go kropić!» dodał Chrzciciel:
«Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę!»
«Hejże, krzyknęli wszyscy, hejże na Soplicę!»

Lecz Prusak śmiał się podjąć Sędziego obrony,
I wołał z wzniesionemi ku szlachcie ramiony:
«Panowie Bracia! aj no! aj! na Boskie rany!
Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?
Czy o tem była mowa? Że ktoś miał warjata
Banitę bratem: to co, karać go za brata?
To mi pa chrześciańsku! Są tu w tem konszachty
Hrabiego. — Żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,
Nie prawda! dalibóg że! To wy tylko sami
Pozywacie go: a on zgody szuka z wami,

Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.
Ma proces z Hrabią: cóż stąd? Obadwa bogaci;
Niechaj pan drze się z panem: cóż to do nas braci?
Pan Sędzia ciemiężyciel! On pierwszy zabraniał,
Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
Mówiąc że to grzech. Nie raz u niego gromada
Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
Płacił za włość podatki: a nie tak jest w Kłecku,
Choć tam Waść panie Buchman rządzisz po niemiecku.
Sędzia zdrajca! My się z nim od infimy znamy:
Poczciwe było dziecko i dziś taki samy;
Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.
Ilekroć z Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
Tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny!
Dalibóg Dobrzyńscy! ja wasz brat: lecz Sędziego
Nie pozwolę pokrzywdzić; nie będzie nic z tego.
Nie tak panowie Bracia w Wielko-Polsce było:
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać.»

«To nie fraszka, zawołał Klucznik, łotrów wieszać!» —

Szmer wzmagał się. Wtem Jankiel posłuchania prosił
Na ławę wskoczył, stanął i nad głowy wznosił
Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi.
Prawą ręką zdjął z wolna z głowy kołpak lisi;
Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,
Potem lewicę za pas zatknął i tak prawił,
Kołpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko:

«Nu panowie Dobrzyńscy! Ja sobie żydzisko;
Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
Jak panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
Szanuję też Dobrzyńskich, Bartków i Maciejów,
Jako dobrych sąsiadów, panów Dodrodziejów;

A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
Sędziemu, to bardzo źle. Możecie się pobić,
Zabić — a assesory? a sprawnik? a turma?
Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
Wszystko jegry! Assesor w domu: tylko świśnie,
Tak wraz przymaszerują, stoją jak umyślnie.
A co będzie? A jeśli czekacie Francuza:
To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.
Ja Żyd, o wojnach nie wiem: a byłem w Bielicy
I widziałem tam Żydów od samej granicy;
Słychać, ze Francuz stoi nad rzeką Łososną,
A wojna jeśli będzie to chyba aż wiosną.
Nu, mówię tak: czekajcie; wszak dwór Soplicowa
Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
A pan Sędzia, to nie jest Żydek na arędzie:
Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną.
A teraz rozejdźcie się, a nie gadać głośno!
O tem co było; bo to gadać, to daremno!
A czyja łaska panów Szlachty, proszę ze mną.
Moja Siora powiła małego Jankielka:
Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!
Każę przynieść kozicę, basetlę, dwie skrzypiec —
A pan Maciek Dobrodziej lubi stary lipiec
I nowego mazurka: mam nowe mazurki,
A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki.»

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
Trafiała do serc. Powstał krzyk, oklask wesela,
Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył:
Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył —
Żyd skoczył, wpadł w tłum. Klucznik wołał: Precz stąd żydzie!
Nie tkaj palców między drzwi — nie o ciebie idzie!
Panie Prusak! że Waszeć Sędziowską handlujesz
Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?
Zapomniałeś Mopanku: że ojciec Waszecin
Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?

Stąd się zbogacił i on i jego rodzina,
Ba nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.
Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,
Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziej:
Kogoż on komisarzem słał do swych dóbr Pińskich?
Dobrzyńskiego! Rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!
Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!
On forytował wasze w trybunałach sprawy;
On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy! —
Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
Dorosłych promowował także swym nakładem:
A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
Dziś, Soplica kopcami tyka waszych granic:
Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?»

«Nic a nic!
Przerwał Konewka, bo to wyrosło z szlachciury!
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele —
Poję, nie chce pić, mówi: nie piję tak wiele,
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki —
Ot magnat! delikacik z marymonckiej mąki!
Nie pił; leliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje!
Czekajno, niech no ja ci z konewki naleję!»

«Filut, zawołał Chrzciciel oj — i ja go kropnę
Za swoje. Mój syn, było to dziecko roztropne,
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem;
A z przyczyny Sędziego został głupcem takim.
Mówiłem: po co tobie leźć do Soplicowa,
Jeżeli cię tam złowię, niech cię Bóg uchowa!
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie:
Złowiłem go, a zatem za uszy i kropię;
A on beczy i beczy jak maleńkie chłopię:
Ojcze, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szlocha —
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!

Chciałby popatrzyć na nią! — Żal mi nieboraka,
Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
Jak sama zechce. Lotr! łże — już ją komuś swata:
Słyszałem. Już ja się tam na wesele wkręcę;
Ja im łoże małżeńskie kropidłem poświęcę.»

«I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować
I dawnych panów, lepszych od siebie, rujnować,
A Horeszków i pamięć i imię zaginie?
Gdzież jest wdzięczność na świecie? Nie ma jej w Dobrzynie!
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,
A boicie się wojny z Soplicowskim dworem?
Strach wam turmy! Czyż to ja wzywam na rozboje?
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów niemało:
Tylko je egzekwować! Tak dawniej bywało:
Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,
A szczególniej Dobrzyńscy i stąd wasza chwała
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajazdzie Myskim z Moskalami,
Których przywiódł jenerał ruski Wojniłowicz,
I łotr, przyjaciel jego, pan Wołk z Łogomowicz.
Pamiętacie, jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
Iż był tyran dla chłopstwa, a sługa Moskali;
Ale się chłopi głupi nad nim zlitowali! —
Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku. —
Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,
Z których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,
I z zyskiem i aplauzem powszechnym i z chwałą!
Po cóż o tem wspominać? Dziś, darmo pan Hrabia,
Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia:
Już nikt z was pomódz nie chce biednemu sierocie!
Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie Klucznika,
I ot tego wiernego mego scyzoryka!»

«I kropidła, rzekł Chrzciciel. Gdzie ty Gerwazeńku,
Tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku:
Co, dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,
Ja mam kropidło; dalbóg, ja kropię — a ty siecz:
I tak szach mach, plusk i plask; oni niech gawędzą!»

«Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą:
Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę.»
«I ja, przydał Konewka, z wami ruszyć wolę,
Gdy ich nie można zgodzić na obiór marszałka;
Co mi tam głosy, gałki! U mnie insza gałka:
— Tu wydobył z kieszeni garść kul, dzwonił niemi —
Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkiemi!»
«Do was, wołał Skołuba, do was się łączymy!»
«Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam i my!
Niech żyją Horeszkowie! wiwat Półkozice!
Wiwat klucznik Rębajło! — Hejże na Soplice!»

I tak, wszystkich pociągał wymowny Gerwazy;
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,
Jak zwyczajnie w sąsiedztwie: to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi.
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
Bogactw Sędziego: wszystkich zgodziła nienawiść.
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
Szable, pałki — —

Aż Maciek, dotychczas ponury,
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnemi kroki
Wyszedł na środek izby i podparł się w boki;
I spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
Z przestankiem i przyciskiem: «A głupi! a głupi!
A głupi wy! Na kim się mleło, na was skrupi! —
To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
O dobru pospolitem, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi — ani porządku, ani postanowić

Wodza nad wami, głupi! — A niechno kto poda
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda! —
Precz stąd! Bo jakem Maciek, was, do milionów
Krocset kroci tysięcy fur, beczek, furgonów,
Djabłów!!! —»

Ucichli wszyscy, jak rażeni gromem;
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:
«Wiwat Hrabia!» On wjeżdżał na folwark Maciejów,
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju;
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,
Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

«Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!»
Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać,
I za Klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać.
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: «głupi!»

A tymczasem się szlachta do Hrabiego kupi —
Idą w karczmę. Gerwazy wspomniał dawne czasy:
Kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy,
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
Trzy: jednę miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
Wyjął gwoździe; wnet z szumem trysnęły trzy strugi,
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,
A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.
Wre szlachta. Tamci piją, ci Hrabiemu życzą
Lat setnych, wszyscy: «hejże na Soplicę!» krzyczą.

Jankiel wymknął się milczkiem, oklep. Prusak, równie
Niesłuchany, choć jeszcze rozprawiał wymownie;

Chciał zmykać: szlachta w pogoń, wołając że zdradził.
Mickiewicz stał z daleka; ni krzyczał, ni radził,
Ale z miny poznano, że coś złego knuje:
Więc do kordów i hejże! On się rejteruje,
Odcina się, już ranny; przyparty do płotów:
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.
Zaczem rozjęto szlachtę. Ale w tym rozruchu,
Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu —
Reszta wsiadała na koń.

Hrabia i Gerwazy
Porządkują, rozdają oręże, rozkazy.
W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
Puścili się w cwał, krzycząc: «Hejże na Soplice!»

KSIĘGA VIII.

ZAJAZD.

Astronomja Wojskiego. — Uwaga Podkomorzego nad kometami. — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego. — Tadeusz, chcąc zręcznie wyplątać się, wpada w wielkie kłopoty. — Nowa Dydo. — Zajazd. — Ostatnia woźnieńska protestacja. — Hrabia zdobywa Soplicowo. — Szturm, rzeź. — Gerwazy piwniczym. — Uczta zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura,
Kiedy, nad głowy ludzi przyleciawszy, chmura
Stanie i grożąc twarzą dech wiatrów zatrzyma —
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie
Tej ciszy chwila była w Soplicowskim domie.
Myślałbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń
Ścięło usta i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą.
Całe grono, z posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać:
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,

Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i tonach na pół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiem skrzydłem niedoperze — lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżej zaś, niedoperzów słostrzyczki ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem;
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice
I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmonijki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i pół-ton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtorują z bagien basem bąki,
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją,
I bekając raz poraz jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy!
Jako zaklęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistem i gardzielen mętnym
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci zcicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie harfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A dalej, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru, i niebo i ziemię oświecił.
One teraz z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżyciem świeci posrebrzona.

Już naprzeciw księżyca, gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Poluksem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele:
Teraz ich w zodyaku gminnym znów przechrzczono:
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej Wagi dwie szale błyskają:
Na nich Bóg w dniu stworzenia — starzy powiadają —
Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię,
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ, świeci okrąg gwiaździstego Sita,
Przez które Bóg — jak mówią — przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrojca.

Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy
Długi dyszel kieruje od polarnej gwiazdy.
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że niesłusznie pospólstwo zwie go Dawidowym:
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.

Teraz, popsuty, między gwiazdami się wala;
Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów —
A wiadomość tę pono wzięli od rabinów —
Że ów zodyakowy Smok długi i gruby,
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie wężem chrzczą astronomowie,
Jest nie wężem lecz rybą: Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach; ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie,
Tak dla osobliwości jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które z książek zbadał
Albo słyszał z zadania, Wojski opowiadał.
Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,
Lecz na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy:
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano; nie zważano wcale
Na Sito, ni na Smoka, ani też na Szale.
Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie:
Był to kometa pierwszej wielkości i mocy.
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy —
Krwawem okiem z ukosa na rydwan spoziera,
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera;
Warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią
Obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
Mierzy na północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymownem przeczuciem cały lud Litewski
Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski,

Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków,
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzioby, jakby czekając na trupy.
Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
I jak gdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły!
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
Widzieli, jak przez smętarz szła dziewica moru,
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,
A w lewem ręku chustką skrawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
Ciwun, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyzbie przed domem
Przerwał rozmowę gości; znać że głos zabiera:
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera —
Cała z szczerego złota — z brylantów oprawa,
We środku, za szkłem, portet króla Stanisława —
Zadzwonił w nią palcami, zażył i rzekł: «Panie
Tadeuszu, waścine o gwiazdach gadanie
Jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole:
Ja o cudzie prostaków poradzić się wolę.
I ja astronomii słuchałem dwa lata
W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.
Ksiądz Poczobut, człek sławny, był obserwatorem
I całej Akademji naonczas Rektorem;
Przecież, w końcu katedrę i teleskop rzucił,
Do klasztoru, do cichej celi swej powrócił,
I tam umarł przykładnie. Znam się też z Śniadeckim,
Który jest mądrym bardzo człekiem, chociaż świeckim.
Owóż astronomowie planetę, kometę,
Uważają tak jako mieszczanie karetę:
Wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę,
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;

Lecz kto w niej jechał? po co? co z królem rozmawiał?
Czy król posła z pokojem czy z wojną wyprawiał?
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów,
Gdy Branicki karetę swą ruszył do Jassów,
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczanów, jak za tą kometą:
Lud prosty, choć w publiczne nie mięszał się rady,
Zgadnął zaraz, że ogon ów jest wróżbą zdrady.
Słychać, że lud dał imię miotły tej komecie,
I powiada, że ona milion wymiecie.»

A na to rzekł z ukłonem Wojski: «Prawda, Jaśnie
Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie,
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu.
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,
Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka
Sapiehę, pancernego znaku Porucznika,
Co potem był nadwornym Marszałkiem królewskim,
Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem Litewskim,
Miawszy lat sto i dziesięć. Ten, za króla Jana
Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana
Jabłonowskiego. Owóż, ów Kanclerz powiadał,
Że właśnie kiedy na koń król Jan Trzeci siadał,
Gdy Nuncyusz Papieski żegnał go na drogę,
A poseł austryacki całował mu nogę,
Podając strzemię — poseł zwał się Wilczek hrabia —
Król krzyknął: patrzcie co się na niebie wyrabia!
Spojrzą: alić nad głowy suwał się kometa
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
Z wschodu na zachód. Potem i ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Pod godłem Orientis Fulmen, prawił wiele
O tym komecie. Także czytam o nim w dziele
Pod tytułem Janina, gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki, jak dziś go widzimy, kometa.»

«Amen: rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję: oby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci!
Jest na zachodzie wielki dziś bohater — może
Kometa go przywiedzie do nas — co daj Boże!»

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:
«Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
Nie dobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowem:
Może nam grozi jakiem nieszczęściem domowem.
Mieliśmy wczoraj dosyć rosterku i zwady,
Tak w czasie polowania jako i biesiady.
Rejent kłócił się zrana z panem Assesorem,
A pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził,
I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,
Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia wczorajszej wyprawy,
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów.
Przypadek był takowy.

«Jenerał Podolskich
Ziem przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr polskich,
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy.
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
Już dla popularności: wstąpił więc do pana
Tadeusza, dziś świętej pamięci, Rejtana,
Który był potem naszym Nowogródzkim posłem,
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.
Owóż Rejtan, na przyjazd księcia Jenerała,
Zaprosił gości. Liczna szlachta się zebrała;
Było teatrum — książe kochał się w teatrze —
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze;
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
Ogiński i pan Sołtan, co mieszka w Zdzieńciele.
Słowem, dawano huczne nad podziw zabawy
W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.

Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,
Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myślistwa
Nie są bardzo pochopni: pewno nie z lenistwa,
Lecz z gustów cudzoziemskich; i książe Jenerał
Częściej do książek, niśli do psiarni zazierał,
I do alkówek damskich częściej niż do lasów.

«W świecie księcia był książe Niemiecki Denassów,
O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi
Goszcząc, polował niegdyś z królmi murzyńskiemi,
I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwalił,
Z czego się bardzo książe ów Denassów chwalił.
U nas zaś polowano na dziki w tę porę.
Rejtan zabił ze sztućca ogromną maciorę,
Z wielkiem niebespieczeństwem, bo zbliska wypalił —
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,
Tylko Niemiec Denassów obojętnie słuchał
Pochwał takich i chodząc pod nos sobie dmuchał:
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko
Znowu gadać o swojej Libii i spisie,
O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
Markotno to się stało panu Rejtanowi.
Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:
Mości książe! kto patrzy śmiele, walczy śmiele,
Warte dziki tygrysów a spis karabele,
I zaczynali z Niemcem dyskurs nazbyt żwawy.
Szczęściem książe Jenerał przerwał te rozprawy,
Godząc ich po francusku. Ca tam gadał, nie wiem:
Ale ta zgoda był to popiół nad zarzewiem.
Bo Rejtan wziął do serca, okazyi czekał,
I dobrą sztukę spłatać Niemcowi przyrzekał.
Tej sztuki ledwie własnem nie przypłacił zdrowiem;
A spłatał ją nazajutrz, jak to, wnet opowiem.»

Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,
I u Podkomorzego tabakiery prosił.

Długo zażywa, kończyć powieści nie raczy,
Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
Zaczynał wreszcie — kiedy znowu mu przerwano
Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!
Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
Donosząc, że z niezwłocznym interesem czeka.
Sędzia, dając dobranoc, żegnał całe grono.
Natychmiast się po różnych stronach rozpierzchniono:
Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie;
Sędzia szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią. Tadeusz po sieniach się zwija,
Chodząc jako wartownik około drzwi stryja:
Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać
Dziś jeszcze, nim spać pójdzie. Nie śmie do drzwi stukać:
Sędzia drzwi na klucz zamknął, z kimś tajnie rozmawia;
Tadeusz końca czeka i ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie. Nie trącając klamek,
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek:
Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi
Klęczeli, objąwszy się i łzami rzewnemi
Płakali; Robak ręce Sędziego całował,
Sędzia Księdza za szyję, płacząc obejmował;
Wreszcie, po ćwierć-godzinnem przerwaniu rozmowy,
Robak po cichu temi odezwał się słowy:

«Bracie! Bóg wie, żem dotąd tajemnic dochował,
Którem z żalu za grzechy w spowiedzi ślubował;
Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,
Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,
Żyłem dotąd i chciałem umrzeć bernardynem,
Nie wydając nazwiska, nietylko przed gminem,
Ale nawet przed tobą i przed własnym synem!
Wszakże, ksiądz Prowincyał dał mi pozwolenie,
In articulo mortis zrobić objawienie.
Kto wie, czy wrócę żywy! kto wie, co się stanie!
W Dobrzynie, bracie, wielkie, wielkie zamięszanie!

Francuz jeszcze daleko; to przeminie zima —
Trzeba czekać: a szlachta pono nie dotrzyma —
Możem za nadto czynnie z powstaniem się krzątał!
Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko splątał!
Ten waryat Hrabia, słyszę, pobiegł do Dobrzyna!
Nie mogłem go uprzedzić, ważna w tem przyczyna:
Stary Maciek mnię poznał; a jeśli odkryje,
Potrzeba będzie oddać pod scyzoryk szyje:
Nic Klucznika nie wstrzyma! Mniejsza o mą głowę;
Lecz tem odkryciem spisku zerwałbym osnowę —
Przecież, dziś tam być muszę, widzieć co się dzieje,
Choćbym zginął: bezemnie szlachta oszaleje!
Bądź zdrów najmilszy bracie, bądź zdrów, śpieszyć muszę.
Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;
W przypadku wojny, tobie cała tajemnica [1]
Wiadoma: kończ, com zaczął, pomnij żeś Soplica!»

Tu ksiądz łzy otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
I okiennicę tylną pocichu otworzył:
Widać było, że oknem do ogrodu skakał;
Sędzia, zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w klamkę zadzwonił;
Otworzono mu, po cichu wszedł, nisko się skłonił:
«Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka
Przebawiłem tu: dni te minęły jak chwilka;
Nie miałem czasu z twoim domem się nacieszyć
I z tobą: a odjeżdżać już muszę i spieszyć
Zaraz, dzisiaj stryjaszku, a jutro najdalej.
Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.
Bić się z nim to rzecz moja; posłałem wyzwanie.
W Litwie jest zakazane pojedynkowanie:
Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa.
Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa:
Na miejsce naznaczone zapawne się stawi,
Rozprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,

[1] W przypadku wojny, ty wiesz com ja przysposobił
Pamiętaj żeś Soplica: zrób czegom nie zrobił!»

Ukarzę go, a potem za Łososny brzegi
Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.
Słyszałem, że mi ojciec testamentem kazał
Służyć w wojsku, a nie wiem, kto testament zmazał.»

«Mój Tadeuszku, rzekł stryj, czy Waszeć kąpany
W gorącej wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,
Co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?
Wyzwaliśmy, zapewne, i bić się należy:
Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjaciół,
Układać się. Wszak Hrabia może nas przeprosić,
Deprekować: czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.
Chyba inny bies jaki Waści stąd wygania:
To gadaj szczerze; po co takie omawiania?
Jestem twój stryj, choć stary, znam co serce młode;
Byłem ci ojcem — mówiąc, gładził go pod brodę. —
Już cicho szepnął o tem mnie mój palec mały,
Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały —
Za katy, prędko teraz młódź do dam się bierze!
No Tadeuszku, przyznaj mi się Waść, a szczerze.»

«Jużci, bąknął Tadeusz, prawda: są przyczyny
Inne, kochany stryju, może z mojej winy!
Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!
Nie, drogi stryju, dłużej nie mogę tu bawić!
Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcej:
Ja muszę z Soplicowa wyjeżdżać co prędzej.»

«Ho! rzekł Stryj, pewnie jakieś miłośne zatargi!
Uważałem, że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,
Poglądając z pode łba na pewną dziewczynkę;
Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę.
Znam ja te wszystkie głupstwa: kiedy dzieci para
Kocha się, to tam u nich nieszczęść co niemiara!
To cieszą się, to znowu trapią się i smucą,
To znowu Bóg wie o co do zębów się kłócą,

To stojąc w kątkach jakby mruki, nie gadają
Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.
Jeżeli na was raptus podobny napada,
Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada:
Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.
Znam ja te wszystkie głupstwa: wszakże byłem młody.
Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem
Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem.»

«Stryjaszku — rzekł Tadeusz, całując mu rękę
I rumieniąc się — powiem prawdę. Tę panienkę,
Zosię, wychowanicę stryja, podobałem
Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem:
A mówią że stryj dla mnie za żonę przeznacza
Podkomorzankę, piękną i córkę bogacza.
Teraz nie mógłbym z panną Różą się ożenić,
Kiedy kocham tę Zosię: trudno serce zmienić!
Nie uczciwie, żeniąc się z jedną, kochać drugą.
Czas może mnie uleczy — wyjadę na długo.»

Tadeuszku, stryj przerwał, to mi dziwny sposób
Kochania się: uciekać od kochanych osób!
Dobrze, żeś szczery; widzisz, głupstwo byś wypłatał
Odjeżdżając: a co Waść powiesz, gdybym swatał
Sam Waści Zosię? He? Cóż, nie skoczysz z radości?»

Tadeusz rzekł po chwili: «Dobroć Jegomości
Dziwi mnie. Lecz cóż? Łaska stryja Dobrodzieja
Nie przyda się już na nic! Ach, próżna nadzieja!
Bo pani Telimena nie odda mi Zosi!»
«Będziem prosić» rzekł Sędzia.

«Nikt jej nie uprosi,
Przerwał prędko Tadeusz, nie, czekać nie mogę,
Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę.
Daj mi stryjaszku tylko twe błogosławieństwo:
Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.»

Sędzia wąs kręcąc, z gniewem na chłopca spoziera!:
«To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?
Najprzód ów pojedynek, potem znowu miłość,
I ten wyjazd; oj, jest tu w tem jakaś zawiłość.
Już mi gadano, jużem kroki Waści badał!
Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał!
A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,
Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?
O Tadeuszku! jeśli może Asan Zosię
Zbałamucił i teraz uciekasz młokosie:
To się Waści nie uda! Lubisz czy nie lubisz:
Zapowiadam Asanu, że Zosię poślubisz.
A nie; to bizun — jutro staniesz na kobiercu!
I gada mi o czuciach! o niezmiennem sercu!
Łgarz jesteś! pfe! Ja z Waści panie Tadeuszu
Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!
Dziś dość miałem kłopotów: aż mię głowa boli;
Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli! —
Idź mi Waść spać!» To mówiąc, drzwi nawścież otwierał
I zawołał Woźnego, żeby go rozbierał.

Tadeusz cicho wyszedł, opuściwszy głowę —
Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę:
Pierwszy raz połajany tak ostro! — Ocenił
Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.
Co począć? jeśli Zosia o wszystkiem się dowie?
Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?
Nie — czuł, że nie mógł dłużej zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
Gdy mu coś drogę zaszło — spojrzał: widzi marę
Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą i cienką.
Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
Od której odbijał się drżący blask miesięczny,
I przystąpiwszy, cicho jęknęła: «Niewdzięczny!
Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz;
Szukałeś rozmów ze mną, dziś uszy zamykasz,

Jakby w słowach, we wzroku mym była trucizna!
Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś — mężczyzna!
Nie znając kokieterji, nie chciałam cię dręczyć,
Uszczęśliwiłam; takżeś umiał mi zawdzięczyć?
Tryumf nad miękkiem sercem serce twe zatwardził;
Żeś zdobył nazbyt łacno, zbyt prędkoś niem wzgardził!
Dobrze mi tak! Lecz straszną nauczona próbą,
Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!»

«Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę;
Ale uważ no sama, wszak nas widzą, śledzą:
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą?
Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem» —
«Grzechem! — odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem —
Niewiniątko! baranek! — Ja, będąc kobietą,
Jeśli z miłości nie dbam, choćby mnie odkryto,
Choćby mnie osławiono: a ty, ty mężczyzna? —
Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna,
Że ma romans z dziesięciu razem kochankami?
Mów prawdę — chcesz mnie rzucić?» Zalała się łzami —
«Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,
Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,
Zdrów, żył na wsi, kochał się: kiedy tyle młodzi,
Tylu żonatych od żon, od dzieci uchodzi
Za granicę, pod znaki narodowe bieży?
Choćbym chciał zostać; czy to odemnie zależy?
Ojciec mi testamentem kazał, abym służył
W wojsku polskiem; teraz stryj ten rozkaz powtórzył:
Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
I dalbóg, Telimeno, już go nie odmienię.»
«Ja, rzekła Telimena, nie chcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!
Jesteś mężczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą
Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!
Tylko dla mej pociechy, niech wiem przed roztaniem,
Że twoja skłonność była prawdziwem kochaniem,

Ze to nie był żart tylko, nie rozpusta płocha,
Lecz miłość; niech wiem, że mię mój Tadeusz kocha!
Niech słowo «kocham» jeszcze raz z twoich ust usłyszę,
Niech je w sercu wyryję i w myśli zapiszę.
Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie kochać,
Pomnąc jakeś mnie kochał!» — I zaczęła szlochać

Tadeusz, widząc, że tak płacze i tak błaga
Czule, i tylko takiej drobnostki wymaga,
Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
I jeżeliby badał serca swego skrytość,
Możeby się w tej chwili i sam nie dowiedział:
Czyli ją kochał, czyli nie. Więc żywo powiedział:
«Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
Jeśli nie prawda, żem cię dalbóg bardzo lubił,
Czy kochał. Krótkie z sobą spędziliśmy chwile;
Ale one mi przeszły tak słodko, tak mile,
Że będą długo, zawsze myśli mej przytomne,
I dalibóg że nigdy ciebie nie zapomnę.»

Telimena skoczywszy padła mu na szyję:
«Tegom się spodziewała! Kochasz mnie, więc żyję!
Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić —
Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz mnie rzucić?
Tobie oddałam serce: oddam ci majątek,
Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
Będzie mi z tobą miły; z najdzikszej pustyni
Miłość, wierzaj mi, ogród roskoszy uczyni.»

Tadeusz, wydarłszy się z objęcia przemocą:
«Jakto? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? po co?
Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnierzem,
Włóczyć, czy markietankę?» — «To my się pobierzem»
Rzekła mu Telimena. «Nie, nigdy! zawoła
Tadeusz. Ja żenić się nie mam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się. — Fraszki! dajmy pokój!
Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!

Ja jestem tobie wdzięczen; ale nie podobna
Żenić się. Kochajmy się — ale tak — z osobna.
Zostać dłużej nie mogę; nie, nie, jechać muszę.
Bądź zdrowa, Telimeno moja — jutro ruszę.»

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
I twarzą, jak Meduzy głową. Musiał zostać
Mimowolnie; poglądał z trwogą na jej postać:
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia;
Aż wyciągając rękę, jak miecz do przebicia,
Z palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy:
«Tego chciałam! krzyknęła — ha! języku smoczy!
Serce jaszczurcze! To nic, żem tobą zajęta,
Wzgardziła Assesora, Hrabię i Rejenta,
Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę:
To nic! Jesteś mężczyzną: znam waszą niecnotę —
Wiem, że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać:
Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!
Słuchałam pode drzwiami stryja. — Więc to dziecko,
Zosia wpadła ci w oko, i na nią zdradziecko
Dybiesz? — Zaledwieś jednę nieszczęsną oszukał,
A jużeś pod jej okiem nowych ofiar szukał!
Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleństwa;
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa:
Twe sztuki już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!»

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,
Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
Tupnąwszy nogą, usta ścisnąwszy, rzekł: głupia!» —

Odszedł; lecz wyraz «podłość» echem się powtórzył
W sercu. Wzdrygnął się młodzian, czuł, że nań zasłużył,
Czuł, że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
Że go słusznie skarżyła, mówiło sumienie;

Lecz czuł, że po tych skargach tem mocniej ją zbrzydził.
O Zosi, ach! pomyślić nie ważył się, wstydził —
Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!
Stryj swatał ją! możeby jego żoną była:
Gdyby nie szatan, co go plącząc w grzech za grzechem,
W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem! —
Złajany, pogardzony od wszystkich, w dni parę
Zmarnował przyszłość! Uczuł słuszną zbrodni karę.

W tej burzy uczuć, jakby kotwica spoczynku,
Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku:
«Zamordować Hrabiego, łotra! krzyknął w gniewie,
Zginąć, albo zemścić się!» — A za co? sam nie wie;
I ten gniew wielki, jak się zajął w mgnieniu oka,
Tak wywietrzał. Znów zdjęła go żałość głęboka;
Myślił: «Jeśli prawdziwe było postrzeżenie,
Że Hrabia z Zosią jakieś ma porozumienie —
I cóż stąd? Może Hrabia kocha Zosię szczerze,
Może go ona kocha, za męża wybierze? —
Jakiemże prawem chciałbym zerwać to zamęście,
I sam nieszczęsny, innych mam zaburzać szczęście?» —

Wpadł w rozpacz i nie widział innego sposobu,
Chyba ucieczkę prędką — gdzie chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schylonem czole,
Biegł ku łąkom, gdzie stawy błyszczały się w dole,
I stanął nad błotnistym — w zielonawe tonie
Łakomy wzrok utopił i błotniste wonie
Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
Ku nim. Bo samobójstwo, jak każda rozpusta,
Jest wymyślną: on, w głowy szalonym zawrocie,
Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena, z dzikiej młodzieńca postawy
Zgadując rozpacz, widząc, że pobiegł nad stawy,
Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,
Przelękła się — w istocie dobre serce miała.

Żal jej było, że inną śmiał Tadeusz lubić,
Chciała go skarać, ale nie myślała zgubić.
Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,
Krzycząc: «Stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie
Czy jedź! tylko stój!» — Ale on już szybkim biegiem
Wyprzedził ją daleko; już stanął nad brzegiem.

Dziwnem zrządzeniem losów, po tym samym brzegu
Jechał Hrabia, na czele dżokejów szeregu;
A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej
I harmonią cudną orkiestry podwodnej,
Owych chórów co brzmiały jak arfy eolskie —
Żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie —
Wstrzymał konia i o swej zapomniał wyprawie,
Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.
Oczy wodził po polach, po niebios obszarze:
Pewnie układał w myśli nocne peizaże.
Zaiste, okolica była malownicza!
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza
Jako para kochanków: prawy staw miał wody
Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody;
Lewy, ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana
Smagława, i już męskim puchem osypana;
Prawy złocistym piaskiem połyskał się w koło,
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
Najeżone łozami, wierzbami czubate —
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce związane pospołu,
Ściskają się. Strug dalej upada do dołu:
Upada, lecz nie ginie; bo w rowu ciemnotę
Unosi na swych falach księżyca pozłotę;
Woda warstwami spada, a na każdej warście
Połyskują się blasku miesięcznego garście —
Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.

Myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka;
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
A drugą ręką w wodę, dla zabawki, miota
Brane z fartuszka garści zaklętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
Rozkręca się, ucisza: lecz widać że płynie;
Bo na jego ruchomej, drgającej powłoce
Wzdłuż miesięczne światełko drgające migoce.
Jako piękny wąż żmudzki, zwany giwojtosem,
Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:
Tak strumień kręcący się, chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie, niewyraźne oku,
Jak duchy na pół widne, na poły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi.
Jako stary opiekun, co kochanków śledzi,
Podsłuchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce:
Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
I palczastą swą pięścią wykręcając w koło
Ledwo kleknął i szczęki zębowate ruszył,
Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył,
I zbudził Hrabię.

Hrabia, widząc, że tak blisko
Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,
Krzyczy: «do broni! łapaj!» Skoczyli dżokeje:
Nim Tadeusz rozeznać mógł, co się z nim dzieje,
Już go chwycili. Biegą do dworu, w podwórze
Wpadają. Dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże.
Wyskoczył w pół ubrany Sędzia; widzi zgrają
Zbrojną, myśli, że zbójcy: aż Hrabię poznaje.
«Co to jest?» pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,
Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygnął:

«Soplico rzekł, odwieczny wrogu mej rodziny,
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,
Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru,
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!»

Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: «W Imię Ojca
I Syna! tfu! mospanie Hrabio! czy Waść zbójca?
Przebóg! czy się to zgadza z pana urodzeniem,
Wychowaniem i z pana na świecie znaczeniem?
Nie pozwolę skrzywdzić się!» Wtem Sędziego słudzy
Biegli, jedni z kijami, ze strzelbami drudzy;
Wojski, stojąc zdaleka, poglądał ciekawie
W oczy panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bójkę: lecz Sędzia przeszkodził.
Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził:
Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!
Most na rzece zahuczał tententem konnicy,
I «hejże na Soplicę!» tysiąc głosów wrzasło.
Wzdrygnął się Sędzia: poznał Gerwazego hasło;
«Nic to: zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej;
Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy.»

Wtem Assesor nadbiegał krzycząc: «Areszt kładę
W imię Imperatorskiej Mości; oddaj szpadę
Panie Hrabio, bo wezwę wojskowej pomocy:
A wiesz pan, że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,
Zastrzeżono tysiącznym dwóchsetnym ukazem,
Że jak zło —» Wtem go Hrabia w twarz uderzył płazem.
Padł zgłuszony Assesor i skrył się w pokrzywy:
Wszyscy myśleli, że był ranny lub nieżywy.

«Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi.»
Jęknęli wszyscy — wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
Która krzyczała, Sędzię objąwszy rękami,
Jako dziecko od żydów kłóte igiełkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,
Wyciągnęła ku Hrabi załamane dłonie:

«Na twój honor! — krzyknęła przeraźliwym głosem,
Z głową wtył wychyloną, z rozpuszczonym włosem —
Przez wszystko co jest świętem, na klęczkach błagamy!
Hrabio, śmiesz-że odmówić? proszą ciebie damy;
Okrutniku, nas pierwej musisz zamordować!»
Padła zemdlona. Hrabia skoczył ją ratować,
Zadziwiony i nieco zmięszany tą sceną:
«Panno Zofio, rzecze, pani Telimeno!
Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami:
Soplicowie, jesteście moimi więźniami:
Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką,
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokką,
Zdobyłem tabor zbójców: zbrojnych mordowałem,
Rozbrojonych zabrałem i związać kazałem;
Szli za końmi i tryumf mój zdobili świetny,
Potem ich powieszono u podnóża Etny.»

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców:
Że Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców;
I chcąc spotkać się pierwszy, zostawił ich w tyle,
I biegł przed resztą jazdy przynajmniej o milę,
Ze swem dżokejstwem, które posłuszne i karne,
Stanowiło niejako wojsko regularne:
Gdy inna szlachta była, zwyczajem powstania,
Burzliwa i niezmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu:
Przemyślał, jakby skończyć bój bez krwi rozlewu:
Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,
Jako więźniów wojennych; u drzwi stawi straże.

W tem «hejże na Sopliców!» — Wpada szlachta hurmem
Obstępuje dwór w koło i bierze go szturmem,
Tem łacniej, że wódz wzięty i pierzchła załoga;
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
Do domu niewpuszczeni, biegą do folwarków,
Do kuchni. Gdy do kuchni weszli, widok garków,

Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,
Chrupanie psów, gryzących ostatki wieczerzy,
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
«Jeść! jeść!» potrzykroć zgodnym wezwali okrzykiem;
Odpowiedziano «pić! pić! między szlachty zgrają
Stają dwa chóry: ci pić, a ci jeść wołają.
Odgłos leci echami; gdzie tylko dochodzi,
Wzbudza oskomę w ustach, głód w żołądkach rodzi.
I tak, na dane z kuchni hasło, niespodzianie
Rozeszła się armija na furażowanie.

Gerwazy, od pokojów Sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiowskiej warty.
Więc nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślił o drugim wielkim tej wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce Hrabiego osadzić na nowem dziedzictwie
Legalnie i formalnie: więc za Woźnym biega,
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega.
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
I zmierzywszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
«Panie Woźny, pan Hrabia śmie Waćpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromissyę Hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem, cum gais, boris et graniciebus,
Kometonibus, scultetis, et omnibus rebus
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczekaj,
Nic nie opuszczaj!» — «Panie Kluczniku, zaczekaj —
Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy —
Gotów jestem wypełniać wszelkie stron rozkazy:
Ale ostrzegam, że akt nie będzie miał mocy,
Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.»
«Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu nie ma napaści:
Wszak proszę pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,

To szyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci
Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach zaświeci.
«Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
Jestem Woźny: nie moja rzecz sprawę roztrząsać;
Wszak wiadomo, że strona Woźnego zaprasza
I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.
Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą:
Nie wiem tedy za co mnie trzymacie pod strażą.
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie;
A tymczasem ogłaszam: Bracia, uciszcie się!»

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki
Belek — pod płotem sadu suszyły się belki; —
Wlazł na nie: i zarazem, jakby go wiatr zdmuchnął;
Zniknął z oczu. Słyszano jak w kapustę buchnął;
Widziano, po konopiach ciemnych: jego biała
Konfederatka, niby gołąb' przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu,
Wtem zatrzeszczały tyki: już Protazy w chmielu.
«Protestuję!» zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łozę i bagniska rzeczki.

Po tej protestacyi, która się ozwała,
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze.
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może;
Kropiciel, stanowisko zająwszy w oborze,
Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
A Brzytewka im szable w gardzielach utopił;
Szydełko równie czynnie używał swej szpadki,
Kabany i prosięta koląc pod łopatki.
Już rzeź zagraża ptastwu. Czujne gęsi stado,
Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
Wpada w kotuch Konewka: jedne ptaki zdusza,
A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,
Próżno gęsiory szycząc napastnika szczypią:

On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku,
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku;
I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry [1]
Kogutki i szurpate i czubate kury,
Jedne po drugich dusi i składa do kupy,
Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy:
Niebaczny Saku, jakiż zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy:
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi z Soplicowskiej piwnicy dobywa
Beczki starej siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwożdżono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrówie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera,
Tam założona główna Hrabiego kwatera.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce Szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.
Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać;
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada:
Ten z misą, ten nad kotłem, ten przy wołu ćwierci.
Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

[1] I z długiego biczyska porobiwszy pętle,
Drzemiące ptastwo śledzi przy latarki świetle.

KSIĘGA IX.

BITWA.

O niebespieczenstwach wynikających z nieporządnego obozowania. — Odsiecz niespodziana. — Smutne położenie szlachty. — Odwiedziny kwestarskie są wróżbą ratunku. — Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę. — Wystrzał z krócicy, hasło boju. — Czyny Kropiciela, czyny i niebespieczeństwa Maćka. — Konewka zasadzką ocala Soplicowo. — Posiłki jezdne, atak na piechotę. — Czyny Tadeusza. — Pojedynek dowódców przerwany zdradą. — Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju. — Czyny krwawe Gerwazego. — Podkomorzy zwycięsca wspaniałomyślny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi
Blask latarek i wejście kilkudziesiąt ludzi,
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne,
Nazwane kosarzami, na muchy wpółsenne:
Zaledwie która bzyknie, już długiemi nogi
Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.
Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy:
Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy,
Chociaż byli chwytani silnemi rękoma
I przewracani jako na przewiąsłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie
Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,
Konewka, co mógł wypić lipcu dwa antały
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały:
Ten, choć długo ucztował i usnął głęboko,
Dawał przecie znak życia. Przemknął jedno oko,
I widzi — istne zmory! Dwie okropne twarze
Tuż nad sobą! a każda ma wąsów po parze;

Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,
I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami.
Zląkł się, chciał się przeżegnać: darmo rękę chwyta,
Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;
Ruszył lewą: niestety! czuje, że go duchy
Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy.
Zląkł się jeszcze okropniej, wnet oko zawiera,
Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera!

Ale Kropiciel zerwał się bronić: po czasie!
Bo już był skrępowany we swym własnym pasie.
Przecież zwinął się, i tak sprężyście podskoczył,
Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,
Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,
A ryczał jako nieźwiedź, bo miał silne płuca.
Ryczał: zdrada!» — Wnet cała zbudzona gromada
Chórem odpowiedziała: zdrada! gwałtu! zdrada!»

Krzyk dochodzi echami zwierciadlanej sali,
Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali.
Przebudza się Gerwazy: darmo się wydziera,
Związany w kij do swego własnego rapiera;
Patrzy: widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,
W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych.
Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę
I ostrzem jej kierował swych drabów gromadę!
Szepcąc: wiąż! wiąż! Do koła leżą jak barany
Dżokeje w pętach; Hrabia siedzi niezwiązany
Lecz bezbronny; przy nim dwaj z gołemi bagnety
Stoją drabi. Poznał ich Gerwazy: niestety!
Moskale!!!

Nie raz Klucznik był w podobnych trwogach,
Nie raz miewał powrozy na ręku i nogach:
A przecież się uwalniał; wiedział o sposobie
Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie:
Przemyślał ratować się milczkiem. Oczy zmrużył,
Niby śpi; zwolna ręce i nogi przedłużył,

Nie tchórzę ja przed tobą: wynijdźno z za płotów;
Dostałeś w twarz, jam przecie bić się z tobą gotów!
Po co krwi rozlew? Między nami była zwada:
Niechajże ją rozstrzygnie pistolet lub szpada.
Daję ci broń na wybór, od działa do szpilki;
A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki.»
I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył,
Że porucznika obok Rykowa uderzył.

«Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynck,
I pomścij się za jego ranniejszy uczynek.
Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,
To Major widzi, Major hańby swej nie zmyje.
Trzeba tego szlachcica na pole wywabić;
Nie można z karabina, to choć szpadą zabić.
Co puka to nie sztuka, to wolę co kole:
Mówił stary Suworów; wyjdź Majorze w pole,
Bo on nas powystrzela; patrz, bierze do celu.»
Na to rzekł Major: Ryków! miły przyjacielu!
Ty jesteś zuch na szpady: wyjdź ty bracie Ryków.
Lub wiesz co, wyszlém kogo z naszych poruczników.
Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,
Do mnie batalionu komenda należy.»
Słysząc to Ryków, szpadę podniósł, wyszedł śmiało,
Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą;
Pyta się Tadeusza, jaką broń podoba.
Po układach, na szpady zgodzili się oba;
Tadeusz broni nie miał: gdy szukano szpady,
Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

«Panie Soplico! wołał, z przeproszeniem pana,
Pan wyzwałeś Majora! Ja do Kapitana
Mam dawniejszą urazę: on do zamku mego —»
Mów pan, przerwał Protazy, do zamku naszego —
«On wpadł, rzekł, kończąc Hrabia, na czele złodziejów,
On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.
Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,
Którą Sycilianie zwą Birbante-rokko.»

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie;
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie.
Hrabia i Ryków idą, obróceni bokiem,
Prawą ręką i prawem grożąc sobie okiem;
Wtem lewemi rękami odkrywają głowy
I kłaniają się grzecznie — zwyczaj honorowy,
Nim przyjdzie do zabójstwa, najprzód się przywitać. —
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;
Rycerze wznosząc nogi, prawemi kolany
Przyklękają, w przód i w tył skacząc naprzemiany.

Ale Płut Tadeusza widząc przed swym frontem
Naradzał się po cichu z gifrejterem Gontem,
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca:
«Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca?
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątem żebrem,
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem.»
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,
Wierni go towarzysze płaszczami okryli;
Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza:
Strzelił i trafił — blisko, w środek kapelusza.
Okręcił się Tadeusz: aż Kropiciel wpada
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: «zdrada!»
Tadeusz go zasłania. Ledwie zdołał Ryków
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,
Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy, widząc jak się Podhajski wykręca
Tuż przed szeregiem jegrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: «niech żyją Podhaje!
Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!»
Skołubowie zaś, widząc jak waleczny Brzytwa,
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: «górą Maćki, niech żyją Mazury!»
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali:
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę jegrów uderzano z przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.
Przy boku jego stąpał ostróżny Protazy,
A Wojski mu po cichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka stara sernica, budowana w kratki
Z balek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niej świeciły się białych serów mnogie kopy;
W koło zaś walały się suszące się snopy
Szałwii, benedykty, kardy, macierzanki:
Cała zielna, domowa apteka Wojszczanki.
Sernica w górze miała wszerz sążni półczwarta,
A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy —
Groził upadkiem. Nie raz Sędziemu radzono,
Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać
Aniżeli rozrzucać, albo też przestawiać:
Odkładał budowanie do sposobnej pory,
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
Tak pokrzepiona, ale nietrwała budowa
Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe ale bardzo silne chłopię.
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
Sami u końców wisząc pchają z całej siły:
Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę
Długiemi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup: już sernica chwieje się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali.

Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery, białe jako śniegi,
Krwią i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecze Rózga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu jegrów z sierżantem na czele
Bronią się. Bieży Klucznik; oni stoją śmiele,
Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika;
On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to Ksiądz: zabiega Klucznikowi drogę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę:
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał.
Ledwie ołów przeświснął, już Gerwazy wstawał.
Już wskoczył w dym, dwóm jegrom zaraz głowy zmiata.
Uciekają strwożeni; Klucznik goni, płata;
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał;
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał:
Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy.
Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych jegrów ściga, rąbie, kole.
Ryków sam został; krzyczy, że broni nie złoży,
Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,
I wznosząc karabelę, rzekł poważnym tonem:
«Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem.
Dałeś próby, rycerzu nieszczęsny lecz mężny,
Twojej odwagi: porzuć opór niedołężny,
Złóż broń, nim cię naszemi szablami rozbroim;
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!»

Ryków, Podkomorzego zwalczony powagą,
Skłonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,

Skrwawioną po rękojeść i rzekł: «Lachy braty!
Oj biada mnie, żem mie miał choc jednej armaty;
Dobrze mówił Suworów: pomnij Ryków kamrat,
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!
Cóż! jegry byli pjani, Major pić pozwolił!
Oh, major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
On odpowie przed Carem, bo on miał komendę.
Ja, panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.
Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,
Ten, panie Podkomorzy i mocno się czubi.
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
Ale przestańcie robić nad jegrami zbytki.»

Podkomorzy, słysząc to, karabelę wznasza
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza;
Każe rannych opatrzyć, z trupów czyścić pole,
A jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
Długo szukano Płuta. On, w krzaku pokrzywv
Zarywszy się głęboko; leżał jak nieżywy;
Wyszedł wreszcie, ujrzawszy, że było po bitwie
Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

KSIĘGA X.

EMIGRACYA, JACEK.

Narada tycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców. — Układy z Rykowem. — Pożegnanie. — Ważne odkrycie. — Nadzieja.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej:
Aż, jedną stroną na pół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony —
Teraz, jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,

Stoją nakształt posągów Sybilskiej Niobe.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa, co raz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb' trawy,
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli,
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatni z ptaków, lotem nieścigłym, zuchwała
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
I chronią się gromadnie w domy i stodoły.
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły
Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ozłocona
Świeci ziemia ponuro, żółtawo-czerwona.
Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach —
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmięszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok w szerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny.
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi —
To jak z wiader buchają warstami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia;
Noc je, z burzą od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,[1]
Rozświeci itwarz i znowu okryty całunem.
Uciekł w nebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna;
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chłuśnie.

[1] Objaśnia świat i znowu zamyka się w chmurach;
I znowu ryknie piorun do lasach i górach.
Wreszcie ucichło. Szumią tylko wielkie drzewa
A w koło szemrze ciągła i gęsta ulewa.

Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu pożądany był czas najburzliwszy:
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
Z folwarku niodostępną zrobiła fortecę —
O tem więc, co się działo w obozie Soplicy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy:
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady.
Bernardyn leżał w łóżku, zmordowany, blady
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle —
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Ryków temi słowy,
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:
«Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami
Że każdy Moskal złodziej: powiedzcież, kto spyta,
Że znaliście Moskala, który zwan Nikita
Nikitycz Ryków, rotny kapitan, miał osim
Medalów i trzy krzyże — to pamiętać prosim:
Ten medal za Oczaków, ten za Izmaiłów,
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsiż-Iłów,
Tamten za Korsakowa sławną rejteradę
Z pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,
Także od Feldmarszałka trzy zadowolnienia,
Dwie pochwały cesarskie, i cztery wspomnienia.
Wszystko na piśmie —»

«Ale, ale Kapitanie,
Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,
Jeśli nie chcesz się zgodzić? Wszakże dałeś słowo
Załatwić tę rzecz —»

«Prawda, słowo dam na nowo,
Rzecze Ryków, ot słowo! Co po waszej zgubie?
Ja człek poczciwy, ja was państwo Lachy lubię,
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
U nas ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,
Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
Czy o to gniew! tak u nas po żołniersku żyją!
Skąd by się człowiekowi tyle złości wzięło
Gniewać się o przegraną! Oczakowskie dzieło
Było krwawe; pod Zurich zbili nam piechotę —
Pod Austerlicem całą utraciłem rotę,
A pierwej wasz Kościuszko pod Racławicami,
Byłem sierżantem, wysiekł mój pluton kosami.
I cóż stąd? To ja znowu u Maciejowiców
Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców:
Jeden był Mokronowski, szedł z kosą przed frontem,
I kanonierowi uciął jedną rękę z lontem.
Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,
Ja Ryków — Car tak każe, a ja was żałuję.
Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,
Polska dla Lacha — ale cóż? Car nie pozwala!»

Sędzia mu na to rzecze: «Panie Kapitanie,
Żeś człek poczciwy, widzą to wszyscy ziemianie,
U których na kwaterach stałeś od lat wielu.
Za ten dar nie gniewaj się, dobry przyjacielu:
Nie chcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty,
Śmieliśmy złożyć wiedząc, żeś człek nie bogaty.»

«Ach jegry! wołał Ryków, cała rota skluta!
Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
On komendant, on za to przed Carem odpowie.
A wy te grosze sobie zabierzcie, panowie;
U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
A dosyć mi na ponczyk i lulkę tabaki.

A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję.
Oto ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo.
Powiemy, że my przyszli tu z wizytą, pili
Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
A Płut przypadkiem ognia zakomenderował,
Bitwa! i batalion tak jakoś zmarnował.
Wy pany tylko śledztwo pomazujcie złotem
Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tem
Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
Ma rapier, że Płut pierwszy komendannt, ja drugi:
Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka
Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka:
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
No, i cóż panie szlachcic, ty z długim rapierem,
Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?»

Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał,
Że już wszystko załatwił. Lecz Ryków nastawał:
«Cóż, czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?»
Klucznik, zły, że go Ryków pytaniami dręczył,
Poważnie palec wielki ku ziemi naginał,
A potem machnął ręką, jak gdyby przecinał
Dalszą rozmowę, i rzekł: «Klnę się scyzorykiem
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim!»[1] —
Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę jaką z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny gest pojęli słuchacze, i stali
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,

[1] Potem dłonie powoli podniósł i otworzył,
Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:
«Płut już nie będzie gadać! Potrzeba tak było
Koniecznie. — Co zrobiło, to się już zrobiło.» —
Wreszcie dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

I posępne milczenie trwało minut kilka.
Aż Ryków rzekł: «nosił wilk, ponieśli i wilka!»
«Requiescat in pace,“ dodał Podkomorzy;
«Już ci, zakończył Sędzia, był w tem palec Boży!
Lecz ja tej krwi nie winien, jam o tem nie wiedział.»

Ksiądz porwał się z poduszek i posępny siedział.
Nakoniec rzekł, spojrzawszy bystro na Klucznika:
«Wielki grzech, bezbronnego zabić niewolnika!
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.
Jedna jest restrykcya, jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej, ale pro publico bono.»
Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,
I mrugając powtarzał: pro publico bono!

Więcej nie było mowy o Płucie Majorze;
Nazajurtz daremnie go szukano we dworze,
Daremnie wyznaczano za trupa nagrodę:
Major zginął bez śladu, jak gdyby wpadł w wodę.
Co się z nim stało, różnie powiadano o tem,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.
Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;
Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: pro publico bono.
Wojski był w tajemnicy; lecz słowem ujęty
Honorowem, staruszek milczał jak zaklęty.

Po zawarciu układów, wyszedł z izby Ryków,
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy z powagą tak mówi:
«Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi;
Ale muszę Waćpaństwu wyznać bez ogródki,
Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki.
Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy;
Ksiądz Robak, że zbyt czynnie rozszerzał nowiny;
Klucznik i szlachta, że je pojęła opacznie.
Wojna z Rossyą jeszcze nie prędko się zacznie;

Tymczasem, kto miał udział najczynniejszy w bitwie!
Ten nie może bespieczny zostać się na Litwie:
Musicie więc do Księstwa uciekać panowie,
A mianowicie Maciej, co się Chrzciciel zowie;
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy.
My na was nieobecnych całą winę zwalim,
I na Płuta: tak resztę rodzeństwa ocalim.
Żegnam was nie na długo; są pewne nadzieje,
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,
I Litwa, ca was teraz żegna jak tułaczy,
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.
Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę;
I ja pieniędzmi, ile zdołam, dopomogę.»

Czuła szlachta, żo mądrze Podkomorzy radził:
Wiadomo, że kto z ruskim Carem raz się zwadził,
Ten już z nim na tej ziemi nie zgodzi się szczerze,
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.
Więc nic nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,
Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziej niśli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawżdy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi;
Tylko się to nie zdało panu Buchmanowi.
Buchman, człowiek rozsądny, w bitwę się nie wmięszał:
Ale słysząc, że radzą, głosować pośpieszał.
Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
Dokładniej go rozwinąć, jaśniej wytłómaczyć
A najprzód Komissyę legalnie wyznaczyć,
Któraby rozważyła Emigracyi cele,
Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele.

Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,
Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie.
Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
I rzekł do księdza: «Czas już, żebym ci powiedział
Tu, o czemem z pewnością wczoraj się dowiedział:
Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi.
Niechajże przed odjazdem o rękę jej prosi.
Mówiłem z Telimeną: już nam nie przeszkadza;[1]
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
Jeśli dziś ślubem pary nie możem uwieńczyć,
Toć by ich, panie bracie, przynajmniej zaręczyć. —
Przed odjazdem: bo serce młode i podróżne,
Wiesz dobrze, jako miewa tentacye różne:
A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierścionek
I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,
Zaraz w nim obcych pokus ostyga gorączka.
Wierzaj mi: wielką siłę ma ślubna obrączka.

«Ja sam, przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
Ku pannie Marcie, której serce pozyskałem.
Byliśmy zaręczeni; Bóg nie błogosławił
Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,
Wziąwszy do chwały swojej nadobną Wojszczankę,
Przyjaciela mojego córę Hreczeszankę.
Pozostała mi tylko pamiątka jej cnoty,
Jej wdzięków i ten oto ślubny pierścień złoty.
Ilekroć nań spojrzałem, zawsze ma nieboga
Stawała grzed oczyma: i tak z łaski Boga,
Dotąd mej narzeczonej dochowałem wiary,
I nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary.
Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
I do mojej kochanej Marty dość podobną!»

[1] Mówiłem z Telimeną, sam na sam, we czworo
Oczu: ona, zwalczona jest moją perorą,
Dawnym układom naszym wcale nie przeszkadza;
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.

To mówiąc, na pierścionek z czułością spozierał,
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał:
«Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?
On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.»

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mówi,
«Czemże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!
Ach dobry stryju, byłbym najszczęśliwszy z ludzi,
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,
Gdybym wiedział, że to jest moja przyszła żona --
Przecież powiem otwarcie: dziś, te zaręczyny [1]
Do skutku przyjść nie mogą; są różne przyczyny —
Nie pytaj więcej. — Jeśli Zosia czekać raczy,
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,
Może stałością na jej wzajemność zarobię,
Może troszeczką sławy me imię ozdobię!
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice:
Wtenczas, stryju, wspomnę ci twoje obietnice,
Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosieńkę,
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę.
Teraz porzucam Litwę — może na czas długi,
Może Zosi tymczasem podobać się drugi:
Więzić jej woli nie chcę — prosić o wzajemność,
Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność.

[1] Przecież powiem otwarcie: dziś te zaręczyny
Do skutku przyjść nie mogą — z mojej własnej winy —
Nie godzien jestem wcale dziewicy niewinnej,
Takiej nadobnej, dobrej i takiej dziecinnej.
Nie pytaj mnie o więcej. — Czyli tak los zrządził,
Czy własna moja wina — dosyć: żem pobłądził.
Jesteśmy młodzi: jeśli Zosia czekać raczy,
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy.
Może stałością na jej wzajemność zarobię,
Może troszeczką chwały me imię ozdobię,
Może wrócim do Litwy — wtenczas, stryju drogi,
Przybiegnę ci przypomnieć, upaść pod twe nogi;
Wtenczas na klęczkach milą powitam Zosieńkę,
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę —
Ale teraz — byłaby największa nikczemność,
Przeniewierzywszy się jej, prosić o wzajemność!»

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębiny alkowy
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy;
Słyszała, jak Tadeusz po prostu i śmiało
Opowiedział swą miłość — serce w niej zadrżało —
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
Choć dojść nie mogła wątku w jego tajemnicach:
Dla czego ją pokochał? dla czego porzuca?
Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.
Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana
Dziwną i wielką nowość: że była kochana.
Biegła więc, gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
Wyjęła zeń obrazek i relikwijarzyk —
Na obrazku tym była Święta Genowefa,
A w relkwii suknia Świętego Józefa,
Oblubieńca, patrona zaręczonej młodzi —
I z temi świętościami do pokoju wchodzi:

«Pan odjeżdżasz tak prędko? — Ja panu na drogę
Dam podarunek mały i także przestrogę:
Niechaj pan zawsze z sobą relikwije nosi
I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
Niech pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi,
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi.» —
Umilkła i spuściła głowę, oczki modre
Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre;
A Zosia z zamkniętemi stojąc powiekami,
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz, biorąc dary i całując rękę,
Rzekł: «Pani! już ja muszę pożegnać panienkę —
Bądź zdrowa, wspomnij o mnie — i racz czasem zmówić
Pacierz za mnie! Zofio!» — Więcej nie mógł mówić.

Dech wciągnął, brzuch, piersi ścisnął co najwężej:
Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży;
Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,
Tak Gerwazy z długiego stał się krótki, gruby;
Rozciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy —
Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy
Przewrócił się, i w ziemię schowawszy twarz gniewną,
Zamknąwszy oczy, leżał nieczuły jak drewno.

Wtem ozwały się bębny; najprzód zrzadka, potem
Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem.
Na ten appel, rozkazał oficer Moskali
Dżokejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,
Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota — —

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty wiele:
Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,
Wszyscy Sędziego krewni albo przjaciele;
Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,
Zwłaszcza, że z Dobrzyńskimi byli zdawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalion Moskalów sprowadził?
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?
Assesor-li, czy Jankiel? Różnie słychać o tem,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni;
Brzegiem tępym, jak gdyby odartym z promieni,
Na pół widne, na poły w czerni chmur się chowa,
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.
Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu,
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym pruszy,
Z tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,
Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny:
I tak dzień naprzemiany był chłodny i słotny,

Tymczasem Major belki, schnące pode dworem,
Każe wlec, w każdej belce wysiekać toporem
Pół okrągłe otwory, w te otwory wtyka
Nogi więźniów i drugą belką je zamyka:
Oba drewna, gwoździami przebito po rogach,
Ścisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach;
Zaś powrozami mocniej sznurowano ręce
Na plecach szlachty. Major, ku większej ich męce,
Kazał pierwej pozdzierać z głów konfederatki,
Z pleców płaszcze, kontusze, nawet taratatki,
Nawet żupany. I tak szlachta, skuta w kłodzie,
Siedziała rzędem, dzwoniąc zębami na chłodzie
I na deszczu, bo coraz wzmagała się słota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota — —

Darmo Sędzia za szlachtą instancyę wnosi,
I Telimena łączy prośby do łez Zosi,
Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.
Wprawdzie oficer rotny, pan Nikita Ryków,
Moskal, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać:
Cóż, kiedy sam majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz,
Nazywał się — jak słychać — po polsku Płutowicz,
Lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje
Z Polakiem, który w carskiej służbie zmoskwicieje.
Płut stał z fajką przed frontem, w boki się podpierał,
I gdy mu się kłaniano, nos w górę zadzierał,
A za odpowiedź, na znak gniewnego humoru,
Wypuścił z ust kłąb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,
I Assesora także na bok odprowadza;
Przemyślają, jakby rzecz zakończyć bez sądu,
A co jeszcze ważniejsza, bez mięszań się rządu.
Więc do majora Płuta rzekł kapitan Ryków:

«Panie Major! co nam z tych wszystkich niewolników?
Oddamy pod sąd? będzie szlachcie wielka bieda,
A panu Mojorowi nikt za to nic nie da.
Wiesz co Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić:
Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić;
My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty:
A tak i kozy całe i wilk będzie syty.
Przysłowie ruskie: wszystko można lecz ostrożnie —
I to przysłowie: sobie piecz na carskim rożnie;
I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody,
Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
Raportu nie podamy, tak się nikt nie dowie.
Bóg dał ręce żeby brać: to ruskie przysłowie.»

Słysząc to Major wstaje i od gniewu parska:
«Czy ty oszalał, Ryków? To służba cesarska:
A służba nie jest drużba, stary, głupi Ryków!
Czy ty oszalał? Ja mam puszczać buntowników!
W takim wojennym czasie! Ha, pany Polaki,
Ja was nauczę buntu! Ha, szlachta łajdaki,
Dobrzyńscy, oj ja was — — niech łajdaki mokną!
— I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno —
Wszakże ten sam Dobrzyński, co siedzi w surducie,
— Hej zdjąć mu surdut! — w roku przeszłym na reducie
Zaczął ze mną tę kłótnię — kto zaczął? on, nie ja:
On, gdy tańczyłem, krzyknął: precz za drzwi złodzieja!
Że wtenczas za pułkowej okradzenie kasy
Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy:
A jemu co do tego? — Ja tańczę mazura,
On krzyczy z tyłu: złodziej! szlachta za nim: ura!
Skrzywdzili mnie — a co? wpadł w me szpony szlachciura!
Mówiłem: ej Dobzyński! ej, przyjdzie do woza
Koza — a co, Dobrzyński? widzisz: będzie łoza!»

Potem Sędziemu szepnął, schyliwszy się w ucho:
«Jeśli chcesz Sędzio, żeby to uszło na sucho,
Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką:
Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnię słówko.»

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słuchał,
Znowu biegał po izbie, dymem gęsto buchał,
Podobny do szmermelu albo do rakiety.
Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.
«Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa;
Cóż wygrasz? Tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,
Nie było ran; że zjedli kury i półgąski,
Za to wedle Statutu zapłacą nawiąski.
Ja na pana Hrabiego nie zanoszę skargi;
To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.»

«A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?»
«Co to za żółta księga?» pan Sędzia zapytał.
«Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty,
A w niej pisze co słowo: stryczek, Sybir, knuty:
Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej
Ogłoszonych: już pod stół wasze trybunały!
Podług ustaw wojennych, za takową psotę,
Pójdziecie już to najmniej w sybirską robotę.»
«Appeluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora»
«Appeluj, rzekł Płut, choćby do Imperatora.
Wiesz, że gdy Imperator zatwierdza ukazy,
Z łaski swej często karę powiększa dwa razy.
Appelujcie — ja może wynajdę w potrzebie,
Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.
Wszak Jankiel szpieg, którego już rząd dawno śledzi,
Jest twoim domownikiem, w karczmie twojej siedzi
Mogę teraz was wszystkich wziąść w areszt od razu.»
«Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez rozkazu?» —
I przychodziło coraz do żywszego sporu:
Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny. Przodem, niby laufer jaki, bieży
Ogromy czarny baran; a łeb mu się jeży
Czterma rogami, z których dwa jako kabłąki
Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki,
A dwa od czoła na bok wysuwając końce,
Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.

Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy
Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli, że to wjazd księdza Kwestarza.
Więc pan Sędzia, powinność znając gospodarza,
Stał w progu witać gościa. Ksiądz na pierwszej bryce
Jechał, kapturem na pół zasłoniwszy lice,
Ale go wnet poznano: bo gdy więźniów minął,
Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.
I drugiej bryki furman równie był poznany:
Stary Maciek-Rózeczka, za chłopa przebrany.
Szlachta zaczęła krzyczeć, skoro się pokazał.
On rzekł: «głupi!» — i ręką milczenie nakazał.
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,
A pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podkajscy i Isajewicze,
Birbasze, Wilbikowie, Biergiele, Kotwicze,
Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tej ciężkiej niewoli,
Zaczęli z dawnych gniewów ostygać powoli:
Bo szlachta polska, chociaż niezmiernie kłótliwa
I porywcza do bitew, przecież nie jest mściwa.
Biegą więc do Macieja starego po radę.
On koło wozów całą ustawia gromadę,
Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju.
Zaledwie go poznano, choć nie zmienił stroju:
Tak przybrał inną postać. Zwyczajnie ponury,
Zamyślony: a teraz głowę wzniósł do góry,
I z miną rozjaśnioną, jak kwestarz rubacha,
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

«Cha, cha, cha, cha,
Kłaniam, kłaniam! Cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!
Panowie oficery; kto poluje we dnie,
Wy w nocy! Dobry połów: widziałem zwierzynę;
Oj skubać, skubać, szlachtę! oj drzeć z nich łupinę,

Oj, weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!
Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika!
To tłuścioszek, to bogacz, panicz z antenatów;
Nie wypuszczaj go z klatki bez trzysta dukatów.
A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,
I dla mnie! bo ja zawżdy za twą duszę proszę.
Jakem Bernardyn, bardzo myślę o twej duszy!
Śmierć i sztabs-oficierów porywa za uszy!
Dobrze napisał Baka, że śmierć dżga za katy
W szkarłaty i po suknie nie raz dobrze stuknie,
I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,
I po fryzurze równie jak i po mundurze.
Śmierć matula, powiada Baka, jak cybula,
Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula
I dziecko co się lula i zucha co hula!
Ah! ah! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,
To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!
Panie Sędzio, wszakże to czas podobno śniadać?
Siadam za stół i proszę wszystkich za mną siadać.
Majorze; gdyby zrazów? panie Poruczniku,
Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?»

«To prawda Ojcze, rzekli dwaj oficerowie,
Czas by już zjeść i wypić pana Sędzi zdrowie!»

Zdziwili się domowi, patrząc na Robaka,
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka!
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył rozkazy:
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.
Płut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,
Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,
Że w pół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krześle się rozwalił,
Dobył fajkę, biletem bankowym zapalił,
I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety,
I rzekł: «Ja, piękne panie, lubię was jak wety!

Na me szlify majorskie: gdy człek zjadł śniadanie,
Najlepszą jest po zrazach zakąską, gadanie
Z paniami tak pięknemi, jak wy piękne panie!
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?
Albo pójdźmy mazurka? he! do djabłów trzysta:
Wszak ja w jegerskim pułku pierwszy mazurzysta!»
Zaczem ku damom bliżej chylił się wygięty,
I puszczał na przemiany dym i komplementy.

«Tańczyć! zawołał Robak; gdy wychylę flaszę,
To i ja, choć ksiądz, habit czasami podkaszę
I potańczę mazurka! Ale wiesz, Majorze,
My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?
Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy:
Major pozwoli — niechaj piją jegry zuchy!»
«Prosiłbym, rzecze Major, lecz w tem nie ma musu.»
«Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.»
I tak, kiedy we dworze sztab wesoły łyka,
Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Ryków kapitan milczkiem kielichy wychylał;
Lecz Major pił i razem damom się przymilał.
A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał.
Rzucił fajkę i rękę Telimeny złapał:
Chciał tańczyć, lecz uciekła: więc podszedł do Zosi,
Kłaniając się, słaniając, do mazurka prosi:
«Hej ty Ryków, przestań-że tam trąbić na fajce:
Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce.
Widziszno tam gitarę, pójdźno, weź gitarę
I mazurka! Ja Major idę w pierwszą parę.» —
Kapitan wziął gitarę i struny przykręcał,
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał:

«Słowo mojorskie, panno: nie Rossyaninem
Jestem, jeżeli kłamię, chcę być sukinsynem,
Jeżeli kłamię; spytaj, a oficerowie
Wszyscy poświadczą, cała armija to powie:

Że w tej drugiej armii, w Korpusie dziewiątym
W drugiej pieszej dywizyi, w pułku pięćdziesiątym
Jegerskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.
Pójdź-że panienko! nie bądź taka narowista!
Bo ja po oficersku ukarzę panienkę.» —

To mówiąc skoczył, chwycił Telimeny rękę,
I szerokim całusem w blade ramię klasnął:
Gdy Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął.
I całus i policzek ozwały się razem,
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady
Zawołał: «bunt! buntownik!» i dobywszy szpady,
Biegł przebić. Wtem ksiądz dostał z rękawa krócicę:
«Pal Tadeuszku! krzyknął, pal jak w jasną świecę!»
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.
Porywa się z gitarą Ryków: «bunt! bunt!» woła,
Wpada na Tadeusza. Lecz Wojski z za stoła
Machnął ręką na odlew; nóż w powietrzu świsnął
Między głowy i pierwej uderzył niż błysnął;
Uderza w dno gitary, na wylot ją wierci,
Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,
Lecz strwożył się. Krzyknąwszy: «Jegry! bunt! Jej Bogu!»
Dobył szpady, broniąc się, zbliżał się do progu.

Wtem, z drugiej strony izby wpada szlachty wiele
Przez okna, z rapierami, Rózeczka na czele.
Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnieży.
Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży,
Już przeze drzwi włażą trzy błyszczące bagnety,
A za niemi trzy czarne schylone kaszkiety.
Maciek stał u drzwi z rózgą wzniesioną do góry,
Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,
Aż ciął okropnie: może głowy by trzy zwalił;
Lecz stary czy nie dojrzał, czy zbyt się zapalił:

Bo nim szyję wytknęli, rąbnął po kaszkietach,
Zdarł je: rózga spadając, brząkła po bagnetach.
Moskale cofają się, Maciek ich wygania
Na dziedziniec.

Tam jeszcze więcej zamięszania.
Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody
Nad rozkuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody.
Widząc to jegry za broń porywają, biegą.
Sierżant, wpadłszy, bagnetem przebił Puhajskiego,
Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela:
Uciekają. Było to przy kłodzie Chrzciciela.
Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce,
Wstał, podniósł dłoń i zwinął w kłębek długie palce,
I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina,
Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina
Trzasł zamek: lecz zalany krwią proch już nie spalił;
Sierżant u nóg Chrzciciela na swą broń się zwalił.
Chrzciciel schyla się, chwyta karabin za rurę
I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę.
Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwala
Po ramionach i w głowę ugadza kaprala.
Reszta zlękła od kłody cofa się z przestrachem:
Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczem rozbito kłodę, rozcięto powrozy.
Szlachta, już wolna, wpada na kwestarskie wozy;
Z nich dobywa rapiery, pałasze, tasaki,
Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki
I worek kul; wsypał je do swego szturmaka,
Drugi równie nabiwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa. Mięszają się, tłuką;
Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,
Jegry nie mogą strzelać; już walczą wręcz zbliska,
Już stal, ząb za ząb o stal porwawszy się, pryska,
Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,
Pięść spotyka się z pięścią i z ramieniem ramię.

Lecz Ryków z częścią jegrów pobiegł, gdzie stodoła
Tyka płotów; tam staje, na żołnierzy woła,
Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,
Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.
Gniewny, że sam nie może dać ognia, bo w tłumie
Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,
Woła: «strój się!» co znaczy formuj się do szyku —
Ale komendy jego nie słychać śród krzyku.

Stary Maciek, do ręcznych zapasów niezdolny,
Rejterował się, czyniąc przed sobą plac wolny
Na prawo i na lewo. Tu, końcem szablicy
Ociera bagnet z rury, jako knot ze świecy;
Tam, machnąwszy na odlew, ścina albo kole:
I tak ostrożny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem
Stary Gifrejter, co był pułku instruktorem,
Wielki mistrz na bagnety. Zebrał się sam w sobie,
Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,
Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,
Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,
Lewą rękę opuszcza, a broń z prawej ręki
Suwa naprzód, jak żądło z wężowej paszczęki,
I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera:
I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocenił przeciwnika zręczność Maciek stary,
I lewą ręką włożył na nos okulary —
Prawą rękojeść rózgi tuż przy piersiach trzyma,
Cofa się, Gifrejtera ruch śledząc oczyma;
Sam słania się na nogach, jakoby był pjany.
Gifrejter bieży prędzej i pewny wygranej;
Żeby uchodzącego tem łacniej dosięgnął,
Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął,
Popychając karabin, a tak się wysilił
Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił:

Maciek, tam, kędy begnet w wkłada się na rurę,
Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,
I wnet spuszczając rózgę, tnie Moskala w rękę
Raz i znowu na odlew przecina mu szczękę.
Tak padł Gifrejter, fechtmistrz najpierwszy z Moskalów
Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło
Już jest bliskie zwycięstwa. Tam walczył Kropidło,
Widny z dala, tam Brzytwa wił się śród Moskali;
Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali.
Jako machina, którą niemieccy majstrowie
Wymyślili i która młockarnią się zowie,
A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
Razem i słomę kraje i wybija zboże:
Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
Mordując nieprzyjaciół, ten z góry, ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,
Bieży na prawe skrzydło, gdzie niebespieczeństwo
Nowe grozi Maćkowi. Śmierci Gifrejtera
Mszcząc się, Proporczyk z długim szpontonem naciera —
Szponton, jest to zarazem dzida i siekiera:
Teraz już zaniedbany i tylko na flocie
Używają go; wówczas służył i piechocie. —
Proporczyk, człowiek młody, zręcznie się uwijał;
Ilekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,
On cofał się: młodego nie mógł Maciek zgonić,
I tak raniąc nie raniąc, musiał siebie bronić.
Już mu Proporczyk dzidą lekką ranę zadał,
Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał:
Chrzciciel nie zdoła dobiedz, lecz staje w pół drogi,
Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi.
Skruszył kość; już Proporczyk szponton z rąk upuszcza,
Słania się: wpada Chrzciciel, za nim szlachty tłuszcza,
A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła
Biegą zmięszani. Wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzciciel, który w obronie Maćka oręż stracił,
Ledwie że tej przysługi życiem nie przypłacił:
Bo przypadło nań z tyłu dwóch silnych Moskali,
I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali;
Upiąwszy się nogami ciągną jako liny
Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny.
Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy;
Chwieje się: a wtem postrzegł, że blisko Gerwazy
Walczy — zawołał: «Jezus Marya! Scyzoryku!»

Klucznik, trwogę Chrzciciela poznawszy po krzyku,
Odwrócił się i spuścił ostrze płytkiej stali
Między głowę Chrzciciela i ręce Moskali.
Cofnęli się, wydawszy przeraźliwe głosy;
Lecz jedna ręka, mocniej wplątana we włosy,
Została się wisząca i krwią buchająca.
Tak orlik, jednę szponę gdy wbije w zająca,
Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,
A zając, targnąwszy się, orła wpół rozczepi;
Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,
A lewę zakrwawioną zwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny, oczy obraca do koła,
Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła;
Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku,
I pilnując się z bliska Gerwazego boku,
Aż Saka, syna swego, postrzega w natłoku.
Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą
Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo,
Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki —
Nikt by go nie podźwignął prócz Chrzciciela ręki. —
Chrzciciel, gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył.
Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,
Zakręcił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potem dokazywał, jakie klęski szerzył,
Daremnie śpiewać: nikt by Muzie nie uwierzył;

Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,
Która stojąc na świętej Ostrej Bramy szczycie,
Widziała, jako Dejow, moskiewski jenerał,
Wchodząc z pułkiem kozaków, już bramę otwierał,
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki.

Dosyć, że się tak stało, jak przewidział Ryków:
Jegry w tłumie ulegli mocy przeciwników.
Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych:
Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych:
Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,
Kilku wpadło do domu pod kobiet opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela:
Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;
Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela,
On dotąd sam nie walczył — bo bronią kanony
Księdzu bić się — lecz jako człowiek doświadczony
Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,
Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził.
I teraz woła, aby do do niego się łączyć,
Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.
Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,
Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;
Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,
Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;
Zebrawszy koło siebie pół batalionu,
Krzyknął: «za broń!» wnet szereg karabiny chwyta;
Chrząsnęła broń, a była już dawno nabita;
Krzyknął: «cel!» rury rzędem zabłysnęły długim;
Krzyknął: «ognia koleją!» grzmią jeden po drugim.
Ten strzela, ten nabija ten chwyta do ręki,
Słychać świsty kul, zamków chrzęsty, stęflów dźwięki:
Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,
Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.

Prawda, że jegry byli mocnym trunkiem pjani —
Źle mierzą i chybiają, rzadko który rani,
Ledwie który zabije: przecież dwóch Maciejów
Już zranione i poległ jeden z Bartłomiejów.
Szlachta z niewielą rusznic zrzadka się odstrzela;
Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,
Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,
Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,
Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz, który został w domu, kobiet bronić
Z rozkazu stryja, słysząc, że coraz to gorzej
Wre bitwa, wybiegł — za nim wybiegł Podkomorzy,
Któremu Tomasz wreszcie przyniósł karabelę;
Śpieszy, łączy się z szlachtą i staje na czele,
Bieży, broń wzniosłszy, szlachta rusza jego śladem;
Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem:
Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony;
Zaczem, wstrzymują szlachtę Robak z jednej strony
A z drugiej Maciej. Szlachta ostyga w zapale,
Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale:
Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,
Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

«Formuj się do attaku! zawołał, na sztyki!
Naprzód!» Wnet szereg, rury wytknąwszy jak tyki,
Schyla głowy, wzrusza się i przyśpiesza kroku.
Darmo szlachta wstrzymuje z przodu, strzela z boku:
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;
Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu,
Krzyczy: Sędzio, poddaj się, bo dwór spalić każę!»
«Pal, woła Sędzia, ja się w tym ogniu usmażę.»

O dworze Soplicowski! Jeśli dotąd całe
Świecą się pod lipami twoje ściany białe,
Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada
Za gościnnemi stoły Sędziego zasiada:

Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie:
Bez niego jużby było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody —
Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony z kłody,
Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę,
Swój szturmak faworytny i z nim kul sakiewkę:
Nie chciał bić się; powiadał, że sobie nie ufa
Na czczo. Szedł więc, gdzie stała spirytusu kufa;
Ręką, jak łyżką, strumień do ust sobie chylił.
Dopiero, gdy się dobrze rozgrzał i posilił,
Poprawił czapkę, z kolan wziął do rąk konewkę,
Zmacał stęflem naboju, podsypał panewkę,
I spojrzał na plac boju. Widzi, że błyszcząca
Fala bagnetów szlachtę bije i roztrąca:
Przeciw tej fali płynie; schyla się do ziemi
I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi,
Środkiem dziedzińca; aż tam, gdzie rosła pokrzywa,
Zasadza się, a Saka gestami przyzywa.

Sak, broniąc dworu, stanął z szturmakiem u proga:
Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,
Od której choć w zalotach został pogardzony —
Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jej obrony.

Już szereg jegrów w marszu na pokrzywę wkracza:
Gdy Konew ruszył cyngla i z paszczy garłacza
Tuzin kul rozsiekanych puszcza śród Moskali;
Sak puszcza drugi tuzin. Jegry się zmięszali.
Przerażony zasadzką szereg w kłąb się zwija,
Cofa się, rzuca rannych; Chrześciciel ich odbija.

Stodoła już daleko. Bojąc się odwodu
Długiego, Ryków skoczył pod parkan ogrodu
Tam, pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu.
Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu
Robi trójkąt, klin ostry wystawując z przodu,
A dwa boki opiera o parkan ogrodu.
Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,
Gdy pierzchła straż zlękniona, dworzan na koń wsadził!
I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,
Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesionem.
Wtem Ryków krzyknął: «ognia pół batalionem!»
Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,
I z czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.
Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.
Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży
Na ratunek, bo widzi: jegry na cel wzięli
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli. —
Robak był bliższy; Hrabię ciałem swym zakrywa,
Dostał za niego postrzał, z pod konia dobywa,
Uprowadza; a szlachcie każe się rozstąpić,
Lepiej mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,
Kryć się za płoty, studnie, za ściany obory;
Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie
Tadeusz. Stał ukryty za drewnianą studnię;
A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki —
Mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki —
Okropnie razi Moskwę. Starszyznę wybiera;
Za pierwszym zaraz strzałem ubił feldfebera,
Potem, z dwóch rur raz po raz dwóch sierżantów sprząta,
Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta
Gdzie stał sztab. Zaczem Ryków gniewa się i dąsa,
Tupa nogami, szpady swej rękojeść kąsa:
«Majorze Płucie, woła, co to z tego będzie?
Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komendzie!»

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:
«Panie Polak, wstydź się pan, chować się za drzewem;
Nie bądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie
Po żołniersku.» A na to Tadeusz odpowie:
«Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,
A czegóż ty się chowasz za jegrów kołnierzem?

Lecz Hrabia z Telimeną wszedłszy niespodzianie,
Uważał młodej pary czułe pożegnanie,
Wzruszył się i rzuciwszy wzrok ku Telimenie:
«Ileż, rzekł, jest piękności choć w tej prostej scenie!
Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,
Jak łódź z okrętem w burzy, rozłączyć się muszą!
Zaiste! nic tak uczuć w sercu nie rozpala,
Jako kiedy się serce od serca oddala.
Czas jest to wiatr: on tylko małą świecę zdmuchnie;
Wielki pożar od wiatru tem mocniej wybuchnie.
I moje serce zdolne mocniej kochać zdala —
Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;
Ten błąd był jedną z przyczyn naszej smutnej zwady,
Która mię przymusiła dostać na wasz szpady.
Postrzegam błąd mój: boś ty wzdychał ku pasterce,
Ja zaś tej pięknej Nimfie oddałem me serce.
Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy!
Nie będziem się zbójczemi rozpierać żelazy;
Niech się inaczej spór nasz zalotny roztrzygnie:
Walczmy, kto kogo czuciem miłości wyścignie!
Zostawim oba drogie serc naszych przedmioty,
Pośpieszymy obadwa na miecze, na groty:
Walczmy z sobą stałością, żalem i cierpieniem,
A wrogów naszych mężnem ścigajmy ramieniem.»
Rzekł, na Telimenę spojrzał — ale ona
Nic nie odpowiadała, strasznie zadziwiona.

«Mój Hrabio, przerwał Sędzia, po co chcesz koniecznie
Wyjeżdżać! Wierz mi, w twoich dobrach siedź bespiecznie,
Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać;
Ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać:
Wiesz, w jakim rządzie żyjesz, jesteś dość bogaty,
Wykupisz się od więzień połową intraty.»

«To nie zgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem!
Nie mogąc być kochankiem: będę bohaterem;
W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,
Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki.»

Telimena pytała: «Któż panu przeszkadza
Kochać i być szczęśliwym!» — «Mych przeznaczeń władza,
Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, którę ruchem tajnym
Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczajnym.
Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie
U ołtarzów Hymenu zapalić płomienie:
Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,
Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec,
I biegąc serca swego doświadczać w przeszkodach
Zmiennych losów i w krwawych wojennych przygodach.
Dziś otwiera się nowa i dla mnie epoka!
Brzmiała odgłosem broni mej Birbante-roka:
Oby ten odgłos równie w Polsce się rozszerzył!» —
Skończył i dumnie szpady rękojeść uderzył.

«Jużci, rzekł Robak, trudno ganić tę ochotę,
Jedź, weź pieniądze, możesz usztyftować rotę,
Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił,
Dając na skarb milion — jak książe Radziwiłł
Dominik, co zostawił dobra swe i sprzęty
I dwa uzbroił nowe konne regimenty.
Jedź, a weź pieniądze: rąk tam dosyć mamy,
Ale grosza brak w Księstwie; jedź Wasze, żegnamy.»

Telimena smutnemi rzuciwszy oczyma:
«Niestety, rzekła, widzę, że cię nic nie wstrzyma!
Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,
Obróć czułe spojrzenie na kolor kochanki
— Tu, wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła [1]
Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła: —
Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,
Na kopije błyszczące i deszcze siarczyste;
A kiedy się rozsławisz walecznemi czyny,
I gdy nieśmiertelnemi przesłonisz wawrzyny
Skrwawiony szyszak i hełm twój zwycięstwem hardy:
I wtenczas jeszcze oko zwróć do tej kokardy —

[1] — Tu pokazała palcem na wstążkę czerwoną,
Jej rękami do fraka Hrabi przyszpiloną —

Wspomnij, czyja ten kolor przyszpiliła ręka!»
Tu mu podała rękę. Pan Hrabia przyklęka.
Całuje; Telimena zbliżyła do oka
Chustkę, a drugiem okiem pogląda z wysoka
Na Hrabię, który żegnał ją, mocno wzruszony.
Ona wzdychała ale — ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: «mój Hrabio śpiesz się bo już późno,»
A ksiądz Robak «dość tego» wołał z miną groźną,
«Śpiesz się Wasze.» Tak rozkaz Sędziego i księdza
Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem pan Tadeusz stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował.
Robak, ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spojrzał ku niebu i rzekł: «synu! z Panem Bogiem!»
I zapłakał. — A już był Tadeusz za progiem.
«Jak to? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?
I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
O niczem, przed odjazdem?» «Nie, rzekł ksiądz, o niczem —
Płacząc długo z zakrytem rękami obliczem —
I po cóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca,
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabójca?
Bóg widzi, jak pragnąłbym, ale z tej pociechy
Zrobię Bogu ofiarę za me dawne grzechy.»

«Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie.
Uważ, że człowiek w twoim wieku i chorobie
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;
Mówiłeś, że wiesz domek, gdzie się masz przechować:
Powiedz gdzie? Spieszmy — czeka zaprzężona bryka.
Czy nie najlepiej w puszczę, do chaty leśnika?»

Robak kiwając głową rzekł: «Do jutra rana
Mam czas. Teraz, mój bracie, poślij do plebana,
Aby tu najrychlej przybył z wijatykiem;
Oddal stąd wszystkich, zostań tylko sam z Klucznikiem —
Zamknij drzwi.»

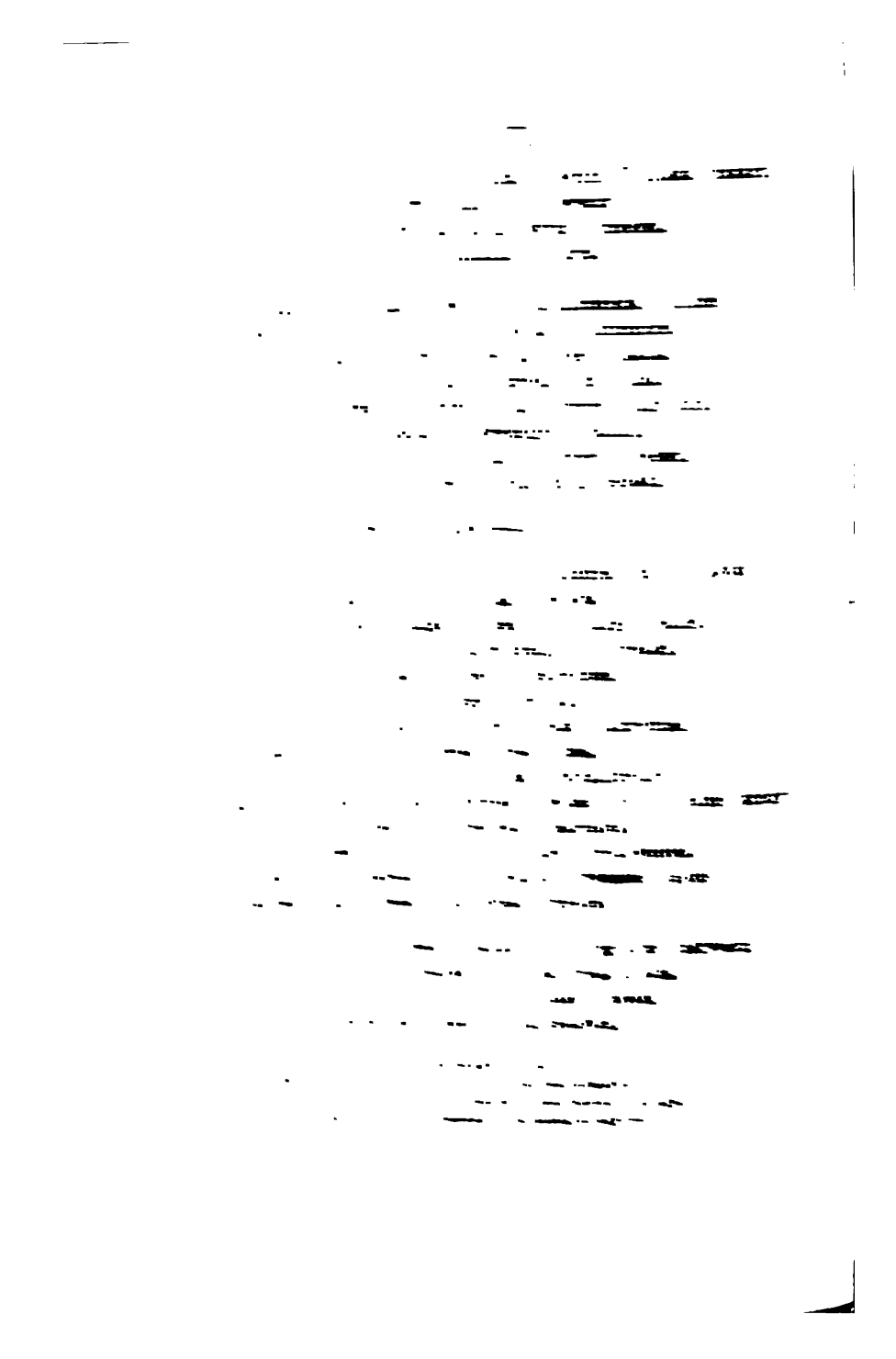

I przyjął prośbę łotra; byś się udobruchał,
I to, co mam powiedzieć: cierpliwie wysłuchał.
Sam przyznałem się; muszę dla ulgi sumienia
Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia.
Posłuchaj mej spowiedzi: potem zrobisz sobie
Ze mną, co zechcesz.» I tu złożył ręce obie
Jak do pacierza. Klucznik cofnął się zdumiony,
Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość
Opowiadać i swoję z jego córką miłość,
I swe z tego powodu z Stolnikiem zatargi.
Lecz mówił nieporządnie, często mięszał skargi
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,
Jak gdyby już ją kończył — i znowu zaczynał.

Klucznik, dzieje Horeszków znający dokładnie,
Całą to powieść, chociaż splątaną bezładnie,
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.
Oba pilnie słuchali, pochyliwszy głowy,
A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
I często zarywał się:

«Wszak sam wiesz, Gerwazeńku jak Stolnik zapraszał
Często mnie na biesiady, zdrowie moje wnaszał,
Krzyczał nie raz, do góry podniósłszy szklanicę,
Że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę,
Jak on mię ściskał! Wszyscy, którzy to widzieli,
Myśleli, że on ze mną duszą się podzieli —
On przyjaciel? — On wiedział, co się wtenczas działo
W duszy mojej —!

«Tymczasem już szeptała o tem okolica,
Jaki taki gadał mi: «ej, panie Soplica,
Daremnie konkurujesz: dygnitarskie progi
Za wysokie na Jacka Podczaszyca nogi.»

Ja śmiałem się, udając, że drwiłem z magnatów
I z córek ich, i nie dbam o arystokratów;
Że jeśli bywam u nich, z przyjaźni to robię,
A za żonę nie pojmę tylko równą sobie. —
Przecież, bodły mi duszę do żywca te żarty!
Byłem młody, odważny, świat był mi otwarty —
W kraju, gdzie jako wiecie, szlachcic urodzony
Jest zarówno z panami kandydat korony! —
Wszakże Tęczyński niegdyś z królewskiego domu
Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu — [1]
Sopliców, czyż nie równe Tęczyńskim zaszczyty
Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitej? —

«Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
W jednej chwili, a życiem nie naprawi długiem! —
Jedno słowo Stolnika: jakżebyśmy byli
Szczęśliwi! — Kto wie, może dotąd byśmy żyli;
Może i on przy swojem kochanem dziecięciu,
Przy swojej pięknej Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu,
Zestarzałby spokojny, może wnuki swoje —
Kołysałby! — Teraz co? — Nas zgubił oboje,
I sam — i to zabójstwo — i wszystkie następstwa
Tej zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!
Ja skarżyć nie mam prawa: ja jego morderca —
Ja skarżyć nie mam prawa: przebaczam mu z serca;
Ale i on — — —

«Żeby już raz otwarcie był mię zrekuzował! —
Bo znał nasze uczucia. — Gdyby nie przyjmował
Mych odwiedzin: to kto wie? możebym odjechał,
Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał —
Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy:
Udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy,
Żeby ja mógł się starać o związek takowy! —
A byłem mu potrzebnym: miałem zachowanie
U szlachty, i lubili mię wszyscy ziemianie:

1 — Bo jeszcze wtenczas góry żydowstwo nie brało
I pieniądz, Bóg dzisiejszy, miał czcicieli mało —

Więc on niby miłości mojej nie dostrzegał,
Przyjmował mię jak dawniej, a nawet nalegał,
Abym częściej przyjeżdżał; a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,
Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo
O procesach, sejmikach, łowach — [1]

«Ach, nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,
Gdy mię tak ściskał i o przyjaźni zapewniał,
Potrzebując mej szabli lub kreski na sejmie,
Gdy musiałem nawzajem ściskać go uprzejmie;
To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem
Ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ściskałem,
Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać —
Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,
Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,
Patrzyła błagająca, lice jej bledniało —
A był to taki piękny gołąbek, łagodny!
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
Taki anielski! że już nie wiem, już nie miałem
Odwagi zagniewać jej, zatrwożyć — milczałem. —
I ja, zawadyaka sławny w Litwie całej,
Co przedemną największe pany niegdyś drżały,
Com nie żył dnia bez bitki — co, nie Stolnikowi,
Ale bym się pokrzywdzić nie dał i królowi,
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mię sprzeczka:
Ja — wtenczas zły i pjany, milczał jak owieczka,
Jak gdybym Sanctissimum ujrzał —!

[1] O mych dawnych miłostkach. — Bo prawda, niestety,
Że już balamuciłem i dawniej kobiety:
Zwyczajnie, młody głupiec. — On gadając o tem
Przy swojej córce, serce mi przeszywał grotem;
I po takich wspomnieniach, w rozpaczy i gniewie
Czułem, że już nie mogłem mówić mu o Ewie —
Ach, gdyby on przyzwolił, byłbym się poprawił,
Ustatkował, i z żoną wiek szczęśliwy strawił! —
A wszakże — wielka moja wina, Panie Boże!
Otóż pycha! — Stało się — odstać się nie może —
Panie, świeć jego duszy! —

«Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
I już się nawet przed nim do prośb upokorzyć:
Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia
Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia! —
Spieszyłem znowu jak najzimniej dyskurować
O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować!!
Wszystko to prawda z pychy, żeby nie ubliżyć
Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
Przed panem prośbą próżną, nie dostać odmowy —
Bo jakież by to były między szlachtą mowy,
Gdyby wiedziano, że ja, Jacek — —

«Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
Że mnie Jackowi czarną podano polewkę!

«W końcu, sam już nie wiedząc jak sobie poradzić, [1]
Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić
I opuścić na zawsze powiat i ojczyznę,
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę. — Jadę pożegnać Stolnika,
W nadziei, że gdy ujrzy wiernego stronnika,
Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
Z którym pił i wojował przez tak długie lata,
Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
Jadącego — że może starzec się poruszy
I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,
Jak ślimak rogów —!
Ach, kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
Choćby iskierkę czucia: gdy się z nim rozdziela,
Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu!
Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

«Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobladła,
Bez przytomności, ledwie że trupem nie padła,

[1] Raz pamiętam, nie wiedząc jak sobie poradzić,
Umyśliłem w obce się strony wyprowadzić,
Uciec, schować się. — Jadę pożegnać Stolnika, i t. d.

Nie mogła nic przemówić! aż się jej rzuciły
Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jej miły! —

«Pomnę, pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał
Z radości i z rozpaczy, zapomniał się, szalał.
Już chciałem znowu upaść ojcu jej pod nogi,
Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi,
Weź na syna lub zabij! — Wtem Stolnik posępny,
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs — o czem? oto o córki weselu! —
W tej chwili? — A Gerwazy! uważ przyjacielu,
Masz ludzkie serce! —

«Stolnik rzekł: panie Soplica,
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica;
Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą:
A Kasztelan — witebski! Wszakże to w Senacie
Niskie, drążkowe krzesło. Cóż mi radzisz bracie? —
Nie pamiętam już zgoła, co mu na to rzekłem;
Podobno nic — na konia wsiadłem i uciekłem!» —

«Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
Wynajdujesz: cóż? one nie zmniejszą twej winy
Bo wszakże zdarzało się już nie raz na świecie,
Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecię,
Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,
Mścił się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać,
Panu polskiemu, w Polsce, i w zmowie z Moskalem!» —

«Nie byłem w zmowie, Jacek odpowiedział z żalem.
Gwałtem porwać? Wszak mógłbym: z za krat i z za klamek
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek;
Miałem za sobą Dobrzyn i cztery zaścianki!
Ach, gdyby ona była jak nasze szlachcianki
Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlękła się, i mogła słuchać szczęku broni! —

Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili
Słaba, lękliwa! — był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsiennica! — i tak ją zagrabić, [1]
Dotknąć jej zbrojną ręką, byłoby ją zabić:
Nie mogłem, nie —!
Mścić się otwarcie? szturmem zamek zwalić w gruzy?
Wstyd! — Bo by powiedziano, żem mścił się rekuzy!
Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie
Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie!!

«Szatan dumy zaczął mi lepsze plany raić:
Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,
Nie bywać w zamku, miłość z serca wykorzenić,
Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,
A potem — potem jaką wynaleźć zaczepkę,
Pomścić się — [2]

«I zdało mi się odrazu, żem już serce zmienił,
I rad byłem z wymysłu i — jam się ożenił,
Z pierwszą, którąm napotkał dziewczyną ubogą! —
Źlem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!
Nie kochałem jej. Biedna matka Tedeusza
Najprzywiązańsza do mnie, najpoczciwsza dusza:
Ale jam dawną miłość i złość w sercu dusił.
Byłem jako szalony; darmom siebie musił
Zająć się gospodarstwem albo interesem:
Wszystko napróżno! Zemsty opętany biesem,

[1] Wiosenna gąsiennica! Z rodzimego drzewa
Zerwać ją, byłoby ją zabić! — Czułem, Ewa
Nie przeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa,
Nie przeżyłaby nigdy rodziców przekleństwa:
Nie mogłem, nie! —
Pomścić się? na głowę mu zwalić zamku gruzy?
Wstyd! — Bo by powiedziano, że mścił się rekuzy:
Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewkę,
Jacek Soplica mścił się za czarną polewkę! —
Kluczniku — i t. d.

[2] Pomścić się —
Tak szatan zawsze radzi, zbrodnią leczyć winę,
I ze złej drogi radzi uciekać w głębinę —

Zły, opryskliwy, znaleźć nie mogłem pociechy
W niczem na świecie. — I tak z grzechów w nowe grzechy —
Zacząłem pić.

«I tak nie długo żona ma z żalu umarła,
Zostawiwszy to dziecię; a mnie rozpacz żarła! —

«Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
Tyle lat! — Gdziem ja nie był: a dotąd nie mogę
Jej zapomnieć, i zawżdy jej postać kochana
Stoi mi przed oczyma, jakby malowana! —
Piłem, nie mogłem zapić pamięci na chwilę,
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!
Teraz oto, w habicie, jestem Bożym sługą,
Na łożu, we krwi — o niej mówiłem tak długo! —
W tej chwili, o tych rzeczach mówić? — Bóg wybaczy. [1]
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpaczy
Popełniłem —

«Było to właśnie wkrótce po jej zaręczynach.
Wszędzie gadano tylko o tych zaręczynach;
Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha;
Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha —
Ale Stolnik, jak zawsze spokojny, wesoły,
Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioły.
Mnie już nie prosił: na cóż byłem mu potrzebny?
Mój bezład w domu, bieda: mój nałóg haniebny,
Podały mię na wzgardę i na śmiech przed światem!
Mnie, com niegdyś, rzec mogę, trząsł całym powiatem,
Mnie, którego Radziwiłł nazywał: kochanku,
Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy,
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy

[1] Jeszczem nie skończył! — Prawda, że pierwszy raz w życiu
I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu,
Na dnie sumienia. — Niech mi to Pan Bóg wybaczy! —

Szabel błyszczało w koło, strasząc zamki pańskie —
A potem ze mnie śmiały dzieci włościańskie!
Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!
Jacek Soplica! — Kto zna, co jest czucie pychy —»

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łoże;
A Klucznik rzekł wzruszono: «Wielkie sądy Boże!
Prawda! prawda! Więc to ty? i tyżeś to Jacku?
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku?
Ty, którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany;
Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!
Nie tak dawno! — takeś to zestarzał się z żalu!
Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?
Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,
Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
Ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książe.
Zawiązałeś ty węzeł i mojemu panu!
Nieszczęśniku! — I tyżeś? do takiego stanu?
Jacek Wąsal kwestarzem? Wielkie sądy Boże! —
I teraz, ha, bezkarnie ujść tobie nie może —
Przysięgam! kto Horeszków krwi krople wysączył.» —

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł i tak kończył:
«Jeździłem koło zamku. Ile biesów w głowie
I w sercu miałem: kto ich imiona wypowie!
Stolnik zabija dziecię własne! Mnie już zabił,
Zniszczył! — Jadę pod bramę: szatan mnie tam wabił.
Patrz, jak on hula! Co dzień w zamku pijatyka,
Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie? —

«Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.
Ledwiem pomyślił, szatan nasyła Moskali!
Stałem patrząc. Wiesz, jak wasz zamek szturmowali.

«To fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami zmowie —

«Patrzyłem. Różne myśli snuły się po głowie.
Zrazu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko,
Patrzyłem; potem radość uczułem zbójecką,
Czekając rychło zacznie palić się i walić;
Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,
Nawet Stolnika —

«Broniliście się, ty wiesz, dzielnie i przytomnie.
Zdziwiłem się. Moskale padali w koło mnie.
Bydlęta, źle strzelają! Na widok ich klęski
Złość mię znowu porwała. — Ten Stolnik zwycięski!
I także mu na świecie wszystko się powodzi?
I z tej strasznej napaści z tryumfem wychodzi?
Odjeżdżałem ze wstydem. Właśnie był poranek.
W tem, ujrzałem, poznałem. Wystąpił na ganek,
I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał —
I zdało mi się, że mi szczególniej urągał,
Że mnie poznał, i ku mnie rękę tak wyciągał,
Szydząc i grożąc. — Chwytam karabin Moskala;
Ledwiem przyłożył, prawie nie mierzył — wypala! —
Wiesz! —

«Przeklęta broń ognista! — Kto mieczem zabija,
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;
Ale ta broń ognista — dosyć zamek imać,
Chwila — jedna iskierka —

«Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry? —
Utkwiłem oczo we dwie mojej broni rury;
Rozpacz jakaś, żal dziwny do ziemi mnie przybił!
Czemuż, ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił? —
Łaskę byś zrobił! — Widać, za pokutę grzechu
Trzeba było.» —

Tu znowu brakło mu oddechu.
«Bóg widzi, rzecze Klucznik, szczerze trafić chciałem!
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
A wszystko to przez Waszą panie Jacku winę!
A wszakże, gdy dziś jegry Hrabię na cel wzięli,
Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli,
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
Tyś mię rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił —
Jeśli prawda, że jesteś księdzem zakonnikiem:
Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.
Bądź zdrów, więcej na waszym nie postanę progu,
Z nami kwita — zostawmy resztę Panu Bogu.

Jacek rękę wyciągnął — cofnął się Gerwazy, [1]
«Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obrazy
Dotykać rękę, takiem moderstwem skrwawioną
Z prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono!»

Ale Jacek z poduszek na łoże upadłszy,
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladszy,
I niespokojnie pytał o księdza plebana,
I wołał na Klucznika: «zaklinam Waćpana
Abyś został. Wnet skończę. Ledwie mam dość mocy —

«Co bracie? krzyknął Sędzia, wszakże twoja rana
Nie wielka. Co ty mówisz po księdza plebana?
Może źle opatrzono — zaraz po doktora;
W apteczce jest» — ksiądz przerwał: «Bracie, już nie pora!
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
Źle zgojony, a teraz draśniono, gangrena
Już tu — Znam się na ranach. Patrz; jaka krew czarna
Jak sadza. Co tu doktor? — Ale to rzecz marna.

[1] Jacek rękę wyciągnął — cofnął się Gerwazy,
«Nie mam, rzecze, już żadnej do Waści urazy;
Lecz nie mogę bez mego szlachectwa obrazy
Dotykać ręki i t. d.

Raz umieramy: jutro czy dziś oddać duszę —
Panie Klucznik, przebaczysz mi? ja skończyć muszę!

«Jest w tem zasługa nie chcieć zostać winowajcą
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza, w kim taka, jaka była we mnie duma! —

«Imię zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.
Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele;
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił:
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem.
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domu, w polu. Ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorem oku —
Przecież, nie byłem zdrajcą kraju — —

Moskwa mię uważała gwałtem za stronnika.
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka;
Targowiczanie potem chcieli mię zaszczycić
Urzędem. — Gdybym wtenczas chciał się przemoskwiczyć —
Szatan radził. — Już byłem możny i bogaty:
Gdybym został Moskalem, najpierwsze magnaty
Szukałyby mych względów; nawet szlachta braty,
Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza,
Tym, którzy Moskwie służą, szczęśliwszym, przebacza! —
Wiedziałem to, a przecież — nie mogłem — [1]

«Uciekłem z kraju — —
Gdziem nie był! com nie cierpiał —!

«Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić:
Poprawić się potrzeba było i naprawić
Ile możności to —.

[1] Nasi Republikanie głowy nie uniżą
Przed swoim — a obcemu prochy u stóp liżą —

«Córka Stolnika, ze swym mężem Wojewodą,
Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo,
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię.
Kazałem ją hodować —

«Bardziej niśli z miłości, może z głupiej pychy,
Zabiłem: więc pokora — wszedłem między mnichy.
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,
Spuściłem głowę, kwestarz — zwałem się Robakiem,
Że jako Robak w prochu — —

«Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się — —

«Biłem się za kraj — a gdzie? zmilczę. Nie dla chwały
Ziemskiej, biegłem tylekroć na miecze i strzały — [1]
Milej sobie wspominam, nie dzieła waleczne
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne,
I cierpienia, których nikt — —

Udało mi się nie raz do kraju przedzierać,
Rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,
Układać zmowy. — Znają i Galicyanie
Ten kaptur mnisi, znają i Wielkopolanie!
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy:
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,
Raz już wiedli na Sybir; potem Austryacy,
W Szpilbergu zakopali mię w lochach do pracy,
W carcer durum — a Pan Bóg wybawił mię cudem,
I pozwolił umierać między swoim ludem
Z sakramentami —

[1] Przybrawszy sobie imię, któżby się chciał wsławić,
Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić? —
Tyle mi wolno wyznać: żem żył dla ojczyzny,
Żem najmilej te spełniał rozkazy starszyzny,
Gdzie wiele niebespieczeństw, mało było sławy.
Przemilczę różne moje za krajem wyprawy —
Milej sobie i t. d.

Może i teraz — kto wie? możem zgrzeszył!
Możem nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszył —
Ta myśl, że dom Sopliców pierwszy się uzbroi,
Że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi! —
Ta myśl — zdaje się czysta — —

«Chciałeś zemsty? masz! — Boś ty był narzędziem kary
Bożej, twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary:
Tyś wątek spisku tyle lat snowany splątał! —
Cel wielki, który całe życie me zaprzątał,
Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
Którem tulił, hodował jak najmilsze dziecię,
Tyś zabił w oczach ojca — a jam ci przebaczył!
Ty —!»

«Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył —
Przerwał Klucznik. — Jeżeli masz przyjąć wijatyk,
Księże Jacku: toć ja nie luter, nie syzmatyk;
Kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy.
Powiem tobie coś — pewnie to ciebie pocieszy.
Kiedy nieboszczyk pan mój upadał zraniony,
A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
I miecz maczając w ranie, zemstę zaprzysiągnął:
Pan głową wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
W stronę gdzie stałeś i krzyż w powietrzu naznaczył;
Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył —
Ja też pojąłem: ale tak się z gniewu wściekłem,
Że o tym krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem.»[1]

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
I nastąpiła długa godzina milczenia.
Oczekują plebana. Podkowy zagrzmiały,
Zastukał do komnaty arendarz zdyszały:
List ma ważny, samemu Jackowi pokaże.
Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.

[1] Nieboszczyk był pan, prawda może trochę dumny
Bo też miał z czego — ale święty i rozumny!»

List od Fiszera, który był natenczas Szefem
Sztabu armii polskiej pod Księciem Józefem.
Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie,
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją, Sejm walny w Warszawie zwołany,
I skonfederowane Mazowieckie Stany
Wyrzekną uroczyście przyłączenie Litwy.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy.
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice,
I zalał się ostatnich łez roskosznych zdrojem:
«Teraz rzekł, Panie, sługę twego puść z pokojem!»
Wszyscy uklękli; a wtem ozwał się pod progiem
Dzwonek: znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem.

Własnie już noc schodziła i przez niebo mleczne,
Różowe biegą pierwsze promyki słoneczne —
Wpadły przez szyby, jako strzały brylantowe —
Odbiły się na łożu o chorego głowę,
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.

KSIĘGA XI.

ROK 1812.

Wróżby wiosenne. — Wkroczenie wojsk. — Nabożeństwo. — Rehabilitacja urzędowa ś. p. Jacka Soplicy. — Z rozmów Gerwazego i Protazego wnosic można bliski koniec procesu. — Umizgi ułana z dziewczyną. — Rozstrzyga się spór o Kusego i Sokoła. — Zaczem goście zgromadzają się na biesiadę. — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek: pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.

Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki[1]
I uważają z trwogą wracające ptaki.

Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnej nieba, wciąż jęczą żurawie.
Słysząc to nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamięszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania?

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że w on czas z wyraju
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać — biją stronami pioruny.

[1]Po niebie i po ziemi toczą wzrok żałośny,
I uważają dziwne wróżby owej wiosny.
[1]Na niebiosach, jako nić granatnych paciórek,
Już czerni się żórawi długi, wąski sznurek.

Wojna! wojna! — nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnemi
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spół-leśników:
Teraz widzi — na niebie dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Żadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na pół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr, pierwszy raz w życiu,
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa! — Gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna! —
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu.

[1] Który sam, prócz leśników, nie znał innych ludzi:
Teraz w swojej lubianej chałupie się budzi:
Teraz widzi — i t. d.
[1] Urodzajna, zasiała w głębi mojej duszy
Ziarna, których niedoli chwast nigdy nie zgłuszy. —

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz Książe Józef i Król Westfalski Hjeronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna pod Słonim:
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze, mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu nie dozwala;
Tak radziby co prędzej doścignąć Moskala.

W mieście poblizkiem stanął główny sztab książęcy,
A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy,
I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojć i Grabowski.

Późno było gdy weszli; więc każdy gdzie może,
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze.
Skoro dano rozkazy, rozstawiono czaty,
Każdy strudzony poszedł spać do swej komnaty —
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;
Widać tylko, jak cienie, błądzące patrole,
I gdzie niegdzie błyskania ognisk obozowych,
Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali: gospodarz domu, wodze i żołnierze.
Oczy tylko Wojskiego sen słodki nie bierze;
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:
Biesiadę, godną miłych sercom polskim gości,
I odpowiednią wielkiej dnia uroczystości,
Co jest świętem kościelnem i świętem rodziny:
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny
Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,
Wojski zebrał co prędzej z sąsiedztwa kucharzy:
Pięciu ich było: służą, on sam gospodarzy.
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
Wdział szlafmycę, i ręce do łokciów zakasał;

W ręku ma plackę muszą, owad ladajaki
Opędza, wpadający chciwie na przysmaki;
Drugą ręką przetarte okulary włożył,
Dobył z zanadrza księgę, odwinął, otworzył — —

Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.
W niej spisane dokładnie wszystkie specyały
Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczynie
Dawał owe biesiady, we włoskiej krainie,
Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił.
Podług niej później Karol-Kochanku-Radziwiłł,
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętną owę ucztę, której sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
To natychmiast kucharze robią umiejętni.
Wre robota; pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany;
Leją w kotły, skowrody, rądle. Dym wybucha —
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,
Wojski, ażeby ogień tem łacniej rozpalać,
Rozkazał stopionego masła na drwa nalać —
Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu. —
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu;
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
Ci skubią stosy ptastwa — lecą puchów chmury,
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.
Lecz kur nie wiele było: od owej wyprawy,
Którą w czasie zajazdu Dobrzyński Sak krwawy
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
Zresztą zaś miąs wszelakich był wielki dostatek —
Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,

I z lasów i z sąsiedztwa, z bliska i z daleka:
Rzekłbyś, ptasiego tylko nie dostaje mleka.
Dwie rzeczy, których hojny pan do uczty szuka,
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniej. Pogoda była prześliczna, czas ranny;
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte —
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmura biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spół-niebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białej chmurze jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się jako krzystał przeźroczyste;
Potem jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo litewskie z całej okolicy
Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,

Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu,
A w części z ciekawości: bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być Jenerałowie,
Sławni dowódcy owi naszych legionów,
Których lud znał imiona i czcił jak patronów,
Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy
Były ewangelią norodową Litwy.

Już przyszło oficerów kilku, tłum żołnierzy;
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
Oglądając rodaków mundury noszących,
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia: lud na trawie klęka;
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywając głowy.'
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak z mszalnej kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu

Podkomorzy, niedawno przez powiatu Stany
Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.
Miał mundur województwa: żupan złotem szyty,
Kontusz grodeturowy z frenzlą i pas lity,
Przy którym karabela z głową jaszczurową.
Na szyi świecił wielką szpilką brylantową;
Konfederatka biała, a na niej pęk gruby
Drogich piórek: były to białych czapel czuby. —
Na fest kładzie się tylko kitka tak bogata,
Której każde pióreczko kosztuje dukata. —
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
Wieśniacy i żołnierstwo ścisnęło się kołem.
On rzekł:

«Bracia! ogłosił wam ksiądz na ambonie
Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,
A teraz Litewskiemu Księstwu, Polsce całej
Przywraca; słyszeliście rządowe uchwały
I zwołujące Walny Sejm uniwersały.
Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,
W rzeczy, która się tycze Sopliców rodziny,
Tutejszych panów.

«Cała pomni okolica,
Co tu zbroił nieboszczyk Jan Jacek Soplica:
Ale kiedy o grzechach jego wszyscy wiecie,
Czas i zasługi jego ogłosić na świecie.
Obecni tu są naszych wojsk Jenerałowie,
Od których usłyszałem wszystko co wam mówię.
Ten Jacek nie był umarł — jak głoszono — w Rzymie,
Tylko odmienił życie dawne, stan i imię,
A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyznie winy
Zgładzał przez żywot święty i przez wielkie czyny.

«On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans jenerał
Na pół pobity już się do odwrotu zbierał,
Nie wiedząc, ze Kniaziewicz ciągnie ku odsieczy,
On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy

Przeniosł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,
Donoszące, że nasi biorą tył wrogowi.
On potem w Hiszpanii, gdy nasze ułany
Zdobyły Samosierry grzbiet oszańcowany,
Obok Kozietulskiego był ranny dwa razy.
Następnie, jak wysłaniec, z tajnemi rozkazy
Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,
Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;
Nakoniec, w Soplicowie, w swem ojczystem gnieździe,
Gdy gotował powstanie, zginął na zajeździe.
Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość
Do Warszawy w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość
Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie
Legii honorowej znaki kawalerskie.

«Owoż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,
Ja, reprezentujący Województwa władzę,
Moją Konfederacką ogłaszam wam laską:
Że Jacek wierną służbą i Cesarską łaską
Zniósł infamii plamę, powraca do cześci,
I znowu się w rzęd prawych patryotów mieści.
Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie
Wspomnieć kiedy o dawnej zagładzonej winie,
Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,
Gravis notae maculae, wędle słów Statutu,
Karzących tak militem jak i skartabella,
Co by siał infamiję na obywatela;
A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci
Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.
Ten wyrok Marszałkowski pan Pisarz umieści,
W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

«Co się tycze legii honorowej krzyża:
Że późno przyszedł, nic to sławie nie ubliża;
Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,
Niech służy ku pamiątce: wieszam go na grobie.
Trzy dni tu będzie wisiał, potem do kaplicy
Złoży się, jako votum dla Boga Rodzicy.»

To powiedziawszy, order wydobył z pokrowca,
I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca
Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną
I krzyż biały, gwiaździsty, ze złotą koroną.
Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,
Jako ostatni odbłysk ziemskiej Jacka chwały.
Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mówi,
Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi;
Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,
Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce;
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce.
Patrzą w sad, gdzie, wśród pączków barwistego maku,
Stał ułan, jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku
Strojnym blachą złocistą i piórem koguta;
Przy nim dziewczę w zielonej sukience jak ruta
Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki
Ku oczom chłopca; dalej panny rwały kwiatki
Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
Od kochanków, żeby im nie mięszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką z kory
Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.

«Tak, tak, mój Protazeńku» rzekł Klucznik Gerwazy —
«Tak, tak, mój Gerwazeńku» rzekł Woźny Protazy.
«Tak to, tak!» powtórzyli zgodnie kilka razy
Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
«Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę.
Wszakże, były przykłady: pamiętam procesy,
W których się działy gorsze niż u nas excessy,
A intercyza cały zakończyła kłopot!
Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,
Krepsztulowie z Kupściami, Putrament z Pikturną,
Z Odyńcami Mackiewicz, z Kwileckimi Turno,
Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
Z Litwą, gorsze niżeli z Soplicą Horeszki!

A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga.
Dobrze, gdy strony mają pannę, albo wdowy
Na wydaniu: to zawsze kompromis gotowy.
Najdłuższy proces zwykle bywa z duchowieństwem
Katolickiem, albo też z bliskiem pokrewieństwem:
Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.
Stąd to Lachy z Russami w sporach nieskończonych,
Idąc z Lecha i Russa, dwu braci rodzonych;
Stąd się tyle procesów Litewskich ciągnęło
Długo z księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagiełło;
Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
Sławny ów proces Rymszów z Dominikanami,
Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny ksiądz Dymsza,
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż pan Rymsza;
Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka —»
To mówiąc, półgarcówką przepił do Klucznika.

«Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony,
Dziwneć to były losy tej naszej Korony
I naszej Litwy! Wszak to jak małżonków dwoje!
Bóg złączył, a czart dzieli; Bóg swoje, czart swoje!
Ach, bracie Protazeńku! że to oczy nasze
Widzą! że znowu do nas ci Koronijasze
Zawitali! Służyłem ja z nimi przed laty;
Pamiętam, dzielne były z nich Konfederaty!
Gdyby nieboszczyk pan mój Stolnik dożył chwili! —
O Jacku! Jacku! — lecz cóż będziemy kwilili?
Skoro dziś znowu Litwa łączy się z Koroną,
Toć tem samem już wszystko zgodzono, zładzono.»

«I to dziw, rzekł Protazy, że o tej to Zosi,
O której rękę teraz nasz Tadeusz prosi,
Było przed rokiem omen, jakoby znak z nieba!»
«Panną Zofiją, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba;
Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczka,
Przytem z krwi dygnitarskiej, jest Stolnika wnuczką.»

«Owóż, kończył Protazy, był to znak proroczy
O jej losie, widziałem znak na własne oczy.
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
Pijąc miód; alić patrzym: pęc, pada z poddasza
Dwóch wróblów bijących się; oba samcy stare:
Jeden młodszy cokolwiek miał podgarle szare,
Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu —
My patrzym, a tymczasem szepczą sobie sługi,
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
Soplica; więc ilekroć szary był na górze
Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!
A gdy spadał, wołali: popraw się Soplica,
Nie daj się magnatowi, to wstyd na szlachcica!
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
Wtem Zosieńka, nad ptastwem litością wzruszona,
Podbiegła i nakryła rączką te rycerze;
Jeszcze się w ręku bili, aż leciało pierze,
Taka była zawziętość w tem maleńkiem lichu.
Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,
Że pewnie przeznaczeniem będzie tej dziewczyny
Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
A widzę, że się dzisiaj ziścił omen babi.
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi,
Nie zaś o Tadeuszu —»

Na to Klucznik rzecze:
«Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!
Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
Wiesz, iż dawniej radbym był Sopliców rodzinę
W łyżce wody utopić; a tego chłopczynę,
Tadeusza, od dziecka niezmiernie polubił —
Uważałem, że gdy się z chłopiętami czubił,
Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
Jam go zawsze do trudnych imprezów podżegał.
Wszystko mu się udało: czy wydrzeć gołębie
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,

Czyli z najwyższej sosny złupić wronie gniazdo:
Wszystko umiał! Myślałem: pod szczęśliwą gwiazdą
Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
Któżby zgadł, ze w nim zamku powitam dziedzica,
Męża panny Zofii, mej Wielmożnej pani! —»

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani;
Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy
Tak, tak, panie Gerwazy — tak panie Protazy.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały
Otworem i dym jako z pożaru buchały;
Aż z kłębów dymu, niby biała gołębica,
Mignęła świecąca się kuchmistrza szlafmyca:
Wojski przez okno kuchni, po nad starców głowy,
Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
I podał im nareszcie filiżanki spodek
Pełen biszkoktów, mówiąc: «Zakąście wasz miodek.
A ja wam też opowiem historję ciekawą
Sporu, który miał bitwą zakończyć się krawą,
Gdy, polujący w głębi Nalibockich lasów,
Rejtan wypłatał sztukę książęciu Denassów.
Tej sztuki omal własnem nie przypłacił zdrowiem —
Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem —»
Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
Pytając komu serwis ustawiać rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy zaczerpnąwszy miodu,
Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,
Gdzie ów dorodny Ułan rozmawiał z Panienką.
Właśnie Ułan ująwszy jej dłoń lewą ręką —
Prawą miał na temlaku, widać że był ranny —
Z takiemi odezwał się słowami do Panny:
«Zofijo, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tem wiedzieć.
I cóż, że przeszłej zimy byłaś już gotowa
Dać mi słowo? Ja wtenczas nie przyjąłem słowa:

Bo i cóż mi po takiem wymuszonem słowie?
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie;
Nie byłem taki próżny, ażebym się łudził,
Żem jednem mem spojrzeniem miłość w tobie wzbudził.
Ja nie fanfaron: chciałem mą własną zasługą
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.
Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć?
Czemże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
Może mię bierzesz Zosiu nie tak z przywiązania;
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania?
Ale małżeństwo, Zosiu, jest rzecz wielkiej wagi!
Radź się serca własnego; niczyjej powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja gróźb, ni namów cioci.
Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,
Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać;
Więzić twej woli nie chcę — będziem Zosiu czekać.
Nic nas nie nagli, zwłaszcza że wczoraj wieczorem
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę —
I cóż kochana Zosiu?»

Na to Zosia rzecze,
Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:
«Nie pamiętam już dobrze, co się dawniej działo;
Wiem, że wszyscy mówili, iż za mąż iść trzeba
Za pana: ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych —» Potem, spuściwszy oczęta,
Dodała: «Przed odjazdem, jeśli pan pamięta,
Kiedy umarł ksiądz Robak w ową burzę nocną,
Widziałam, że pan jadąc żałował nas mocno;
Pan łzy miał w oczach. — Te łzy powiem panu szczerze,
Wpadły mi aż do serca; odtąd panu wierzę,
Że mię lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
Za pana powodzenie, zawsze przed oczami
Stał pan z temi dużemi błyszczącemi łzami —
Potem Podkomorzyna do Wilna jeździła,
Wzięła mię tam na zimę; alem ja tęskniła

Do Soplicowa i do tego pokoiku,
Gdzie mnie pan najprzód w wieczór spotkał przy stoliku,
Potem pożegnał. — Nie wiem, skąd pamiątka pana,
Coś niby jak rozsada w jesieni zasiana,
Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła —
Że, jako mówię panu, ustawniem tęskniła
Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,
Że tam znów pana znajdę — i tak się też stało.
Mając to w głowie, często też miałam na ustach
Imię pana — było to w Wilnie na zapustach —
Panny mówiły, że ja jestem zakochana;
Jużci jeżeli kocham, to już chyba pana.»
Tadeusz rad z takiego miłości dowodu,
Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu
Do pokoju damskiego, do owej komnaty,
Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent cudnie wystrojony,
I usługiwał damie swojej narzeczonej,
Biegając i podając sygnety, łańcuszki;
Słoiki i flaszeczki i proszki i muszki;
Wesół, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.
Panna młoda kończyła robić gotowalnię:
Siedziała przed źwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;
Pokojowe zaś, jedne żelazkami w ręku
Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,
Drugie klęcząc, pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,
Kuchcik stuknął doń w okno: kota spostrzeżono! —
Kot, wykradłszy się z łozy prześmignął po łące
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące;
Tam siedzi: wystraszyć go łacno z rozsadniku
I uszczuć: postawiwszy charty na przesmyku.
Bieży Assesor, ciągnąc za obróż Sokoła;
Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.
Wojski obu z chartami przy płocie ustawił
A sam się z placką muszą do sadu wyprawił.

Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo źwierza trwoży;
Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,
Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
Cmokają zcicha: charty nadstawiły uszy,
Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie,
Jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie.
Wtem Wojski krzyknął: «wyczha!» Zając smyk z za płotu
Na łąkę; charty za nim; i wnet bez obrotu,
Sokoł i Kusy razem spadli na szaraka
Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecię,
Żałośnie! — Biegą szczwacze, już leży bez ducha,
A charty mu sierść białą targają z pod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem
Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,
Oderżnął skoki i rzekł: «Dziś równą odprawę
Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,
Równa ich była rączość, równa była praca;
Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty.
Otóż skończony spór wasz długi i zażarty —
Ja, któregoście sędzią zakładu obrali,
Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali.
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
A wy podpiszcie zgodę.» Na starca wezwanie,
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
I długo rozdzielone złączyli prawice.

Wtem rzekł Rejent: «Stawiłem niegdyś konia z rzędem,
Opisałem się także przed ziemskim urzędem,
Iż pierścień mój sędziemu w salarium złożę:
Fant postawiony w zakład wracać się nie może.
Pierścień niechaj pan Wojski na pamiątkę przyjmie,
I każe na nim wyryć albo swoje imię,
Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;
Krwawnik jest gładki, złoto jedenastej próby.

Konia teraz ułani pod jazdę zabrali,
Rzęd został przy mnie, każdy znawca ten rzęd chwali,
Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:
Kulbaczka wąska modą z turecka kozacką,
Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,
Poduszeczka z robontu wyścieła siedzenie;
A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszku
Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;
A gdy w galop się puścisz — tu Rejent Bolesta,
Który, jako wiadomo, bardzo lubił gesta,
Rozstawił nogi jakby na konia wskakiwał,
Potem galop udając powoli się kiwał —
A gdy w galop się puścisz, natenczas z czapraka
Blask bije, jakby złoto kapało z rumaka,
Bo tabeńki są gęsto złotem nakrapiane,
I szerokie strzemiona srebrne, pozłacane;
Na rzemieniach munsztuka i na uździennicy,
Połyskują guziki perłowej macicy,
U napierstnika wisi księżyc w kształt Leliwy,
To jest w kształt nowiu. — Cały ten sprzęd osobliwy,
Zdobyty — jak wieść niesie — w boju Podhajeckim
Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,
Przyjm, Assesorze, w dowód mojego szacunku.»

A na to rzekł Assesor, wesół z podarunku:
«Ja niegdyś darowane od księcia Sanguszki
Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki
Jaszczurem wykładane z kolcami ze złota,
I utkaną z jedwabiu smycz, której robota
Równie droga jak kamień co się na niej świeci.
Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci —
Dzieci pewnie mieć będę: wiesz, że się dziś żenię;
Ale ten sprzęt, Rejencie, proszę uniżenie,
Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rzęd bogaty
I na pamiątkę sporu, co długiemi laty
Toczył się i nareszcie zakończył zaszczytnie
Dla nas obu. Niech zgoda między nami kwitnie.»

Więc wracali do domu oznajmić za stołem,
Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
Wyhodował, i w ogród puścił pokryjomu,
Ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.
Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.
Kuchcik w lat kilka później szepnął o tem słowo,
Chcąc Assesora skłócić z Rejentem na nowo;
Ale próżno krzywdzące chartom wieści szerzył:
Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nie uwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
Czekając uczty, w koło stołu rozmawiali,
Gdy pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi,
I pana Tadeusza z Zofiją przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy;
Zofija z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem —
Od Telimeny pięknie dygać wyuczona. —
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Zresztą ubiór ten samy, w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.
Użęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela;
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie.
Brali ziółka, całując jej ręce, wodzowie;
Zosia znowu dygała w kolej, zapłoniona.

Wtem jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,
I złożywszy ojcowski całus na jej czole,
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole,
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali, brawo!
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególniej jej strojem Litewskim, prostaczym.

Bo dla tych wodzów, którzy w swem życiu tułaczem
Tak długo błąkali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata —
I dawne ich miłostki. Więc ze łzami prawie
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą, aby Zosia wzniosła nieco czoło
I oczy pokazała; ci ażeby w koło
Raczyła się obrócić; dziewczyna wstydliwa
Obraca się, lecz oczy rękami zakrywa.
Tadeusz patrzył wesół i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,
Czy instynktem wiedziała — bo dziewczyna zgadnie
Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie: —
Dosyć, że Zosia pierwszy raz w życiu dziś zrana
Była od Telimeny za upór łajana,
Nie chcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem
Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczem.

Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
Gorset także zielony, różowemi wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte.
Szyja także koszulką obciśniona wąską,
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiąską
Zauszniczki wyrżnięte sztucznie z pestek wiszni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni —
Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem —
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu;
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła, zwyczajem żniwiarki,

Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z oficerów
Dobył z kieszeni portfeuille z plikami papierów,
Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,
Patrzy w Zosię, rysuje. — Ledwie Sędzia zoczył
Papiery i ołówki, poznał rysownika;
Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,
Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska,
Sędzia poznał: «Jak się masz, mój Jaśnie Wielmożny
Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny
Do malarstwa?» — W istocie, był to Hrabia młody;
Niedawny żołnierz: lecz że wielkie miał dochody
I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił,
I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,
Cesarz go pułkownikiem dziś właśnie mianował;
Więc Sędzia witał Hrabię i rangi winszował,
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tymczasem weszła druga para narzeczona:
Assesor, niegdyś Cara, dziś Napoleona
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,
A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,
Już włożył mundur siny z polskiemi wyłogi
I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.
Obok, poważnym krokiem szła jego kochanka
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;
Bo Assesor już dawno Telimenę rzucił,
I aby tę kokietkę tem mocniej zasmucił,
Ku Wojszczance affekty serdeczne obrócił.
Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna: bo oprócz swej dziedzicznej wioski,
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciej pary daremnie czekają czas długi.
Sędzia się niecierpliwi i wysyła sługi;
Wracają, powiadają, że trzeci małżonek,
Pan Rejent, szczując kota, zgubił swoj pierścionek
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama
Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama
I choć jej pomagają służebne kobiety,
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety:
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

KSIĘGA XII.

KOCHAJMY SIĘ

Ostatnia uczta staropolska. — Arcy-serwis. — Objaśnienie jego figur. — Jego ruchy. — Dąbrowski udarowany. — Jeszcze o Scyzoryku. — Kniaziewicz udarowany. — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu. — Uwagi Gerwazego. — Koncert nad koncertami. — Polonez. — Kochajmy się.

Nakoniec z trzaskiem sali drzwi na wściąż otwarto.
Wchodzi pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się, ni miejsca za stołem nie bierze:
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu. Laskę ma na znak urzędu,
I tą laską z kolei jako mistrz obrzędu,
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
Najprzód, jako najpierwsza Województwa władza,
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne:
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne!
Obok, na prawej stronie, Jenerał Dąbrowski,
Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski;
Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,
Oficerowie, pany, szlachta i ziemianie,
Mężczyzny i kobiety, na przemian po parze,
Usiadają porządkiem, gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia, skłoniwszy się opuścił biesiadę.
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę;
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu, a pleban na drugim.

Tadeusz i Zofija do stołu nie siedli;
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście, potraw czekający w sali,
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,
Którego równie drogi kruszec jak robota.
Jest podanie, że książe Radziwiłł-Sierota
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
I wedle własnych planów po polsku ozdobić,
Serwis potem zabrany czasu wojny szwedzkiej
Przeszedł, nie widzieć jaką drogą, w dom szlachecki;
Dziś, ze skarbca dobyty, zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi jak śniegi:
Udawał przewybornie krajobraz zimowy.
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte, zamiast szronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczynia stoją, dla ozdoby,
Nie wielkie z porcelany wydęte osoby
W polskich strojach: jakoby aktory na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie: zresztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi.
Zaczem Wojski podnosi laskę i tak prawi:
Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem —
«Za mych wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
Te persony, których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają polskiego historyą sejmiku,
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie;
Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

«Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono.
Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
Patrzcie, i w każdej kupce stoi w środku człowiek,
Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych, widać: mówca coś tłomaczy,
I palcem eksplikuje i na dłoni znaczy.
Ci mówcy zalecają swoich kandydatów, [1]
Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty bratów.

«Wprawdzie tam, w drugiej kupie, szlachta pilnie słucha,
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
Ów dłoń przy uchu trzyma, i milczkiem wąs kręci,
Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mówca, widząc, że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

«Lecz za to w trzeciem gronie dzieje się inaczej:
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy.
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;
Ten drugi, pochyliwszy czoła na kształt byka,
Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi —
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

«Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi.
Widać, że człek bezstronny; waha się i boi;
Za kim dać kreskę? nie wie, i sam z sobą w walce,
Pyta losu, wzniósł ręce, wytknął wielkie palce,

[1] Z tych mówców i z tych kupek wprawne oko zgada,
Że to przedsejmikowa domowa narada.
Ci mówcy, kandydata są to przyjaciele —
Zamawiają dlań kreski; lecz ja powiem śmiele,
Że się wybór nie uda; widać z min słuchaczy
Że niechętni, i kilku mówców jest w rozpaczy.

Zmrużył oczy, paznockiem do paznokcia mierzy:
Widać, że kreskę swoją kabale powierzy;
Jeśli palce trafią się, da afirmatiwę,
A jeżeli się chybią, rzuci negatiwę.

«Na lewej druga scena; refektarz klasztoru
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodzi stają
I ciekawi przéz głowy w środek zaglądają:
W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,
Właśnie wstrząsnął ostatnią; Woźni ręce wznoszą
I imię obranego urzędnika głoszą.

«Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa.
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza;
Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: veto! —
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podnietą,
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnie;
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

«Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza, co idzie w ornacie:
To Przeor; Sanctissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczęka.
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

«Ach! wy nie pamiętacie tego Państwo młodzi!
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej:
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyantów różnych, żandarmów, konstabów:

Ale jeśli miecz tylko bespieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.»

Wtem dzwoniąc w tabakierę, rzekł pan Podkomorzy:
«Panie Wojski, niech Wasze na potem odłoży
Te historye. Prawda, że sejmik ciekawy:
Ale my głodni, każ Waść przynosić potrawy.»

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:
«Jaśnie Wielmożny Panie, zrób-że mi tę łaskę,
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików.
Oto nowy Marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza. Patrz, jak szlachta braty
Rzucają czapki, usta otwarli — wiwaty!
A tam, po drugiej stronie, pan przekreskowany
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany.
Żona przed domem czeka: zgadła co się dzieje —
Biedna! oto na ręku pokojowej mdleje;
Biedna! Jaśnie wielmożnej tytuł przybrać miała,
A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!»

Tu Wojski skończył opis i laską znak daje.
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy: barszcz królewskim zwany,
I rosół staro-polski sztucznie gotowany,
Do którego pan Wojski z dziwnemi sekrety
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety —
Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie —
Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingredyencyamy pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunnellów;
Owe ryby: łososie suche, dunajeckie,
Wyżyny i kawiary weneckie, tureckie,
Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,
Flądry i karpie, ćwiki i karpie szlachetne;
W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona

U głowy przysmażona, we środku pieczona,
A mająca potrawkę z sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy;
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił, [1]
I odarty ze śniegu już się zazielenił.

[1] Tymczasem, serwis dalej zmieniał pory roku,
Powierzchnia jego, oschła z konfitur potoku,
Zieloną, różnobarwną zabłysnęła wiosną.
Wychodzą różne zboża; jak na drożdżach rosną
Pszenica, z cukru żółtym malowna szafranem
Na kłosach przysypana liściem pozłacanym,
Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies blady,
I gryka, wyrobiona sztucznie z czekolady.
Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie
Wydając na jaw owoc, dojrzały jak w lecie:
Sapieżanki i dule i jabłka i bery,
Zielone, malinami skrapiane szpalery.
Ledwie mają czas goście darów lata użyć;
Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć.
Bo serwis, jako świat nasz, koniecznym obrotem
Zmienia kształt. Już owoce malowane złotem,
Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją,
Upadają z gałązek, liście czerwienieją,
Sypią się: rzekłbyś, iż wiatr jesienny powiewa.
Nakoniec, owe chwilę przedtem strojne drzewa,
Teraz, jakby odarte od wichrów i szronu,
Stoją nagie! były to laski cynamonu,
Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
Odziane zamiast kolców ziareńkami kminu.
Goście pijący wino, zaczęli gałąski.
Pnie i korzenie zrywać, i gryść dla zakąski.
Lecz na końcu serwisa stał porcelanowy
Dom, jakoby dwór pański prześlicznej budowy,
Gustem włoskim podobny do owych pałaców,
Które w Litwie stawiała familija Paców.
W tym domu otwarły się na sprężynach bramy,
I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy
Na koniach piernikowych; a wiodą na smyczy
Charty z ciasta; za nimi orszak obławniczy
Z fliutami, z oszczepami, prowadzący sfory
Ogarów; dalej sieci ciągną się tabory.
Henryk Dąbrowski i t. d.

Bo lekka, ciepłem letniem powoli rozgrzana,
Roztopiła się lodu cukrowego piana
I dno odkryła, dotąd zatajone oku;
Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,
Zabłysnąwszy zieloną, różnofarbną wiosną.
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,
Pszenicy szafranowej buja kłos złocisty,
Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,
I gryka wyrabiana sztucznie z czokalady,
I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć:
Darmo proszą Wojskiego, żeby je przedłużyć:
Już serwis, jak planeta, koniecznym obrotem
Zmienia porę, już zboża malowane złotem,
Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją ;—
Już trawy pożółkniały, liścia czerwienieją,
Sypią się: rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa;
Nakoniec, owe chwilą przedtem strojne drzewa,
Teraz, jakby odarte od wichrów i szronu,
Stoją nagie: były to laski cynamonu,
Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
Odziane zamiast kolców ziareńkami kminu.

Goście pijący wino, zaczęli gałąski
Pnie i korzenie zrywać i gryźć dla zakąski.
Wojski obchodził serwis i pełen radości,
Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie
rzekł: «Mój panie Wojski, czy to chińskie cienie,
Czy to Pinety panu dał w służbę swe bisy?
Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy
I wszyscy takim starym ucztują zwyczajem?
Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem.»

Wojski rzekł kłaniając się: «Nie, Jaśnie Wielmożny
Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!

Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,
Które dawano w domach panów starodawnych,
Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!
Com zrobił, tom wyczytał z tej tu oto księgi.
Pytasz, czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa?
Niestety! już i do nas włazi moda nowa.
Niejeden panicz krzyczy, że nie cierpi zbytków:
Je jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków,
Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie
Fałszywe wino modne, moskiewskie, szampańskie;
Potem w wieczór na karty tyle złota straci,
Że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci —
Nawet — bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,
Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze —
Kiedym ten serwis cudny ze skarbca dobywał,
To nawet Podkomorzy, i on mię przedrwiwał!
Mówiąc, że to machina zmudna, staroświecka,
Że to ma pozór niby zabawki dla dziecka,
Nieprzyzwoitej dla tak znakomitych ludzi!
Sędzio! — i Sędzia mówił, że to gości znudzi! —
A przecież, ile wnoszę z panów zadziwienia,
Widzę, iż ten kunszt piękny godzien był widzenia!
Nie wiem, czy się podobna okazya zdarzy
Częstować w Soplicowie takich dygnitarzy:
Widzę, że pan Jenerał na biesiadach zna się;
Niechaj przyjmie tę książkę! Ona panu zda się,
Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona
Dawał ucztę — ba — nawet dla Napoleona.
Ale pozwól, nim księgę tę panu poświęcę, [1]
Niech powiem, jakim trafem wpadła w moje ręce.»

[1] Ta książka dostała się w me ręce trafunkiem;
Składam ją u nóg, z winnym zostając szacunkiem,
Mnie wielce Mościwego Pana Dobrodzieja» —
Lecz Wojskiemu głos przerwał Rejent, krzycząc: «Knieja,
Knieja źle jest udana; ale za to charty
Wyborne! Ten szczególnie: ma ogon zadarty
Jak mój Knsy, i tutaj on bieży na przedzie
Przed drugim, co jak suseł — Nie prawda, sąsiedzie?» —
Assesor przeczy: «Jeśli wyprzedza na stole,
Inaczej było w polu: co stół to nie pole» —

Wtem szmer powstał za drzwiami; razem głosów wiele
Zawołało: «niech żyje Kurek na kościele!»
Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele.
Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
I wysoko pomiędzy wodzami posadził,
Mówiąc: Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie.»
«Jem wcześnie, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła
Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,
Obejrzeć zbliska naszą armję narodową.
Wieleby gadać — jest to ani to, ni owo!
Szlachta mię obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie.»
To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry,
Na znak że jeść nie będzie, i milczał ponury.

«Panie Dobrzyński, rzekł mu jenerał Dąbrowski,
Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
Ów Maciej, zwany Rózga! znam ciebie ze sławy.
I proszę, takiż dotąd czerstwy, taki żwawy!
Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał;
Patrz, i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał:
A ty jeszcze z młodymi mógłbyś pójść w zapasy,
I rózga twoja kwitnie pono jak przed czasy?

Lecz Wojski kończył, kielich napełniając trunkiem:
«Książka dostała mi się szczególnym trafunkiem.
Tę książkę, jako mówił mi Bartek Dobrzyński,
Posiadał w Wielkopolsce najprzód pan Poniński:
Nie ów Poniński Łodzia, człowiek z brzydką sławą,
Co kraj przedawszy umarł u żyda pod ławą;
Lecz Poniński Starosta. Ten żyjąc wspaniale,
Podług tej książki dawał obiady i bale.
Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu,
Co mieszkał w Kopaszewie, panu Skórzewskiemu.
Wreszcie, książkę od pana Skórzewskiego żony
Dostał Bartek Dobrzyński, Prusakiem rzeczony,
Gdy gościł w Wielkopolsce. Jak zabytek drogi
Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyste progi;
Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu,
Oddał ją mi. — Niech służy Wielmożnemu Panu.»

Słyszałem, żeś niedawno Moskalów ućwiczył.
Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmierniebym życzył
Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,
Ostatnie egzemplarze starodawnej Litwy.»[1]

«Jenerale, rzekł Sędzia, po owem zwycięstwie,
Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księstwie;
Zapewne do którego weszli legionu?
«W istocie, odpowiedział młody Szef szwadronu,
Mam w drugiej kompanii wąsate straszydło,
Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,
A Mazury zowią go litewskim niedźwiedziem.
Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem.»
«Jest, rzekł porucznik, kilku innych rodem z Litwy,
Jeden żołnierz znajomy pod imieniem Brzytwy,
I drugi co z tromblonem jeździ na flankiery;
Są także w pułku strzelców dwa grenadyery
Dobrzyńscy.»

«Ale, ale! o ich naczelniku,
Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,
O którym mi pan Wojski tyle prawił cudów,[2]
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.»
«Scyzoryk, rzecze Wojski, choć nie exulował,
Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował;
Całą zimę nieborak tułał się po lasach,
Teraz dopiero wyszedł. W tych wojennych czasach
Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,
Szkoda tylko, że trochę przyciśniony wiekiem.
Lecz owóż on!» —

Tu Wojski palcem wskazał w sieni,
Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni,

[1] Gdzieś podział, panie Maćku, towarzyszów broni?
Panie Sędzio, racz prosić, niech przyjdą i oni!»
[2] O którym mi pan Sędzia tyle prawił cudów,
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.
Może pan Wojski, jako świadek i historyk
Tej bitwy, opowie nam, gdzie jest ów Szyzoryk?»

A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca
Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca;
Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku.
Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się z tłoku,
I rzekł:

«Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie —
Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie —
Jam jest Rębajło; staję na twe zawołanie
Z tym moim scyzorykiem, który nie z oprawy
Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
Cokolwiek na pochwałę i tej starej ręki,
Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,
Ojczyznie, tudzież panów Horeszków rodzinie,
Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie.
Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
Tak zręcznie temperuje pióra, jak on głowy.
Długo liczyć! — A nosów i uszu bez liku!
A nie ma żadnej szczerby na tym scyzoryku
I żaden go nie splamił zbójecki uczynek:
Tylko otwarta wojna, albo pojedynek —
Raz tylko! — Panie daj mu wieczny odpoczynek! —
Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono,
A i to, Bóg mi świadkiem, pro publico bono.»

«Pokaż no, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski,
A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski!»
I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
I innym oficerom w kolej pokazywał.
Próbowali go wszyscy; ale ledwie który
Z oficerów mógł podnieść ten rapier do góry;
Mówiono, że Dembiński, sławny ręki siłą,
Podźwignąłby szablicę, lecz go tam nie było;
Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki
I dowódca plutonu porucznik Różycki

Potrafili obracać tym żelaznym drągiem:
I tak rapier na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz Jenerał Kniaziewicz, wzrostem najsłuszniejszy,
Pokazało się, iz był w ręku najsilniejszy:
Ująwszy rapier lekko, jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając polskie fechtarskie wykręty:
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,
Cios kradziony i tempy kontrpunktów, tercetów,
Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,
Objął go za kolana i ze łzami jęczał,
Za każdym zwrotem miecza! «pięknie! Jenerale,
Czyś był konfederatem! pięknie, doskonale!
To sztych Puławskich, tak się Dzierżanowski składał.
To sztych Sawy! Któż panu tak rękę układał?
Chyba Maciej Dobrzyński! A to, Jenerale,
Mój wynalazek, dalbóg mój; ja się nie chwalę!
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,
Od mojego imienia zwane Cios mopanku! —
Któż to pana nauczył? to jest moje cięcie,
Moje!» Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie:
«Teraz umrę spokojny! Jest przecie na świecie
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecię!
Bo wszak nad tem oddawna dzień i noc boleję,
Czy po śmierci ten rapier mój nie zardzewieje!
Otóż nie zardzewieje! — Mój Jaśnie Wielmożny
Jenerale, wybacz mi; porzućcie te rożny,
Niemieckie szpadki; to wstyd szlacheckiemu dziecku
Nosić ten kijek: weźmij szablę po szlachecku!
Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
To jest, co najdroższego na świecie posiadam;
Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku
Pieściłem go; on w nocy sypiał przy mym boku;

A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie
Wisiał, jako nad żydem Boże przykazanie!
Myślałem zakopać go razem z ręką w grobie,
Lecz znalazłem dziedzica. — Niechaj służy tobie!»

Jenerał w pół śmiejąc się a na pół wzruszony:
«Kolego, rzekł: jeżeli ustąpisz mi żony
I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota
Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!
Powiedz, czem ci ten drogi dar mam wynagrodzić,
I czem twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić?»
«Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał, grając w marjasza z Moskalem?
Jak o tem pieśń powiada. — Ja mam dosyć na tem,
Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem
W takiem ręku! Niech tylko Jenerał pamięta,
Aby tasiemka była długa, rozciągnięta,
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha.»

Jenerał wziął scyzoryk; lecz że bardzo długi,
Nie mógł nosić, w furgonie schowały go sługi.
Co się z nim stało — różnie powiadają o tem,
Lecz nikt pewnie nie widział, ni wtenczas ni potem.

Dąbrowski rzekł do Maćka: «A ty co, kolego?
Zdaje się, żeś ty nie rad z przybycia mojego?
Milczysz kwaśny! I jakże serce ci nie skacze,
Gdy widzisz orły złote, srebrne? gdy trębacze
Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?
Maćku, myślałem, że ty większym jesteś zuchem!
Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń nie siędziesz,
Przynajmniej z kolegami wesoło pić pędziesz
Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!»

«Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!
Ale panie, dwóch orłów razem się nie gnieździ!
Łaska Pańska, Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!

Cesarz wielki bohater! gadać o tem wiele!
Pamiętam, że Puławscy moi przyjaciele
Mawiali, poglądając na Dymuliera,
Że dla Polski polskiego trzeba bohatera,
Nie Francuza, ani też Włocha, ale Piasta —
Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta.
Wojsko! — Mówią, że polskie! — Lecz to fizyljery,[1]
Sapery, grenadjery i kanonjery:
Więcej słychać niemieckich tytułów w tym tłumie
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
A muszą też być z wami Turki czy Tatary!
Czy syzmatyki, co nic Boga ani wiary:
Sam widziałem! kobiety w wioskach napastują,
Przechodniów odzierają, kościoły rabują!
Cesarz idzie do Moskwy — daleka to droga,
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga!

[1]Tu, widzę inni ludzie, niż byli w mych latach.
Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,
Manewrach; noszą tylko lance, karabiny.
Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny!
Widziałem dwóch Potokich — i któż to uwierzy?
Szwędających się konno samych, jak żołnierzy!
A to byli synowie Potockiego Jana,
W prawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana!
Jeden zwie się Arturem, a drugi Alfredem:
Myślałbyś że ten Niemiec, a tamtem jest Szwedem —
Kto to wszystko zrozumie! — To grenadjery,
To znowu fizyljery, to znów woltyżery:
Więcej tu pono Niemców, niżeli Polaków.
Ni usarzy nie widać, ni pancernych znaków!
A szable — a mój Boże! wszak to kara nieba!
Temi szablami u nas nie ukroisz chleba —
A muszą też być z Niemcem Turki, czy Tatary,
Czy syzmatyki: bo to ni Boga ni wiary!
Kobiety napastują, w kościołach nocują,
Z końmi śpią na ołtarzach, a nawet rabują!
Na Litwina uderzył Cesarz jak na wroga —
Idzie, mówią, do Moskwy. — Dalega to droga!
Pono Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga:
Słyszałem, że już popadł pod klątwy biskupie;
Słowem: dzieło — —» Tu Maciej chleb umoczył w zupie,
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Słyszałem, że już popadł pod klątwy biskupie;
Wszystko to jest —» Tu Maciej chleb umoczył w zupie,
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,
Młodzież zaczęła szemrać — Sędzia przerwał swary,
Głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Był to Rejent: sam siebie Rejentem ogłosił.
Nikt go nie poznał. Dotąd polskie suknie nosił:
Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza
Warunkiem intercyzy, wyrzec się kontusza;
Więc się Rejent rad nierad po francusku przebrał.
Widno, że mu frak duszy połowę odebrał:
Stąpa, jakby kij połknął, prosto, nieruchawo;
Jak żóraw, nie śmie spojrzeć ni w lewo ni w prawo;
Mina gęsta, lecz z miny widać, że jest w męce,
Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce:
On: co tak gesta lubił! — Ręce za pas sadził,
Nie masz pasa — tylko się po żołądku gładził;
Postrzegł omyłkę; bardzo zmięszał się, spiekł raka,
I ręce obie schował w jednę kieszeń fraka.
Idzie jakby przez rózgi śród szeptów i drwinek,
Wstydząc się za frak, jakby za niecny uczynek:
Aż spotkał oczy Maćka i zadrżał z bojaźni.

Maciej dotąd z Rejentem żył w wielkiej przyjaźni;
Teraz, wzrok nań obrócił tak ostry i dziki,
Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,
Myśląc, że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi.
Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: «głupi!»
I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania,
Że zaraz wstał od stołu i bez pożegnania
Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,
Telimena, roztacza blaski swej urody,
I ubiór, od stóp do głów co najświeższej mody.

Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,
Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie;
Chyba pędzel by skreślił te tiule, ptyfenie,
Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie,
I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia. Z zadziwienia blady,
Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady:
«I tyżeś to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?
Ty? w obecności mojej ściskasz rękę cudzą,
O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!
I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?
Takeś twojej tak świeżej niepomna przysięgi?
O łatwowierny! po cóż nosiłem te wstęgi!
Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!
Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!»

Goście powstali, Rejent okropnie się zmięszał,
Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał;
Lecz Telimena wziąwszy Hrabiego na stronę:
«Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę;
Jeżeli pan przeszkadzasz, odpowiedz-że na to
A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:
Czy mię kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
Czyś gotów, żebyś ze mną zaraz się ożenił,
Zaraz, dziś? — jeśli zechcesz, odstąpię Rejenta »
Hrabia rzekł! «O kobieto dla mnie niepojęta!
Dawniej w uczuciach twoich byłaś poetyczną,
A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną!
Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
Które związują tylko rękę a nie duchy?
Wierzaj: są oświadczenia, nawet bez wyznania;
Są obowiąski, nawet bez obowiązania!
Dwa serca, pałające na dwóch końcach ziemi,
Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi —
Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca
Dąży i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,

Że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą
Biegą do siebie — ale zbliżyć się nie mogą!»
«Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą
Z łaski Bożej, dość Hrabio: ja jestem kobietą —
Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.
Teraz ostrzegam: jeśli piśniesz jedno słowo,
Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie
Że z temi paznokciami przyskoczę do ciebie
I —» «Nie będę, rzekł Hrabia, szczęścia pani kłócił» [1]
Tu oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił.
I ażeby ukarać niewierną kochankę,
Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzankę.

Wojski pragnął młodzieńców porożnionych zgodzić
Przykładami mądremi: więc zaczął wywodzić
Historyę o dziku nalibockich lasów,
I o kłótni Rejtana z książęciem Denassów.
Ale goście tymczasem skończyli jeść lody,
I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę: krążą miodu dzbany.
Muzyka już się stroi i wzywa na tany.
Szukają Tadeusza, który stał na stronie,
I coś pilnego szeptał swojej przyszłej żonie.

«Zofijo! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
Wiesz, iż znaczna część wiosek które mam posiadać,
Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.

[1] I zdrapię ci policzki i oczy ci wydrę!»
«Hrabia ze zgrozą na nią spojrzał, jak na hydrę:
Widzę ja, rzecze do niej, żeś w nim zakochana:
Dowodzi tego nagła charakteru zmiana.
I czegoż to nie mogą miłości płomienie?
W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie!
Przebaczam ci, bym szczęścia twojego nie kłócił» —
To wyrzekłszy, ze wzgardą się od niej odwrócił!
I ażeby niewierniej zapomnieć kochanki,
Obrócił serce swoje do Podkomorzanki.

Ci chłopi są nie moi, lecz twoi poddani:
Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich pani.
Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną:
Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że pana innego dostaną?
Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie:
Lecz po mej śmierci, Bóg wie komu ich zostawię.
Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję:
Bespieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnymi —
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.
Lecz muszę ciebie ostrzedz, że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu;
Lecz ty Zofijo, jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata!
Czy zgodzisz się żyć na wsi, z daleka od świata,
Jak ziemianka — ?»

A na to Zosia rzekła skromnie:
«Jestem kobieta, rządy nie należą do mnie,
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całem sercem zgoda!
Jeśli, włość uwalniając, zostaniesz uboższy:
To Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy.
O moim rodzie mało wiem i nie dbam o to;
Tyle pomnę, że byłam ubogą sierotą,
Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
W ich domu hodowana i za mąż wydana.
Wsi nie lękam się. Jeśli w wielkiem mieście żyłam
To dawno, zapomniałam — wieś zawsze lubiłam;
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
Więcej bawiły niśli owe Peterburki.

Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi:
To z dzieciństwa; wiem teraz, że mnie miasto nudzi;
Przekonałam się zimą po krótkim pobycie
W Wilnie, że ja na wiejskieurodzona życie:
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
Pracy też nie lękam się, bom młoda i zdrowa,
Umiem chodzić około domu, nosić klucze —[1]
Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!»

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
Podszedł ku niej zdziwiony i kwaśny Gerwazy:
«Już wiem — rzekł — Sędzia mówił już o tej wolności!
Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości!
Boję się, żeby to coś nie było z niemiecka!
Wszak wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka!
Prawda, że się wywodzim wszyscy od Adama:
Alem słyszał, że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.
Jużci pleban inaczej uczy na ambonie —
Powiada, że to było tak w starym Zakonie,
Ale skoro Chrystus Pan, choć z królów pochodził;
Między żydami w chłopskiej stajni się urodził,
Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził —
Niech i tak będzie, kiedy inaczej nie można!
Zwłaszcza, że jako słyszę i Jaśnie Wielmożna
Pani moja Zofija na wszystko się zgadza.
Jej rozkazać, mnie słuchać! jużci przy niej władza.
Tylko ostrzegam, byśmy wolności nie dali
Pustej i słownej tylko, jako za Moskali,
Kiedy pan Karp nieboszczyk włościan wyswobodził,
A Moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził.
Radzę więc, aby chłopów, starym obyczajem,
Uszlachcić i ogłosić, że im herb nasz dajem.

[1] Obaczysz Tadeuszu: nim kilka lat minie,
Będziesz miał z twojej Zosi sławną gospodynię!»

Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
Drugim niech swą Leliwę nada pan Soplica.
Natenczas i Rębajło uzna chłopa równym,
Gdy go ujrzy szlachcicem, Wielmożnym, herbownym.
Scjm potwierdzi.

«A niech się mąż pani nie trwoży,
Iż oddanie ziem Państwo tak bardzo zuboży,
Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiej
Widział umozolone w pracy gospodarskiej.
Jest na to sposób. W zamku wiem ja pewną skrzynię,
W której jest Horeszkowskie stołowe naczynie,
Przytem różne sygnety, kanaki, manele,
Kity bogate, rzędy, cudne karabele.
Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży,
Pani Zofii jako dziedziczce należy.
Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,
Od Moskalów i od was, państwo Soplicowie.
Mam także spory worek mych własnych talarów,
Uzbieranych z wysługi, tudzież z pańskich darów.
Myślałem, gdy nam zamek wróconym zostanie,
Obrócić grosz na murów wyreperowanie;
Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie
A więc, panie Soplico, wnoszę się do ciebie,
Będę żył u mej pani na łaskawym chlebie,
I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,
Wprawiać do scyzoryka pani mojej dziecię,
Jeśli syn — a syn będzie: bo wojny nadchodzą,
A w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą.»

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,
Gdy poważnemi kroki przystąpił Protazy.
Skłonił się i wydobył z zanadrza kontusza
Panegiryk ogromny, w pół-trzecia arkusza.
Skomponował go rymem podoficer młody,[1]
Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody;

[1] Skomponował go rymen wiejski organista.
Już Protazy przeczytał brzmiących wierszy trzysta,

Potem wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,
Wiersze rabiał. Już Woźny przeczytał ich trzysta,
Aż gdy przyszedł do miejsca: O ty, której wdzięki
Budzą bolesną radość i roskoszne męki;
Która, na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną,
Złamią się wnet oszczepy i tarcze rozpękną!
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiej niezgód hydrze
Niech dłoń twoja syczące z czoła żmije wydrze! —
Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali,
Niby chwaląc, w istocie nie chcąc słuchać dalej.
Już z rozkazu Sędziego pleban stał na stole
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
Skoczyli do panicza, padli do nóg pani:
«Zdrowie Państwu naszemu!» ze łzami krzyknęli —
Tadeusz krzyknął: «zdrowie Spółobywateli,
Wolnych, równych — Polaków!» — «Wnoszę Ludu zdrowie!»
Rzekł Dąbrowski — lud krzyknął «niech żyją Wodzowie!
Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!»
Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany.

Tylko Buchmann radości podzielać nie raczył;
Pochwalał projekt, lecz go rad by przeinaczył:
A najprzód, komissyę legalną wyznaczył,
Która by —

Krótkość czasu była na zawadzie,
Że nie stało się zadość Buchmanowej radzie.
Bo na dziedzińcu zamku już stali parami
Oficery z damami, wiara z wieśniaczkami.

[1] Aż gdy doszedł do miejsca, gdzie fortunne kresy
Z prawnemi kombinując serdeczne procesy,
Mądrość — Zofiją — z Bożym darem — Tadeuszem —
Zechciały dożywotnim sprządz Himeneuszem —
Tadeusz i Zofija ustawnie klaskali,
Niby chwaląc, i t. d.

Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Oficerowie wiodą muzykę wojskową;
Ale pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
«Każ pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała.
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny;
A dawnym obyczajem jest naszej rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.
Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice —
Poczciwi muzykanci; już się skrzypak zżyma —
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma.
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać.
Niechaj ci zaczną; niech się i lud podweseli;
Potem będziem wybornej twej słuchać kapeli.»
Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy —
Na to hasło, stojący obok kobeźnicy,
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem:
Myślałbyś, że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci.
Brakło cymbałów.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu. —
Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił —
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości! w guście i talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się — umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drążki, któremi zwykle mistrz we struny dzwoni,

Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: «Jankielu, mowi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże Jankielu;
Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mem weselu?»

Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą,
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z roskoszą
I z dumą: jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną se ściany:
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i probując brzęczą;
Jankiel z przymrużonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchomne drążki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba;
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.

Znów gra. Już drgają drążki, tak lekkiemi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając cichę, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:
Brzmi Polonez Trzeciego Maja! — Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją:

Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla festowali.
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!
Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;
A wtem, puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza poszkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomięszał przeczuciem złowieszczem
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany:
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął, «znam! znam głos ten! to jest Targowica!»
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca — —

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów;
Takt marszu, wojna, attak, szturm; słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek. — Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, ktorą znały z pieśni i z powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa: Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,

I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nutę żałośną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
W koło mistrza: słuchają, wspominają sobie,
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy — —
Tak ryzmyślając smutnie pochylili głowy.

Ale je wnet podnieśli. Bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia; coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła —
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy «Marsz Dąbrowski» chórem okrzyknęli!
Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce —
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca:
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił:
«Jenerale — rzekł — ciebie długo Litwa nasza
Czekała długo, jak my Żydzi Messyasza —

Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki — ciebie niebo obwieściło cudem —
Żyj i wojuj, o ty nasz! —» Mówiąc, ciągle szlochał:
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował —
On, czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza,
I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia:
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec; rad z jej odpowiedzi
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.
Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
On by rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I żeby mimo przeszli: pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, rad by towarzyszów zmylić,

Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyznaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim —

Brzmią zewsząd okrzyki:
«Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak Poloneza wodzi!»
I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak ani kapeli
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli.
Ręce w tył założywszy, stoi zły, ponury,
Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,
Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
Niewdzięczna! Chociaż tyle pięknych darów strwonił,
Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił:
On jeszcze — ile razy na parkanie siadał,
By ją dojrzeć przez okna, w konopie się wkradał,
Żeby patrzeć, jak ona pleła swe ogródki,
Rwała ogórki, albo karmiła kogutki!
Niewdzięczna! — Spuścił głowę i nakoniec świsnął
Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął,
I szedł w obóz, gdzie stała przy armatach warta;
Tam dla rozerwania się zaczął grać drużbarta

Z wiarusami, kielichem osładzając żałość —
Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,
Ledwie widna z daleka. Na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience,
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem.
Zgadniesz gdzie jest: bo ku niej obrócone oczy,
Wyciągnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy
Darmo się Podkomorzy zostać przy niej sili:
Zazdrośnicy już z pierwszej pary go odbili;
I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył:
Ustąpił ją drugiemu, a już trzeci spieszył;
I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.
Aż Zosia, już strudzona, spotkała z kolei
Tadeusza i dalszej lękając się zmiany
I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany —
Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany;
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
Owdzie nieco drobniejsze jak stado cyranek;
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłem powietrzem westchnąwszy, usnęło.
A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,

Wreszcie z kolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,
Wszystkich przyjaciół, których kto żywy spamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta! —

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wina piłem
A com wiedział i słyszał w księgi umieściłem.

OBJAŚNIENIA.

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE,

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej egzekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne w kraju, gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnej policyi pod swemi rozkazami, a obywatele możni trzymali nadworne półki; niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto-tysięczne wojska. Żałujący więc, uzyskawszy dekret, musiał po egzekucyę udawać się do stanu rycerskiego, do jest to szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powiernicy ciągnęli z dekretem w ręku i w towarzystwie woźnego, zdobywali — często nie bez rozlewu krwi — dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w posesyę oddawał. Taka egzekucya zbrojna dekretu nazywała się zajazdem. W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom; rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djabłem. Zepsucie publicznych obyczajów w Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mięszały spokojność Litwy.

Str. 9. w. 11. Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramię.

Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na Jasnej Górze w Częstochowie. W Litwie, słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogródku, tudzież Żyrowieckiej i Borúńskiej.

Str. 13. w. 26. 27. Słudzy nie wyszli witać; ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd rosyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala odrazu praw i istytucyi cywilnych, ale powoli ukazami podkopuje i roztacza. W Małorosyi, naprzykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony; Litwie zostawiono całe dawne urządzenie sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu sędziowie ziemscy i grodzcy w powiatach i sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga, do mnogich różnego stopnia instytucyi, przy sądach więc miejscowych ledwie pozostał cień dawnej powagi tradycyjnej.

Str. 3. w. 38. Słudzy czekają nim się pan Wojski ubierze.

Wojski — tribunus — bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż osobom poważnym nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Oboźnym, Stolnikiem lub Podczaszym, zrazu w rozmowie tylko w korespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd rosyjski zabraniał podobnych tytułów i pragnąłby je śmiesznością okryć, a wprowadzić na ich miejsce tytułowanie podług rang swojej hierarchji, do której Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 14. w. 19. Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, princeps nobilitatis, za rządu rosyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcyi utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka i mianuje Komorników, czyli mierniczych powiatowych.

Str. 16. w. 23. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny, albo jenerał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty, i t. d. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 23. w. 2. Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo, że za jastrzębiem drobne ptastwo, szczególnie jaskółki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie: latać jak za rarogiem.

Str. 25. w. 23. Że Bonapart czarował. — — —

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rosyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 27. w. 1. Assesora z Rejentem wzmogła sie uparta.

Assesorowie składają policyę ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczeni od rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie appelacyjni zowią się także Assesorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelaryą; dekretowi piszą wyroki: wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Str. 34. w. 11. Co by rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 33. w. 17. Białopiotrowiczowi samemu odmówił,

Jerzy Białopiotrowicz, ostatni Pisarz W. Ks. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasińskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnót i patryotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 34. w. 33. Woźny pas mu odwiązał, pas słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych na całą Polskę udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 35. w. 19. Była to trybunalska wokanda;

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron procesujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć takową wokandę.

Str. 36. w. 34. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armię włoską, złożył Dyrektoryatowi zdobyte chorągwie.

Str. 37. w. 1. Jak Jabłonowski zabiegł, aż kędy pieprz rośnic.

Książe Jabłonowski, dowodzący Legją Naddunajską, umarł w Saint Domingo i cała prawie legja tam zginęła. W emigracji jest kilku weteranów pozostałych z owej nieszczęsnej wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

Str. 45. w. 32. I w organ i w rozliczne instrumenta grała.

W dawnych zamkach stawiano na chórach organ.

Str. 47. w. 16. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka, podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str, 53. w. 23. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, któremi Litwini prowadzą handel z Prusami, spławiając zboża i biorąc w zamian za nie towary kolonialne.

Str. 62. w. 28. Książe Dominik, kiedym z nim razem polował.

Kisiąże Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, emigrował do Księstwa Warszawskiego i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francji. Na nim zgasła linja męska Książąt na Ołyce i Nicświeżu, największych panów w Polsce i zapewne w Europie.

Str. 62. w. 29. 30. I z marszałkiem Sanguszką księciem, z Jenerałem Mejenem. — — —

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowej za Kościuszki. Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 72. w. 13. 14. Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna o grzybach, wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W tej pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 82. w. 21. «Niebios, niebios potrzeba.» Nasz malarz Orłowski —

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł niedawno w Petersburgu.

Str. 86. w. 11. 12. Dwie pjawki, które w całej okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierza, szczególniej niedźwiedzia.

Sprawnik, czyli kapitan sprawnik naczelnik Policji ziemskiej; Strapczy, rodzaj Prokuratora rządowego. Urzędnicy ci, mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiem są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 88. w. 18. Ukołysany, marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycyi, Wielki Książe Gedymin miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 89. w. 2. Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego: przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 88. w. 9. Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie.

W powiecie Rosieńskim, w majętności Paszkiewicza, Pisarza Ziemskiego, rósł dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzy tego wygniłego olbrzyma Paszkiewicz założył gabinet starożytności litewskich.

Str. 89. w. 12. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?

Niedaleko fary Nowogródzkiej rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

Str. 89. w. 12. 13. — — — wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Ob. Goszczyńskiego Zamek Kaniowski, Poema.

Str. 95. w. 26. Kołomyjek z Halicza. —

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 86. w. 4. 5. — — — znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinym:

Ob. przyp. do str. 53 w. 23.

Str. 96. w. 19. 20. Dziś miejsce Gerwazego — — —
Zwane Pokuciem — — —

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd Rosjanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa, którego chce uczcić.

Str. 103. w. 32. 33. Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się i nakoniec wierzchnie ostrze, za-

giąwszy się, dziób zamyka i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy ornitologowie.

Str. 103. w. 36. 37. Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

Str. 109. w. 11. A co fuzyjka? moja? Nie wielka ptaszyna?

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy z takich fuzyi ptaka w lot trafiają.

Str. 112. w. 7. Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej bywają na dnie listki złota.

Str. 116. w. 27. 28. — — — taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porżnąć na pasy skórę wołową i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartagenę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Enejdzie, ale zapewne w komentarzach Scholiastów.

NB. Niektóre miejsca w Pieśni Czwartej są pióra Stefana Witwickiego.

Str. 131. w. 2. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi.

Raz na Sejmie poseł Filip, ze wsi dziedzicznej Konopie, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materyi, że wzbudził śmiech pewszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie: wyrwał się jak Filip z konopi.

Str. 148. Zaścianek.

Nazywają w Litwie Okolicą lub Zaściankiem osadę szlachecką, dla różnicy od właściwich wsi, czyli siół: osad wiejskich.

Str. 265. w. 9. On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczynu owsianego, płócze się wodą, aż póki nie oddzielą się wszystkie cząstki mączne: stąd przysłowie.

Str. 157. w. 31. Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Str. 159. w. 8. Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, rozkazywud zatykać w każdej parafii drąg wysoki z uwiązaną na wierzcah miotłą czyli wicią: i to się nazywało rozdać wici. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był poł utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew wojewódzką.

Str. 160. w. 8. Brała również przydomki, zwane imioniska.

Imioniska są właściwie sobrykiety.

Str. 163. w. 11. Bronić pana Pocieja — — —

Aleksander hrabia Pociej, wróciwszy po wojnie do Litwy, wspierał rodaków udających się za granicę i znaczne summy przesłał do kasy Legjonów.

Str. 185. w. 26. Nieco wyżej Dawida wóz gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstellacya zwana u astronomów Ursa major.

Str. 186. w. 13. Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele.
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajdowane zabytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Str. 186. w. 25. Był to kometa pierwszej wielkości i mocy.

Pamiętny kometa roku 1811.

Str. 187. w. 27. Ksiądz Poczobut, człek sławny, był obserwatorem.

Ksiądz Poczobut, ex-jezuita, sławny astronom, wydał dzieło o Zodyaku w Denderach i obserwacjami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżyca. Ob. Żywot przez Jana Śniadeckiego.

Str. 190. w. 8. W świecie księcia był książe Niemiecki Denassów.

Właściwie książe de Nassau-Siegen, sławny podówczas wojownik i awanturnik. Był admirałem moskiewskim i pobił Turków na Lemanie, potem sam na głowę pobity od Szwedów, Bawił czas jakiś w Polsce, gdzie otrzymał indygenat. Po-

jedynek księcia de Nassau z tygrysem brzmiał wówczas po wszystkich gazetach europejskich.

Str. 212. w, 11. A czy Sędzia, rzekł Major, żołtą księgę czytał?

Żółta Księga, od okładek tak nazwana, księga barbarzyńska praw wojennych rosyjskich. Nieraz, w czasie pokoju, rząd ogłasza prowincye całe za będące w stanie wojny i na mocy Żółtej Księgi oddaje dowódcy wojskowemu zupełną władzę nad majątkami i życiem obywateli. Wiadomo, że od roku 1812 aż do rewolucji, Litwa cała podlegała Żółtej Księdze, której egzekutorem był Wielki Książe Carewicz.

Str. 220. w. 27. 28. Ciągnie za sobą długie, sążniowate drzewo,
Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatruje się młody dąb i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miazgę rozerżnąwszy, drzewo zlekka poranić. W te karby wtykają się ostre krzemienie, które z czasem wrastają w drzewo i tworzą guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną broń piechoty litewskiej; dotąd używają się niekiedy i zowią się nasiekami.

Str. 221. w. 5. 6. I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki.

Po powstaniu Jasińskiego, kiedy wojska litewskie ustępowały ku Warszawie, Moskale zbliżyli się do opuszczonego Wilna. Jenerał Dejów, na czele sztabu, wjeżdżał przez Ostrą Bramę. Ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin, spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku, kartaczami nabitą, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalił wówczas Wilno. Jenerał Dejów z kilku oficerami zginął; reszta, lękając się zasadzki, odstąpiła od miasta. Nie wiem z pewnością nazwiska onego mieszczanina.

Str. 229. w. 20. Taki miał koniec Zajazd ostatni na Litwie.

Bywały i później jeszcze zajazdy, lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośne i krwawe. Około roku 1817 obywatel U..., w Województwie Nowogródzkiem, pobił na zajeździe cały garnizon Nowogródzki i dowódców zabrał w niewolę.

Str. 233. w. 25, Ten za bitwę pod nowi, ten za Prejsisz-Iłów.

Zapewne Preussisch-Eylau.

Str. 255. w. 18. Targowiczanie potem chcieli mnie zaszczycić.

Zdaje się; że Stolnik zabity został około roku 1791, za czasów pierwszej wojny.

Str. 259. w. 3. Wróżby wiosenne.

Jeden kistoryk rosyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przeczucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812.

Str. 259. w. 19. Nie biegło na ruń —

Ruń jest to zieleniejąca się ozimina

Str. 260. w. 25. Wszyscy na północ; rzekłbyś, że w on czas z wyraju.

Wyraj, w mowie gminnej, znaczy właściwie czas jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj; jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem kraje ciepłe i w ogólności jakieś kraje bajeczne, szczęśliwe, za morzami leżące.

Str. 263. w. 5. Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stu-kilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Str. 293. w. 9. Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił.

Opisywano wielekroć i malowano ową Legację Rzymską. Ob Kucharz doskonały, przemowa: «Ta legacya wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu — że jeden z książąt Rzymskich rzekł: Dziś Rzym szczęśliwy, mając takiego Posła.» — NB. Czerniecki sam był kuchmistrzem Ossolińskiego.

Str. 266. w. 2. Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.

W Litwie, za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich, zawiązano w województwach Konfederacje i obrano posłów na Sejm.

Str. 266. w. 32. On to pod Hohenlinden —

Wiadomo, że pod Hohenlinden korpus polski pod dowództwem Jenerała Kniaziewicza zdecydował wygranę.

Str. 216. w. 14. Jest podanie, że książe Radziwiłł-Sierota.

Radziwiłł-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacji swojej do Ziemi Świętej.

Str. 285. w. 7. Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił.

W szesnastym i na początku siedemnastego wieku, w epoce kwitnienia sztuk, uczty nawet były przez artystów urządzane, pełne symbolów i sztuk teatralnych. Na sławnej uczcie, danej w Rzymie dla Leona X, znajdował się serwis przedstawiający z kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwiłłowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około połowy wieku ośmnastego; w Polsce, najdłużej przetrwały.

Str. 286. w. 29. Czy to Pinety panu dał w służbę swe bisy?

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz; kiedy u nas gościł, nie wiemy.

Str. 229. w. 11. 12. Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał, grając w marjassa z Moskalem.

Znajoma na Litwie pieśń żałośna o pani Cybulskiej, którą mąż w karty przegrał Moskalom.

Str. 233. w. 13. Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebierania się w suknie francuskie grasowała na prowincjach od roku 1800 do 1812. Najwięcej młodzieży przebrało się przed ożenieniem, na żądanie narzeczonych.

Str. 296. w. 16. I o kłótni Rejtana z książęciem Denassów.

Historja sporu Rejtana z książęciem de Nassau, przez Wojskiego nie doprowadzona do końca, wiadoma jest z tradycji. Umieszczamy koniec jej kwoli ciekawemu czytelnikowi. Rejtan, obruszony przechwałką książęcia de Nassau, stanął obok niego na przesmyku. Właśnie ogromny odyniec, rozjuszony strzałami i szczwalnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrywa książęciu z rąk strzelbę, ciska o ziemię, a ująwszy oszczep i podając drugi Niemcowi: «teraz, rzekł, obaczym kto lepiej robi spisą.» Już odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha, opodal stojący, trafnym strzałem zwierza powalił. Panowie zrazu gniewali się; potem pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

Str. 298. w. 30. Kiedy pan Karp' nieboszczyk chłopów wyswobodził.

Rząd rosyjski nie uznaje ludzi wolnych, prócz szlachty. Włościanie przez właściciela uwolnieni, są zaraz zapisywani w skaski dóbr stołowych cesarskich i zamiast pańszczyzny muszą opłacać podatek zwiększony. Wiadomo, że w roku 1818, obywatele guberni Wileńskiej uchwalili na sejmiku projekt uwolnienia wszystkich włościan i wyznaczyli w tym celu delegację do Cesarza; ale Rząd rozkazał projekt umorzyć i nigdy o nim więcej nie wspominać. Nie ma innego sposobu uwolnić człowieka pod rządem rosyjskim jak tylko przybierając go do familji. Jakoż wielu tym sposobem uszlachcono z łaski lub za pieniądze.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

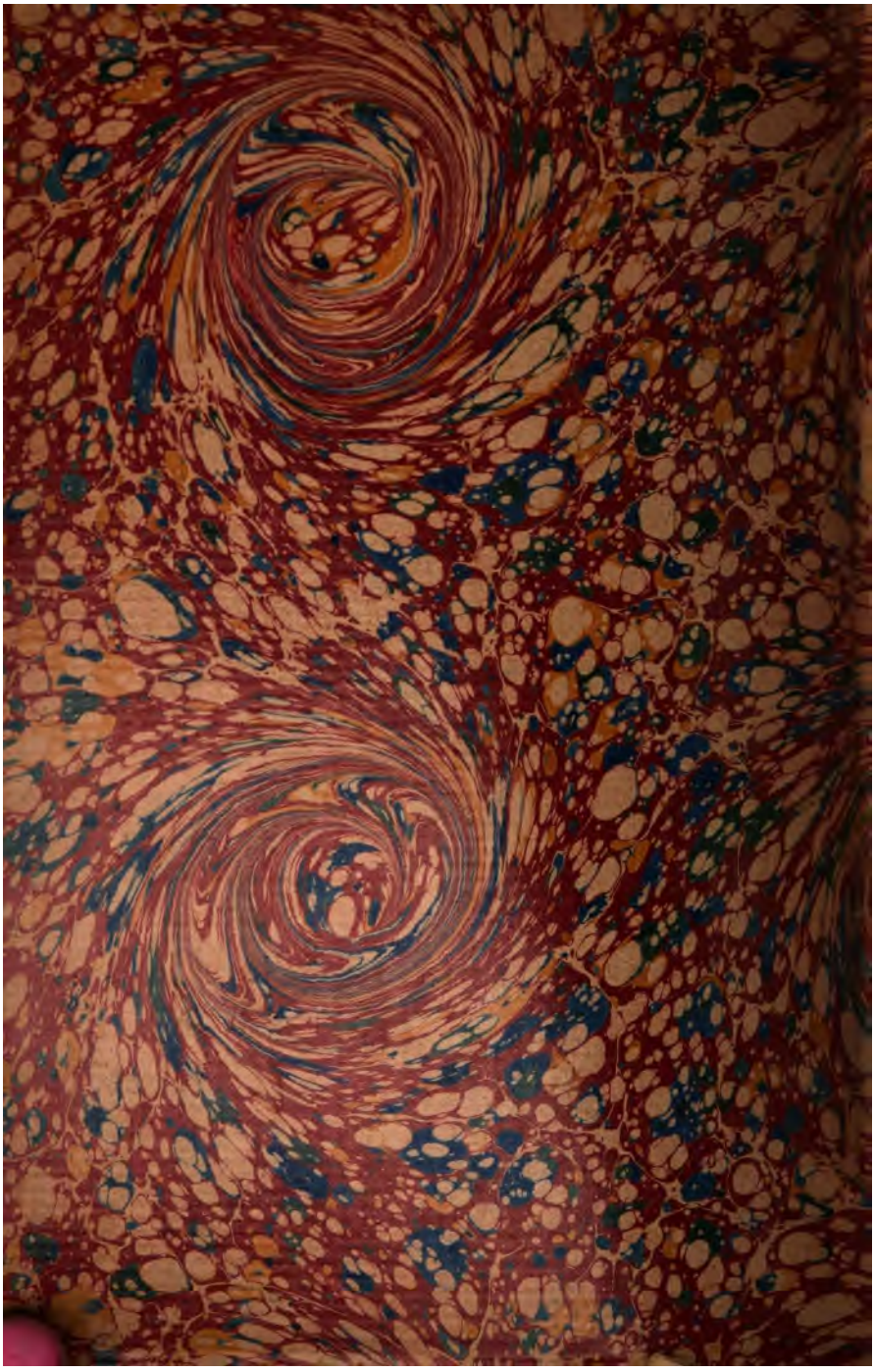

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

NOV 1 '60 H

NOV 15 '60 H